



JEJ
OSTATNI
ODDECH

ROBERT
DUGONI

O książce

DRUGA KSIĄŻKA Z DETEKTYW TRACY CROSSWHITE

THRILLER MIESIĄCA WEDŁUG AMAZONA

**POWIEŚĆ AUTORA DWUKROTNIE NOMINOWANEGO
DO NAGRODY HARPER LEE**

**ALBO GO POWSTRZYMA, ALBO ZOSTANIE KOLEJNĄ
OFIARĄ**

Detektyw Tracy Crosswhite jeszcze nie zdążyła się otrząsnąć po dramatycznej konfrontacji z zabójcą jej siostry, a już czeka ją kolejne wyzwanie. Północna część Seattle to rewir seryjnego mordercy, polującego na młode kobiety w hotelowych pokojach. Policja nazywa go Kowbojem. Tracy ma prawo przypuszczać, że również jest jego celem... Szybko odkrywa, że klucza do rozwiązania tej sprawy należy szukać w dochodzeniu sprzed lat, które w wydziale uważają za zamknięte i najwyraźniej komuś bardzo zależy, aby tak pozostało. Upór Tracy może kosztować ją karierę. A nawet życie

ROBERT DUGONI

JEJ
OSTATNI
ODDECH

Z angielskiego przełożył
Lech Z. Żołądziowski



Wydanie elektroniczne

ROBERT DUGONI

Amerykański pisarz urodzony w 1961 r. Po uzyskaniu licencjatu z dziennikarstwa na Uniwersytecie Stanforda współpracował m.in. z „Los Angeles Times”. Następnie ukończył prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim i przez 13 lat pracował w kancelarii adwokackiej w San Francisco, zanim całkowicie poświęcił się pisarstwu. Autor trzynastu powieści, z których dwie były nominowane do Nagrody Harper Lee. Dwukrotnie wyróżniony przez Pacific Northwest Writer’s Association i zdobywca wielu innych prestiżowych nagród.

Książki Dugoniego zostały przetłumaczone na kilkanaście języków i opublikowane w ponad 20 krajach.

Jej ostatni oddech jest drugą z cyklu książek z detektyw Tracy Crosswhite. Pierwsza, **Grób mojej siostry**, nominowana do Nagrody Harper Lee, została uznana przez International Thriller Writers za najlepszą książkę w tym gatunku.

ROBERTDUGONI.COM

Tego autora

GRÓB MOJEJ SIOSTRY
JEJ OSTATNI ODDECH

Tytuł oryginału:
HER FINAL BREATH
Copyright © Robert Dugoni 2015
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2017
Redakcja: Katarzyna Kumaszevska
Zdjęcie na okładce: Pexels
Projekt graficzny okładki i serii: Katarzyna Mieszka-Magdziarz

ISBN 978-03-8125-085-6

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

*Wszystkim ludziom w mundurach i z odznakami policyjnymi,
którzy w dzień i w nocy walczą z przestępczością, abyśmy mogli
czuć się bezpiecznie. Za często jesteśmy skłonni ich krytykować
i zbyt rzadko im dziękujemy.*

Na psychopatów nie ma lekarstwa. Nie ma procedur leczniczych. Nie ma szans na wyleczenie. Są tylko więzienia.

dr Jeni Gregory, psycholog społeczny

Rozdział 1

Tracy Crosswhite przyglądała się parkującemu minivanowi, odnotowując w pamięci dziecięcy fotelik na tylnym siedzeniu i dyndającą za szybą żółtą wywieszkę *Dziecko w samochodzie*. Wsiadła z niego kobieta w czarnej kamizelce kuloodpornej, dzinsach i bejsbolówce z emblematem Seattle Mariners.

– Detektyw Crosswhite?

Tracy uściśnęła jej rękę, wyczuwając szczupłość i wiotkość jej dłoni.

– Po prostu Tracy. A ty jesteś posterunkową Pryor, tak?

– Katie. Jestem naprawdę bardzo wdzięczna. Przepraszam, że zajmuję ci czas po godzinach.

– Nie ma sprawy. Uczenie innych pozwala zachować formę. Masz okulary i nauszники?

– Własnych nie mam.

Tracy nie przyszło nawet do głowy, że Pryor mogłaby mieć własny sprzęt.

– To trzeba ci je zorganizować.

Poprowadziła Pryor do przysadzistego betonowego budynku Towarzystwa Sportowego Policji Seattle. Jak większość strzelnic, ta też znajdowała się na uboczu, przy końcu wąskiej uliczki w przemysłowej dzielnicy Seattle, dwadzieścia minut od centrum.

Siedzący w dyżurce mężczyzna powitał Tracy, zwracając się do niej po imieniu, a ona dokonała prezentacji.

– Virgil, to jest posterunkowa Pryor. Potrzebujemy dla niej czegoś na oczy i uszy, a poza tym tarczy, paru pudełek amunicji i rolki taśmy.

– Ćwiczmy do testu kwalifikacyjnego? Zostało jeszcze ze dwa tygodnie, nie? – Virgil uśmiechnął się do Pryor. – Jesteś w dobrych rękach. – Zdjął z półki pudełko amunicji, z uchwytów na ścianie okulary i nauszniki. – Cały czas namawiamy Tracy, żeby zajęła się na stałe szkoleniem nowicjuszy. I co ty na to, Tracy?

– To co zawsze, Virgil. Zajmę się tym, jak ludzie przestaną się wzajemnie zabijać.

– Jasne, i jak pierdy przestaną śmierdzieć. – Rozejrzył się po półkach. – Muszę pójść do magazynku po taśmę.

– A po co nam taśma? – spytała Pryor po jego wyjściu.

– Do zaklejania dziur na tarczy – odparła Tracy.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałam.

– Bo nigdy tyle się nie nastrzelałaś co dzisiaj.

Virgil wrócił i wręczył Tracy rolkę niebieskiej taśmy klejącej. Podziękowała, rzuciła do Pryor „Idziemy” i wyszła z budynku.

Wsiadły do jej forda pick-upa F-150 z 1973 roku. Po powrocie z Cedar Grove sprzedała subaru i byłoby ją stać na kupno czegoś lepszego, ale stary pick-up bardziej do niej pasował. Jego silnik dość długo się rozgrzewał, szczególnie w chłodne poranki, na obudowie było trochę wgnieceń i zadrapań, mimo to jak na swój wiek samochód prezentował się całkiem nieźle. A poza tym stary ford kojarzył się z pojazdem, którym ojciec woził ją i Sarę na zawody strzeleckie, gdy były jeszcze dziećmi.

Przejechała dwieście metrów wyboistą asfaltową drogą, zaparkowała przed wejściem na strzelnicę i zanurzyła się w dobrze jej znaną kakofonię wystrzałów i ujadania policyjnych psów. Nie wiedziała, co za geniusz wpadł na pomysł, by urządzić policyjną psiarnię tuż obok strzelnicy, ale współczuła zarówno mieszkającym w niej psom, jak i wszystkim, którzy musieli spędzić więcej niż minutę w ich jazgocie.

Na strzelnicę prowadziła bramka w wysokiej na dwa i pół metra stalowej siatce z ciągiem drutu żyłkowego na górze. Pogoda była typowo marcowa: siąpił lodowaty deszcz i było

zimno. Czekając na posterunkową, Tracy pochuchała w dłonie, by je nieco rozgrzać. Idealne warunki na trening strzelecki.

– Od czego zaczniemy? – spytała Pryor.

– Ty strzelasz, ja patrzę – odparła Tracy.

W odległości dwudziestu pięciu metrów od osłoniętego metalowym daszkiem wału ziemnego, naszpikowanego pociskami, ciągnęło się piętnaście stanowisk strzeleckich odgrodzonych od siebie płytami sklejk. Tracy wybrała pierwsze od lewej, wprowadziła najbliższe psich bud, ale najdalsze od stanowisk zajętych przez dwóch mężczyzn w prawej części strzelnicy.

– Zaczniemy od ćwiczenia na pewność ręki z trzech metrów. Masz trzy sekundy na oddanie czterech strzałów, dwa w korpus, dwa w głowę.

– Jasne – rzuciła Pryor.

Przytwierdziły do płyty wiórowej tarczę z sylwetką „złoczyńcy” z masywnymi owłosionymi ramionami i ponurą miną, ustawiły go pod daszkiem i cofnąwszy się trzy metry od celu, stanęły na umieszczonym na ziemi znaku.

– Przygotuj się do strzału – zarządziła Tracy.

Pryor wyjęła z kabury glocka, skierowała lufę w ziemię i przyjęła postawę strzelecką: nogi rozstawione na szerokość ramion, lewa nieco wysunięta do przodu. Tracy postukała nogą w wewnętrzną stronę lewej stopy Pryor i o parę centymetrów powiększyła jej rozkrok.

– Ognia – rzuciła.

Posterunkowa uniosła pistolet, trzykrotnie wystrzeliła i po każdym strzale odruchowo się wzdrygnęła, przez co lufa każdorazowo lekko zeszła z celu. Był to typowy odruch wszystkich nowicjuszy, a jeszcze bardziej nowicjuszek, i Tracy wcale to nie zaskoczyło.

– Przygotuj się do strzału – powiedziała.

Pryor uniosła nausznik z lewego ucha.

– A nie sprawdzisz najpierw...

– Przygotuj się do strzału – powtórzyła Tracy.

Jej podopieczna opuściła nausznik i przyjęła odpowiednią postawę.

– Ognia.

Pryor wystrzeliła.

– Przygotuj się. Ognia.

Oddała kolejny strzał.

Strzelanie trwało aż do całkowitego opróżnienia magazynka. Pryor, lekko oszołomiona adrenaliną, opuściła broń.

– Dłonie i ramiona zaczynają boleć? – domyśliła się Tracy.

– Trochę.

– Ale idzie ci coraz lepiej.

– Lepiej – bąknęła Pryor, przypatrując się tarczy przez żółtawe okulary.

– Bo widzisz, ja mogę ci pomóc w tym, żebyś lepiej strzelała – powiedziała Tracy. – Ale nie mogę cię nauczyć strzelać. Sama musisz zapanować nad odruchem w chwili wystrzału. Wiesz, że huknie i będzie odrzut, więc się stresujesz i strzelasz niecelnie. Jedynym sposobem na opanowanie tego odruchu jest jak najwięcej strzelać. Jak często bywasz na strzelnicy?

– Staram się, jak tylko mogę, ale to dla mnie niełatwe – odparła Pryor. – Mam w domu dwie małe dziewczynki.

– Co robi twój mąż?

– Pracuje w firmie budowlanej.

– I chce, żebyś ty też pracowała?

– Oczywiście. Potrzebujemy pieniędzy.

– Więc musi się zająć córkami, żebyś ty mogła ćwiczyć. – Tracy wyciągnęła ku niej prawy kciuk. – Wiesz, od czego jest ten nagniotek?

– Od strzelania.

– Od ładowania magazynka. Przychodzę tu dwa razy w tygodniu w deszcz i upał, w dzień i w nocy. Żeby lepiej strzelać, trzeba ćwiczyć. A jeśli nie zaliczysz testu, możesz zapomnieć o pracy. Wyślą cię na dodatkowy kurs, ale będziesz już naznaczona. Wystarczy, że jesteś kobietą. Nie dawaj im kolejnych powodów, żeby mogli cię uważać za kogoś gorszego.

Pryor potrzebowała takich słów. A jej mąż pewnie jeszcze bardziej.

– To jak, chcesz się do tego przyłożyć?

Posterunkowa sięgnęła do tylnej kieszeni dżinsów i wyciągnęła telefon komórkowy.

– Pozwól, że zadzwonię do domu.

Odeszła parę kroków, a Tracy wykorzystała tę chwilę na załadowanie magazynka. Jeden z mężczyzn z drugiego końca strzelnicy przerwał strzelanie i podszedł bliżej.

– Widzę, że przyszłycie rozładować trochę tłumionej babskiej agresji – powiedział z przekąsem. Kapitan Johnny Nolasco jako szef Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych był zwierzchnikiem Tracy. A także wyjątkowym palantem.

– Tak sobie strzelamy, kapitanie.

– Zbliża się test kwalifikacyjny. – Mimo chłodu Nolasco miał na sobie obcisłą koszulę z krótkimi rękawami, co pozwalało mu prezentować wytatuowany na prawym bicepsie drut kolczasty. – Może dobrze byłoby go urozmaicić?

Tarcza Tracy z jej testu kwalifikacyjnego na zakończenie akademii policyjnej trafiła do ustawionej przy wejściu do szkoły gabloty chwały, zastępując w niej tarczę z wynikiem Nolasco. W ciągu dwudziestu lat, które minęły od tamtego wydarzenia, nikomu nie udało się powtórzyć wyczynu Tracy, a zranione ego Nolasco nigdy nie zostało w pełni zaleczone.

– Jestem dobra – rzuciła, nie przerywając ładowania.

– Ale nie aż tak – prychnął, obrzucił jej podopieczną uważnym spojrzeniem, po czym bez słowa odwrócił się i odszedł.

Pryor skończyła rozmowę i podeszła do Tracy.

– Kto to był? – spytała.

– Powód, dla którego musisz zaliczyć ten test.

* * *

Zapadł zmrok i powietrze zasnuła ciągnąca znad morza mgła, w której światło lamp na słupach nabrało żółtawej barwy

i widoczność mocno się pogorszyła. Tracy dopingowała Pryor, by ta nie zwracała uwagi na pogodę i skupiła się na doskonaleniu technik strzeleckich, na przykład na prawidłowym korzystaniu z przyrządów celowniczych.

– Jeśli nauczysz się strzelać przy takiej pogodzie, będziesz swobodniejsza podczas testu.

– Jaki masz najlepszy wynik? – spytała Pryor.

– Sto pięćdziesiąt.

– To wspaniały wynik. Gdzie się uczyłaś strzelać?

– Jako dziecko brałam udział w zawodach strzeleckich. To była rodzinna tradycja. Oceniano na nich szybkość i celność strzelania. To tak jak ze wszystkim. Jeśli chcesz odnosić sukcesy, musisz się napracować. Dobrych nawyków nabierasz, jeśli często powtarzasz właściwe czynności.

Pryor pogimnastykowała palce i podmuchała na rękę.

– Drętwieją ci dłonie? – spytała Tracy.

– Trochę.

– Zdobądź gumową poduszeczkę z piaskiem i ugniataj ją przy każdej okazji. Jeżdżąc w patrolu, siedząc w domu przed telewizorem.

– Hej, Tracy!

Chociaż rysy twarzy były rozmyte we mgle, rozpoznała w wołającym Virgila. Stał w otwartych drzwiach swojego śliwkowego plymoutha, machając ręką, lampka we wnętrzu samochodu oświetlała go od tyłu, reflektory zalewały blaskiem gęstniejącą mgłę, z rury wydechowej dobywały się białe obłoki spalin.

– Ja już skończyłem. Jak będziecie wychodzić, zatrzaśnijcie za sobą bramkę.

– Nie ma sprawy, Virgil.

Raz jeszcze pomachał ręką, wsiadł do samochodu i utonął we mgle z tak głośnym warkotem, jakby odpływał motorówką.

Tracy zmusiła Pryor do wystrzelania do końca całej amunicji i gdy wreszcie ogłosiła koniec, na twarzy jej podopiecznej pojawił

się wyraz ulgi. Trochę jej jeszcze brakowało, ale postęp w strzelaniu był już widoczny.

– Pomogę ci zebrać mosiądz – powiedziała, choć łuski od ćwiczebnej amunicji były tak naprawdę aluminiowe.

– Sama to zrobię. – Tracy czuła lekkie wyrzuty sumienia, że tak długo ją przetrzymała przy tak podłej pogodzie. – Lepiej wracaj do domu. Nie przesadzmy za pierwszym razem.

– A ty?

– Na mnie czeka tylko kot. Zbieraj się i wracaj do rodziny.

Wzięły tarczę i kiedy Tracy odprowadziła Pryor do wyjścia, ta wręczyła jej gogle i nauszniki do zwrotu Virgilowi.

– Słuchaj – powiedziała. – Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Ależ wiesz. Po prostu zalicz ten test. A potem przekaz dalej to, czego cię nauczyłam.

Gdy ucichł szum silnika minivana posterunkowej, Tracy wyjęła dwudziestolitrowe wiadro spod wieżyczki kontrolera i wolnym krokiem ruszyła w stronę wału, wrzucając do wiadra puste łuski; zaczęły w nim pobrzękiwać jak garść bilonu. Psy, które ucichły po zakończeniu strzelania Pryor, znów się rozszczękały. Tracy zatrzymała się, bo nie bardzo chciało jej się wierzyć, by robiły to z powodu łusek w wiadrze. Zwłaszcza że dosłyszała jakby szum silnika samochodu. Popatrzyła w stronę drogi, ale we mgle nie dojrzała żadnych reflektorów. Nad jej głową coś pyknęło i zgasły wszystkie światła, pogrążając cały teren w kompletnych ciemnościach. Rzuciła okiem na wyświetlacz komórki. Punktualnie 21.00. Widać Virgil na tę godzinę zaprogramował gaszenie świateł na noc.

Usłyszała brzęknięcie bramki w ogrodzeniu i wydało jej się, jakby ktoś wszedł do środka, ale we mgle nic nie było widać. Odstawiła wiadro, położyła dłoń na rękojęści glocka i przekrzykując ujadanie psów, wrzasnęła:

– Jestem z policji i mam broń! Jeśli ktoś tam jest, niech się odezwie.

Odpowiedziała jej cisza.

Nie zdejmując ręki z rękojeści glocka, podniosła wiadro i poszła z nim do wieżyczki kontrolera. Zostawiła wiadro i zabrała okulary i nauszniki ochronne, by po drodze wrzucić je w szparę w drzwiach dyżurki. Ruszyła do wyjścia, czujnie się rozglądając.

Przechodząc przez bramkę, poczuła, jak coś smyrgnęło ją po głowie. Odskoczyła do tyłu, opędzając się ręką i drugą wyszarpując glocka z kabury. Nic się jednak nie wydarzyło, nikt się na nią nie rzucił, wyjęła więc z kieszeni telefon i zapaliła latarkę. Ostry snop światła odbił się od mgły niczym reflektory samochodu na szosie, jeszcze pogarszając widoczność. Podeszła do bramki i poświeciła w górę.

Z drutu żyłkowego zwieńczającego ogrodzenie zwisał sznur zakończony wisielczą pętlą.

Dokonała błyskawicznej oceny sytuacji. Była sama i dobrze widoczna w kręgu światła. Zgasła latarkę.

Pętli z całą pewnością nie było w chwili, gdy Pryor odjeżdżała i paliły się jeszcze światła. Tracy nie miała omamów słuchowych czy wzrokowych i nie myliła się, sądząc, że słyszy jakiś samochód i widzi kogoś stojącego przy bramce. To nie lada wyczyn zawiesić stryczek na płocie policyjnej strzelnicy. Czy sprawca wiedział, że Tracy jest jeszcze w środku, czy sądził, że wszyscy już wyszli i na strzelnicy nikogo nie ma? W tej mgle mógł jej nie dostrzec. Szybko jednak odrzuciła tę myśl. Byłby to nadmierny zbieg okoliczności, gdyby ktoś przypadkiem powiesił wisielczą pętlę akurat tego wieczoru. A więc ten ktoś ją śledził i wybrał porę nieprzypadkowo. Pytanie tylko, czy chodziło mu o coś osobistego, czy o coś związanego z jej pracą. Policja z Seattle znalazła się ostatnio pod ostrzałem mediów, bo organizacje kobiece były oburzone brakiem postępów w śledztwie w sprawie zabójstwa tancerki erotycznej, którą znaleziono z pętlą na szyi w pokoju motelowym w północnym Seattle. Śledztwo w sprawie śmierci Nicole Hansen prowadziła Tracy do chwili jej wyjazdu do Cedar Grove, gdzie pojechała w związku z toczącym się procesem, w wyniku którego wypuszczono na wolność skazanego za

zabójstwo jej siostry¹. Podczas jej nieobecności w Seattle kapitan Nolasco przekazał sprawę Hansen do wydziału spraw dawnych, co wywołało oburzenie rodziców ofiary i organizacji kobiecych.

Tracy wybrała numer na swojej komórce i podała operatorce nazwisko, numer służbowy i miejsce pobytu, po czym poprosiła o przysłanie patrolu interwencyjnego CSI².

Rozłączyła się i zaczęła analizować sytuację. Nie podobało jej się to, że sterczy na otwartej przestrzeni. Jej pick-up stał tuż za bramką. Gdyby udało jej się wskoczyć do środka, mogłaby podjechać do bramy wjazdowej i tam poczekać na patrol.

Trzymając glocka w wyciągniętej ręce, zaczęła ostrożnie przesuwać się do przodu. Ominęła zwisającą pętlę i opierając się plecami o siatkę, przeszła przez bramkę. Chrząszcząc nogami na żwirze, przesunęła się wzdłuż pick-upa – od końca skrzyni do kabiny kierowcy. Wyjęła z kieszeni kluczyk i spuszczać na chwilę wzrok, wypatrzyła szparkę zamka w drzwiach. Wetknęła w nią kluczyk i przekręciła. Blokada zamka puściła. Tracy chwilę odczekała i ostrożnie uchyliła drzwi. Już miała wsiąść, gdy nagle dostrzegła, że z paki coś wystaje. Ktoś uchylił okienko w jej osłonie.

Przeszła do tyłu, chwilę odczekała i zajrzała do środka. Pusto. Odwróciła się i omiotła wzrokiem teren wokół pick-upa. Poza rozmytymi we mgle słupami telefonicznymi nie było nic widać.

Zamknęła okienko, przekręciła klamkę i usłyszała szcęknięcie mechanizmu blokującego. Gdy zawróciła ku kabinnie kierowcy, psy znów zaczęły ujadać.

Rozdział 2

Tracy wyjechała z terenu Towarzystwa Sportowego Policji Seattle na ulicę, chwilę potem pojawił się radiowóz. Poleciała umundurowanej załodze rozciągnąć żółto-czarną taśmę policyjną i zagrodzić wjazd na teren, po czym pogratulowała sobie przezorności, bo krótko po radiowozie nadjechała furgonetka z reporterem miejscowych wiadomości, a zaraz później jej bezpośredni przełożony, sierżant Billy Williams.

– Myślałem, że dzwoniłaś z komórki – powiedział, łypiąc okiem na reportera.

– Owszem – odparła.

Rozmowa z komórki nie powinna zostać przechwycona przez media, ale policja z Seattle od dawna przypominała sito. Szefostwo lubiło zaskarbiać sobie względy dziennikarzy przez podrzucanie im informacji i podejrzewano, że w Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych jest przeciek. Zresztą po tym wszystkim, co ją spotkało w Cedar Grove, sama Tracy stanowiła łakomy kąsek dla reporterów.

Williams poprawił na głowie włóczkową czapkę z daszkiem, która stała się jego znakiem rozpoznawczym od chwili, gdy ostatecznie uległ siłom natury i zgolił na zero resztki czupryny. Utrzymywał, że jesienią i zimą czapka chroni mu czaszkę od zimna, a latem od słońca, Tracy podejrzewała jednak, że po prostu uważał, że dobrze w niej wygląda. Zapuścił też wąsy – cieniutką kreskę – i kępkę zarostu pod dolną wargą, co upodabniało go do Samuela L. Jacksona.

Kinsington Rowe, partner Tracy, dotarł dziesięć minut później. Wysiadł ze swego wiekowego bmw i wciągnął na siebie

skórzaną kurtkę.

– Przepraszam, ale byliśmy na kolacji u rodziców Shannah – rzucił. – To co my tu mamy?

– Chodź, pokażę ci – odrzekła Tracy.

Usiadł obok niej w kabinie pick-upa, Billy pojechał za nimi swoim jeepem.

– Nic ci nie jest? – upewnił się Kins.

– Mnie?

– Bo wyglądasz na spiętą.

– U mnie wszystko w porządku. A u rodziców Shannah? – dodała, by zmienić temat.

Skrzywił się.

– Staramy się jadać z nimi niedzielne kolacje w nadziei, że to coś pomoże. Wdałem się z jej ojcem w dyskusję o dostępie do broni.

– I jak ci poszło?

– Jak było do przewidzenia.

Tracy zatoczyła szeroki łuk i zaparkowała kawałek od wejścia. Włączyła wycieraczki na zaparowanych szybach i światłami drogowymi oświetliła zwisającą pętlę.

– I co o tym sądzisz? – spytał Kins.

– Sama nie wiem. Ktoś to musiał powiesić zaraz po tym, jak zgasły latarnie.

– Chciał, żebyś się na to natknęła?

– Tak to wygląda.

– Chyba masz rację.

Wysiedli i podeszli do stojącego kawałek dalej Williamsa.

– Sznur wygląda na identyczny – zauważył Kins. – Ten sam kolor, pętli dokładnie nie widzę.

Nicole Hansen tak zwyczajnie nie uduszono. Związano ją w kołyskę w tak perfidny sposób, że umierała w męczarniach. Przy próbie wyprostowania nóg sznur się napręzał i zaciskał pętlę na szyi. W końcu ofiara nie wytrzymała dłużej w skulonej pozycji i sama się udusiła. Tracy i Kins uznali jej śmierć za zabójstwo, choć nie wykluczyli też tego, że mogła się udusić

w trakcie wynaturzonego seksu, podczas którego sprawy wymknęły się spod kontroli. Choć trudno było sobie wyobrazić, by kobieta mogła dobrowolnie poddać się takiej torturze, Tracy, która miała za sobą pracę w wydziale przestępstw seksualnych, widywała już gorsze rzeczy. Kiedy jednak badanie toksykologiczne wykazało w organizmie Hansen obecność rohypnolu, czyli tak zwanej tabletki gwałtu, ostatecznie zarzucili tę wersję.

– A zatem pierwsza możliwość: to ten sam sukinsyn, który załatwił Nicole Hansen – powiedział Kins. – Druga: to ktoś, kto jest oburzony odłożeniem śledztwa w sprawie Hansen na półkę i chce nam o tym powiedzieć.

– Albo jakiś naśladowca – wtrącił Billy.

– Możliwość numer trzy.

Podczas śledztwa w sprawie śmierci Hansen reporterka telewizyjna Maria Vanpelt dotarła do opinii rzeczoznawcy, że do uduszenia ofiary użyto sznura polipropylenowego ze splotem typu Z, i ujawniła to. Policja złożyła wówczas ostry protest na ręce prezesa stacji telewizyjnej, a ten gorąco przeprosił za niedopatrzenie i przyrzekł, że już nigdy się to nie powtórzy. Jego zapewnienia nie zrobiły specjalnego wrażenia na nikim w policji z Seattle.

– Bez względu na to, która z nich jest prawdziwa, sprawca zostawił pętlę w takim miejscu, byś musiała się na nią natknąć – powiedział Billy. – A to znaczy, że cię śledził i wiedział, że jesteś na strzelnicy. Wydam polecenie, żeby nasi ludzie mieli cię na oku.

– Niepotrzebna mi niańka, Billy.

– Tylko do czasu, aż ustalimy, co się za tym kryje.

– Podziurawię go na wylot, nim się zbliży do mnie na trzy metry – burknęła.

– Jasne, jest tylko jeden problem – zauważył Kins. – Nie masz pojęcia, kim on może być.

Rozdział 3

Skrecając w podjazd do domu w dzielnicy Admiral w zachodnim Seattle, Tracy minęła zaparkowany radiowóz z komisariatu Południowy Zachód. Pomachała policjantowi i wjechała do aż nazbyt czystego i zadbanego garażu na dwa samochody, tyle że na miejscu dla drugiego stała sterta kartonów z dobytkiem przewiezionym z jej poprzedniego mieszkania na Capitol Hill. Dom był wynajęty od zaprzyjaźnionego agenta FBI, który przeniósł się z żoną na Hawaje, ale nie chciał go sprzedawać, póki oboje ostatecznie nie upewnią się, że życie w raju im pasuje.

Weszła do małego przedpokoju przy kuchni, wyjęła z lodówki napoczętą butelkę chardonnay i napełniła kieliszek. Roger, pręgowany szaro-czarny kot, wbiegł za nią do kuchni, wskoczył na blat i zaczął miauczeć, co nie oznaczało przyływu miłości, a jedynie sygnał, że domaga się jedzenia. W kuchni stał automatyczny dozownik suchej karmy, ale Tracy rozpieściła Rogera, dając mu wieczorem puszki, a przez zamieszanie na strzelnicy dotarła do domu dużo później niż zwykle.

– Typowy chłop – mruknęła, drapiąc go za uszami i głaszcząc po grzbiecie. – Teraz będziesz już chciał co wieczór.

Wyjęła puszkę z szafki, przełożyła zawartość do miseczki i zaczęła się zastanawiać, co zrobić z resztą wieczoru. Myśli przerwało jej brzęczenie domofonu. Przeszła przez pokój z płaczącym się przy nogach Rogerem i nacisnęła przycisk interkomu przy furtce w wysokim na prawie trzy metry ogrodzeniu z kutego żelaza, które oddzielało posesję od ulicy.

– To ja – powiedział Dan.

Tracy wcisnęła przycisk odblokowujący furtkę i wzięła Rogera na ręce. Został ostatnio mistrzem ucieczek, a o tej porze mógł też łatwo stać się łupem dla kojotów. Otworzyła drzwi i zamachała do policjanta w radiowozie na znak, że wszystko pod kontrolą. Dan pchnął furtkę i wpuścił przed sobą Rexa i Sherlocka. Psy, mieszańce mastiffa z rodezjanem, ważyły łącznie ponad sto trzydzieści kilo. Wparowały pędem na posesję, okrążyły z dwóch stron fontannę pośrodku patio i zbiegły się ponownie przy Tracy. Roger, który nie życzył sobie żadnych bliższych kontaktów z intruzami, wyrwał się jej z rąk i prysnął do domu, by umościć się gdzieś wyżej. Tracy chwyciła oba psy za pyski i poczochnęła im sierść.

– Jak się macie, koledzy? Co u was, chłopaki?

– Czemu przed twoim domem siedzi gliniarz w radiowozie? – spytał Dan, położywszy torbę na stoliku z marmurowym blatem.

– Już ci mówiłam tyle razy. Nie musisz naciskać domofonu. Przecież znasz kod.

Po wprowadzeniu czterocyfrowego kodu przy furtce jej zamek się odblokowywał. Mimo że od trzech miesięcy ona i Dan byli w całkiem poważnym związku, jeszcze ani razu nie wszedł bez dzwonienia ani nie dał jej kluczy do swojego domu w Cedar Grove.

Zamknęła drzwi i psy ruszyły na poszukiwanie Rogera, który stał z grzbietem wygiętym w pałąk na szczycie regału z książkami i groźnie syczał.

– Co się dzieje? – powtórzył Dan.

Uniosła kieliszek w powitalnym geście i ruszyła do kuchni.

– Napij się? – spytała.

– Jasne, ale chyba najpierw je wypuszczę. – Cedar Grove, małe miasteczko, w którym oboje się wychowali i do którego Dan niedawno wrócił, leżało półtorej godziny jazdy na północ od Seattle.

Usłyszała kroki Dana na schodach prowadzących w dół i towarzyszące im drapanie psich pazurów. Dom był zbudowany tarasowo. Na górnym piętrze, na poziomie ulicy, mieściły się

kuchnia, połączona z nią otwarta przestrzeń pełniąca funkcję jadalni i salonu, główna sypialnia oraz łazienka. Wszystko razem miało powierzchnię dwukrotnie większą od jej poprzedniego mieszkania na Capitol Hill. Do tego dochodziła dolna kondygnacja, z której Tracy prawie nie korzystała. Znajdowały się tam duży pokój z dobrze zaopatrzonym barem, skórzaną kanapą w kształcie litery L i płaskim telewizorem projekcyjnym, dwie sypialnie gościnne i druga łazienka. Prowadzące do tych pomieszczeń drzwi w dole schodów były na stałe zamknięte na zamek z bolcem, który bywał otwierany tylko po to, by Dan mógł wypuścić psy za dom.

Tracy wyszła na taras przy części jadalnej. Znad Zatoki Elliotta napływała gęsta szara mgła, w której tonęła większość miejskiej panoramy Seattle. W pogodną noc rozciągał się stąd wspaniały widok na przegładające się w ciemnych wodach rozjarzone wieżowce centrum, a także na wodne taksówki ślizgające się po zatoce od przystani 50 po zachodnią część Seattle niczym owady wodne oraz rzesiście oświetlone promy kursujące z przystani Colmana na wyspę Bainbridge i do Bremerton. To ten widok oraz poczucie bezpieczeństwa ostatecznie przekonały Tracy do wynajęcia tego domu.

Psy wypadły radośnie przez tylne drzwi, zalewając podwórko powodzią światła dzięki czujnikom ruchu, które Dan zainstalował, kiedy był tu ostatnio, i zabrały się do obwąchiwania kępek trawy na zboczu wzgórza, sześćdziesiąt metrów niżej przechodzącego w Harbor Way, drogę okrążającą całą Zatokę Elliotta. Ich wydłużone cienie kładły się na podwórko.

Gdy już załatwiły swoje potrzeby, Dan je przywołał, wszyscy trzej wbiegli na górę i lekko zdyszani dołączyli do Tracy.

– Czujniki ruchu działają jak trzeba – wysapał Dan, biorąc od niej kieliszek wina.

– Zauważyłam.

– Dobra, więc przestań mnie dręczyć i powiedz, co się stało. Skąd ten radiowóz przed domem?

Opowiedziała mu o sznurze z pętlą.

– I myślisz, że to mógł być ten sam bandzior, który zamordował tancerkę? – spytał Dan, odstawiając kieliszek na stół

– Tego nie wiem. Mógł się tylko na nim wzorować. Albo to ktoś, kogo oburzyło odstawienie śledztwa na półkę.

– Jakie, twoim zdaniem, są szanse, że to naśladowca?

– Duże po tym, jak Maria Vanpelt ujawniła, że Hansen została uduszona pętlą na szyi, i podała typ sznura.

– No cóż, uważam, że twój sierżant miał rację, przydzielając ci ochronę. Ktokolwiek powiesił ten stryczek na strzelnicy, musiał cię śledzić. A ludzie zwykle nie śledzą gliniarzy. Nie wolno lekceważyć tego psychola.

– Wiem. I dlatego cię prosiłam, żebyś przyjechał.

Dan przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, przede wszystkim dlatego, że Tracy rzadko przyznawała, że czuje się czymś zagrożona. Bycie śledzoną mogło się jej kojarzyć z dwiema wcześniejszymi sytuacjami z Cedar Grove. Pierwsza zdarzyła się pod przychodnią weterynaryjną, do której trafił postrzelony Rex. Zdawało jej się wtedy, że ktoś ją śledzi z zaparkowanego samochodu. Niestety, z powodu obfitych opadów śniegu nie udało jej się rozpoznać marki ani dojrzeć twarzy człowieka siedzącego za kierownicą i szybko o tym zapomniała. Bardziej ją poruszył drugi raz, gdy w nocy pod motelem dostrzegła zaparkowany samochód z oczyszczoną szybą przednią, choć od dłuższego czasu padał gęsty śnieg. Wróciła do pokoju po broń, ale gdy ponownie wyszła, samochodu już nie było.

– No tak – bąknął wreszcie. – Dobrze zrobiłaś.

Podeszła bliżej i wtuliła twarz w jego pierś okrytą miękkim kaszmirowym swetrem. Dan objął ją i pocałował w czubek głowy. Z dala dobiegł posępny dźwięk syreny mgłowej i Tracy znów stanęła przed oczami pętla.

Rozdział 4

Nie śpieszyło mu się z zabijaniem.

Przesunął nieco krzesło – tanie, w rodzaju tych, jakie mają w salach bankietowych – by lepiej widzieć ekran zamontowanego na suficie telewizora. Prawdziwego kolosa z wbudowanymi odtwarzaczami kaset wideo i płyt DVD. Już miał włączyć kasetę, gdy puszczone zwiastun czegoś, co miało lecieć po przerwie reklamowej. Bardzo go takie sztuczki irytowały. Wspomnieli coś o śledczej z wydziału zabójstw policji z Seattle, ale przedtem musiał obejrzeć reklamę tabletek Cialis, w której starsza para zanurzała się w jeziorze i wypływała splątana w miłosnym uścisku.

– Oglądasz te gówna? – spytał kobiety. – To przecież aktorzy. Od razu można poznać, że udają, nie? Płacą im, żeby mówili całemu światu, że już im nie staje albo mają hemoroidy. – Pokręcił głową. – Czego to ludzie nie zrobią za parę zielonych, co?

Kobieta zaczęła mamrotać coś zupełnie niezrozumiałego, ale się tym nie przejął, bo przerwa na reklamy na szczęście dobiegła końca i zaczynała się dalsza część wiadomości.

– Ciii – syknął.

Nad prawym ramieniem prezentera pojawił się rysunek sznura z wisielczą pętlą.

„Wiadomość z ostatniej chwili – powiedział prowadzący. – Detektyw z wydziału zabójstw policji w Seattle dokonała dziś makabrycznego odkrycia na policyjnej strzelnicy. Mamy połączenie na żywo z reporterką śledczą KRIX, Marią Vanpelt,

która znajduje się na terenie Towarzystwa Sportowego Policji Seattle w Tukwila”.

Jasnowłosa reporterka stała w świetle reflektora punktowego; na jej fioletowo-czarnej kurtce z goreteksu lśniły kropelki deszczu.

„Wieczorem na strzelnicy za moimi plecami pojawiła się ekipa CSI” – zaczęła.

– Wszystko tak strasznie dramatyzują, prawda? – wtrącił mężczyzna.

Kobieta zignorowała jego uwagę.

„Stało się to po tym, jak korzystająca ze strzelnicy bojowej detektyw z wydziału zabójstw natknęła się na sznur z wisielczą pętlą”.

Mężczyzna usiadł.

„Być może pamiętają państwo mój reportaż – ciągnęła Vanpelt – w którym relacjonowałam śmierć tancerki erotycznej Nicole Hansen, uduszonej pętlą w pokoju motelowym przy Aurora Avenue. Dziś wieczorem dowiedzieliśmy się, że detektyw prowadząca śledztwo w tamtej sprawie i ta, która znalazła pętlę na strzelnicy, to jedna i ta sama osoba”.

Na ekranie pojawiła się grupka policjantów po cywilnemu, kilka radiowozów i furgonetka CSI.

„Rodzina zamordowanej Nicole Hansen oprotestowała decyzję policji z Seattle, która zaledwie po czterech tygodniach śledztwa przekazała jego akta do wydziału spraw dawnych. Protest złożyło też kilka organizacji dbających o prawa kobiet. Policja odmawia komentarzy odnośnie do ewentualnego związku między morderstwem Hansen i pętlą znaną dzisiaj na strzelnicy, można jednak z dużą pewnością przyjąć, że dzisiejsze wydarzenie stanowi coś w rodzaju ostrzeżenia”.

Prezenter przełożył papiery na biurku.

„Dziękuję, Mario. Z całą pewnością będziemy dalej interesować się tą sprawą”.

– Ja nie – mruknął mężczyzna, wziął do ręki pilota i nacisnął PLAY. Magnetowid pyknął i szpulki zaczęły się obracać. Ekran

poczerniał i zaczęły na nim latać czarno-białe esy-floresy. Chwilę później rozbrzmiała muzyka i zza czerwonej kotary wychynęli Królik Bugs i Kaczor Daffy jako wodewilowi tancerze w słomkowych kapeluszach i z laseczkami. Mężczyzna zaczął śpiewać razem z nimi, czując, jak całe ciało ogarnia miłe ciepło.

 Nie śpieszyło mu się z zabijaniem.

 Spojrzał na zegarek. Aż tak dużo czasu jednak nie miał. Zapalił zapałkę, rozświetlając na moment mroczny pokój, przytknął niebiesko-żółty płomień do papierosa i pociągnął tak mocno, że jego koniec rozżarzył się na czerwono. Tak jak szacowny były prezydent Bill Clinton, on też się nie zaciągał. Dmuchnął dymem na plastikową wywieszkę z napisem ZAKAZ PALENIA przyczepioną do poźółkłej tapety obok drzwi łazienki.

 – Czas zacząć zabawę – powiedział.

 Przechylił się i przytknął rozżarzony koniec do gołej stopy kobiety.

Rozdział 5

Tracy zbudziła się tuż po czwartej rano, po kilku godzinach niespokojnego snu. Uważając, by nie obudzić Dana, wyslizgnęła się ostrożnie z łóżka. Rex i Sherlock usiedli na swoich posłaniach i czujnie się jej przyglądali. Zabrała ze stolika nocnego komórkę i glocka, z haczyka na drzwiach zdjęła szlafrok i wyszła z sypialni. Rex z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na posłanie, ale Sherlock rozprostował łapy, wygiął grzbiet i jakby gnany obowiązkiem, podreptał za Tracy.

Zamknęła za sobą drzwi sypialni i potarmosiła go po kościstym łbie.

– Jesteś dobry pies, wiesz o tym?

W kuchni zrobiła herbatę i nagrodziła Sherlocka sztuczną kością. Z myślą o wizytach Dana trzymała w spizarce całą ich torbę. Pies poszedł za Tracy do jadalni i gdy usiadła przy stole, ułożył się przy jej nogach. Ponownie go pogłaskała i sącząc herbatę, zaczęła wolno rozbudzać ciało i umysł. Kiedy gdzieś w oddali znów zawyła syrena mgłowa, Sherlock na moment przestał gryźć kość i postawił uszy. Mgła za drzwiami tarasowymi nadal była gęsta; poza nią nie było prawie nic widać. Nie licząc chrupania kości i cichych trzasków w trzewiach konstrukcji, w domu panowała głucha cisza.

Tracy włączyła laptop i położyła palce na klawiaturze. Kiedy ekran rozbłysnął bladoniebieską poświatą, nacisnęła kilka klawiszy i otworzyła stronę Prokuratury Generalnej Stanu Waszyngton, po czym wpisała nazwisko użytkownika i hasło i weszła do programu HITS³. Baza zawierała opisy ponad dwudziestu dwóch tysięcy zabójstw i przestępstw o podłożu

seksualnym, popełnionych w stanach Waszyngton, Idaho i Oregon. Użytkownicy mogli wpisywać hasła typu „sznur” czy „pętla” i wyciągać z bazy przestępstwa podobne do aktualnie badanych. Tracy udało się zawęzić listę najpierw do dwóch tysięcy dwustu czterdziestu, potem – po wpisaniu dodatkowego kryterium „ofiara niewykorzystana seksualnie” – do znacznie rozsądniejszej liczby czterdziestu trzech spraw.

Oboje z Kinsem byli zdumieni, gdy w protokole koronera przeczytali, że w ciele Nicole Hansen nie znaleziono nasienia, środków plemnikobójczych ani lubrykantów wskazujących na użycie prezerwatywy. Hansen nie została wykorzystana seksualnie, w każdym razie nie przez swego zabójcę. Tracy już w nocy przejrzała wstępnie czterdzieści trzy przypadki wskazane przez HITS, ale zagłębianie się w szczegóły było procesem powolnym i żmudnym. Wprowadzający dane funkcjonariusz musiał odpowiedzieć na ponad dwieście pytań o okoliczności śmierci ofiary i jej cechy wyróżniające, jak tatuaże czy znamiona, a także podać jej wyczerpujące dane osobowe. Robota papierkowa to zhora każdego śledczego i Tracy nie zdziwiło, że niektóre kwestionariusze nie zostały wypełnione do końca.

– Sherlock, co ty o tym myślisz?

Pies wypuścił z pyska kość, uniósł wielki łeb i wlepił spojrzenie w Tracy.

– Masz jakiś pomysł?

Brwi Sherlocka wygięły się w łuk, jakby się czemuś dziwił.

– Dobra, nieważne, wracaj do swojej kości.

Po godzinie ślęczenia wyeliminowała kolejne trzy przypadki, zrobiła sobie następną herbatę i zjadła dwa tosty. Pies, który uporał się już z kością, leżał na boku, cicho pochrapując. Tracy popatrzyła na niego z zazdrością. Gdy z mgły wiszącej nad miastem zaczynały się wyłaniać ciemne sylwetki budynków na tle rdzawego porannego nieba, niemal bezwiednie wymamrotała pod nosem powiedzonko, które zostało jej w pamięci z lat dzieciństwa: „Czerwone niebo wieczorem, dla marynarza wzloty,

czerwone niebo rano, dla marynarza kłopoty”. Mogła tylko mieć nadzieję, że jej to nie dotyczy.

Zerknęła na godzinę u dołu ekranu i doszła do wniosku, że przed obudzeniem Dana ma czas na analizę jeszcze jednego przypadku z HITS. Zamierzała też wynieść kubek gorącej kawy policjantowi tkwiącemu w radiowozie pod domem. Zdarzyło jej się nieraz siedzieć na czatach i wiedziała, że to nic zabawnego, zwłaszcza jak się chce sikać. Faceci mogą się poratować butelką, ale dla niej to nie było takie proste.

Zaczęła przeglądać następny przypadek. Mieszkającą samotnie Beth Stinson zamordowano w jej własnym domu w północnej części Seattle. Tracy przewinęła tekst do opisu okoliczności śmierci i poczuła lekki dreszcz na widok wyłuszczonej słów „sznur” i „pętla”. Stinson znaleziono nagą na podłodze w sypialni. Miała pętlę na szyi, związane w nadgarstkach ręce wykręcono jej na plecy i połączono sznurem z kostkami nóg. Tracy poczuła, jak jej tętno przyśpiesza. Śledczy prowadzący sprawę zanotował, że łóżko Stinson było zasłane, co go zdziwiło, ponieważ śmierć nastąpiła wcześniej rano. Tracy i Kins z takim samym zaskoczeniem przyglądali się w pełni zasłanemu łóżku w pokoju motelowym Nicole Hanson.

Brak śladów włamania. Przebiegła wzrokiem dalszy ciąg tekstu. *Brak dowodów na to, że morderca przeszukał dom lub coś z niego zabrał.* Na blacie kuchennym znaleziono portmonetkę Stinson, a w niej trzysta pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Z sypialni ofiary nie zabrano biżuterii. *To nie był rabunek.*

Tracy szybko przewinęła tekst do pytań o styl życia ofiary. Miała dwadzieścia jeden lat i pracowała w księgowości w supermarkecie w północnym Seattle. Żadna z informacji zawartych w kwestionariuszu nie wskazywała na to, by dziewczyna prowadziła bujne życie towarzyskie, sprowadzała do domu mężczyzn lub interesowała się seksem typu sado-maso.

Przeszła do pytania numer 102: *Czy zbrodnia miała podłoże seksualne?* W odpowiedzi zaznaczono kratkę „tak”. Przewinęła tekst do pytania numer 105.

Czy w zagłębieniach ciała ofiary znaleziono nasienie?

1. Nie 2. Tak

– Co takiego? – zdziwiła się na głos.

Ponownie przeczytała oba pytania. W odpowiedziach brakowało sensu. Możliwe, że sprawca użył prezerwatywy, ale w protokole koronera nie było o tym mowy i nic na to nie wskazywało. Zważywszy zaś, że do morderstwa doszło dziewięć lat temu, nie mogła liczyć na znalezienie odpowiedzi w sieci.

Przewinęła tekst do części zawierającej pytania o sprawcę. Wayne Gerhardt, dwudziestośmioletni hydraulik zatrudniony w firmie Roto-Rooter. Dzień przed zabójstwem był w domu ofiary, dokąd wezwano go do naprawienia jakiejś awarii. Poza jedną wpadką za jazdę po alkoholu miał czystą kartotekę policyjną. Na dywanie w sypialni Stinson były ślady zabłoconych butów, które pasowały do butów znalezionych w szafie Gerhardta. Ponadto w kuchni i łazience odkryto jego odciski palców. Tracy przewinęła tekst do pytania numer 135, dotyczącego znalezienia na zwłokach ofiary płynów ustrojowych sprawcy, jak krew czy nasienie, lub innych śladów, na przykład włosów. W odpowiedzi zaznaczono kratkę „nie”.

Wyprostowała się, bo to też wydało jej się dziwne. Dlaczego morderca miałby być na tyle nieostrożny, by zostawić odciski palców, jednocześnie nie zostawiając żadnych innych śladów? To nie miało sensu.

Uznawszy, że sprawa Stinson wykazuje wystarczająco dużo podobieństw do sprawy Nicole Hansen, by wyciągnięcie akt z archiwum i rozmowa ze śledczymi miały sens, przewinęła kwestionariusz do początku, żeby sprawdzić, kto się tym zajmował.

4. Nazwisko funkcjonariusza/śledczego: Nolasco

5. Imię: Johnny

– Niech to szlag – mruknęła. Nie było mowy, żeby Nolasco zgodził się, aby akurat ona zaczęła szperać w jednej z jego starych spraw.

Zawibrowała leżąc na stole komórka. Sherlock zerwał się jak na odgłos wystrzału. Numer widoczny na wyświetlaczu zaskoczył ją. Ona i Kins nie mieli dziś dyżuru telefonicznego.

Więc skąd ten nagły telefon od sierżanta na służbie?

Rozdział 6

Tracy zetknęła się z okolicami Aurory, patrolując je zaraz po ukończeniu akademii, kiedy przydzielono ją do rejonu północnego, a poznała je lepiej w ciągu ostatnich siedmiu lat, gdy przyszło jej prowadzić śledztwa w sprawie kilku popełnionych tam zabójstw, w tym morderstwa Nicole Hansen.

Aurora Avenue, będąca częścią drogi stanowej 99, niegdyś głównej szosy przelotowej w Seattle, była obecnie wielkomięską arterią zabudowaną wieżowcami i oplecioną pajęczyną przewodów telefonicznych i energetycznych, pełną reklam salonów masażu i solariów, sklepów monopolowych i przybytków „tylko dla dorosłych”. Znajdowało się tu też wiele moteli, z których część pośpiesznie zbudowano na odbywającą się w 1962 roku wystawę światową w Seattle. Te z moteli, które pięćdziesiąt lat później jeszcze istniały i nie przegrały walki z nowocześniejszymi budowlami, odstawały wprawdzie wyglądem, ale nadal służyły klienteli odwiedzającej rejon Aurory w poszukiwaniu narkotyków i prostytutek i płacącej za wszystko gotówką.

Tracy zwolniła przed wjazdem do Aurora Motor Inn, okazała policjantowi odznakę i zjechała stromym zjazdem na parking. Motel był typowym przykładem tego typu jednopiętrowych budowli starszej generacji i został zbudowany na planie litery U otaczającej parking, co zapewniało gościom bezpośredni dostęp do pokoi. Kins stał na parkingu z rękami w kieszeniach kurtki i brodą wtuloną w postawiony kołnierz, obok stał Billy Williams jako szef ekipy. Obaj zmrużyli oczy przed rażącym blaskiem reflektorów pick-upa Tracy.

Zasunęła zamek kurtki i zanurzyła się w przenikliwy chłód poranka.

– No i znów mamy déjà vu – rzucił Kins.

Williams kiwnął głową i nałożył na koniec nosa zwisające na szyi okulary. Dygoczącymi z zimna rękami uniósł do oczu notes i zaczął czytać:

– *Ofiarą jest Angela Schreiber, tancerka z Pink Palace.* – Tracy spojrzała znacząco na Kinsa, a ten uniósł brwi. – *Kierownik motelu mieszka w lokalu za biurem.* – Williams wskazał oszklone drzwi pod daszkiem. – *Twierdzi, że Schreiber zjawiała się sama około pierwszej w nocy i zapłaciła za pokój gotówką.*

– Nikogo z nią nie było?

– Powiedział, że nikogo nie widział, ale specjalnie się nie rozglądał. Nie interesował się nią do chwili, gdy dobiegła końca doba motelowa, a ona nie oddała klucza.

– Znał ją wcześniej?

– Mówi, że zaczęła wpadać jakieś dwa miesiące temu. Ale zawsze sama, zawsze płaciła gotówką i zawsze zwracała klucz. Bardzo grzeczna i akuratna. Aż do dzisiaj. Kiedy nie oddała klucza, poszedł do pokoju i zapukał. Nikt się nie odezwał, więc wszedł do środka. Ale daleko nie zaszedł. Wrócił do siebie i zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. Patrol opieczętował pokój. Ekipy CSI i koronera są już w drodze. Zapewne ktoś z PNNZ też.

W ramach tak zwanego Programu Najbardziej Niebezpiecznych Zbrodni do wszystkich szczególnie brutalnych morderstw w okręgu King wyznaczano dodatkowo jednego z najbardziej doświadczonych prokuratorów, który potem prowadził sprawę już do końca i był do dyspozycji policji we wszystkich kwestiach prawnych, co miało pomóc w szybszym i sprawniejszym przeprowadzeniu śledztwa. Niektórzy detektywi starszej daty byli niezadowoleni, że ktoś wtyka nos w ich pracę, ale dla Tracy nie stanowiło to żadnego problemu.

– Byłeś już w środku? – zwróciła się do Kinsa.

Kiwnął głową.

– Tak, to taki przypadek, kiedy jedno spojrzenie starcza za tysiąc słów.

Podeszła do ostatnich drzwi pod wąskim zadaszeniem. Williams kazał ogrodzić teren czerwoną taśmą, przed wejściem stał policjant z protokołem w ręce. Każdy przekraczający czerwoną linię miał obowiązek wpisać uwagi do protokołu i złożyć podpis. Szefostwo lubiło stwarzać pozory poważnego traktowania spraw, ale wszyscy szczerze nienawidzili wpisywania uwag.

– To ty przyjąłeś to zgłoszenie? – spytała Tracy funkcjonariusza.

– Tak.

– Straż pożarna już była?

– Odjechali z dziesięć minut temu.

– Zanotowałeś numer wozu strażackiego?

Policjant wyciągnął nieduży notes.

– Wóz strażacki numer dwadzieścia cztery.

Tracy zamierzała się z nimi skontaktować i uzyskać relację z pierwszej ręki. Zakrawało to na absurd, ale straż pożarna zawsze przybywała na miejsce zabójstwa, rzekomo na wypadek, gdyby ofiara jeszcze żyła lub by oficjalnie potwierdzić jej zgon. Najczęściej było to całkowicie zbędne, lecz strażacy i tak się zjawiali i pozostawiali w miejscu zdarzenia ślady buciorów, które trzeba było potem wyodrębnić i eliminować, rozdeptywali łuski pocisków, a czasem nawet ingerowali w ułożenie ofiary.

Spojrzała na koniec parkingu, gdzie szef ekipy kazał rozciągnąć żółto-czarną taśmę policyjną, na oznaczenie miejsca przestępstwa.

– Przenieście tę taśmę i zamknijcie nią wjazd na parking – poleciła.

– Właściciel będzie się pieklić.

– Jeśli będzie się stawiał, aresztujcie go.

Policjant odszedł wykonać polecenie.

– Miałaś ciężką noc? – spytał Kins, przyglądając się jej podejrzliwie.

– Miałam ciężki miesiąc. I coś mi się zdaje, że będzie jeszcze gorzej.

Weszła do pokoju. Angela Schreiber leżała skulona na boku w nogach łóżka; jej nagie ciało było skrępowane, głowę miała odrzuconą do tyłu, oczy otwarte. Jednym końcem sznura przewleczonego przez pętlę i przeciągniętego wzdłuż kręgosłupa związano jej nadgarstki, drugim – kostki u nóg. Nogi były tak mocno zgięte, że piętami niemal dotykała pośladków.

– Związana w kołyskę – zauważył Kins, stając w progu. – Jak zwierzę na jakimś sadystycznym rodeo.

– Na rodeo zwierząt się nie zabija – prychnęła Tracy.

Przeczesał palcami czuprynę i westchnął.

– Tak, no cóż, czyli wychodzi na to, że trafił nam się kowboj.

* * *

Źrenice Angeli Schreiber już poszarzały, tęczęwki zmętniały. Na twarzy pojawiły się wybroczyny – niewielkie czerwone plamki spowodowane pękaniem naczyń krwionośnych, które nie wytrzymują zbyt wielkiego ciśnienia. Wskazywało to na zgon przez uduszenie, choć obecność pętli praktycznie tę kwestię i tak przesądzała. Tak jak w przypadku Nicole Hansen, Tracy oceniła wiek ofiary na dwadzieścia kilka lat. Angela była atrakcyjną drobną blondynką z włosami związanymi w koński ogon.

– Od początku leżała na boku? – spytała Tracy policjanta z patrolu, który do nich dołączył. – Czy może strażacy ją obrócili?

– Od początku tak leżała – odparł.

Przyklękła, by przyjrzeć się podeszwom stóp ofiary.

– A to co? Przypalenia papierosem?

Kins podszedł bliżej i pstryknął zdjęcie swoją komórką. Wiedział, że ludzie z CSI i tak wszystko obfotografują, ale lubił mieć własną dokumentację. Czasem obiektyw wychwytywał coś, co umykało oku.

– Nie pamiętam, żebyśmy to widzieli u Hansen – mruknął.

– Bo tego nie było. – Tracy ponownie przyjrzała się pętli i sznurowi na plecach Schreiber, po czym rozejrzała się po pokoju typowym dla moteli w tej części miasta: dwuosobowe łóżko z cienką kwiecistą kapą, meble z płyty wiórowej, tapeta żółta od dymu papierosowego, którego smród wisiał w powietrzu. Nigdzie nie było widać niedopałków ani spalonych zapalek.

– Pewnie trzeba będzie odgrzebać sprawę Hansen – zauważył Kins.

Decyzja Nolasco, by przekazać jej sprawę do wydziału spraw dawnych raptem miesiąc po wszczęciu śledztwa, była bardzo nietypowa i wskazywała na jego pasywno-agresywne podejście, co nie było dla Tracy zaskoczeniem. Oznaczało to, że na jej koncie zawiśnie nierozwiązana sprawa morderstwa oraz że jej szef nie wierzył, że sobie z nią poradzi. Odbiło mu się to jednak czkawką, gdyż jego decyzję oprotestowały zarówno rodzina, jak i organizacje kobiece, i zabójstwo tancerki erotycznej w podrzędnym motelu zamieniło się w groźną broń w rękach aktywistek, które rozdmuchały sprawę jako dowód na to, że policja z Seattle nie liczy się z losem kobiet. I nie mogły sobie wybrać gorszej chwili. Policja w Seattle już się chwiała w posadach w związku z dochodzeniem Departamentu Sprawiedliwości w sprawie nadużywania siły przez funkcjonariuszy oraz werdyktem sądu federalnego, który uznał, że szefostwo policji w Seattle świadomie zwleka z wprowadzeniem niezbędnych reform. W tej sytuacji grupy kobiet głośno skarżących się w mediach na postępowanie policji były potrzebne szefostwu jak dodatkowy wrzód na dupie.

Tracy spojrzała na przetartą szarą wykładzinę na podłodze i pomyślała o gąszczu włosów, krwi, nasienia i Bóg wie czego jeszcze, co ludzie z CSI ściągną z niej odkurzaczem. Nie zazdrościła im tego zadania.

– Zebranie śladów będzie tu koszmarem – powiedziała.

– Może właśnie to mieli na myśli, mówiąc o pięćdziesięciu odcieniach szarości.

Puściła do Kinsa oko i przeniosła wzrok na ofiarę. Chętnie przecięłaby krępujący ją sznur, ale zwłoki były w wyłącznej gestii Stuarta Funka, koronera okręgu King. Ani jej, ani Kinsowi nie wolno było ich tknąć. Wiedziała, że Funk każe przewieźć Schreiber do siedziby koronera w centrum miasta i w czasie transportu ofiara pozostanie naga, skrupowana i powykręcana. Doznając ostatecznego upokorzenia.

Rozdział 7

Po sprawdzeniu wpisów w stanowym urzędzie okazało się, że spółka z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie Pink Palace LLC prowadzi w Seattle trzy kluby striptizowe o tej samej nazwie, a jej prezesem jest Darrell Nash, zamieszkały w eleganckiej wiktoriańskiej rezydencji w ekskluzywnej dzielnicy Queen Anne.

– I kto powiedział, że babranie się w brudach nie popłaca – mruknął Kins, wchodząc na imponujące schody przed wejściem.

Wcześniej podjechali do klubu Pink Palace mieszczącego się parę kilometrów od Aurora Motor Inn, bo Tracy chciała mieć pojęcie o rozmiarach i charakterze całej operacji. Jak wszystko inne w życiu, także kluby striptizowe nie wyglądają jednakowo i nie obsługują tej samej klienteli. Klub Pink Palace sprawiał wrażenie lokalu klasy wyższej i z wielkim neonem nad wejściem bardziej przypominał kompleks kinowo-rekreacyjny. Na ogromnym ekranie telewizyjnym zwanym jumbotronem ukazywały się na przemian skąpo odziane kobiety i zapowiedzi specjalnych atrakcji i promocji. Z tablicy przed wejściem wynikało, że klub zamykają o drugiej i otwierają o jedenastej.

Tracy zapukała energicznie do drzwi rezydencji Nasha, co wywołało atak wściekłości psów w środku. Otworzył nagi do pasa mężczyzna i obrzucił ją ponurym spojrzeniem. Był w workowatych spodniach od piżamy, włosy na głowie sterczały mu we wszystkie strony. Z lewego sutka zwisał srebrny kolczyk, brzuch był pofałdowany niczym tarka do prania, a pierś zdobił tatuaż: fioletowo-złoty tygrys. Mężczyzna wyglądał jak student wyrwany ze snu po nocnej balandze.

– Wiecie, która godzina? – warknął.

Już zmęczona i całkiem nie w nastroju do żartów Tracy błysnęła odznaką.

– Tak, wiemy. I pewnie dla nas jest dużo wcześniej niż dla pana. – Dostrzegła stojącą za nim kobietę, której do nóg tuliły się dwie małe dziewczynki w nocnych koszulach, i nieco spuściła z tonu. – Przepraszamy za najście – dodała. – Pan Darrell Nash?

– Tak. – Każde głośne szczeknięcie za jego plecami odbijało się bolesnym grymasem na jego twarzy, jakby męczył go potężny kac. Odwrócił głowę i krzyknął przez ramię: – Mogłabyś je uciszyć?! I przynieś mi koszulę. – Zwrócił twarz ku Tracy. – O co chodzi?

– O pańską pracownicę.

– Którą?

– Jedną z pańskich tancerek.

– Nie zatrudniam tancerek. Wszystkie są na kontrakcie, pracują na własną rękę i jest ich ponad dziewięćdziesiąt. Jeśli któraś zrobiła coś wbrew prawu, nie mam z tym nic wspólnego. Wiem to od mojego prawnika.

Tracy poczuła na sobie wzrok Kinsa, ale nie oderwała spojrzenia od Nasha.

– Możemy wejść? – spytała.

– Musicie teraz? – Nash odruchowo spojrzał na nadgarstek, choć nie było na nim zegarka.

– Tak, musimy – odparła.

Poprowadził ich do pomieszczenia na tyłach domu, które nazwał „biurem”, choć Tracy nie dostrzegła w nim ani skrawka papieru. Stanęli na rozłożonym na środku pokoju futrzaku z wizerunkiem fioletowo-złotego tygrysa, który był kopią tatuażu na piersi Nasha. W subtelnie podświetlonych gablotach leżały piłki futbolowe z podpisami zawodników i stały puchary, na ścianach wisiały fotografie drużyn z Nashem w trykocie Uniwersytetu Stanowego Luizjany.

– Grał pan na obronie? – spytał Kins.

– Na tylnej. Nie byłem za szybki, ale umiałem taranować jak czołg. Gdyby nie kontuzja ścięgna na ostatnim roku, przeszedłbym na zawodowstwo.

Kins pokiwał głową. Sam prawie nigdy nie wspominał swej krótkiej kariery w NFL, którą po roku gry przerwała kontuzja biodra.

Nash podszedł do drzwi i wydarł się w głąb domu.

– Zaraz odmrozę sobie cycki!

Po chwili żona – niezła robota jej się trafiła, pomyślała Tracy – przyniosła mu coś, co Tracy nazywała „bluzą mięśniaka” i co miało rękawy obcięte w połowie bicepsów. Nash wziął z ogromnego biurka piłkę i rozsiadł się w skórzanym fotelu z wysokim oparciem.

Tracy i Kins stanęli przed biurkiem.

– Jest pan właścicielem Pink Palace? – spytała Tracy.

– Właścicielem wszystkich trzech klubów jest spółka z o.o. Nie wiem, o którym pani mówi.

– O tym w pobliżu Aurory.

– To nasz okręt flagowy.

– Okręt flagowy?

– Nasz pierwszy i najważniejszy.

– Jest pan prezesem tej spółki?

– Owszem.

– Zatrudnia pan jako tancerkę niejaką Angelę Schreiber?

– Pracuje na kontrakcie.

– Zna pan ją osobiście?

– Nie spoufalam się z tancerkami.

– Nie pytam, czy pan się z nimi spoufala. Pytam, czy pan ją zna.

Położył sobie piłkę na kolanach.

– Nazwiska nie kojarzę.

Tracy rzuciła na biurko legitymację tancerki Angeli Schreiber – zgodnie z prawem obowiązującym w Seattle tancerki erotyczne musiały mieć licencję – już obleczoną w plastikową torebkę na dowody. Nash pochylił głowę, by się przyjrzeć.

– To Anielica – powiedział.

– Anielica?

– Pod takim pseudonimem występowała. Wszystkie tancerki używają pseudonimów. Słuchajcie, prowadzę legalne kluby dla dżentelmenów. Nie pochwalamy jakiegokolwiek dodatkowej aktywności na terenie klubu lub parkingu, ale nie mam wpływu na to, co dziewczyny robią po wyjściu z pracy. Więc jeśli obciągnęła kogoś na parkingu, to już nie moja sprawa.

– Widział pan, żeby wczoraj w nocy Angela Schreiber obciągała kómuś klientowi na parkingu? – spytała Tracy.

– Nie, miałem na myśli tylko... Słuchajcie, nawet nie pamiętam, żebym ją w ogóle wczoraj widział.

– Ale był pan w klubie?

– Jasne, że byłem. To mój klub.

– I nie pamięta pan, czy pan w ogóle widział Angelę Schreiber?

Pokręcił głową.

– Większość czasu spędzam albo w kasie przy wejściu, albo w biurze na tyłach klubu. Jak już mówiłem, nie zwracam większej uwagi na moje tancerki.

– Pracownicy kontraktowe – poprawiła Tracy.

– Co?

– Zauważył pan, żeby ktokolwiek zainteresował się wczoraj Angelą Schreiber?

– Nie – mruknął, wzruszając ramionami. – Ale gdyby nawet, to nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Znaczący... przecież one tak właśnie zarabiają forszę, nie? Starają się sobą zainteresować, proponują gościom prywatny show. Właśnie o to im chodzi, żeby zwrócić czyjąś uwagę.

– Kto jeszcze zajmuje się tancerkami i klientami?

– Kierownik sali.

– Jak się nazywa?

– A po co wam jego nazwisko? Co Anielica zrobiła?

– Nic. Poza tym, że nie żyje – odparł Kins.

Nash obrzucił spojrzeniem Tracy, potem jej kolegę.

- Powinienem wezwać adwokata? – spytał.
- Może zacznijmy od nazwiska kierownika sali – powiedział Kins.
- Nabil.
- To imię czy nazwisko? – Kins wyjął kieszonkowy notatnik.
- Imię. Nazwisko: Kotar. – Nash przeliterował oba słowa. – Chyba jest Egipcjaninem czy kimś takim. Jak ona umarła?
- Ktoś ją zabił – rzuciła Tracy.
- Zna pan adres lub telefon tego Nabila? – spytał Kins.
- Będzie pan musiał się z tym zwrócić do mojego szefa personelu – odrzekł Nash, po czym przeniósł wzrok na Tracy. – Jak ją zabili?
- Potrzebne nam będą nazwiska wszystkich stałych i kontraktowych pracowników, którzy byli wczoraj w klubie. – Kins podał mu swoją wizytówkę.
- Nash zawahał się, jednak wziął ją i położył na biurku.
- No więc jak umarła? – powtórzył.
- Śledztwo jest w toku – powiedziała Tracy.
- Kiedy pan może nam dostarczyć te dane? – spytał Kins.
- Ale została zamordowana, tak? I dlatego tu jesteście.
- Macie w klubie monitoring?
- Tak. Jedną kamerę przy wejściu, dwie monitorujące budynek od zewnątrz i parking.
- A parkiet taneczny? – spytała Tracy.
- Nash pokręcił głową.
- Nie macie kamery na parkiecie?
- Nie. Chcemy, żeby nasi klienci czuli się swobodnie.
- Uprawiając seks z pracownicami kontraktowymi? – dorzuciła.
- Już mówiłem: u nas to zakazane.
- Ale się zdarza. Dlatego pytał pan, czy Anielica robiła komuś laskę na parkingu.
- Miałem na myśli jakiś parking, nie nasz klubowy. Słuchajcie, nie siedzę w każdym naszym klubie przez dwadzieścia cztery godziny i siedem dni w tygodniu. Mogę tylko powiedzieć, że jest

to u nas zakazane i nie powinno mieć miejsca. Jeśli przyłapujemy kogoś na czymś takim, to klienta wyrzucamy z klubu, a z tancerką zrywamy kontrakt.

– Z pracownicą kontraktową – mruknęła Tracy.

– Pani posłucha, pani detektyw. Czasem trafiają się jacyś napaleńcy, ale szybko dajemy im do zrozumienia, że to nie tego typu klub.

Zaczynała ją bawić to dobieranie się Nashowi do skóry.

– A jakiego typu jest to klub?

– Już pani powiedziałem. Klub dla dżentelmenów. Na Południu jest ich pełno. Panowie mogą się w nich zrelaksować, wypić drinka, popatrzeć na piękne dziewczyny.

– Macie stałych bywalców?

– Oczywiście. Przychodzi do nas wielu sportowców, głównie baseballiści po meczu. Ale bazujemy na biznesmenach z miasta. Zdziwilibyście się, gdybyście wiedzieli, kto nas odwiedza.

– Nie sądzę – mruknęła Tracy. – I potrzebne nam będą nazwiska waszych bywalców.

– Nie prowadzimy wykazu klientów.

– A macie ich adresy e-mailowe, adresy pocztowe do rozsyłania reklamówek, coś w tym rodzaju? – spytała.

– Nie, naszą najlepszą reklamą jest ustna rekomendacja.

– Macie swoją stronę internetową?

– Oczywiście.

– I do czego ona służy?

– Do reklamy. Klienci mogą też łączyć się z nami online i zamawiać prywatny show swojej ulubionej tancerki.

– Potrzebna nam będzie ich lista – wtrącił Kins.

– Muszę najpierw poradzić się adwokata. A wy nie musicie mieć nakazu?

Tracy podała Nashowi wizytówkę.

– Albo zechce pan z nami współpracować w śledztwie w sprawie morderstwa, albo mogę mieć nakaz jeszcze przed końcem tej rozmowy. O której zamknęliście wczoraj w nocy?

Zrobił taką minę, jakby go znów zaczęła boleć głowa.

- O drugiej. Zgodnie z licencją.
 - Czy tancerki od razu opuszczają lokal?
 - Nie mają po co zostawać.
 - Widział pan wychodzącą Angelę Schreiber?
 - Nie.
 - A pan? O której opuścił pan klub?
 - Podliczyłem kasę i przygotowałem gotówkę do złożenia w depozycie. Powiedziałbym, że wyszedłem około drugiej trzydzieści, może drugiej czterdzieści pięć.
 - I gdzie pan pojechał? – spytała Tracy.
 - Czemu mnie pani pyta?
- Zbyła jego pytanie milczeniem, Kins też się nie odezwał. Milczenie może być denerwujące.
- Wróciłem do domu i poszedłem spać.
 - Ktoś to może potwierdzić.
 - Moja żona.
- Tracy dała znak koledze, by kontynuował bez niej, sama podeszła do gabloty z nagrodami.
- Kamery monitoringu pracują w cyklu zamkniętym? – spytał Kins.
 - Chyba dwudziestoczworgodzinnym – odparł Nash, nie odrywając wzroku od Tracy.
 - Będą nam potrzebne nagrania z wczorajszego wieczoru. Niech pan zadzwoni i zabroni ich kasowania. Mówił pan, że kamery obejmują również parking. Tancerki też zostawiają na nim samochody?
 - Jak są w pracy, to tak.
- Tracy przyjrzała się jednej z fotografii na ścianie, która nie była związana z futbolem. Ukazywała Nasha siedzącego na koniu podobnym z wyglądu do mustanga. Mężczyzna na głowie miał zsunięty z czoła filcowy kapelusz kowbojski, był w dżinsowej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i dżinsach z nogawkami upchniętymi w kowbojki. W zębach trzymał źdźbło trawy, ręce miał oparte na przednim łuku, z którego zwisały zwoje sznura.

– Jeździ pan konno? – spytała Tracy, przenosząc wzrok na Nasha.

Nash, który przed chwilą znów zaczął podrzucać piłkę; teraz złapał ją i powiedział:

– Mhm. Mój tata miał ranczo z hodowlą bydła pod Laredo. Bracia i ja pracowaliśmy na nim w młodości. Ale po jego śmierci je sprzedaliśmy.

Stąd mogły się wziąć środki na kupno drogiej rezydencji oraz sieci klubów striptizowych.

– Pan i bracia bierzecie czasem udział w zawodach rzucania lassem?

– Czasem.

– Jest pan w tym dobry?

– Daję sobie radę.

– Używacie trzyżyłowego?

– Słucham?

– Woli pan łąso trzy- czy pięciożyłowe?

Kolejny raz podrzucił piłkę.

– Obojętne. W ogóle nie zwracam na to uwagi.

– Później przyślemy kogoś do klubu po te taśmy z monitoringu – wtrącił Kins. – I po wykaz wszystkich pracujących wczoraj w nocy.

– Będę musiał porozumieć się z adwokatem – powiedział Nash. – To ingerencja w moje interesy.

Tracy pomyślała, że gdyby miała paralizator, pewnie teraz by go użyła. Oboje bez słowa ruszyli do drzwi, ale Kins nagle się zatrzymał i uniósł ręce, a Nash wykonał mocno podkręcony rzut.

– Może trzeba było grać na pozycji rozgrywającego – powiedział Kins, odrzucając piłkę.

– Nieee. – Nash się skrzywił. – Rozgrywający dostają w kość, a ja wolę dawać w kość innym.

Rozdział 8

Kins wyciągnął ku niej kubek ze świeżą kawą i Tracy odchyliła się od ekranu komputera.

– Pisziesz raport z naszej rozmowy? – spytał.

Spojrzała na ekran.

– Jak się pisze „zasraniec”, razem czy osobno?

– Myślę, że w tym przypadku ortografia nie ma znaczenia. Zauważyłaś, którą ręką podrzucał piłkę?

– Czy to może być aż tak proste?

Nash rzucał piłkę lewą ręką. Rzeczoznawca w sprawie Hansen stwierdził, że użyto trzyżyłowego sznura polipropylenowego ze splotem typu Z, czyli tak zwanego „prawoskrętnego”, oraz że pętlę zawiązał ktoś leworęczny. Polipropylen wyciąga się mniej niż naturalne włókno i łatwiej zaciska w pętli. Niestety, sznury polipropylenowe są bardzo rozpowszechnione i do kupienia w każdym sklepie z artykułami gospodarczymi i żeglarskimi, a także w wielu hurtowniach.

– Ten sznur przy siodle był pięciożyłowy – powiedziała Tracy.

– I co to znaczy?

– To znaczy, że używają go tylko doświadczeni kowboje. Nash może być sprytniejszy, niż na to wygląda, i mógł celowo rznąć głupa, ale nie sądzę, by znał się na sznurach. Nie sądzę, żeby w ogóle był kowbojem.

– Może i nie, ale i tak zajmuje czołowe miejsce na mojej liście zasrańców.

Rozdział 9

Resztę dnia Tracy i Kins poświęcili na grzebanie w życiorysach Hansen i Schreiber, doszukując się w nich jakichś podobieństw poza tym oczywistym. Gdy CSI przekazało mailem wstępny raport w sprawie odcisków palców znalezionych w pokoju motelowym, potwierdziły się najgorsze obawy Tracy i Kinsa. Zebrano prawie czterdzieści różnych odcisków i CSI musiało zwrócić się o pomoc do działu daktyloskopii w celu przepuszczenia ich przez bazę AFIS⁴. W bazie znajdowały się setki tysięcy odcisków palców ludzi oskarżonych i skazanych za różne przestępstwa, ale także obywateli występujących o pozwolenie na broń, funkcjonariuszy służb federalnych, wojskowych i przedstawicieli niektórych zawodów mających do czynienia z dziećmi.

Do Byczej Zagrody – jak nazywano miejsce pracy zespołu A Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych – weszli Vic Fazio i Delmo Castigliano, pozostali dwaj członkowie czteroosobowej grupy, którzy mówili o sobie „dynamiczny włoski duet”. Obaj wyglądali na mocno steranych pracą, którą im powierzono jako parze pomocniczej w prowadzonym śledztwie, polegającej na przepytывaniu dziesiątków potencjalnych świadków, od właściciela motelu poprzez jego pracowników i gości po osoby pracujące w sąsiedztwie.

– Nic, Profesorko. Nikt nikogo nie widział. – Faz ważył blisko sto dwadzieścia kilo i lubił nosić luźne spodnie i koszule, co zdawało się uwydatniać jego akcent z New Jersey. Del był jeszcze potężniejszy i miał twarz, o której sam mawiał, że jest z tych, co to „tylko mamusia może pokochać”.

Tracy wręczyła Fazowi część listy osób zidentyfikowanych przez dział daktyloskopii.

- Przykro mi, że cię w to wrabiam – bąknęła.
- Żona zrobiła klopsiki na kolację – powiedział Faz takim tonem, jakby naprawdę poczuł się skrzywdzony.
- No to jutro dostaniesz kanapkę z klopsikami – powiedział Del, biorąc od Tracy następną część listy.

* * *

Przed wyjściem z Centrum Sprawiedliwości, gdzie mieściła się komenda, Tracy i Kins skreślili z listy dwa nazwiska narkomanów, którzy nie żyli już od ponad miesiąca, oraz następnych dwóch mężczyzn – ci bez żadnych ceregieli przyznali, że byli w tym pokoju motelowym, tyle że nie ostatniej nocy ani nawet nie w ostatnim tygodniu, a na ostatnią noc obaj mogli przedstawić wiarygodne alibi.

– Widać sprzątanie pokoi nie należy do ulubionych zajęć personelu – zauważył Kins.

Tracy usiadła na miejscu pasażera w fordzie należącym do służbowej floty i wzięła do ręki wydruk z prawa jazdy następnego zidentyfikowanego podejrzanego.

– Walter Gipson – odczytała.

Fotografia ukazywała twarz mężczyzny z wąsko osadzonymi oczami i głębokimi zakolami w kształcie podkowy, co zapewne tłumaczyło jego decyzję o przycięciu przy skórze tego, co jeszcze zostało.

– Golenie głowy jako reakcja łysiejącego na utratę włosów – zauważył Kins, zerkając na zdjęcie. – Jaki to ma sens?

– Po co walczyć z nieuniknionym – parsknęła Tracy.

– To tak, jakby grubas postanowił przejść na dietę złożoną wyłącznie z ciastek z kremem.

– Dwadzieścia sześć lat, biały, nauczyciel dzieci specjalnej troski.

– Oraz miłośnik prostytutek i eleganckich moteli – dodał Kins, parodiując brytyjski akcent. – Wcześniej notowany?

– Nie. Ale wystąpił o pozwolenie na broń półautomatyczną – odparła Tracy.

Kins obrzucił ją spojrzeniem.

– Zawsze dobrze wiedzieć – mruknął.

* * *

Kins zaparkował na miejscu dla gości na osiedlu mieszkaniowym Willowbrook w Redmond, a Tracy w rozmowie z dyspozytorem w komendzie podała lokalizację i powiadomiła o zamiarze przeprowadzenia rozmowy z podejrzanym. Wsiadła z samochodu i stwierdziła, że powietrze jest tak ciężkie, że pewnie niedługo zacznie się ulewa.

– Który to? – spytał Kins, rozglądając się po ciągu jednopiętrowych bloków z drewnianym belkowaniem, jakie stawiano w podmiejskich osiedlach Eastside w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku.

– Budynek E – odparła i pokazała ręką. – Ten.

Przeszli między wiatami na samochody i weszli schodami na galerię pierwszego piętra. Zza drzwi mieszkań dobiegały odgłosy włączonych telewizorów. Zatrzymali się przed drzwiami z numerem cztery i Kins lekko zapukał, ale drzwi głucho zadudniły i aż zadrżały w zawiasach.

– Nasze budownictwo – mruknął pod nosem. Ze środka dobiegł głos kobiety wołającej coś po hiszpańsku. – W liceum miałem dwóję z hiszpańskiego – dodał.

– Zapukaj jeszcze raz.

Zapukał i sytuacja się powtórzyła.

– Ona woła do nas czy do kogoś w mieszkaniu? – zastanowił się głośno.

– Nie wiem, ja w szkole miałam francuski.

– Często z niego korzystasz?

– *Oui*. Mniej więcej tak często, jak ty z hiszpańskiego.

Kins wyciągnął rękę, by zapukać po raz trzeci, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich przysadzista Latynoska; trzymała na biodrze małą dziewczynkę opatuloną w kanarkowożółty ręcznik.

– Przepraszamy – powiedziała Tracy. – Zdaje się, że przyszedliśmy nie w porę.

Kobieta spojrzała na nią tępym wzrokiem.

– Mówi pani po angielsku? – spytała Tracy, pokazując odznakę.

Oczy kobiety rozwarły się szeroko.

– Tak.

Tracy przedstawiła siebie i Kinsa.

– Szukamy Waltera Gipsona. Jest w domu? – spytała.

– Tu go nie ma – odparła kobieta z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

– Jest pani jego żoną? – spytała Tracy, czując na karku pierwsze krople deszczu.

Kobieta zdmuchnęła z twarzy kosmyk czarnych włosów.

– Tak.

– Gdzie teraz jest?

– W pracy.

Kins zerknął na zegarek. Tracy bez zegarka wiedziała, że jest dość późno jak na lekcje w liceum.

– Gdzie mąż pracuje?

– W szkole.

– Zawsze do tak późna?

– Dziś tak, w college’u komunalnym. – Kobieta spojrzała na niebo. – Proszę, moja mała, jej zimno.

– O której spodziewa się go pani z powrotem? – spytała Tracy.

Wzrok kobiety prześlizgnął się po niej i zatrzymał na parkingu. Stojący na nim mężczyzna w bejsbolówce i z plecakiem na ramieniu jeszcze przez chwilę im się przyglądał, po czym nagle zawrócił w stronę wiat.

Kins wychylił się przez poręcz balustrady.

– Walter Gipson?! – krzyknął.

Mężczyzna zaczął biec.

Kins ruszył do schodów, którymi weszli na galerię, Tracy pobiegła ku tym po drugiej stronie budynku, wypatrując Gipsona, który zniknął za wiatą. Zbiegła po schodach, zatrzymała się i wyjęła z kabury glocka. Jej kolega z powodu kontuzjowanego biodra poruszał się wolniej, ale po chwili dołączył do niej i oboje zaczęli się rozglądać. Tracy przykucnęła i zajrzała pod stojące samochody, Kins poszedł dalej i sprawdził rząd drzwi, za którymi musiały się mieścić komórki gospodarcze. Na większości wisały kłódki.

– Oho – bąknął pod nosem, podnosząc czarny plecak.

Tracy usłyszała jakby brzęknięcie łańcucha i ruszyła biegiem przez parking. Osiedle było odgródzone siatką od porośniętego krzakami i drzewami placu; były to zapewne działki pod dalszą zabudowę.

– Będą nam potrzebne psy – stwierdził Kins. – Wezwę przez radio pomoc i przejdę się wzdłuż płotu, na wypadek gdyby postanowił wrócić.

Znalazła w siatce dziurę na wetknięcie stopy i przelazła na drugą stronę. Wyplątała się z czepiających się jej dzinsów krzaków jeżyn i dotarła do porośniętej trawą ścieżki, która niknęła wśród jodeł, cedrów i klonów. Czubki drzew kłaniały się w podmuchach wiatru.

– Walter Gipson?! – zawołała, ocierając z twarzy krople deszczu. – Niepotrzebnie wszystko komplikujesz! Chcemy tylko porozmawiać!

Wypatrywała śladów ruchu lub barwnych plam w gęstwinie, ale zapadający mrok i rześisty deszcz radykalnie zmniejszały widoczność. Sto metrów dalej zagajnik przerzedzał się i przechodził w łąkę. Skubiące trawę konie podniosły łby i strzygąc uszami, uważnie jej się przyglądały. Była już zdecydowana zawrócić i poczekać na psy, gdy za plecami usłyszała trzask łamanej gałązki. Gwałtownie się odwróciła i wycelowała glocka. Spłoszone konie rzuciły się do ucieczki, w ostatniej chwili ją ominęły i z tętentem kopyt pobiegły dalej.

Serce skoczyło jej do gardła; musiała chwilę odczekać, by uspokoić oddech i wytłumaczyć sobie, że to trzask łamanej gałązki spłoszył konie. Rozejrzała się po zaroślach, tam, skąd przybiegły konie, i przyjęła postawę strzelecką, trzymając jednak glocka lufą do ziemi.

– Walter Gipson?

Brak odpowiedzi.

– Gipson, pomyśl o żonie i dziecku. Jestem uzbrojona i za kilka minut zaroi się tu od psów i policjantów. Nie chcę, żeby coś ci się stało. Chcę tylko porozmawiać. Walter?

– Dobrze już, dobrze – burknął Gipson, podnosząc się ze swojej kryjówki.

– Stój! – krzyknęła Tracy, mierząc do niego z glocka. – Nie ruszaj się! Stój w miejscu!

Dalej szedł w jej stronę.

– Stać! – wrzasnęła. – Ani kroku dalej!

Dopiero teraz się zatrzymał.

– Dobrze już, dobrze

– Trzymaj ręce tak, żebym je widziała.

Ręce Gipsona zatrzęsły się i zaczął je opuszczać.

– Trzymaj ręce w górze! – krzyknęła.

– W porządku. W porządku.

– Gdzie twoja broń?

– Jest... jest w domu.

– Jesteś uzbrojony?

– Nie.

– Trzymaj ręce tak, żebym je widziała. – Tracy odczepiła kajdanki, obeszła Gipsona od tyłu i sprawnym ruchem skuła mu rękę.

– Ja tego nie zrobiłem – jęknął. – Przysięgam na Boga, że jej nie zabiłem.

Rozdział 10

Umieścili Waltera Gipsona w jednym z gorszych pokoi przesłuchań na szóstym piętrze Centrum Sprawiedliwości – w pozbawionej okien dziupli, która w świetle jarzeniówek zdawała się promieniować – i pozwolili mu pół godziny „dojrzewać”. Przy zamkniętych drzwiach ściany zaczynały szybko napierać, a wraz z nimi myśli o spędzeniu lat w podobnym pomieszczeniu.

Do Tracy i Kinsa dołączył Rick Cerrabone, oskarżyciel z biura prokuratora okręgowego, i wszyscy troje zasiedli przy oknie z lustrem weneckim, by podglądać zachowanie Gipsona. Siedział skulony nad poobijanym i porysowanym stołem; bez bejsbolówki na głowie wyglądał dużo starzej.

– Skąd on ją znał? – spytał Cerrabone, o którym Faz kiedyś powiedział, że jest wykapanym sobowtorem dawnego managera Yankees: łysy, z miną zbitego psa, ciemnymi worami pod oczami i jednodniowym zarostem.

– Była jego uczennicą na zajęciach z pisania w college’u komunalnym – odparła Tracy. – Przyznaje, że wczoraj zabrał ją do tego motelu, ale przysięga na Boga, że jej nie zabił.

– Oni zawsze przysięgają na Boga – wtrącił Kins, który usadowił się obok migających kontrolki jednego z urządzeń nagrywających.

– To czemu uciekał? – zapytał Cerrabone.

– Mówi, że się przestraszył i spanikował. Widział wiadomości.

– Jak z jego DNA?

– W aktach nic nie ma.

– Czyli nienotowany – rzucił Cerrabone. W stanie Waszyngton obowiązywał przepis, że od każdego skazanego należy pobierać próbkę DNA.

– Nawet mandatu za złe parkowanie – dodał Kins. – Gość uczy niepełnosprawne dzieci.

Cerrabone pogładził się po niegolonym od wczoraj policzku.

– A na sznurze znaleźliśmy ślady DNA?

– Melton obiecał, że potraktuje to priorytetowo – odparła Tracy. Miała na myśli Michaela Meltona z Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton.

– A co z Nicole Hansen? Ustaliliśmy, czy coś go z nią wiązało?

– Twierdzi, że nigdy o niej nie słyszał. Poleciłam Fazowi i Delowi, żeby pokazali jego zdjęcie w Dancing Bare i sprawdzili, czy ktoś go tam rozpozna.

– Kiedy dostaniemy nakazy przeszukania jego domu i biura? – spytał Kins.

– Oraz komórki z rupieciami – przypomniała Tracy.

Cerrabone zajrzał do smartfona.

– Pewnie jeszcze zanim tu z nim skończycie. Tylko pamiętajcie, żeby uzyskać jego formalną rezygnację z prawa do adwokata.

Kins wstał.

– Zajmę się tym sama – powiedziała Tracy.

– Jesteś pewna? – Ze względów bezpieczeństwa w przesłuchaniach niemal zawsze uczestniczyły dwie osoby.

– Zaczął mówić, jak tylko zatrzasnęłam mu kajdanki, i przez całą drogę gęba mu się nie zamykała. Zobaczymy, czy mu się nie odmieni.

* * *

Tracy zdjęła Gipsonowi kajdanki, usiadła po drugiej stronie stołu i upewniła się, że przesłuchiwany zna i rozumie formułkę Mirandy i świadomie rezygnuje z praw, jakie przysługują zatrzymanemu.

– Ustalmy jeszcze raz kilka szczegółów, Walter. Skąd znałeś Angelę Schreiber.

– Była słuchaczką kursu angielskiego w college’u komunalnym. Dwa razy w tygodniu prowadzę tam zajęcia wieczorowe.

– W porządku. I co się wydarzyło?

– Napisała wypracowanie o pracy tancerki. Było naprawdę dobrze napisane i zawierało mnóstwo szczegółów. Po zajęciach spytałem ją o nie, a ona zapewniła, że to wszystko prawda, i zaprosiła mnie do klubu, żebym zobaczył na własne oczy.

– Poszedłeś obejrzeć jej występ?

– Z początku nie. Właściwie dość długo się wahałem. Ale ona wciąż przypominała o swoim zaproszeniu, więc w końcu poszedłem, ale tylko raz... tylko parę razy.

– Po jakim czasie zaczęliście uprawiać seks?

Gipson westchnął.

– Nie pamiętam. Kiedyś po zajęciach poprosiła, żebym podrzucił ją do klubu. Powiedziała, że jej samochód się zepsuł, a ona nie ma forsy na naprawę.

– Doszło do stosunku w twoim samochodzie?

– Nie.

– Zrobiła ci laskę?

Spuścił głowę wyraźnie zmieszany.

– Mhm – bąknął.

– A ty jej zapłaciłeś?

Przymknął oczy.

– To nie było tak.

– To mi powiedz, jak to było.

Podniósł głowę i spojrzał na Tracy oczami pełnymi łez.

– Powiedziała, że ledwo wiąże koniec z końcem. Przyjechała do Seattle podjąć pracę, ale coś nie wyszło i nie udało jej się znaleźć innej, a życie w mieście okazało się kosztowniejsze, niż myślała. A potem jeszcze zepsuł jej się samochód. Mówiła, że zaczęła tańczyć, żeby mieć pieniądze na życie.

Wyglądało to na łzawą historyjkę w celu wyciągnięcia od niego pieniędzy.

– Czyli tylko jej pomagałeś, tak?

– Wiem, jak to teraz brzmi.

– Ile jej dawałeś?

– Pięćdziesiąt. Czasami stówę.

– I nie miało to związku z seksem?

Gipson zmarszczył czoło.

– Myślę, że chyba jednak miało.

– I dlatego wczoraj wieczorem pojechaliście do motelu? – upewniła się Tracy.

– Tak.

– A co na to twoja żona?

– Wybrała się do siostry na kolację, a potem zadzwoniła i powiedziała, że zostanie w Tacomie na noc.

– Czyli nie musiałeś się śpieszyć z powrotem do domu?

– Właśnie.

– Kto wybrał ten motel?

– Ona.

– Nie spytałeś, dlaczego nie jedziecie po prostu do niej?

– Twierdziła, że mieszka z koleżanką, która musi wcześniej wstać do pracy, a ona nie chce jej budzić.

Ron Mayweather, piąte koło zespołu A, ustalił, że Schreiber mieszkała sama w wynajętym mieszkaniu na Capitol Hill.

– Kto zapłacił za pokój? – spytała Tracy.

– Ja. Ale to ona załatwiła wszystko w recepcji.

– Nie chciałeś, żeby ktoś cię widział.

– Nie, nie chciałem. – Gipson wzruszył ramionami.

– O której przyjechaliście?

– Po jej występie. Około pierwszej, może wpół do drugiej.

– I od razu poszliście do łóżka?

– Tak.

– Ile jej zapłaciłeś?

– Dałem jej dwieście. – W torebce Schreiber znaleziono trzysta czterdzieści trzy dolary. W torebce Nicole Hansen były tylko

dziewięćdziesiąt cztery dolary.

– Użyłeś prezerwatywy?

– Tak.

– I co dalej?

– Zostawiłem ją i wyszedłem.

– Szybkie ruchanko i do widzenia, tak?

Gipson zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Rano miałem zajęcia.

– No i bałeś się, że żona może zadzwonić do domu.

– Pewnie tak.

Tracy przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Czy nie przyszło ci do głowy, Walter, że Angela może nie mówić prawdy?

Wyprostował się i westchnął.

– Znała ten motel. Wiedziała, gdzie jest biuro i ile kosztuje pokój.

– Nie pomyślałeś, że może cię naciąga?

– Czułem, że muszę z tym skończyć. Wiedziałem, że źle postępuję.

– O której stamtąd wyszedłeś?

– Nie pamiętam.

– Ktoś widział, jak wychodziłeś?

– Nie wiem. Nie sądzę.

– Po prostu wyszedłeś i zostawiłeś ją samą?

– Proponowałem odwiezienie do domu, ale powiedziała, że weźmie taksówkę.

– Byłeś kiedyś w klubie striptizowym o nazwie Dancing Bare?

– Nigdy wcześniej nie byłem w żadnym klubie striptizowym.

Może raz przy okazji wieczoru kawalerskiego.

– Masz jakieś hobby?

– Hobby?

– Tak, jakieś ulubione zajęcie. Na przykład golf, wieczory przy piwie.

– Wędkarstwo muchowe.

Tracy zerknęła w lustro weneckie.

- Sam wiążesz przynęty?
- Od dziecka. Tata mnie nauczył.
- Jesteś prawo- czy leworęczny?
- Praworęczny.
- Czy twoje igraszki z Angelą bywały czasem wyuzdane?
- Co?
- No wiesz, odgrywanie scenek, jakieś zabawki. Chciała kiedyś, żebyś ją związał?
- Nie. Mnie takie rzeczy nie bawią.
- Jakie rzeczy?
- Wiązanie, sado-maso, tego typu sprawy.
- Ile jej dałeś na opłacenie pokoju?
- Czterdzieści.
- A ile kosztował pokój za godzinę?
- Nie wiem.
- Oddała ci jakąś resztę?
- Nie.
- Skąd miałeś pieniądze, żeby co tydzień wydawać na striptizerkę?
- Gipson wzruszył ramionami.
- Przyjąłem dodatkową pracę w college’u komunalnym. Potrzebowaliśmy pieniędzy na dziecko.
- Ile lat ma twoja córka?
- Dwa.
- Tracy przyszło coś do głowy.
- Od jak dawna jesteś żonaty, Walter?
- Od półtora roku. – Odchylił się do tyłu i po dłuższej chwili z rezygnacją wzruszył ramionami. – Co mogłem zrobić? To moja córka.
- Tracy pokiwała głową.
- Angela Schreiber też była czyjąś córką.

* * *

Waltera Gipsona zatrzymano pod zarzutem udziału w przestępstwie i w związku z podejrzeniem o zabójstwo; dwaj funkcjonariusze służby więziennej odwieźli go do aresztu okręgu King. Tracy i Kins wrócili do Byczej Zagrody. Ścianki działowe dzieliły biuro Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych na cztery „zagrody”, każda z czterema biurkami i stołem pośrodku. Na obwodzie boksów mieściły się gabinety sierżantów i poruczników. Każdy z czterech czteroosobowych zespołów miał przydzielonego piątego pomocnika od czarnej roboty, zwanego „piątym kołem u wozu”. W „zagrodzie” zespołu B wisiał telewizor płaskoekranowy, na którym akurat leciał mecz drużyn NBA.

Telefon zadzwonił, nim Kins zdążył dojść do biurka. Odebrał, przez chwilę słuchał, po czym rzucił: „Zaraz będziemy” i odłożył słuchawkę.

– Nolasco – powiedział.

Szef miał w zwyczaju wzywać podwładnych do siebie. Okrążyli narożnik i poszli korytarzem. Gabinet kapitana miał okna wychodzące na zachód, na Zatokę Elliotta, i byłoby ją nawet stąd widać, gdyby nie to, że żaluzje były wiecznie zaciągnięte.

Zastali go siedzącego przy biurku, plecami do rozwieszonych na ścianie i oprawionych w ramki dyplomów uznania. Na etażerce leżały stosy papierów i stały fotografie jego dwojga dzieci: syna w stroju hokeisty i córki trzymającej w rękach piłkę do gry w nożną. Nie było zdjęć jego dwóch byłych żon, które – jak często narzekał – „tylko go okradały”.

Nie miał zbyt radosnej miny, ale Nolasco rzadko wyglądał na zadowolonego, chyba że akurat kogoś opieprzał.

– Mayweather wam nie powiedział, że chcę was widzieć, jak tylko się zjawicie?

– Przesłuchiwalismy podejrzanego w sprawie zabójstw tancerek.

– No i?

– Twierdzi, że tego nie zrobił.

– Mówcie, co tam macie.

Tracy i Kins nawet nie próbowali usiąść.

– Angela Schreiber była striptizerką w Pink Palace – zaczęła Tracy.

Kapitan odchylił się z fotelem do tyłu.

– Czytałem zeznania świadków. Pytam, czy to ten sam facet.

– Na to wygląda – powiedziała.

– Nie interesują mnie domysły. Burmistrz i rada miejska ostro cisną na komendanta i gówno płynie gęstym strumieniem.

Co tłumaczyło jego obecność w biurze o tak późnej porze. Mimo oczywistych podobieństw okoliczności śmierci obu tancerek szefostwo policji i ratusz nie śpieszyli się z przyznaniem, że mają do czynienia z seryjnym zabójcą. Jedni i drudzy zdawali sobie sprawę, jakie ten termin budzi emocje w prasie i wśród mieszkańców, którzy już i tak częściej niż inni borykali się z notorycznymi mordercami. Nie mówiąc o tym, jak powołanie grupy zadaniowej wpłynęłoby na napięty budżet policyjny. Seryjni zabójcy mogli całymi latami pozostawać nieuchwytni, natomiast grupy zadaniowe połykały roboczogodziny, pieniądze i niekiedy kariery.

– Obie ofiary uduszono w ten sam sposób – wtrącił Kins. – W obu przypadkach łóżko było zasłane, ubrania ofiar starannie złożone.

Tracy obserwowała reakcję kapitana, ciekawa, czy te informacje skojarzą mu się ze śmiercią Beth Stinson, lecz na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień.

– A co ze sznurami? – spytał.

– Według wstępnej ekspertyzy wyglądają na ten sam rodzaj, węzły też są podobne. Melton bada je w laboratorium.

– Kto jeszcze od nas się tym zajmuje?

– Faz i Del jako para pomocnicza. Zajmują się identyfikacją odcisków palców. Ron sprawdza numery rejestracyjne samochodów w motelu oraz ostatnie rozmowy i esemesy w komórce Schreiber.

– Za dużo podobieństw, żeby to mógł być ktoś inny – dodał Kins.

Nolasco podniósł ostrzegawczo palec.

– I właśnie dlatego rozmawiamy w moim gabinecie, Sparrow – powiedział, używając ksywy Kinsa. – Bo tego nie wiemy.

– Poważnie? – zdziwiła się Tracy.

– Burmistrz i szef na razie nie chcą się wypowiadać w tej sprawie. A co z tym, którego zgarnęliście?

– Nazywa się Walter Gipson – odparła Tracy. – Przyznaje, że ostatniej nocy był z ofiarą w motelu, ale zaprzecza, że ją zabił.

– Klasyczny wykręt.

– Niewykluczone.

– Jak mocne mamy dowody?

– Odciski palców w wielu miejscach w pokoju. Czekamy na wynik badania DNA. Jedyne ślad DNA na sznurze, którym uduszono Hansen, należał do niej.

– Jak to możliwe?

– Tego nie wiemy.

Piknęła komórka Kinsa, a ten wyjął ją z kieszeni i przeczytał wiadomość.

– Cerrabone przysłał nam już nakazy przeszukania. Może znajdziemy u Gipsona zwój takiego samego sznura i wszyscy pójdziemy do domu.

Ale Tracy nie bardzo w to wierzyła.

Rozdział 11

Margarita Gipson, która otworzyła drzwi, wyglądała na zmęczoną i przybitą. W skromnie, ale schludnie urządzonej sypialni siedziała druga kobieta, bardzo do niej podobna – zapewne siostra z Tacomy – trzymając na kolanach małą dziewczynkę, która miała główkę wtuloną w jej piersi i ssała kciuk.

„To moja córka”, powiedział Walter Gipson i słowa te ociepliły jego wizerunek. Ale z drugiej strony Gary Ridgway, morderca znanego z Green River, zabójca co najmniej czterdziestu dziewczętom kobiet z rejonu Seattle, zeznał aresztującemu go śledczemu, że wabił swoje ofiary do samochodu obecnością synka, który siedział na tylnym siedzeniu.

Tracy Crosswhite pokazała nakaz przeszukania domu Waltera Gipsona i towarzyszący jej funkcjonariusze CSI zabrali się do pracy; w pierwszej kolejności zarekwirowali rewolwer trzymany w sejfie w piwnicy. Czterocyfrowym szyfrem otwierającym sejf okazała się data urodzenia Margarity. „Specjalnie, żebym nie zapomniała”, wyjaśniła.

W czasie przeszukania siedziała na krześle w pokoju, przesuując koraliki różańca i w milczeniu przecierając podpuchnięte oczy chusteczką. Tracy usiadła naprzeciwko niej na kanapie, Kins i siostra Margarity obserwowali wszystko, stojąc. Tracy poinformowała żonę Gipsona, że Walter przebywa w areszcie okręgowym i nie wróci na noc do domu.

– Ale on mówi, to nie problem – jęknęła Margarita. – On mówi, jego nie złapią, bo policja takimi sprawami się nie... – Przerwała

i spojrzała na siostrę, ta jednak tylko wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Nie zajmuje? – odpowiedziała Tracy.

– Nie przejmuje... On mówi, policja się nie przejmuje. – Ostatnim słowem towarzyszyło głębokie westchnienie i Margarita zasłoniła usta dłonią, tłumiąc szloch.

Tracy wymieniła spojrzenia z Kinsem i przyszło jej do głowy, że może dobrze byłoby sprowadzić tłumacza.

– Co mąż miał na myśli, mówiąc, że policja się nie przejmuje? O co mu chodziło?

– Podatki.

– Podatki?

– On mówi, policji to wisi.

– Mąż nie płacił podatków? – Tracy trudno było uwierzyć, by władze szkolne mogły nie odprowadzać podatków Gipsona, zaraz jednak przypomniała sobie jego dodatkową pracę w college’u komunalnym. – Ma pani na myśli jego zarobki w szkole?

– Nie, nie, muchy na ryby – powiedziała Margarita.

Kins pokiwał głową.

– Sprzedaje własnoręcznie robione przynęty – powiedział.

Margarita przeniosła na niego wzrok.

– Mamy dziecko, potrzebujemy pieniądze.

– A on od tej sprzedaży nie płaci podatku. – Tracy kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– On mówi, policji to wisi.

– Gdzie mąż robi te muchy? – spytała Tracy.

* * *

Obeszli zaparkowaną pod wiatą toyotę prius i Margarita ustawiła szyfr na kłódce na drzwiach komórki.

– On robi muchy w nocy – powiedziała i pociągnęła za skobel, ale zatrask nie puścił.

Sprawdziła ustawienie cyfr, ponownie pociągnęła i ponownie bez rezultatu.

– Niech pani da, ja spróbuję – powiedziała Tracy. – Jaki jest ten szyfr?

– Moja data urodzin – odparła Margarita. – Żebym nie zapomniała. Zero, cztery, jeden, siedem.

Ten sam szyfr otwierał sejf z bronią. Tracy pokręciła kółkami, ale nic się nie wydarzyło.

– Mam w samochodzie przecinak do metalu – powiedział jeden z funkcjonariuszy CSI.

– Przynieś.

Chwilę później pałak kłódki został przecięty, Tracy zdjęła ją ze skobla i otworzyła drzwi komórki.

– Tam jest światło – rzuciła Margarita. – Sznurek.

Tracy sięgnęła do środka, poczuła muskający dłoń sznurek i pociągnęła. Nad głową zapłonęła jasnym blaskiem goła żarówka, oświetlając wciśnięty w kąt niewielki stół warsztatowy. Do korkowej maty na tylnej ścianie przyczepionych było kilkadziesiąt ręcznie sporządzonych przynęt wędkarskich, ale nie one przyciągnęły uwagę Tracy. Margarita Gipson wetknęła za nią głowę, zakryła dłonią usta i znów wybuchnęła płaczem.

* * *

Waltera Gipsona wprowadzono ponownie do pokoju przesłuchań, teraz już w czerwonym kombinezonie, białych skarpetkach i chodakach aresztanta. Tym razem Tracy i Kins nie zostawili mu czasu na dojrzewanie, weszli razem z nim i usiedli, nie zdejmując podejrzanemu kajdanek.

– Byliśmy w twojej komórce, Walter – powiedziała Tracy.

Jabłko Adama Gipsona gwałtownie drgnęło.

Kins przesunął ku niemu fotografię w plastikowej osłonce.

Data urodzin Margarity nie zadziałała, bo jej mąż albo zmienił szyfr, albo całą kłódkę. Wśród setek powiązanych przez Gipsona przynęt do korkowej maty przyczepionych było sześć zdjęć

nagiej Angeli Schreiber. Na paru z nich Tracy rozpoznała wytartą i poplamioną wykładzinę pokoju w Aurora Motor Inn. Najwyraźniej Walter Gipson był dużo mocniej zaangażowany w romans z Angelą Schreiber, niż starał się to wmówić Tracy. A zwykle ci, którzy kłamią, mają coś do ukrycia.

Gipson spuścił głowę i zaczął płakać.

– Chyba chciałbym jednak porozmawiać z adwokatem – wyjąkał.

Rozdział 12

Tracy otworzyła puszkę z kocim jedzeniem i postawiła ją na blacie, zbyt zmęczona, by się bawić przekładaniem jej do miseczki. Rogerowi było wszystko jedno. Dla siebie otworzyła puszkę z tuńczykiem i wyłożyła zawartość na resztkę sałaty, której nie zdążyła zjeść w porze lunchu i przyniosła z sobą. Przechodząc przez pokój, rzuciła okiem na leżący na stole laptop i raz jeszcze wróciła myślami do morderstwa Beth Stinson. Starej sprawy Johnny'ego Nolasco.

Nolasco przez ponad dziesięć lat partnerował rasistowskiej świni, Floydowi Hattiemu, i gdy w końcu awansował na sierżanta, wyznaczył go na partnera Tracy. Hattie obrzucił ją wtedy pogardliwym spojrzeniem, oświadczył, że „z żadną bezjajeczną Tracy” nie będzie pracował, i szybko przeszedł na emeryturę. Faz uważał, że powinna dać na mszę dziękczynną. Hattie i Nolasco szczylicili się doskonałą statystyką wyroków skazujących i często się chwalili przed innymi śledczymi, było jednak powszechnie wiadomo, że obaj nie cofają się przed stosowaniem nagannych praktyk policyjnych, jak choćby cudowne natykanie się na nikomu nieznanym świadków, stosowanie „zachęt” do składania zeznań, a nawet dwa „pechowe” wypadki podejrzanych.

Położyła talerz z jedzeniem obok laptopa i stuknęła w klawisz spacji. Ekran ożył, ukazując oglądaną ostatnio stronę prokuratury. Zalogowała się do HITS i ściągnęła kartę Beth Stinson. Podejrzewała, że to Nolasco wypełnił kwestionariusz, bo Hattiemu, który był już jedną nogą na emeryturze, pewnie by się nie chciało. Wciąż nękały ją niekonsekwencje zawarte

w odpowiedziach: z jednej strony stwierdzenie, że Stinson była ofiarą napaści seksualnej, z drugiej – brak materialnych dowodów, że do niej doszło. Niepokoiły ją też podobieństwa w opisach sypialni Stinson i pokoi motelowych, w których znaleziono Hansen i Schreiber. Nie chciała jednak pytać o to kapitana, a już z całą pewnością nie zamierzała szukać kontaktu z Hattiem. Nie sądziła, by na emeryturze choć trochę złagodniał.

W rezultacie zanotowała w pamięci, by zwrócić się do archiwum stanowego i poprosić o wyciągnięcie akt Stinson, choć będzie musiała zachować przy tym ostrożność. Nolasco był człowiekiem mściwym i gdyby dotarło do niego, że szpera w jednej z jego starych spraw, zapewne by się wściekł. Zwłaszcza gdyby przy tej okazji natknęła się na nieprawidłowości, o jakich napomykał Faz. Zastanawiała się nawet, czy wtajemniczyć w to Kinsa. Miał na utrzymaniu żonę i trójkę dzieci i nie mógłby sobie pozwolić na karne zawieszenie w czynnościach. Ostatecznie postanowiła działać sama, a jeśli z podobieństw z morderstwami Hansen i Schreiber nic nie wyniknie, po prostu odeśle akta i nikomu nic nie powie. Jeśli wyniknie, wtedy będzie się tym martwić.

Zamknęła laptop i przeniosła jedzenie do sypialni. W tym momencie czujnik ruchu za domem zadziałał i drzwi na taras rozbłysły rześistym światłem. Odsunęła zasłonę i wyjrzała na podwórko. Deszcz wciąż padał, ale nic się nie ruszało i nie dostrzegła żadnego futerkowego czworonoga, który mógłby uruchomić czujnik.

Powiedziała Billy’emu, że nie potrzebuje patrolu pod domem, lecz przemawiała przez nią brawura. Najmniejszą oznakę słabości zbyt łatwo kładziono na karb jej płci. Można to było uznać za stosowanie podwójnych standardów, ale rzeczywiście tak było. I naprawdę czuła się pewniej z radiowozem przed domem.

Przebrała się w długi T-shirt, wsunęła się pod kołdrę i przez chwilę skakała po kanałach telewizyjnych, jednocześnie dłubiąc widelcem w sałacie z tuńczykiem. Była fizycznie wykończona, ale

nie mogła przestać myśleć o przesłuchaniu Waltera Gipsona, dwóch zabójstwach i tysiącu pytań. Uznawszy, że musi się rozluźnić, bo inaczej nie zaśnie, włączyła nagrywarke i wyszukała ostatni odcinek *Downton Abbey*. Zasłony znów rozbłysły poświatą.

Wyłączyła telewizor, wstała z łóżka, podeszła do drzwi na taras i rozsunęła zasłony. Trawnik pozostawał pusty, drzewa stały nieruchomo. Więc czemu miała uczucie, że ktoś ją obserwuje, jak na strzelnicy? Lampy bezpieczeństwa zgasły. Oczekała chwilę, ale nie zapaliły się ponownie, więc wytłumaczyła sobie, że to pewnie przez deszcz, bo Dan musiał ustawić zbyt dużą czułość. Wróciła do łóżka i położyła glocka na poduszce przy głowie.

* * *

Od czasu jego pierwszej wizyty Tracy Crosswhite dokonała pewnych zmian. Nowością były lampy i czujnik ruchu, nowością był też radiowóz zaparkowany przed domem. Wszystko pewnie w związku z prezentem zostawionym jej na strzelnicy, co zaczynał uważać za błąd.

Lampy rozbłysły niespodziewanie, dopiero gdy podchodził do domu, i musiał pośpiesznie skryć się w krzakach. Przesiedział dłuższą chwilę w kucki, z twarzą zalewaną kroplami deszczu skapującymi z runda kamuflażowego kapelusza.

Normalnie deszcz w niczym mu nie przeszkadzał, ale dziś krople znajdowały sobie różne nieszczelności w jego maskującym stroju i czuł, jak koszula lepi się do pleców, a skarpetki nasiakają. Od wilgoci w rejonie północno-zachodniego Pacyfiku bolały go kości. Założył, że w związku ze śmiercią Angeli Schreiber Tracy wróci do domu później niż zwykle. Jej rozkład dnia zmieniał się w zależności od tego, czy miała dyżur i musiała być pod telefonem. Ale gdy dochodziło do zabójstwa, wszelkie harmonogramy przestawały obowiązywać i niekiedy w ogóle nie wracała na noc do domu.

Dlatego też odwiedzanie jej w trakcie pracy nad najświeższym zabójstwem było ryzykowne, ale chęć ujżenia jej okazała się silniejsza, a patrzenie na zdjęcie, które jej kiedyś zrobił, już nie wystarczało. Musiał być blisko niej, czuć więź, którą poczuł po raz pierwszy, gdy zobaczył ją w wiadomościach po śmierci Nicole Hansen. Całkiem nim wtedy zawładnęła. Chociaż widział ją tylko na ekranie telewizyjnym, to pierwsze wrażenie nie dawało się porównać z niczym, czego wcześniej doświadczył. To była klasyczna miłość od pierwszego wejrzenia. No bo jak można było jej nie kochać? Blondynka, wysoka i piękna. Wychodziła z mieszkania na Capitol Hill, a on łąził za nią krok w krok. Kiedyś nawet usiadł blisko niej w kawiarni, nie mógł jednak zdobyć się na to, by do niej zagadać. Ale i tak poznał ją na tyle, by wiedzieć, że pociąg, jaki się w nim zrodził, nie jest czysto fizyczny. Czuł także duchową więź. Zastanawiał się... nie, był pewien, że jest pokrewną duszą, którą los wyznaczył do spędzenia z nim reszty życia.

Gdy wyjechała do Cedar Grove, w jego życiu zapanowała pustka, jakby mu zabrakło połowy siebie. Bez niej czuł się niekompletny. Musiał mieć ją blisko. Nie przez cały czas – nie pozwalały na to praca i rodzina – ale udawało mu się urywać na kilka dni. Siedział nawet raz na sali sądowej podczas rozprawy Edmunda House'a, ukradkiem ją fotografując. Najbardziej lubił to zrobione na werandzie przed przychodnią weterynaryjną w Pine Flat. Udało mu się wtedy zrobić zbliżenie jej twarzy. Zdjęcie było piękne, zapierało dech w piersiach. Mróz zaróżowił jej policzki, przez co wyglądała bardzo dziewczęco. Płatki śniegu utworzyły aureolę wokół jej głowy, krystalicznie błękitne oczy zdawały się patrzeć wprost na niego. Jej spojrzenie było tak zniewalające, że opuścił aparat, by je odwzajemnić. Taką miała nad nim władzę. A potem zdał sobie sprawę, że patrzy nie na niego, tylko na jego samochód. Oczyszczył ze śniegu szybę, by móc ją fotografować, i to go wyróżniało spośród innych aut na parkingu.

Na szczęście weszła wtedy do przychodni, a jemu udało się niepostrzeżenie odjechać.

Teraz popatrzył na dom i ujrzał światło w oknie kuchennym. Wróciła. Czyli ryzyko się opłaciło. Szybko przytknął do oczu lornetkę, wyostrzył obraz i dojrzał otwierające się drzwi lodówki. Mignęła mu twarz Tracy, gdy ją zamykała, i po raz drugi, gdy mijała okno. A potem światło w kuchni zgasło, więc przeniósł lornetkę na drzwi tarasowe. Żaluzje na nich były zawsze podniesione, bo pewnie lubiła roztaczający się stamtąd widok, ale w pokoju było zbyt ciemno, by ją dojrzeć, a na wyjście na taras nie mógł liczyć o tej porze, zwłaszcza że padało.

Dostrzegął natomiast niebieskawą poświatę od ekranu jej laptopa. Często pracowała przy stole w jadalni, czasami całymi godzinami. Wystarczało mu wtedy, że siedzi i czuje jej obecność. Ale dziś chciał czegoś więcej. Chciał jej.

Kiedy minęło pięć minut i poczuł, że drętwieją mu stawy, powiedział sobie, że odczeka jeszcze pięć. Pięć minut zamieniło się w dwadzieścia. W końcu niebieskawa poświata zgasła i poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Przeniósł lornetkę na okno sypialni. Zapaliło się światło, lecz widok zasłoniły szybko zaciągnięte zasłony.

Zaklął, rozczarowany tym, że jej nie zobaczy, nawet skrawka twarzy.

Światło zgasło i na zasłonach zaczęły tańczyć szaroniebieskie cienie. To znaczyło, że leży w łóżku i ogląda telewizję. Niechętnie zaczął się zbierać do odejścia, gdy nagle coś mu przyszło do głowy. Było to ryzykowne, niemal jak podrzucenie jej tej pętli. Nadal nie miał pewności, czy to był dobry pomysł. Wszystko zależało od tego, co na tym w końcu ugra.

Wyszedł z krzaków, nim zdążył zmienić zdanie. Mokra trawa skrzypiała pod butami i tworzyły się malutkie kałuże. Gdy lampy mimo to nie rozbłysły, uniósł ręce nad głowę i pomachał. Bez rezultatu. Zrobił kolejny krok i znów pomachał.

Lampy zapłonęły.

Szybko uskoczył w krzaki i w oczekiwaniu na reakcję przytknął do oczu lornetkę.

I doczekał się. Stała za przeszklonymi drzwiami; wyglądała trochę jak zjawa, ale jakże rzeczywista. Miała na sobie długi, sięgający do pól uda, biały T-shirt. Nigdy wcześniej nie widział jej nóg, nigdy nie widział jej też w sukience. Zawsze w dżinsach lub luźnych spodniach. Nogi miała dokładnie takie, jak sobie wyobrażał. Długie, szczupłe i zgrabne. Przesunął się kawałek do przodu, jakby przyciągany magnetyczną siłą, i z trudem zapanował nad chęcią wyjścia z krzaków i ujawnienia się. Nie mógł tego zrobić. Jeszcze nie. Jeszcze go nie znała. Uznałaby go za pomyleńca. Musi go spotkać w innych okolicznościach. Takich, w których będzie mógł jej okazać, jak bardzo ją kocha. A do tej chwili musi zachować cierpliwość. Do tej chwili muszą mu wystarczyć obrazy takie jak ten.

Rozdział 13

Następnego dnia rano Tracy i Kins usiedli z Rickiem Cerrabone'em z biura prokuratora w sali konferencyjnej sądu okręgowego i popijając kawę, przeglądali materiały dowodowe zebrane w Aurora Motor Inn. Tracy była niewyspana i czuła się lekko otępiała. Minionej nocy lampy bezpieczeństwa zapalały się jeszcze dwukrotnie i choć to zignorowała, czuła teraz pulsowanie w skroniach i tępy ból pod czaszką. W dodatku zażyty na uśmierzanie bólu ibuprofen zrobił rewolucję w jej pustym żołądku.

Sądząc po żalonym wyglądzie, Kins nie czuł się dużo lepiej.

– Może po prostu nie zachował ostrożności – powiedział. Siedział skulony nad papierowym kubkiem z kawą. Rozmawiali o tym, jak to się mogło stać, że w motelu znaleziono odciski palców Waltera Gipsona, ale żadnych śladów DNA. – Przecież nie mógł tam przyjść w rękawiczkach, nie? Więc zakłada je dopiero w łazience, po zabiciu jej wyciera wszystkie ślady, tylko że tym razem niedokładnie.

– Nie wyobrażam sobie, by ktoś tak ostrożny mógł zostawić po sobie odciski palców – oświadczyła Tracy.

– Przypalił jej podeszwy stóp. Jeśli chciał w ten sposób przyśpieszyć jej śmierć, to może zaczęło brakować mu czasu i nie zachował odpowiedniej ostrożności.

– Albo chciał, żeby bardziej cierpiała – zasugerowała Tracy.

Cerrabone zdjął marynarkę i starannie rozwiesił ją na oparciu sąsiedniego krzesła. Na jego nakrochmalonej białej koszuli nie widać było najmniejszego zagniecenia, a wiśniowy krawat już z daleka sygnalizował, że ma się do czynienia z kimś

ważnym. Później czekał go występ przed sądem w roli oskarżyciela.

– To co wiemy na pewno? – zapytał.

Mieli niecałe czterdzieści osiem godzin na przygotowanie się do posiedzenia w sądzie w sprawie Waltera Gipsona, podczas którego Cerrabone będzie musiał przekonać sędziego, że istnieje dość dowodów na to, by zatrzymać podejrzanego w areszcie.

– Tancerki z Pink Palace potwierdziły, że się tam kręcił – powiedział Kins, zaglądając do zeznań świadków spisanych przez Faza i Dela. – Raz nawet Schreiber zaprosiła go do garderoby.

– I on temu nie zaprzecza – przypomniała Tracy.

– A na nagraniu z parkingu widać, jak odjeżdża ze Schreiber tuż po pierwszej w nocy.

– Do tego też się przyznał.

Kins przerzucił kilka kartek raportu.

– Z billingów telefonicznych wynika, że w ciągu dwóch ostatnich miesięcy często do niej dzwonił – powiedział.

– Czemu nie zaprzecza.

– Zapis automatycznych logowań jego komórki w nadajnikach sieciowych tego wieczoru zgadza się z logowaniami komórki Schreiber.

– Ale także potwierdza, że jego telefon zalogował się w nadajniku po wschodniej stronie jeziora Washington dokładnie wtedy, gdy, jak twierdzi, wrócił do domu – zauważyła Tracy.

Kins odłożył raport.

– Nienawidzę, jak się tak zachowujesz – burknął.

– Lepiej, żebym robiła to ja niż obrońca na sali.

– A co z klubem Dancing Bare? – spytał Cerrabone.

– Faz i Del obeszli wszystkich z jego fotografią. Nikt go tam sobie nie przypomina – powiedziała Tracy.

– Coś jeszcze?

– Umie wiązać węzłki jak nikt inny – odparł Kins.

– Ale twierdzi, że jest praworęczny – dodała Tracy.

– Może. Nie wiemy tego na pewno. Wiemy natomiast, że był ze Schreiber bliżej, niż przyznawał. – Kins przesunął po stole fotografie znalezione w komórce i widząc, jak Cerrabone im się przygląda, wyjaśnił: – Zrobiono je w tym samym pokoju motelowym i na jednym Schreiber jest na czworakach.

– Ale bez sznura na szyi – zauważył Cerrabone.

– Tak, bez sznura na szyi.

– Coś jeszcze?

– Pokój był wynajęty na dłużej niż godzinę – powiedziała Tracy.

– Żony nie było w domu i nie musiał się śpieszyć – dorzucił Kins ze złośliwym uśmiechem, jakby chciał się odgryźć na zasadzie: „Ja też tak potrafię”.

– Czemu to miałyby być istotne? – spytał Cerrabone.

– Tracy sądzi, że Schreiber mogła wynająć ten pokój na dłużej, bo miała się w nim spotkać z kimś po Gipsonie – powiedział Kins.

– Prostyutki tak robią, Kins – mruknęła. – To nic nadzwyczajnego.

– Przykro mi, ale ja tego nie kupuję. Brzmi to mało prawdopodobnie. Gipson zabiera ją do motelu i uprawiają seks, a potem przychodzi ktoś inny i ją zabija? Gipson musiałby być największym pechowcem na świecie.

– A co na to właściciel motelu? – spytał Cerrabone.

– Mówi, że wynajmują pokoje najkrócej na dwie godziny – odpowiedział Kins. – Ale nie prowadzi rejestru płatności gotówkowych.

Cerrabone spojrzał na Tracy.

– Uważasz, że on tego nie zrobił?

W głowie jej dudniło i marzyła tylko, żeby coś zjeść i chwilę się zdrzemnąć. I wiedziała, że na to drugie nieprędko będzie miała szansę.

– Nie wiem.

– Coś jeszcze?

– Nie wiem. To znaczy... Jego kochanka zachodzi w ciążę, więc się z nią żeni. Z rozmowy z nim wiem, że nie był tym

zachwycony, ale postąpił przyzwoicie.

– Ridgway był dwukrotnie żonaty, a przecież to najbardziej pokręcony sukinsyn. – Kins się skrzywił. – Używał własnego dziecka, żeby wabić ofiary. Ci ludzie potrafią robić rzeczy, których nigdy nie zrozumiemy.

– Mówię tylko, że tak jak wszystko, należy to wziąć pod uwagę. Nie twierdzę, że Gipson zasługuje na medal za szlachetność.

Cerrabone zaczął wystukiwać palcami rytm na stole.

– Może uda nam się postawić na swoim na posiedzeniu wstępnym, ale nie poradzimy sobie z procesem ani z wnioskiem o oddalenie oskarżenia. A jeśli to zaskarżę, odkryjemy karty i media dowiedzą się o podobieństwach ze sprawą Nicole Hansen.

– I wtedy mamy przesrane – mruknął Kins.

Cerrabone spojrzął na zegarek, wstał i włożył marynarkę.

– Jeśli pojawi się coś nowego, powiadomcie moje biuro. – W jego głosie nie było optymizmu. Już w drzwiach odwrócił się i spytał: – Nie mamy żadnych dowodów łączących go z Hansen?

– Jak dotąd żadnych – odparła Tracy.

* * *

Telefon od Cerrabone'a nie był dla Tracy zaskoczeniem, gdy wraz z Kinsem wrócili późnym popołudniem ze sklepu z przynętami wędkarskimi. Zanieśli do niego kilka much Gipsona i spytali właściciela, czy na ich podstawie potrafiłby określić, czy osoba, która je związała, jest prawo- czy leworęczna.

– Żeby wiązać coś tak precyzyjnego, musi równie dobrze władać dwiema rękami – orzekł właściciel.

No pewnie, pomyślała Tracy.

– Nie posuwamy się do przodu – rzucił Cerrabone, potwierdzając jej odczucia.

Odnosiła się do niego z szacunkiem. W odróżnieniu od części prokuratorów, którzy wybierali sobie tylko sprawy gwarantujące

szybki sukces i poprawiające statystykę zwycięstw i porażek, nie unikał spraw skazanych na przegraną. Ale w tym wypadku kierował się rozsądkiem. Nie mieli wystarczających dowodów, a nie chcieli przystępować do procesu karnego tylko po to, by dać mediom powód do wyzywania się, gdy sędzia ogłosi wyrok uwalniający Gipsona od zarzutu morderstwa i zabójstwo kolejnej młodej kobiety pozostanie niewyjaśnione.

Tracy skończyła rozmowę z Cerrabone'em i udała się do gabinetu Nolasco z prośbą. Raczej z góry znała jego odpowiedź, chciała jednak przynajmniej mieć świadomość, że próbowała.

– Chcielibyśmy rozpocząć stałą obserwację Gipsona – powiedziała.

– Rób, co do ciebie należy, to nie będę musiał niepotrzebnie uszczuplać naszego budżetu – odrzekł Nolasco.

Tego wieczoru Walter Gipson, miłośnik prostytutek i moteli na godziny oraz wykonawca precyzyjnie zawiązanych much wędkarskich, opuścił areszt okręgowy jako wolny człowiek.

Rozdział 14

Tracy wróciła do siebie i zaczęła przeglądać fotografie z motelu w nadziei, że zauważy coś, co wcześniej przeoczyła. Z drugiego końca Byczej Zagrody dobiegł ją głos Faza, który przerwał jej jednym ze swych słynnych powiedzonek.

– Hej, Profesorko, dasz mi kopa w jaja? – Często zwracał się do niej ksywką nadaną jej w akademii policyjnej.

– Wolałabym nie, Faz. Ale mogę wymienić parę osób, którym chętnie bym to zrobiła.

– Myślę, że powinnaś to zobaczyć.

Obróciła się z fotelem. W całym biurze zostali tylko oni, bo Kins śpieszył się, by zdążyć na rodzinną kolację. Ze zbyt wielu musiał się wymigiwać i nie pomagało to napiętej atmosferze w domu. Del też już wyszedł, zostawiwszy biurko zarzucone papierami, pustymi opakowaniami po kanapkach i kubkami po kawie.

Odepchnęła się od biurka, przeszła do boksu Faza i zajrzała mu przez ramię. Siedział ze wzrokiem utkwionym w ekran komputera, z wąskimi okularami do czytania zsuniętymi na czubek nosa. Na ciemnym i lekko rozmazanym obrazie Tracy rozpoznała parking klubu Pink Palace widziany przez zewnętrzną kamerę monitoringu. Sama oglądała nagranie z kamery wewnątrz budynku, ta jednak skierowana była głównie na wejście do klubu i kasę, a ściślej mówiąc, na przyjmujących gotówkę pracowników Nasha. Twarzy klientów praktycznie nie było widać.

– Powiedz, co tu widzisz – rzucił Faz.

Pochyliła się nad ekranem, ale szybko cofnęła głowę, odrzucona wonią czosnku w oddechu kolegi. Musiał go sporo zjeść, bo żuta przez niego guma niewiele pomagała.

– Szykujesz się na atak wampirów, Faz? – spytała.

– Jak włoskie jedzenie nie śmierdzi czosnkiem, to znaczy, że nie jest prawdziwe.

– No to twoje było.

Podniósł się z fotela.

– Siadaj. Stanę za tobą i postaram się nie chuchać.

Tracy usiadła i wcisnęła PLAY. Nagranie było marnej jakości, głównie z powodu kilku niepalących się lamp na parkingu, przez co obraz z jedynej kamery był pełen cienistych plam. Otynkowany na różowo mur wokół parkingu wyglądał szaro, a gdy rozbłyskiwały neon i jumbotron nad wejściem, obraz całkiem się rozmywał. Wyglądało na to, że budując swój „klub dla dżentelmenów”, Nash postanowił zaoszczędzić na kosztach monitoringu.

Po trzynastu sekundach odmierzonych przez minutnik w prawym dolnym rogu ekranu, zza budynku wyszedł mężczyzna w bejsbolówce i kobieta z przewieszoną przez ramię czerwoną torebką.

– Gipson i Schreiber – powiedziała Tracy przez ściśnięte gardło.

Patrząc na ostatnie ujęcia Schreiber, poczuła się jak siła wyższa, która wie, co się wkrótce wydarzy. Para trzymała się za ręce, wymachując nimi jak spacerujący uczniacy, których cieszy sam dotyk splecionych palców. W pewnej chwili Gipson przyciągnął Schreiber do siebie i skradł jej całusa. Wyglądało na to, że chciałby więcej, ale ona odchyliła się do tyłu, położyła mu rękę na piersi i spojrzała na budynek Pink Palace. Czy wiedziała, że jest nagrywana, i bała się, że Nash wyrzuci ją z pracy, czy może upewniała się, że z budynku nie wychodzi ktoś jeszcze?

Rozdzielili się i wsiedli z dwóch stron do zaparkowanego samochodu. Światła nie zapaliły się od razu i trudno było dojrzeć, co się dzieje wewnątrz, choć bez trudu można się było

domyślić. Gipson zapewne próbował osiągnąć to, czego odmówiła mu na parkingu. Minutnik odliczył trzydzieści osiem sekund i dopiero wtedy reflektory samochodu rozbłysły, rzucając na asfalt wydłużone snopy światła. Gipson ruszył, przejechał przez parking, na moment zatrzymał się przy wyjeździe, a następnie, skręciwszy w stronę Aurora Avenue, opuścił pole widzenia kamery.

Tracy spojrzała na Faza, którego twarz rozjaśniał tak radosny uśmiech, jakby właśnie dostał zaproszenie na kolację.

– Nic specjalnego, prawda? – powiedział.

– Nic – potwierdziła.

Wyciągnął rękę i wcisnął klawisz PLAY.

– Obejrzyj jeszcze raz, tylko tym razem patrz nie na Gipsona i Schreiber, ale w lewy górny róg.

Para ponownie wyszła z klubu, a Tracy utkwiała wzrok w rogu ekranu. W chwili gdy samochód Gipsona zbliżał się do wyjazdu z parkingu, w rogu pojawił się na moment jakiś inny samochód, ciemny sedan.

– Jedzie bez świateł – powiedział Faz, choć Tracy sama też to zauważyła.

Budynek zasłaniał pole widzenia i samochód szybko zniknął za nim. Toyota Gipsona opuściła parking, a parę sekund później ów drugi samochód wyjechał zza Pink Palace.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że Gipson mógł nie być ostatnim klientem Schreiber? – rzekł Faz.

Tracy raz jeszcze wróciła do początku nagrania.

– Patrz, w którym miejscu kadru pojawi się ten samochód. – Wskazała palcem róg ekranu.

– Oboje myślimy tak samo. – Faz kiwnął głową. – Że jeśli wcześniej gdzieś tam parkował, to poza zasięgiem kamery.

Odtworzyła całe nagranie, próbując uchwycić moment przejazdu drugiego samochodu. Wcisnęła klawisz STOP, ale zrobiła to zbyt późno i rozmazana sylwetka pojazdu zdążyła opuścić kadr. Po kilku kolejnych próbach udało jej się zatrzymać niewyraźny obraz przejeżdżającego przed klubem ciemnego

sedana. Wyrazistość obrazu – samą z siebie mizerną – pogarszał jeszcze blask jumbotronu przed wejściem, który akurat w tym momencie rozblęsnął oślepiającą bielą.

– Nie ma mowy o odczytaniu tablic rejestracyjnych – orzekł Faz.

Tracy nachyliła głowę, lecz nie tylko nie dało się dojrzeć tablic ani wnętrza samochodu, ale nawet rozpoznać jego marki.

– Przekażmy to do laboratorium – rzuciła. – Może Mike’owi uda się coś więcej z tego wyczytać.

– No więc, kurde, to nie jest nic, nie? – odezwał się z dumą Faz.

Czasami kilka złożonych do kupy drobiazgów prowadzi do wskazania winnego.

– Tak, kurde, to nie jest nic – potwierdziła.

* * *

W drodze do domu kupiła chińszczyznę i zasiadła przy stole w jadalni do porcji kurczaka w sosie pomarańczowym. W kuchni został Roger; jeździł po kafelkowym blacie puszką kociej karmy. Ledwie Tracy zaczęła jeść, odezwał się brzęczyk interkomu przy wejściu. Wiedziała, że to nie Dan, bo ten zadzwonił wcześniej i zdał jej relację z przebiegu sprawy arbitrażowej, która szła dobrze, ale bardzo się wlokła. Odłożyła pałeczki i podeszła do drzwi. Może policjant wyznaczony do jej pilnowania chce skorzystać z łazienki?

– Tak? – powiedziała, naciskając przycisk.

– Detektyw Crosswhite? Tu Katie Pryor ze strzelnicy.

Potrzebowała chwili, by skojarzyć młodą policjantkę, którą szkolila do testu kwalifikacyjnego. Od tego czasu minęło zaledwie kilka dni, ale miała wrażenie, jakby były to całe tygodnie.

– Już otwieram – rzuciła.

Pryor zatrzasnęła za sobą furtkę i ruszyła ku drzwiom z kartką i doniczką w rękach. Była w mundurze i pod domem stały teraz dwa radiowozy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedziała.
– Dopiero co wróciłam.
– Zamierzałam to zostawić pod drzwiami, ale furtka... – Pryor wręczyła Tracy doniczkę z kaktusem i kartkę z podziękowaniem.
– Uznałam, że najlepiej będzie kupić coś, co nie wymaga dużo zachodu.
– To miło z twojej strony, ale nie musiałaś. – Tracy się uśmiechnęła.

Wyciągnęła rękę po doniczkę i w tym momencie Roger wyprysnął z domu. Rzuciła się, by go zatrzymać, ale było już za późno. Okrążył narożnik i zniknął za domem.

– Przepraszam – bąknęła Pryor. – Pomóc ci go złapać?
– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Później go złapię. Nie lubi długo przebywać na zimnie, a poza tym zrobi wszystko za puszkę z kocim jedzeniem. Jedziesz do pracy?

Pryor pokręciła głową.

– Właśnie skończyłam. Mieszkam koło szkoły. Nie zdawałam sobie sprawy, że nasze domy są tak blisko siebie.

Tracy nie miała pojęcia, o jakiej szkole Pryor mówi.

– Wejdiesz na chwilę? – spytała.

Pryor zaskoczyła ją, przyjmując zaproszenie.

– Może na króciutką – bąknęła.

Tracy zamknęła drzwi i weszły do środka.

– Przeszkodziłam ci w kolacji – powiedziała Pryor, obrzucając spojrzeniem kartoniki z chińszczyzną.

– A ty już jadłaś?

– Nie chcę robić ci kłopotu.

– Żaden kłopot. I tak sama tego nie zjem, a lubię jeść w towarzystwie.

Tracy poszła do kuchni i wróciła z dwoma talerzami, dodatkową parą pałeczek, dwoma kieliszkami i butelką wina. Nalała do kieliszków i zabrały się do jedzenia; podawały sobie wzajemnie kartoniki z ryżem, kurczakiem w sosie pomarańczowym i wołowiną w sosie czosnkowym.

– Zawsze pracujesz wieczorami? – spytała Pryor, patrząc na ekran laptopa.

– Mieliśmy dwa zabójstwa.

– Masz na myśli te dwie tancerki z północnego Seattle? To ty się tym zajmujesz?

– Ja.

– Obie zabił ten sam facet?

Tracy łyknęła wina.

– Na to wygląda.

Pryor włożyła do ust kawałek wołowiny.

– Dzięki, że mnie zaprosiłaś.

– Jak tam mąż?

– Nadspodziewanie dobrze. – Pryor uśmiechnęła się. – Od naszego spotkania byłam już dwa razy na strzelnicy.

– I jak ci idzie?

– Naprawdę nieźle. – Odłożyła pałeczki i przestała jeść. Wyglądało na to, że coś ją gryzie. – Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Mieszkasz sama?

– Tylko ja i mój specjalista od ucieczek.

– To przez pracę? To znaczy... czy to z powodu pracy nie masz rodziny? Przez to siedzenie po nocach? Ale jeśli to zbyt osobiste sprawy...

Tracy uspokajająco machnęła ręką.

– Nie, w porządku. Rozumiem, o co pytasz. Tyle że moja sytuacja jest dużo bardziej skomplikowana. Z mężem, z którym byłam bardzo krótko i bardzo dawno temu, rozstałam się, zanim trafiłam do policji. – Tracy odłożyła pałeczki. – Słuchaj, nie jestem dobrym wzorem. Gdybyś dwadzieścia lat temu spytała mnie, jak widzę swoje życie za pięć lat, tobym ci powiedziała, że chcę mieć męża, dwójkę dzieci, mieszkać w małym miasteczku i uczyć w liceum.

– I co się stało?

– Zamordowano moją siostrę.

– Boże, współczuję!

– I to spowodowało, że zostałam gliniarzem. Ale nie dlatego nadal nim jestem.

– A dlaczego?

– Bo kocham to, co robię. Kocham związane z tą pracą wyzwania fizyczne i umysłowe. I kocham strzelać, zawsze to kochałam. Rzecz w tym, że możesz snuć różne plany na przyszłość, a potem i tak lądujesz w czymś, co ci było pisane. Podoba ci się bycie policjantką?

– Studiowałam prawo karne, mam tytuł magistra. Sądziłam, że zostanę prokuratorem lub obrońcą procesowym.

– I co się stało?

– Wcześniej wyszłam za męża, szybko zaszłam w ciążę, rynek nieruchomości padł i potrzebowaliśmy pieniędzy.

– A teraz?

– A teraz podoba mi się to, co robię.

– Ale...?

– Ale martwię się tym, jak to wpłynie na moje małżeństwo. Tym, że w nocy nie ma mnie przy moich córkach. Znam bardzo wielu rozwiedzionych gliniarzy.

– Ile lat mają twoje córki?

Pryor wyjęła fotografię z kieszeni na piersiach i podała Tracy.

– Cztery i dwa. W ten sposób towarzyszą mi w codziennej pracy.

Dziewczynki miały na sobie takie same kwieciste sukienki, czarne buciki Mary Janes i stały w czułym siostrzanym uścisku. Tracy miała dziesiątki takich zdjęć siebie i Sary z czasów, gdy były jeszcze dziećmi. Oprawione w ramki zdobiły niegdyś ściany ich rodzinnego domu w Cedar Grove. Teraz, spakowane w kartony, leżały w garażu. Oddała fotografię.

– Są śliczne.

– Masz dla mnie jakąś radę? – spytała Pryor.

Tracy stanęła nagle przed oczami nie tylko Sara, ale także Nicole Hansen i Angela Schreiber.

– Dawaj im tyle miłości, ile tylko możesz – powiedziała.

Rozdział 15

Pod numer 911 zadzwoniono o 11.25 następnego dnia, pół godziny później Tracy i Kins zjawili się w Joon's Motel i przeszli przez parking zastawiony radiowozami. Na Aurora Avenue stały zaparkowane telewizyjne wozy transmisyjne, po chodniku kręciła się gromadka dziennikarzy i fotoreporterów, przepychając się przez rosnący tłum gapiów, których zwabiły dwa wiszące nad motelem śmigłowce należące do mediów. Dzień był piękny, na bezchmurnym błękitnym niebie świeciło słońce i przy takiej pogodzie mieszkańcy Północnego Zachodu jak zwykle tłumnie wylegają z domów. A nic nie wabi ludzi bardziej niż miejsce przestępstwa.

– Zrobi się paskudnie – zauważył Kins, zerkając na tłum.

– Już się zrobiło – sprostowała Tracy.

Przy schodach prowadzących na piętro stało dwóch mundurowych.

– Pokój czternaście – powiedział młodszy z nich. – Zaraz za rogiem.

Ani on, ani jego starszy kolega nie mieli nic w rękach.

– A kto prowadzi rejestr wejść i wyjść z miejsca przestępstwa? – spytała Tracy.

– Ten, który odebrał zgłoszenie – odparł policjant, pokazując ręką w górę.

Weszli na pierwsze piętro po drgających pod ich ciężarem schodach. Podest otoczony odrapanymi ścianami przegrodzono czerwoną taśmę policyjną, przywiązując jeden koniec do klamki drzwi, drugi – do poręczy schodów. Mundurowy, który wyłonił

się z za rogu, trzymał w ręce sztywną podkładkę z przypiętymi kartkami.

– Opowiedz, co się działo – poleciła Tracy; wpisała się do rejestru i przekazała go Kinsowi.

Policjant wyciągnął rękę w dół przez balustradę, w stronę zadaszonego wejścia.

– Właściciel czekał na mnie przed swoim biurem. Powiedział, że znalazła ją sprzątaczką, kiedy weszła do pokoju, żeby posprzątać.

– Gdzie ona jest? – spytał Kins.

– Rozmawia z nią mój sierżant w biurze kierownika. Jest strasznie rozhisteryzowana.

– Co powiedziała?

– Że zapukała, nikt się nie odezwał, więc otworzyła drzwi swoim uniwersalnym kluczem. Mówi, że weszła do środka, zobaczyła ciało i uciekła. Twierdzi, że poza klamką na drzwiach nie dotknęła nic innego. – Policjant odchrząknął. – Nie przestaje się modlić po hiszpańsku. Cały czas się żegna i całuje krzyżyk. – Głos mu zamarł. Widać było, że też jest poruszony, ale stara się nadrabiać miną.

– Byłeś w środku?

– Nie, ale widziałem ją, kiedy zjawili się strażacy.

– Przeciągnij taką samą taśmę przy wejściu na schody i przekaz rejestr któremuś z kolegów na dole – poleciła Tracy. – Powiedz im, że zabroniłam, by ktokolwiek wchodził na górę bez wpisania się do rejestru i podania numeru służbowego. Mają wszystkim mówić, że każdy przekraczający tę linię będzie musiał napisać oświadczenie.

Kins otworzył torbę i wręczył Tracy lateksowe rękawiczki i ochraniacze na buty. Oboje je włożyli i weszli do środka. W pokoju śmierdziało dymem papierosowym i moczem. Tak jak w pokojach, w których zginęły Nicole Hansen i Angela Schreiber, tu też na łóżku leżała nietknięta cienka kapa, na rogu skrupulatnie złożono części kobiecej garderoby. Ich właścicielka leżała skulona na podłodze w nogach łóżka, związana w kołyskę.

W odróżnieniu od Hansen i Schreiber nie przekręciła się na bok i nie była blondynką. Ciemnokasztanowe włosy miała związane z tyłu głowy w koński ogon. Była wyższa i tęższa od tamtych dwóch. Jej piersi rozpląszczyły się na kawałku wykładziny, na pośladkach i udach widać było ślady cellulitu, pod miednicą widniała ciemna plama. Jak u Schreiber, podeszwy stóp były zaczerwienione i pokryte pęcherzami. Tracy wypuściła wstrzymywane powietrze i zamknęła oczy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Kins.

– O co mu chodzi? – jęknęła. – Co on nam chce powiedzieć? Czy tylko je upokarza, czy jest w tym coś więcej?

– Nie wiem. Każę Fazowi rozstawić parawany przed pokojem i na dole. Funk może tak podjechać tyłem, żeby zasłonić widok.

Wiadomo było, że koroner okręgu King nie rozprostuje członków młodej kobiety przez co najmniej kilka godzin i nawet przykrycie zwłok prześcieradłem nie ukryje przed obiektywami reporterów i wzrokiem gapiów groteskowo skręconej postaci.

Tracy rozejrzała się po pokoju. Podeszła do biurka i wskazała ręką fioletową torebkę ze złotym łańcuszkiem. Była dopasowana kolorystycznie do złożonej na łóżku sukienki.

– Masz to? – upewniła się.

Kins sfotografował torebkę.

– Mam wszystko.

Tracy ostrożnie wyciągnęła cienki portfel z zewnętrzną kieszonką z plastikową osłoną na prawo jazdy.

– Veronica Watson – powiedziała i zrobiwszy w myślach szybki rachunek, dodała: – Lat dziewiętnaście. – Wyjęła z portfela kilka kart kredytowych i znalazła to, czego szukała: licencję tancerki dla dorosłych. – Tańczy w Pink Palace.

– Tańczyła – poprawił ją Kins.

Rozdział 16

Idąc do siebie, Johnny Nolasco zahaczył po drodze o Byczą Zagrodę zespołu A i zastał wszystkie boksy puste. Wracając z odprawy z szefostwem na znienawidzonym siódmym piętrze, którą zwołano w sprawie powołania do życia grupy zadaniowej po trzecim z rzędu morderstwie tancerki. Zamknął za sobą drzwi gabinetu, otworzył kluczykiem szufladę biurka i wyjął z niej jednorazową komórkę. Takie telefony z miesięczną kartą prepaid były bardzo popularne wśród dilerów narkotykowych i alfonsów.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Mam dla ciebie seryjnego zabójcę – powiedział. – Nazywamy go Kowbojem,

– Świetny kryptonim – ucieszyła się Maria Vanpelt. – Zainteresuje ogólnokrajowe sieci.

– Policja z Seattle oficjalnie to potwierdzi. Powołuję grupę zadaniową i wyznaczam na jej szefową Tracy Crosswhite.

Vanpelt zamilkła.

– Kiedy mogę to puścić? – spytała po chwili.

– To jeszcze nie przeszło przez wszystkie odpowiednie instancje, ale będziesz pierwsza, kiedy zostanie przyklepnięte. Możesz napisać o trzecim zabójstwie popełnionym przez tego samego człowieka, którego Crosswhite miała szukać, tylko że pojechała do Cedar Grove, żeby walczyć o nowy proces mordercy swojej siostry.

– Nie jestem aż tak napalona na Tracy Crosswhite jak ty, Johnny.

– Bez niej nie będziesz miała dobrego tematu... albo beze mnie. Oboje to wiemy.

Dziennikarka znów zamilkła.

– Może mogłabym o niej wspomnieć w retrospekcji – powiedziała po namyśle.

– No i wiadomość od razu nabiera rumieńców.

Rozdział 17

Tracy jechała samochodem z Kinsem, pogryzając kanapkę – spóźniony lunch lub wczesną kolację. Zaczynała tracić rachubę godzin w ciągu doby oraz dni w ciągu tygodnia. Po wizycie u Waltera Gipsona, którego chcieli wypytać o jego ruchy poprzedniego wieczoru, wracali drogą 520 przez pontonowy most.

Zjeżdżając z zachodniego krańca mostu, dostrzegli łysego orła; sztywno wyprostowany siedział na pałaku latarni i z przekrzywionym na bok łbem wpatrywał się w spokojną niebieskosiną toń jeziora Washington. Na tle stadionu futbolowego Uniwersytetu Stanu Waszyngton i, w dalszej perspektywie, ośnieżonych szczytów Gór Olimpijskich stanowił ikoniczny obraz, za uwiecznienie którego dostaje się nagrody w konkursach fotograficznych, a także symbol piękna tych okolic, które czasami udawało się Tracy zauważyć.

Zadzwoiła jej komórka. Odebrała i przełączyła na tryb głośnomówiący, by Kins też mógł posłuchać.

– I co powiedział Gipson? – spytał Faz.

– Że był w domu – odparła Tracy.

– Żona to potwierdziła?

– Żony nie ma. Wyprowadziła się do siostry w Tacomie. Gipson oświadczył, że do późna biegał, potem wrócił, siedział w komórce i wiązał muchy. Ale żaden z sąsiadów tego nie potwierdza.

– A ty? Co masz dla nas, Faz? Rozwiązałeś naszą sprawę? – spytał Kins.

– Chciałbym. Żona by się ucieszyła.

– No to bierz się do roboty.

– Pan Joon nie okazał się zbyt gadatliwy. – Faz miał na myśli właściciela motelu. – Ale powiedział tyle, że Veronica Watson przyjechała do motelu miejską taksówką.

– Sama? – spytała Tracy.

– Nie wie, w każdym razie do recepcji weszła sama, przynajmniej tym razem. Bo mówi, że widywał ją już wcześniej z wysokim facetem w garniturze, z bujną czupryną ciemnoblonde. Pomyślał, że może nam się to przydać, kiedy będziemy rozmawiali z tancerkami. – Gipson był niemal łysy i z całą pewnością nie pasował do tego opisu, podobnie zresztą jak Darrell Nash, który miał krótkie ciemne włosy, postawione z przodu dużą ilością żelu. – Hej, to chyba nie jest nic, nie?

Telefon Tracy piknął, sygnalizując oczekującą rozmowę.

– To jest coś. Faz. Przejedźcie się z Delem do firmy taksówkarskiej, dobra?

– Już się robi.

Odebrała drugą rozmowę.

– Tu Earl Keen. – Jego głos dudnił tak nisko jak bicie w bęben.

– Zostawiła pani wiadomość w sprawie Veroniki Watson. Słyszałem, że nie żyje.

Keen, czarnoskóry mężczyzna z ogoloną głową i poważnym wyrazem twarzy, był kuratorem sądowym Veroniki Watson, wielokrotnie aresztowanej za nagabywanie mężczyzn i posiadanie narkotyków, a także za jedną drobną kradzież, do której się nie przyznała, ale i nie zaprzeczyła, że jej dokonała.

– Dobrze pan słyszał – powiedziała Tracy. – Właśnie zbieram informacje na jej temat.

Głos Keena sączył się ze słuchawki niczym gęsty syrop.

– Zna pani tysiące takich historii. Uciekła z domu w wieku piętnastu lat, kiedy wprowadził się nowy mąż matki i zaczął pchać się do łóżka pasierbicy, a matka wołała wierzyć jemu niż jej. Veronica miała tego dosyć i dała nogę. Najpierw żyła na ulicy, potem zamieszkała z podejrzanym typem, niejakim Bradleyem Taggartem. Był od niej dziesięć lat starszy i miał wieczne zatargi

z prawem. Prawdziwy megazasraniec, który lubił się na niej wyżywać. Ich awantury bywały tak głośne, że sąsiedzi wielokrotnie wzywali policję, ale Veronica ani razu nie oskarżyła go o przemoc fizyczną. A ze schodów spadała częściej niż niewidomy.

– Pracowała dla niego?

– Miewała klientów, a on dostawał z tego działkę. Jeśli pyta pani, czy był jej alfonsem, to absolutnie nie. Ma gadane i gra twardziela, ale to mięczak. Nie ma ani jaj, ani głowy, żeby zarządzać kobietami. Z tego, co wiem, ostatnio pracował w sklepie ze sprzętem wodniackim kawałek na południe od centrum, bo tego wymagały postanowienia warunkowego zwolnienia po wyroku za handel metą.

Pierwszą myślą Tracy było to, że jeśli Watson pracowała dla Taggarta, to facet może znać nazwiska stałych klientów lub przynajmniej wiedzieć, jak zdobyć tę informację.

– Kiedy zaczęła tańczyć?

– Niedługo po wprowadzeniu się do Taggarta. Była niepełnoletnia, ale myślę, że przy jej figurze pracodawcy za bardzo się nie zagłębiali w papiery. Dziewczyna była dojną krową, przepraszam za określenie. Występowała pod pseudonimem Velvet.

– Earl, tu Kinsington Rowe – włączył się Kins. – Powiedziałeś, że Taggart się na niej wyżywał. Słyszałeś, żeby ją przy tym wiązał?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jak już mówiłem, nie lubiła się na niego skarżyć. Był jej księciem z bajki.

– Już chyba prędzej ropuchem – parsknął Kins.

– Nie obrażaj ropuch.

* * *

Zaparkowali przy parkometrze na First Avenue, kawałek na północ od wejścia do klubu Pink Palace, na południowych krańcach słynnego Targu Rybnego – zdaniem wielu, największej

atrakcji turystycznej Seattle. Targ od ponad stu lat funkcjonował na kawałku nabrzeża i roztaczał się z niego wspaniały widok na Zatokę Elliotta. Tracy nie miała wątpliwości, że to właśnie ogromny ruch pieszy w tym rejonie skłonił Darrella Nasha do otwarcia tu „klubu satelickiego”, jak sam go nazywał.

W odróżnieniu od klubu w rejonie Aurory, tu nie było ani markizy, ani jumbotronu, a do wejścia zachęcał jedynie skromny różowy neon na ścianie. Było późne popołudnie i przed drzwiami stał tylko jeden młodzieniec w smokingu, wyglądający jak licealista odpicowany na bal maturalny, na który wcale nie ma ochoty się wybrać.

– Szukamy pomysłu na wiosenną bieliznę – rzuciła Tracy, przechodząc obok niego. Ani ona, ani Kins nie sięgnęli nawet po odznaki policyjne.

Odchylili zwisającą w wejściu czarną kotarę, która miała uniemożliwiać przechodniom bezpłatne zerkanie do środka, i Tracy niemal zakrztusiła się od wiszącej w powietrzu mieszaniny wyziewów ludzkich ciał, talku i perfum, a błyskające światła i pulsująca muzyka techno wywołały u niej natychmiastową tęsknotę za prawdziwym zespołem grającym na prawdziwych instrumentach, za kimś takim jak Bruce Springsteen, Aerosmith czy Rolling Stones.

Za kotarą stała drobna Azjatka z włosami utlenionymi na blond, poza jednym ciemnym pasmem przez całą głowę, co upodabniało ją do skunksa na odwyrtkę. Była w fioletowym staniku i przepasce na biodrach; na nogach miała buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Tracy pomyślała, że w swojej apteczce ma plastry, które zakrywają więcej ciała niż strój Azjatki. Kasa biletowa znajdowała się tuż obok po prawej i dziewczyna służyła widać za żywą reklamę, która miała zachęcać mężczyzn do płacenia za wejście.

Kins nachylił się do ucha dziewczyny, przekrzykując dudniącą muzykę, a ona wskazała ręką bar w głębi sali i obrzuciła go zalotnym spojrzeniem z kategorii: „Jestem do wzięcia”. Był przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną

o chłopięcych rysach, niewyglądającym na swoje czterdzieści lat. Uśmiechnął się, puścił do niej oko i minawszy kasę biletową, wszedł do środka. Tracy podążyła za nim.

W klubie Pink Palace w pobliżu Aurory znajdowało się kilka estrad do występów, barów, boksów ze skórzanymi kanapami i oddzielnych gabinetów, gdzie odbywały się prywatne pokazy i dochodziło do aktów seksualnych, co do których Darrell Nash tak się zarzekał, że są przez kierownictwo klubu zakazane. Ten lokal był znacznie mniejszy i znajdowała się tu tylko jednaстрада, wokół której rozstawiono stoliki z krzesłami jak w kabarecie. W tym akurat momencie brunetka ze sznurkiem na biodrach zwisła na zagiętej nodze na rurze, a jej skóra lśniła w światłach reflektorów i błyskach rzucanych przez obracającą się dyskotekową kulę. Wygięła się do tyłu z piersiami tak sterczącymi, jakby nie podlegały sile ciężenia, i ujęła ustami długą szyjkę butelki budweisera, która stała na stoliku kilku rozpalonych japońskich biznesmenów. Japończycy nagrodzili dziewczynę oklaskami, a ona z butelką w ustach podniosła się do pionu, co istotnie świadczyło o niebagatelnej sile jej mięśni wzdłuż kręgosłupa.

Kins okrążył estradę i podszedł do baru, za którym barman w smokingowej koszuli i muszce stał oparty na łokciach i rozmawiał z dwiema kobietami: filigranowym rudzielcem i dobrze zbudowaną Afroamerykanką. Obie były ubrane niby wieczorowo w białe koszulki wielkości śliniaka, siatkowe legginsy i buty na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Na widok Kinsa barman się wyprostował.

– Co nalać? – zapytał.

Przyglądając się tej scenie, Tracy pomyślała, że barman musi mieć IQ jaskiniowca, żeby nie rozpoznać w nich gliniarzy. Tancerki najwyraźniej ich wyczuły, bo od razu się zmyły.

– Możesz zawołać kierownika sali?

– Kogo?

Kins pokazał odznakę.

Barman kiwnął głową.

– Zaraz wracam – rzucił i zniknął za czarną kotarą na ścianie za barem.

Japończycy upychali garście dolarów za sznurek na biodrach tancerki, ruda tymczasem podeszła do mężczyzny siedzącego samotnie przy stoliku. Tracy mu się przyjrzała. Był biały, miał ciemne włosy i czterdzieści kilka lat. Jego wzrok na moment powędrował ku Tracy, mężczyzna obrzucił ją obojętnym spojrzeniem i przeniósł je na tancerkę na estradzie.

Barman wrócił z człowiekiem, którego wygląd wskazywał na bliskowschodnie korzenie.

– Ty tu jesteś kierownikiem? – upewnił się Kins.

– Nabil – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę. – Czym mogę służyć?

Tracy pamiętała, jak Nash mówił, że tej nocy, kiedy zginęła Angela Schreiber, niejaki Nabil Kotar zastępował w klubie przy Aurorze kierownika sali, który zachorował. A to znaczyło, że Kotar był jednym z tych pracowników, których Ron Mayweather sprawdził w katalogu międzystanowym Krajowego Centrum Informacyjnego Przestępczości i niczego na niego nie znalazł.

Tak jak Nash, Kotar miał posturę ciężarowca i wyraźnie lubił podkreślać ją ciasnymi T-shirtami. Dziś miał na sobie czarną koszulkę z odpowiednio krótkimi rękawami, by widać było kawałek węża wytatuowanego na prawym bicepsie. Szyję oplatały mu łańcuchy ze zwisającym na nich grubym złotym krzyżem. Już z daleka było czuć, że nie żałuje sobie wody kolońskiej lub dezodorantu.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? – spytała Tracy, podnosząc głos, by przekrzyczeć coraz bardziej irytującą muzykę.

Kotar poprowadził ich między dwoma boksami do pomieszczenia z różowymi firankami i czerwonymi meblami. Powietrze było tu nadal przesycone klubowymi woniami, ale przynajmniej muzyka nie była tak głośna.

– Jak można tu pracować i nie zwariować? – Tracy się skrzywiła.

Kierownik sali wzruszył ramionami.

– Po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja. Chcecie usiąść?

Na sam widok boks z czerwonymi siedzeniami miała ochotę się podrapać. Mogła sobie tylko wyobrażać, co wyprawiano na tym stole.

– Postoimy – powiedziała.

– Chodzi o Anielicę?

– Byłeś tu ostatniej nocy?

– Mhm. Obecnie dzielę swój czas między klub przy Aurorze i ten.

– Ostatniej nocy byłeś tutaj?

– Kierownik zadzwonił, że jest chory. Nienawidzę tego.

– Dlaczego?

– Dojazdy tu są koszmarem. Wszystko zakorkowane, nie ma gdzie zaparkować.

– Czyli twój macierzysty klub to ten przy Aurorze, tak? – spytał Kins.

– Tak.

– O której wyjechałeś z klubu we wtorek w nocy?

– Po zamknięciu. Czyli między drugą trzydzieści a drugą czterdzieści pięć.

– Ty go zamknąłeś, nie Nash? – spytała Tracy. Nash powiedział, że to on zamknął klub tamtej nocy.

Kotar wzruszył ramionami.

– To należy do obowiązków kierownika sali. A ja tamtej nocy pełniłem tę funkcję.

– Nash ci mówił, dokąd się wybiera?

– Pewnie do domu.

– Powiedział ci, że jedzie do domu?

– Nie.

– A ty dokąd pojechałeś po zamknięciu?

– Do domu.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Żona.

– Była w domu?

– Tak, mamy dwuletnią córeczkę.

– A co żona mówi na twoją pracę tutaj? – spytała Tracy.

Kotar wzruszył ramionami.

– Zarobki są w porządku, mam pełną opiekę medyczną i dentystyczną, a rano jestem w domu i mogę zawieźć dziecko do żłobka. Więc wszystko jest jak trzeba. Ludzie myślą, że praca tutaj to nie wiadomo co, ale tak naprawdę człowiek znieczula się na wszystko.

– Czym zajmuje się twoja żona?

– Pracuje na ranną zmianę w klubie fitness. Zaczyna pracę o wpół do szóstej.

– Wczoraj Veronica Watson była w pracy?

– Velvet? Tak – odparł Kotar i zamilkł. – Tak mi się zdaje, ale czasami noce zlewają się w jedną całość – dodał bez przekonania.

– Opowiedz mi o niej.

– Mogę to sprawdzić. – Nagle zmrużył oczy. – A czemu pytacie o Velvet? Coś jej się stało?

– Ile kobiet pracuje na jednej zmianie? – zadała kolejne pytanie Tracy.

– Zależy od dnia. W weekendy więcej. Dziewczyny wolą weekendy, bo wtedy dostają większe napiwki. W sumie mamy dziewięćdziesiąt kilka tancerek, które obsługują trzy kluby. Nie zawsze łatwo powiedzieć, która gdzie jest.

– Ile ich tu było ostatniej nocy?

– Wydaje mi się, że dziesięć, ale nie łapcie mnie za słowa.

– Potrzebna nam będzie dokładna informacja – zaznaczył

Kins.

Kotar zrobił niepewną minę.

– Będziecie musieli spytać o to Darrella.

– Dlaczego?

– Bo on tu wszystkim zarządza. To jego klub. – Obrzucił ich pytającym spojrzeniem. – Velvet nie żyje? Dlatego o nią pytacie?

– Tak, nie żyje – potwierdził Kins.

Kotar zaklął, przymknął oczy i głęboko westchnął.

- Kurczę. Znów ten sam facet?
- Co możesz nam o niej powiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Nie było z nią problemów. Wyglądało na to, że z wszystkimi się dogadywała, ale jak już wspominałem, to nie jest moje główne miejsce pracy. Miała świetne ciało, ale słyszałem, że ostatnio trochę przytyła i już nie była tak popularna jak kiedyś. Mimo to radziła sobie.

- Kto ci to powiedział?
- Że przytyła? Darrell.

To tylko dodatkowo utwierdzało Tracy w przekonaniu, że właściciel klubów traktował tancerki jak towar masowy, który wymienia się na nowy, gdy się zestarzeje, przytyje lub umrze.

– Zauważyłeś, żeby wczoraj któryś z klientów szczególnie się nią interesował? – spytała Tracy.

– Chyba pamiętam, że pracowała w jednym z boksów, ale nic szczególnego.

– A był tu może wysoki mężczyzna w garniturze? Ciemny blondyn. – Tracy powtórzyła rysopis podany Fazowi przez właściciela motelu, Jooną.

– Nie wiem. – Kotar wzruszył ramionami. – Może tancerki będą coś wiedziały. Wczoraj się dzieliła, to wiem na pewno.

– Co to znaczy?

– Że się dzieliła? Tancerki dzielą się z firmą częścią forsy zebranej z napiwków za prywatne występy w boksach.

– Firma im nie płaci? – spytała Tracy.

– W ten sposób zarabiają za tańce na stole i na kolanach. Na koniec dnia płacą firmie część i resztę zatrzymują dla siebie.

Pomyślała o kobiecie robiącej wygibasy na estradzie.

– A jak tańczą na scenie? Za to im też nie płacicie? – spytała.

– To się nazywa marketing i promocja. Wtykane banknoty dolarowe to napiwki.

– Czyli notujecie, ile każda tancerka wpłaca do kasy na koniec dnia? – zapytał Kins.

– Musimy. Skarbówka by nas dopadła, jeśli byśmy tego nie rejestrowali.

– Potrzebne nam będą nazwiska wszystkich, którzy tu wczoraj pracowali. Barmanów, kelnerów, pracowników ochrony, wszystkich – powiedział Kins.

– Jak mówiłem, muszę najpierw porozumieć się z Darrellem. Będzie zły.

– Tak? A dlaczego?

Kotar wyglądał na zmieszanego.

– Bo uzna, że psuje mu to biznes. Może wystraszyć niektóre dziewczyny.

Ale nie aż tak, żeby przestały jeździć z obcymi mężczyznami do moteli, pomyślała Tracy. Nawet w szczytowym momencie morderstw Ridgwaya prostytutka miała się jak zawsze dobrze. Dziewczyny musiały zarabiać na życie, nawet jeśli miały przez to zginąć.

– Czy Velvet przyjaźniła się z którąś z tancerek? – spytała.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Mogę poprosić. Możemy zorganizować spotkanie z dziewczynami, które tańczyły z nią wczoraj. Ale lepiej będzie poczekać do wieczora. Mogę zapytać, co jej się stało? Bo czytałem w gazecie, że Anielicę ktoś udusił.

– Czy Velvet dorabiała sobie na boku seksem? – zapytała Tracy.

– Tego nie wiem.

– Nie żartuj, Nabil – parsknęła. – To nie jest odpowiedni moment na chronienie reputacji jej czy klubu.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– Naprawdę. To nie moja sprawa. Może dziewczyny będą coś wiedziały. Ich spytajcie.

– A Darrell Nash był wczoraj w klubie?

– Przyszedł pod koniec.

– Po co?

– Rozejrzeć się, skontrolować bramkarza, poprosić, jak idzie.

– Często tak robi?

- To jego klub.
- Pytam, czy często tak robi.
- Czasami. Nie codziennie.
- O której przyszedł wczoraj?
- Jak się zjawia, to zwykle krótko przed zamknięciem.
- A wczoraj? Jak długo został?
- Wczoraj? Niedługo. – Kotar uniósł ręce. – Nie powinienem tego mówić. Nie wiem. Chciałem tylko wszystko zamknąć i pójść do domu. Nie zwróciłem uwagi.
- Zauważyłeś, żeby rozmawiał z którąś z tancerek?
- Darrell? – Kotar odwrócił wzrok, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią, a Tracy odniosła wrażenie, że celowo zwleka. – Nie, nie pamiętam, żeby z którąś rozmawiał – powiedział w końcu.
- Uchwyciła spojrzenie Kinsa; on też to zauważył.
- Wrócimy tu wieczorem, żeby porozmawiać z dziewczynami, które pracowały z Veronicą – zapowiedziała, wręczając Kotarowi wizytówkę.

Rozdział 18

Siedzibę koronera okręgu King przeniesiono z ponurego starego bunkra do Centrum Medycznego Harborview, nowoczesnego wieżowca z szerokimi korytarzami i przestronnymi pomieszczeniami, skąpanymi w świetle przedostającym się przez zewnętrzne ściany z przyciemnianego szkła. Tracy i Kins znaleźli Stuarta Funka wpatzonego w mikroskop w jednym z laboratoriów. Zadzwoił do nich w chwili, gdy opuścili Pink Palace i wyruszyli do Centrum Sprawiedliwości, by poinformować ich, że ma gotowy wstępny protokół badania toksykologicznego Angeli Schreiber i właśnie czeka na rodzinę Veroniki Watson, która ma zidentyfikować zwłoki.

Niektórzy funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości uważali Funka za dziwaka, ale Tracy go lubiła, a jego niechlujny wygląd przypominał jej ulubionego profesora chemii z college'u. Kosmyki rozwichrzonych siwiejących włosów sterczały mu na boki, zakrywając uszy, głowa zdawała się o wiele za duża dla jego wąskich ramion, krzaczaste brwi – o których Kins mawiał, że przydałaby im się kosiarka – wystawały znad srebrnych oprawek okularów. Zeznając przed sądem, Funk z reguły występował w muszce i tweedowej marynarce z łątami na łokciach. Przysięgli go uwielbiali.

Od razu zaczął podawać wyniki badań toksykologicznych Angeli Schreiber.

– Jak w przypadku Nicole Hansen, w jej krwi stwierdzono obecność flunitrazepamu.

– Rohypnolu – wtrąciła Tracy.

Użycie rohypnolu przez zabójcę stanowiło istotny szczegół, który mógł być przydatny w trakcie przesłuchań podejrzanych.

– Po związaniu ofiara może tylko przez jakiś czas pozostawać w takiej pozycji, bo następuje zmęczenie mięśni i zaczynają się skurcze. Jedynym sposobem na pozbycie się bólu jest wyprostowanie kończyn, a to powoduje zaciskanie pętli i odcięcie dopływu tlenu. W rezultacie dochodzi do utraty przytomności.

– Jak długo mogła to wytrzymać?

– Trudno powiedzieć, zwłaszcza że ofiara zмага się z silnym stresem.

– A te przypalenia na stopach? – spytał Kins.

– Bez wątpienia od papierosa – odrzekł Funk.

– Ale na stopach Nicole Hansen ich nie było?

– Nie.

– Czyli coś się zmieniło – powiedziała Tracy. – Jakieś inne ślady lub blizny, które wskazywałyby, że lubiła się tak zabawiać?

– Żadnych.

– Kiedy dostaniemy pełny raport toksykologiczny?

– Laboratorium obiecało się pośpieszyć. Także z wymazami z pochwy i kulturami bakterii. Ale nie sądzę, żeby była wykorzystywana seksualnie. – Koroner głęboko westchnął. Seryjny zabójca zmieniał wszystko. Stawka była wyższa, naciski na szybkie aresztowanie sprawcy rosły w tempie wykładniczym, konsekwencje popełnionego błędu, w wyniku którego morderca pozostawał na wolności, mogły być fatalne.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Chyba powinniśmy się spotkać z rodziną Veroniki Watson.

Funk odjechał z fotelem od biurka.

– Shirley i Lawrence Berkmanowie. Mieszkają w Duvall.

– Widziałeś się już z nimi? – spytała Tracy.

Pokręcił głową.

– Nie, rozmawiałem tylko przez telefon z matką.

– Jak to przyjęła?

– Sprawiała wrażenie wstrząśniętej. Z ojcem nie rozmawiałem.

– Ojczymem – poprawił go Kins. – Wygląda na to, że to przez niego uciekła z domu.

Koroner poprowadził ich nowiutkim jak spod igły korytarzem i pchnął drzwi do poczekalni dla rodzin. Była wygodnie urządzona, dyskretnie oświetlona i stanowiła zdecydowaną zmianę na lepsze w stosunku do zimnego i odpychającego pomieszczenia w dawnej siedzibie. Na odgłos otwierających się drzwi od okna odwróciła się para w średnim wieku. Tracy oceniła Shirley Berkman na kobietę pięćdziesięciokilkuletnią, która stara się wyglądać na trzydzieści parę. Miała na sobie zbyt obcisłe dżinsy z nogawkami wepchniętymi do czarnych kozaków do kolan, spod białej bluzki wyzierała obsypana piegami klatka piersiowa. Była mocno umalowana, ręce zdobiło kilka masywnych bransoletek i pierścionków, i Tracy przemknęło przez myśl pytanie, czy tak wyglądała w chwili otrzymania wiadomości o śmierci córki, czy przed wyjazdem do miasta zajęła się najpierw swym wyglądem.

Lawrence Berkman miał bujną siwą czuprynę i krótko przyciętą brodę. Był w czarnej skórzanej kurtce z kolorowymi naszywkami i zaprasowanych w kant dżinsach z nogawkami wyrzuconymi na kowbojki. Tak jak żona, bardzo lubił ozdoby w postaci pierścieni i bransoletek oraz – jeśli wierzyć Earlowi Keenowi – swą młodą pasierbicę.

Funk przedstawił najpierw siebie, potem Tracy i Kinsa. Shirley Berkman podała im omdlewającą rękę, Lawrence trzymał dłoń na jej plecach, jakby się bał, że żona upadnie.

– To na pewno Veronica? – zwrócił się do Kinsa.

– Tak myślimy.

– Będę musiał prosić o jej identyfikację – wtrącił Funk.

– To wy ją znaleźliście? – spytała Shirley.

– My.

– Co jej się stało? – zapytał Lawrence, w którego głosie Tracy słyszała cień teksańskiego akcentu, a także wyraźną irytację.

– Będzie na to czas później – rzucił Kins.

Funk wygłosił swój dobrze przećwiczony wstęp o szoku, jaki towarzyszy zobaczeniu w tych okolicznościach kogoś bliskiego, i uprzedził, że może im się zrobić słabo. Wyjaśnił, że ciało Veroniki znajduje się w pomieszczeniu identyfikacyjnym i jest przykryte prześcieradłem.

– Poczekam na wasz sygnał, że jesteście gotowi – powiedział. – Odkryję tylko twarz.

Berkmanowie pokiwali głowami na znak, że rozumieją, i Funk wprowadził ich na salę; Tracy i Kins z szacunku dla majestatu śmierci zostali nieco z tyłu. Nawet najłagodniejsze oświetlenie nie mogło ocieplić brutalnej wymowy stołów i zlewów ze stali nierdzewnej. Leżące na podłodze linoleum o lustrzanym połysku odbijało lampy jarzeniowe na suficie, tworząc nieco mylący obraz.

Ludzie Funka ułożyli ciało Veroniki na stole najdalszym od drzwi. Choć było w całości okryte prześcieradłem, Kins nie miał wątpliwości, że stężenie pośmiertne ustąpiło na tyle, by dało się rozprostować jej kończyny. Z ulgą pomyślał, że matka nie będzie musiała oglądać powykręcanego i skulonego ciała córki.

Shirley Berkman podeszła do stołu z rękami skrzyżowanymi na piersiach, Lawrence obejmował ją ramieniem. Funk stanął po drugiej stronie stołu i położył dłoń na prześcieradle. Shirley lekko kiwnęła głową i Funk przesunął je w dół. Ręka kobiety gwałtownie wystrzeliła ku twarzy; Shirley zakryła sobie usta, a po jej policzkach popłynęły cicho łzy, ale nie odwróciła głowy i nie zemdląła. Nie wydała też żadnego okrzyku. Wyglądała tylko na rozpaczliwie przybitą i Tracy nie mogła opędzić się od myśli, że kobieta dokładnie sobie tę scenę ułożyła w głowie.

– To Veronica – powiedział Lawrence, marszcząc czoło i nie roniąc ani jednej łzy.

Funk już zaczynał zaciągać z powrotem prześcieradło, gdy Shirley wyciągnęła rękę i koroner odstąpił krok do tyłu. Kobieta strząsnęła z ramienia rękę męża i nachyliła się nad ciałem córki.

– Shirly – sapnęła Lawrence.

Ignorując go, lekko pogładziła czoło i policzki Veroniki i delikatnie musnęła jej włosy. Robiła to ze stężoną od smutku twarzą, jakby przeżywała w myślach jakieś wspólne chwile z córką. Tracy odebrała ten widok tak, jakby ktoś walnął ją pięścią w klatkę piersiową, i poczuła, że się rumieni. Zaszło jej w gardle, oczy nabiegły łzami. Jej i rodzicom nigdy nie było dane tak pożegnać się z Sarą. Wyrzucała sobie, że w chwili uprowadzenia nie było jej przy siostrze. A teraz miała poczucie winy, że nie złapała Kowboja, zanim miał okazję zabić ponownie, zadając ból kolejnej rodzinie i pogrążając ją w rozpacz. Zauważywszy, że się rozkleja, Kins obrzucił ją surowym spojrzeniem i Tracy siłą woli się opanowała.

Shirley ostatni raz ucałowała policzek córki, otarła łzy i cofnęła się od stołu. Funk przykrył twarz prześcieradłem.

– I co teraz? – spytał Lawrence.

– Przeprowadzimy autopsję – odparł Funk.

– Dlaczego? Po co?

– Musimy poznać przyczynę śmierci – powiedział koroner.

– Trzeba ustalić przyczynę i godzinę zgonu oraz sprawdzić, czy istnieją jakieś dowody, których dotąd nie znamy, a które mogą rzutować na okoliczności jej śmierci – wyjaśnił Kins.

– Lub doprowadzić nas do tego, kto to zrobił – dodała Tracy.

– To ten jej pieprzony kochaś – burknął Lawrence, mrużąc oczy i wpatrując się w Tracy. – To on ją w to wrobił, w ten styl życia. Cholera, po prostu weźcie go i aresztujcie. Jak się ten zasraniec nazywa?

– Taggart. Bradley Taggart – bąknęła zmęczonym głosem Shirley i wytarła sobie kąciki oczu papierową chusteczką.

– Sypiał z nią, kiedy miała piętnaście lat, ale wyście nic nie zrobili, by temu zapobiec. I bił ją. Oto wasz podejrzany. Idźcie i z nim porozmawiajcie.

– Zamierzamy – powiedziała Tracy. Odsunęła się w bok, by zejść Lawrence'owi z linii ognia. – Pani Berkman, czy wiadomo pani, żeby córka spotykała się z kimś innym oprócz Taggarta? Wspominała pani o kimś?

Shirley pokręciła głową.

– Za często nie gadałyśmy – przyznała.

– Ten jej kochaś nie pozwalał jej na kontakty – dorzucił Lawrence. – Nie mogliśmy nawet dzwonić.

– A jacyś dawni chłopcy, którym założyła za skórę? – zapytał Kins.

– Miała piętnaście lat, gdy się do niego wprowadziła – powiedział Lawrence. – Nie miała żadnych innych chłopaków.

– A może słyszeliście o jakichś jej wrogach? – Tracy nie rezygnowała. – Wspominała kiedyś, żeby ktoś za nią łąził, gnębił ją w pracy?

– Nie, nikt. – Pierś Shirley gwałtownie zafalowała, ale się opanowała. – Veronica była dobrą dziewczyną. Prowadziła złe życie, ale nie była zła.

– Nie wątpię. – Tracy pokiwała głową.

– Gdzie ją znaleźliście?

– W pokoju motelowym przy Aurora Avenue – odparła Tracy.

Po policzkach Shirley Berkman popłynęły łzy, żłobiąc ślady w jej make-upie. Mąż podszedł do niej, by ją pocieszyć, ale wywinęła mu się i ruszyła do wyjścia, zostawiając go samego i nieco zagubionego. Chwilę się jeszcze wahał, po czym poszedł za nią, stukając kowbojkami po linoleum.

Rozdział 19

Zimny powiew znad Zatoki Elliotta działał orzeźwiająco i Tracy łapczywie wciągała powietrze, bo po wyjściu z biura koronera wciąż jeszcze odczuwała duszności.

Dotarli do samochodu, Kins otworzył drzwi od strony kierowcy, ale nie wsiadł.

– Co to miało być, tam w środku? – burknął.

– Kins, czy ja popełniłam błąd, wyjeżdżając do Cedar Grove?

– Nie zadręczaj się.

– Może należało zostać. Może gdybym wtedy została, już byśmy go mieli.

– To nie twoja wina. Nie podchodź do tego tak osobiście. To Nolasco zdecydował o odłożeniu sprawy na półkę. Odebrał nam ją, żeby ci dopiec. Musiałaś pojechać do Cedar Grove i nie znam nikogo w policji, kto nie zachowałby się dokładnie tak samo. Miałaś święte prawo dowiedzieć się, co się stało z twoją siostrą.

Pokiwała głową, ale zapewnienia kolegi nie uśmierzyły bólu, z jakim patrzyła na pożegnanie Shirley Berkman z córką. Wiedziała, że nawet jeśli aresztowanie i skazanie Kowboja może dać rodzinom ofiar pocucie, że sprawiedliwość została wymierzona, i tak nigdy nie pozwoli im zapomnieć.

Wiedziała to po sobie.

* * *

Policyjne Laboratorium Kryminalistyczne Stanu Waszyngton mieściło się w długim, przysadzistym betonowym baraku w rejonie zwanym SoDo – przemysłowej dzielnicy na południe

od centrum miasta. Idąc kolejnymi korytarzami i zbliżając się do gabinetu Michaela Meltona, w pewnej chwili usłyszeli kojące dźwięki gitary i równie ciepły męski głos.

– *Country Roads* – rozpoznał melodię Kins.

Drzwi gabinetu były na oścież otwarte i na widok stojących w nich detektywów Meltonowi nawet nie zadrżały palce, a z gitary nie dobył się żaden fałszywy dźwięk. Dograł frazę do końca i zakończył efektownym riffem.

– Co słysząc u moich ulubionych śledczych?! – wykrzyknął.

– Wiem, że nie do mnie to mówisz – burknął Kins.

Tracy zmusiła się do uśmiechu.

– Szykujesz się do następnego występu? – spytała.

Melton grał i śpiewał w zespole country o nazwie The Fourensics, składającym się poza nim z jeszcze trzech pracowników laboratorium. Występowali w miejscowych barach i na małych imprezach, a także na dorocznym koncercie charytatywnym na rzecz ofiar przestępstw. Melton wyznał kiedyś Tracy, że muzyka pozwala mu nie zwariować w tym zwariowanym świecie. Wyglądem przypominał drwala prosto z lasu. Miał strzechę związanych w kitkę siwiejących włosów i krzaczastą brodę, ubrany był we flanelową koszulę z rękawami podwiniętymi tak, że widać było ramiona, masywne, jakby całe życie spędził na rąbaniu drewna.

– Nie mam w kalendarzu nic, ale znacie mnie – powiedział. – Jeśli tylko będzie jakieś piwo, to już jestem.

Powiesił gitarę na kołku sterczącym ze ściany pośród wielu pamiątek z dawnych spraw, z którymi miał do czynienia – kijów baseballowych, młotków, noży, różnych sztuk broni, a nawet procy.

– Ale pewnie nieprędko – dodał. – Jesteśmy tak zaważeni robotą, że ledwo widzimy na oczy.

Wręczył im protokół badania sznura znalezionej na strzelnicy oraz tego, którym uduszono Veronicę Watson.

– Który najpierw? – spytał.

– Zaczniemy od sznura ze strzelnicy – odparł Kins.

- Typowy, trzyżyłowy, prawoskrętny z polipropylenu.
- Czyli taki, jakim uduszono Hansen i Schreiber – zauważył Kins.
- Ten sam rodzaj.
- Czy jesteś w stanie stwierdzić, że pochodziły z jednego zwoju?
- Nie mam pewności. Końce były zbyt wystrzępione.
- A gdybyś musiał zgadywać?
- Powiedziałbym, że nie.
- A nazwa producenta?
- Sznur zbyt powszechnie używany. Do kupienia praktycznie wszędzie.
- A węzeł? – spytała Tracy.
- Inny. Zdecydowanie różni się od tych na Hansen i Schreiber. Nie jest tak skomplikowany. – Melton podał im fotografie.
- I co z tego wynika?
- Na szczęście to nie mój kłopot.
- A ten ktoś, kto go zawiązał, był prawo- czy leworęczny?
- Zbyt pospolity, by wyciągać takie wnioski.
- Czyli zawiązanie go nie wymagało specjalnych umiejętności? – dopytywała się Tracy.
- Żadnych – potwierdził Melton.
- Może zrobił to celowo – zwróciła się do Kinsa. – Może chciał nas wywieść w pole.
- Może – przyznał. – A co ze sznurem na Veronice Watson?
- Też standardowy, trzyżyłowy, polipropylenowy, prawoskrętny. Gdybym musiał się wypowiedzieć, powiedziałbym, że pochodzi z tego samego zwoju co sznur Schreiber, ale znów: to tylko moje domysły. Natomiast węzeł jest identyczny jak te na sznurach Nicole Hansen i Angeli Schreiber.
- Nie masz wątpliwości?
- Żadnych.
- Czyli ktoś leworęczny.
- Zdecydowanie – odrzekł Melton.

– Kiedy możemy liczyć na wyniki analizy DNA? – spytała Tracy.

– Potrzebuję jeszcze co najmniej doby, i to tylko wtedy, jeśli nadam temu pierwszeństwo.

Tracy westchnęła.

– No to powiedz mi, Mike. Jak mamy dopaść tego drania?

– To na szczęście znów nie leży w zakresie moich obowiązków. Miejmy nadzieję, że popełni jakiś błąd. Wszyscy je popełniają. Pytanie tylko kiedy.

Rozdział 20

Billy Williams zadzwonił, by ich poinformować, że Maria Vanpelt doniosła w specjalnej audycji, że w Seattle grasuje kolejny seryjny zabójca, nazywany Kowbojem, i że policja już utworzyła grupę zadaniową w celu schwytania go.

– Miło z jej strony, że nas o tym powiadomiła – prychnęła Tracy, nie umiejąc ukryć rozdrażnienia.

– Szefostwo zbiera się na odprawie i prosi, żebyście też wzięli w niej udział.

– Prosi? Czy to znaczy, że możemy odmówić?

– Nie – odparł Billy.

* * *

W Centrum Sprawiedliwości Tracy i Kins wymknęli się najpierw do kuchni, bo od śniadania nie mieli nic w ustach. Kins wrzucił dwa dolce do puszki na cele społeczne i wziął z półki torbę czipsów Doritos i opakowanie kruchych ciasteczek Famous Amos.

– Wolisz z wysoką zawartością tłuszczu czy z niską? – zwrócił się do Tracy.

– Znasz mnie wystarczająco długo, żeby nie pytać. – Pokazała ciasteczka. – Dla mnie czekoladowe.

Pojechali na siódme piętro i weszli do bezbarwnej sali konferencyjnej bez jakichkolwiek ozdób na ścianach. Nolasco siedział przy końcu stołu, plecami do przyciemnianych okien. Uniósł głowę znad stosu papierów i przyjrzał się Tracy i Kinsowi ponad okularami. Zdaniem pracujących w komendzie kobiet,

Nolasco z przedziałkiem pośrodku głowy, włosami w kolorze błota i sięgającymi poniżej kącików ust krzaczastymi wąsami wyglądał jak podstarzały gwiazdor porno z lat siedemdziesiątych. Obok niego siedzieli Bennett Lee, rzecznik prasowy komendy policji w Seattle, Billy Williams i Andrew Laub, porucznik z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych.

Kins i Tracy podeszli do wolnych miejsc i Lee przesunął ku nim po stole dwie kartki.

– Co to jest? – spytała Tracy.

– Clarridge ma złożyć oświadczenie dla mediów – odparł Nolasco, zdejmując okulary i kręcąc nimi młynka. Miał na myśli Sandy’ego Clarridge’a, komendanta. – Będzie mu towarzyszył burmistrz. Obaj panowie są bardzo poruszeni najświeższymi wiadomościami.

– To znaczy? – rzuciła, siadając.

– Że mamy kolejnego seryjnego zabójcę... i mają wątpliwości, czy jesteśmy w stanie go schwytać.

– Znów ta Super Glue? – spytała Tracy, używając ksywy nadanej Marii Vanpelt przez śledczych.

– To bez znaczenia – burknął Nolasco.

– Trudno ją nazwać fontanną prawdy. – Tracy wsunęła do ust kolejne ciasteczko.

– Umiałyby przedstawić zjazd buddystów jako potajemne spotkanie terrorystów – dodał Kins.

– Któreś z was ma ochotę osobiście wyjaśnić to komendantowi? – burknął Nolasco.

– A po to tu jesteśmy? – spytała Tracy.

– Jesteście tu po to, żeby mnie poinformować o ostatnim zabójstwie i o tym, jak się ono łączy z poprzednimi dwoma – odparł. – I oczekuję wersji jak do „Reader’s Digest”, bo nie mam dużo czasu.

– Ten sam rodzaj sznura, jakiego użyto do zabicia Hansen i Schreiber – powiedziała Tracy. – Nie potrafimy stwierdzić, czy pochodzi z tego samego zwoju, ale nie ma wątpliwości co do węzła. Wszystkie wykonał ten sam człowiek. Prawdopodobnie

leworęczny. Pokój wysprzątny, łóżko zasłane, ubrania równo złożone. Nie znamy jeszcze wyników badania DNA. Ze sznura nie da się zdjąć odcisków palców, ale Melton mówi, że w pokoju znaleziono ich tyle, że starczyłoby na całą wioskę. To jeszcze potrwa.

– Czyli mamy seryjnego zabójcę – stwierdził Nolasco.

– Mieliśmy go już wcześniej.

– Może powinniśmy się zająć treścią oświadczenia – wtrącił Lee, biorąc do ręki kartkę. – Czas nas nagli.

Autor oświadczenia – kimkolwiek był – opisywał wszystkie trzy zabójstwa bez wdawania się w szczegóły i nie wspominał nawet o sznurze i pętli.

– To mediów nie zaspokoi – zauważyła Tracy.

– Nie jesteśmy od zaspokajania mediów – burknął Nolasco.

– Ale już wiedzą, że Hansen i Schreiber zostały uduszone pętlą na szyi – przypomniała. – Domyślą się, że Watson też zginęła w ten sposób.

– Celowo nie chcę wdawać się w szczegóły.

– To się panu udało.

– A co, coś ci się nie podoba?

– Mnie nie, tylko że odczyta to Clarridge i media pomyślą, że ukrywa przed nimi coś ważnego. Zaczną go wypytywać o szczegóły, a on nie będzie umiał odpowiedzieć i zrobi się głupio. – Wzruszyła ramionami. – Ale to pańska decyzja.

Nolasco zabrał się ponownie do czytania oświadczenia. Pocierał przy tym wąsy palcem wskazującym, co było oznaką, że myśli. Po niecałej minucie odłożył tekst i zetknął końce palców, układając je w piramidkę tuż pod ustami.

– To co proponujesz? – spytał.

– Nie ma powodu ukrywać, że Watson uduszono takim samym sznurem – powiedziała.

– Też tak myślę – wtrącił Kins. – Dzięki Super Glue i tak wszyscy już wiedzą.

– Ale utajniłabym szczegóły dotyczące węzła, sposobu uduszenia ofiary i wyglądu pokoju – dodała Tracy. Umilkła

i powróciła wzrokiem do fragmentu, w którym była mowa o powołaniu grupy zadaniowej. – Bennett, ty zajmiesz się mediami?

– Ja – odparł Lee z miną świadczącą o tym, że nie sprawia mu to szczególnej satysfakcji. Zadanie rzecznika prasowego w śledztwie dotyczącym seryjnego zabójcy jest jak balansowanie na linie w huraganowym wietrze, kiedy każdy następny krok może się zakończyć katastrofą. Powie o jedno słowo za dużo i nie tylko media nabiorą czujności, ale też zabójca. Powie za mało, to prasa od razu uzna, że policja nie robi postępów lub coś ukrywa. Tracy uważała Lee za udanego rzecznika. Wiedziała, że potrafi się trzymać uzgodnionego scenariusza, kontrolować swoje miny i ton głosu i ujawniać niewiele ponad to, co zostało zawarte w przygotowanym komunikacie.

W ostatnim akapicie znalazło się obowiązkowe zapewnienie pod adresem miejscowej społeczności, że w śledztwo zaangażowano wszelkie dostępne siły i środki... w tym także miejscowe biuro FBI.

– Co u diabła? – parsknął Kins. – Kto wpadł na pomysł, żeby wciągać w to federalnych?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do sali wszedł Clarridge w towarzystwie Stephena Martineza, zastępcy komendanta do spraw przestępstw kryminalnych. Obaj byli ubrani w standardowe niebieskie koszule z krótkimi rękawami, Clarridge z czterema gwiazdkami na kołnierzyku i złotą odznaką komendanta przypiętą na lewej piersi. Zawsze wkładał mundur, gdy wchodził na mównicę. Było to jego osobiste przesłanie mówiące: „Wciąż jeszcze jestem gliną”, choć na stanowisku komendanta może już niedługo. Szeptano po kątach, że niedawno wybrany burmistrz, który nie mianował Clarridge’a na to stanowisko, traci do niego cierpliwość.

– To jest to oświadczenie? – spytał Clarridge po powitaniach.

Lee wstał, wręczył kopie jemu i jego zastępcy i komendant zabrał się do czytania, postukując palcami w blat stołu. Tracy

zerknęła na Kinsa, który siedział naburmuszony z powodu decyzji Nolasco o dopuszczeniu FBI do sprawy.

– Szefie, proponuję, byśmy nie ukrywali tego, że morderca dusi swoje ofiary sznurem – powiedział Nolasco, gdy Clarridge odłożył kartkę. – Wiadomość o tym i tak się już rozniosła, a jeśli to ukryjemy, media będą pana męczyć o szczegóły, których nie chcemy na razie ujawniać.

Komendant spojrział przez stół na Tracy.

– Detektyw Crosswhite – powiedział. – To wasze śledztwo. Zgadza się pani z tym?

– Myślę, że to świetny pomysł – odparła. Lee spuścił głowę, ale nie udało mu się ukryć uśmiechu. – Unikałabym też słów „striptizerka” czy „prostyutka”. Te kobiety były tancerkami. A najlepiej nazywać je ofiarami.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

* * *

Przez następne dwadzieścia minut Clarridge uważnie słuchał, zadawał inteligentne pytania i robił notatki na odwrocie kartki z oświadczeniem. Tracy szczegółowo przedstawiła okoliczności zabójstw, zebrany materiał dowodowy i listę możliwych podejrzanych. Było już po godzinach, klimatyzacja w budynku działała na pół gwizdka i zrobiło się duszno. Policzki komendanta zarumieniły się i kontrastowały z jego bladą słowiańską karnacją.

– Czyli praktycznie nie mamy wątpliwości, że to jeden i ten sam człowiek – powiedział.

– Tak jest.

– Ktoś szczególnie zawzięty na tancerki?

– Być może. To może być przypadek, ale rzeczywiście wszystkie trzy były tancerkami.

– Kogo bierzemy pod uwagę? Personel? Klientów?

– Jednych i drugich – odparła Tracy. – Dokonujemy dokładnego przesiewu wszystkich zatrudnionych mężczyzn

i sprawdzamy wszelkie wcześniejsze wykroczenia. Ale w klubach pracuje blisko setka tancerek i istnieje system rezerwacji online, za pomocą którego klienci mogą zamawiać swoje ulubione. Zabójca może się nawet nie pokazywać w żadnym z klubów. Może umawiać się z ofiarami przez internet.

Clarridge na chwilę się zamyślił, zapewne wyobrażając sobie dodatkowe koszty, jakie trzeba będzie ponieść, jeśli przyjdzie mu zatrudnić specjalistów od internetu.

– Jakies inne poszlaki poza wskazówkami wynikającymi z miejsc przestępstwa? – zwrócił się bezpośrednio do Tracy i Kinsa.

– Technicy uważają, że osoba, która wykonała węzły, może być leworęczna.

– To mogłoby znacznie skrócić listę podejrzanych – zauważył komendant.

– Mogłoby – odparła. – Sęk w tym, że ta lista i tak już jest bardzo krótka.

– Musimy to zmienić. Wydzielę odpowiednie fundusze, tak by stworzyć oddzielną grupę zadaniową.

U Tracy wywołało to mieszane uczucia. Cieszyło ją, że powstanie specjalny zespół do schwytania Kowboja, ale jednocześnie wiedziała, że oznacza to mnóstwo długich dni i wieczorów w pracy oraz frustrujących ślepych zaułków. Wiedziała też, że praca może trwać całe lata bez widocznego sukcesu, co wywrze znaczący wpływ na jej życie.

– Detektyw Crosswhite, martwi mnie to, że w związku z pani rodzinną tragedią i niedawnym incydentem ze sznurem z pętlą może pani podchodzić do tej sprawy zbyt osobiście – powiedział komendant. – Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej powierzyć kierowania śledztwem detektywowi Rowe'owi. A to, jak rozdzielicie między siebie obowiązki, to już wasza sprawa.

Tracy zjeżyła się w duchu i już miała głośno zaprotestować, że choć Kins jest świetnym kandydatem, to chce się tym zająć sama. Obawiała się też, że małżeństwo Kinsa nie wytrzyma

dotatkowego obciążenia w postaci obowiązku kierowania śledztwem. Ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo ubiegł ją Nolasco.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale jestem innego zdania.

Zaskoczona tymi słowami Tracy spojrzała na Kinsa, którego mina też wyrażała zdziwienie.

– Myślę, że powierzenie kobiecie kierowania grupą, której zadaniem będzie schwytanie mężczyzny mordującego kobiety, zostanie dobrze odebrane przez media i społeczeństwo. Może dzięki temu unikniemy takich zarzutów, jakie kierowano pod adresem biura szeryfa okręgu King w trakcie śledztwa w sprawie Ridgwaya. – Nolasco zapomniał wspomnieć o krytyce, z jaką policja spotkała się po jego pochopnej decyzji o przeniesieniu śledztwa dotyczącego zabójstwa Nicole Hansen do wydziału spraw dawnych.

Clarridge skubnął dolną wargę i spojrzął na Tracy.

– Co pani na to, detektyw Crosswhite?

– Chcę poprowadzić to śledztwo, panie komendancie.

– A więc załatwione. – Skinął głową. – Zatem to wasza grupa zadaniowa. Nie muszę chyba przypominać, że to miecz obosieczny.

– Zrozumiałe – potwierdziła Tracy.

– Panie komendancie – odezwał się Kins – czy możemy porozmawiać o pomysle włączenia w to FBI? Wszyscy wiemy, że społeczeństwo i politycy odnoszą się do takich decyzji bardzo przychylnie, ale ci ludzie nie mają nic wspólnego z zabójstwami, a z seryjnymi zabójcami zetknęli się tylko w książkach i w kinie. Szczerze powiem, że wolałbym już pracować z drużyną skautów.

– W tej sprawie mają znaczenie także inne względy – wtrącił Nolasco. – Powołanie grupy zadaniowej będzie kosztowne, a FBI może nam zapewnić dodatkowych ludzi i fundusze federalne. I to dobrze działa na PR. Daje społeczeństwu do zrozumienia, że wykorzystujemy wszelkie dostępne środki.

Clarridge znów na chwilę się zamyślił.

– Ogłaszając powołanie grupy zadaniowej, powiem, że FBI będzie nam pomagało w śledztwie. Oboje z detektyw Crosswhite

możecie albo trzymać ich na dystans, albo wciągnąć do bieżącej pracy. Zależy to od was. – Spojrzał na zegarek. – Kończymy, bo muszę się przygotować do konferencji prasowej.

Po wyjściu Clarridge'a i Martinezza kapitan Nolasco zwrócił się do Tracy:

– Przed pójściem do domu zostaw mi na biurku listę nazwisk proponowanych do grupy zadaniowej. I nie wypisuj pięćdziesięciu. Najwyżej piętnaście. To nie będzie drugi Ridgway. Zabieraj się do pracy. Już mamy opóźnienie i nie chcę zwlekać ani chwili dłużej. Znajdźcie i schwytajcie tego skurwiela.

Po jego wyjściu Kins spojrzał porozumiewawczo na Tracy.

– Ten gość naprawdę umie człowieka zmotywować, co? Winston Churchill mógłby mu buty czyścić.

– Niestety, on ma rację – powiedziała Tracy. – Ten facet zostawił nas daleko w tyle, a coś nagle wyzwoliło w nim żądzę zabijania. Jeśli nie schwytemy go odpowiednio szybko, to rzeczywiście może się to skończyć drugim Ridgwayem.

Rozdział 21

W samochodzie wałały się zatłuszczone opakowania po hamburgerach. Kins zatrzymał się po drodze u Dicka, w hamburgerowni dla zmotoryzowanych na Capitol Hill, tłumnie odwiedzanej przez starających się zaoszczędzić choćby parę centów studentów college'u. Dla Tracy jedyną zaletą tego miejsca było to, że do koktajli mlecznych dodawano prawdziwej śmietanki, a lokal był otwarty do pierwszej w nocy.

Dan zadzwonił akurat w chwili, gdy wciągała przez słomkę haust truskawkowego koktajlu. To, że dzwonił o tak późnej porze, musiało znaczyć, że wysłuchał komunikatu Clarridge'a o utworzeniu grupy zadaniowej i widział wywiad Marii Vanpelt z Shirley i Lawrence'em Berkmanami, którzy żalili się na policję z Seattle, że nie powołała takiego zespołu wcześniej, i pewnie chciał się upewnić, że u niej wszystko w porządku.

– Mógłbym przyjechać i zostać na noc – zasugerował.

– Proponujesz mi seks z litości?

Siedzący za kierownicą Kins zachichotał.

– Ani trochę – zaprzeczył Dan. – Moje spotkanie w sprawie arbitrażu zacznie się dopiero o dziesiątej. Ci ludzie przestrzegają godzin bankowych. Chyba że życzysz sobie seksu z litości. Wtedy jak najbardziej.

Tracy się roześmiała i poczuła odrobinę lepiej po kończącym się długim i trudnym dniu.

– Niestety, wciąż jeszcze jestem w pracy.

– Jako adwokat wyrażam nadzieję, że płacą ci za nadgodziny.

– Jak ci idzie ta sprawa arbitrażowa?

– Powoli. Adwokat tamtej strony walczy o każdy przecinek. Muszę chyba przejść na stawki godzinowe zamiast honorarium za całość.

– I zaprzedać swoją duszę?

– Przy stawkach, jakie niektórzy sobie liczą, byłoby mnie stać na kupno nowej. Piątek wieczór aktualny?

– Pod warunkiem że nadal będziesz w litościwym nastroju.

– Żartujesz? Mam dyplom z litości. Masz pomysł, co moglibyśmy robić?

– Kilka.

– Dręczysz mnie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

– Do zobaczenia w piątek.

Rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni kurtki.

Kins odjął od ust szklankę z koktajlem czekoladowym.

– Seks z litości? Jak to wygląda?

– Opowiem ci – parsknęła, nie przestając się uśmiechać.

– Bo mógłbym wspomnieć o tym Shannah.

– Sytuacja w domu wciąż jest napięta?

– Jesteśmy jak dwa mijające się w nocy statki. Mamy trudny okres. A to śledztwo też nam nie pomoże.

– Poradzisz sobie.

– Mówi o zabranii dzieci do San Diego w odwiedziny u siostry.

– To nie brzmi najgorzej.

– Ale one mają szkołę, Tracy.

– Mhm.

– Ostatnio za dużo mnie omija. Zawody dzieci, kolacje z przyjaciółmi. Shannah czuje się jak samotna matka.

– Więc urywaj się, kiedy tylko możesz. Przyjdą nowi ludzie i trochę nam ulżą.

– No... chyba tak. A jak u ciebie? Układa ci się z nim?

Wzruszyła ramionami, ale na jej twarzy znów pojawił się uśmiech.

– Wolniutko.

– Seks z litości jest wolniutki? Cholera, naprawdę muszę się dowiedzieć, jak to działa.

– Od powrotu z Cedar Grove nie mieliśmy razem zbyt dużo wolnego czasu. Obawiam się, że jeśli zaczniemy częściej się widywać, przejrzy przez moją fasadę uroku.

– A ty masz taką fasadę?

– Pierdol się.

– I jak on mógłby cię nie kochać.

* * *

Nad wybrukowaną kocimi łbami uliczką prowadzącą przez zadaszony Targ Rybny tańczyły skrawki papieru podrywane podmuchami wiatru znad zatoki. Przed klubem Pink Palace stał tym razem inny bramkarz – starszy i o groźniejszym wyglądzie niż tamten znudzony młodzieniec z popołudnia – który na widok zatrzymującego się samochodu oderwał się od ściany i podszedł do krawężnika.

– Tu nie wolno parkować – burknął i klepnął maskę otwartą dłonią.

Kins błysnął odznaką.

– Klepnij jeszcze raz, to cię przykuję do zderzaka – zagroził, a bramkarz uniósł ręce i cofnął się pod ścianę. – Miej na niego oko, to dostaniesz suty napiwek.

W klubie trwała zabawa na całego. Światła błyskały, muzyka atakowała uszy tym samym dudniącym rytmem eurotechno co po południu. Estradę okupowały teraz dwie kobiety – Azjatka z dziwnie ufarbowanymi włosami i roślejsza Afroamerykanka, która po południu stała za barem. Obie podrygiwały, przykucwały i potrząsały czym się dało. Azjatka kręciła się na rurze zaczepiona jedną nogą, a mężczyźni zachęcali ją okrzykami i dolarowymi banknotami wpychanymi do majtek. Inne tancerki na wysokich obcasach i w skąpej bieliźnie kręciły się wśród stolików.

Tracy powiodła wzrokiem po twarzach mężczyzn, ignorując tych bardziej ożywionych i krzykliwych i skupiając uwagę na gościach siedzących przy stolikach pod ścianą i sączących drinki. Przyglądając się, czy jest wśród nich ktoś leworęczny, szukała wysokiego ciemnego blondyna w garniturze. Mężczyzna w bejsbolówce wciśniętej na czoło tak nisko, że niemal zakrywała mu oczy, był mimo panującego upału ubrany w grubą dżinsową kurtkę. Dwaj w narożnym boksie siedzieli wpatrzeni w tancerkę, która wiła się na ich stole prawie naga.

Nabil Kotar czekał na nich przy barze, sprawiając wrażenie zniecierpliwionego.

– Dobra, chodźcie za mną – burknął i poprowadził ich do oddzielnego kotarą małego i ciasnego zaplecza za estradą. Obeszli metalowe stojaki z wiszącą mikrobielizną, zwoje kabli, zapasowe lampy i sprzęt nagłaśniający. Idąc przodem, Kotar mówił przez ramię:

– Trzy zadzwoniły, że są chore. Inna tak się wystraszyła, że zapowiedziała, że kończy z tym i wynosi się do Kolorado. Nawet nie chce wyjść z garderoby.

– Był tu dziś Nash? – spytała Tracy.

– Ja go nie widziałem. Z dziewczynami będziecie musieli rozmawiać w przerwach między ich występami na estradzie i na sali.

– Pracowały z Veronicą?

– Trzy z nich. I czwarta, która w tym momencie jest na estradzie.

Poszli za Kotarem do ciasnej i zagraconej garderoby. Siedząca przed lustrem i nakładająca sobie na rzęsy mascarę rudowłosa dziewczyna z nagim biustem nawet nie drgnęła na ich widok. Blondynka na składanym krzeselku przed drugim lustrem ściągnęła poły czerwonego jedwabnego szlafroka. Trzecia z kobiet, w przejrzystym szlafrocuku, który nie zostawiał patrzącemu zbyt dużego pola wyobraźni, grzebała wśród wiszącej na stojaku bielizny.

– To są ci detektywi z policji – oznajmił Kotar, po czym zwracając się do Tracy i Kinsa, dodał: – Zorganizuję wam krzesła.

– Widziałyśmy wiadomości – odezwała się po jego wyjściu brunetka. Na szyi miała wytatuowane chińskie hieroglify, które sięgały ucha ozdobionego kilkoma srebrnymi kółkami, taki sam kolczyk zwisał z sutka prawej piersi. – Wykrzyknęłam wtedy: „No nie, tylko nie Veronica!”. Angelę lubiłam, ale tańczyła głównie w tym drugim klubie, była dość nowa i za dobrze jej nie znałam. Ale Veronica była tu od dawna. – Przeciągnęła koronkowe majteczki przez buty z ośmiocentymetrowymi obcasami i przesunęła wzdłuż długich nóg. – Mówią, że to znowu jakiś seryjny zabójca. Czemu wszyscy wariaci muszą mieszkać akurat w Seattle?

– To przez ten deszcz – wtrąciła ruda. – Jak jest tak szaro, to ludzie wpadają w depresję. – Mówiła piskliwym głosem i nie wyglądała, by była w wieku uprawniającym do uzyskania licencji tancerki erotycznej.

Kotar wrócił i podał Kinsowi dwa składane krzeselka.

– Tylko żeby nie trwało to za długo – powiedział niemal przepraszającym tonem i ponownie wyszedł.

– Wszyscy są przerażeni – ciągnęła ruda. – Znaczy, akurat wczoraj tańczyłam z V. Była radosna i w ogóle. Aż nie mogę w to uwierzyć. Wracam do Kolorado.

Tracy i Kins usiedli przy drzwiach. Wiedzieli, że nie wolno przerywać świadkom, którzy mówią coś z własnej inicjatywy.

– Myślałam, że już go macie – dodała blondynka. Wyglądała na starszą od pozostałych dwóch, ale pod grubą warstwą make-upu trudno to było stwierdzić na pewno. – Zdawało mi się, że jest nauczycielem czy kimś takim.

– Kiedyś przyszedł z Angelą – powiedziała ruda. – Ale nie tu. Do klubu przy Aurorze.

– Dlaczego go nie aresztujecie? – dorzuciła blondynka.

– Nie mamy wystarczających dowodów – odparła Tracy.

Blondynka wywróciła oczami i znów spojrzała w lustro.

– Czy zauważyliście, żeby ktoś wczoraj jakoś szczególnie interesował się Veronicą? – spytała Tracy.

– Ja nikogo nie zauważyłam – rzuciła ruda.

Tracy spojrzała pytająco na blondynkę, a ta, nie odwracając wzroku od lustra, w którym pudrowała sobie dekolt, pokręciła głową.

– Nawet nie bardzo wiem, co to znaczy „szczególnie się interesował” – dodała.

– Któraś z was widziała tu wczoraj Darrella?

– Ja – powiedziała brunetka, wygładzając pończochy i wpinając w nie podwiązki.

– Zauważyłaś, żeby rozmawiał z Veronicą?

– Nie.

– A ja tak – dorzuciła blondynka, przyglądając im się w lustrze. – Byłam akurat na scenie, kiedy V skończyła numer w jednym z boksów.

– Jak długo rozmawiali? – spytał Kins.

– Niedługo.

– Veronica coś ci potem mówiła?

– Znacząco?

– Cokolwiek.

Blondynka pokręciła głową.

– Nash często tu przychodzi? – wypytywała dalej Tracy.

– Jest szefem – mruknęła blondynka i Tracy pomyślała, że nie zabrzmiało to tylko jak zwykłe stwierdzenie faktu. – V miała chłopaka. Rozmawialiście już z nim?

– Ten facet to menda – wtrąciła brunetka

– Czemu tak mówisz? – spytała Tracy.

– V tu tańczyła, więc mu się zdawało, że może przychodzić i nas obmacywać. Palant!

– Co w tej sprawie mówią zasady klubowe?

– Same wyznaczamy sobie granice – powiedziała blondynka. – To od ciebie zależy, czy chcesz, żeby cię ktoś obmacywał. Faceci zawsze próbują, ale wystarczy wstać i wyjść.

– Wściekają się wtedy?

- Czasami.
- Zwłaszcza kiedy są zalani – dodała ruda.
- Widziałyście, żeby jakiś klient wściekł się na Angelę lub Veronicę?
 - Ja niczego takiego nie pamiętam – odparła blondynka, pozostałe dwie wzruszyły ramionami.
 - Bo rodzice Veroniki twierdzą, że jej facet ją bił – powiedziała Tracy.
 - Ruda pokiwała głową.
 - Kiedyś przyszła posiniaczona, ale nie chciała o tym mówić. Brunetka podeszła do drzwi, przed którymi siedział Kins.
 - Muszę wyjść, mam występ – powiedziała.
 - Kins uniósł się, by wstać, ale oparła ręce na jego ramionach, zgrabnie podniosła nogę, na moment stanęła przed nim okrakiem, po czym przeniosła drugą nogę.
 - To premia gratis – rzuciła z uśmiechem i puściła do niego oko.
 - Chwilę później do garderoby weszła Afroamerykanka, którą widzieli na estradzie. Zdyszana, papierowym ręcznikiem wycierała sobie czoło i dekolt. Była zdecydowanie pulchniejsza od swoich koleżanek.
 - Oni są z policji. Prowadzą śledztwo w sprawie Angeli i Velvet – poinformowała ją ruda.
 - Jak was tylko zobaczyłam po południu, od razu wiedziałam, że jesteście glinami, i spytałam Nabila, co jest grane.
 - I co ci odpowiedział? – rzuciła Tracy.
 - Że Veronica nie żyje. Myślicie, że to ten sam facet?
 - Pracujemy nad tym.
 - Kins wstał i podsunął jej krzesło, bo w garderobie nie było gdzie usiąść.
 - Poważnie? – Uśmiechnęła się. – Dzięki. Strasznie mnie boli kręgosłup. Jestem Shereece.
 - Pytają, czy ktoś wczoraj zaczepiał V albo jakoś szczególnie się nią interesował – wyjaśniła blondynka.

Shereece zdjęła perukę i została w cielistej mycce. Tracy oceniła ją na trzydzieści parę lat.

– Wczoraj było spokojnie, nic się nie działo.

– Nikt się nie wyróżniał? – zapytał Kins.

– A Mecenasa? – przypomniała blondynka.

– Lubi duże cycki – powiedziała ruda. – O mnie nigdy nie prosi.

– Nie widziałam go – powiedziała Shereece.

– Wiecie, jak się nazywa? – spytała Tracy.

Afroamerykanka pokręciła głową.

– Nie.

– Ale jest adwokatem?

– Tak go tylko nazywamy, bo zawsze przychodzi w garniturze i krawacie – wyjaśniła blondynka.

– I co o nim wiecie?

– Lubi pogadać – odparła blondynka. – Ale tak zwyczajnie, bez żadnego cudowania.

– Ile ma lat?

– Trochę po czterdziestce. – Przeniosła wzrok na Shereece. – Pytali o faceta V.

– Był tu wczoraj. – Afroamerykanka kiwnęła głową. – Przyszedł po forszę.

– Skąd wiesz, że przyszedł po pieniądze? – spytała Tracy.

– Bo zawsze przychodził po forszę. Traktował Veronicę jak bankomat.

– Przypominasz sobie może jakichś stałych klientów, których obsługiwały obie, Angela i Veronica?

Shereece znów pokręciła głową.

– Nie bardzo.

– Co się tu, kurwa, dzieje?

Kobiety aż podskoczyły. W drzwiach stał Darrell Nash z czerwoną ze złości twarzą; zza jego pleców wyzierała zmieszana twarz Kotara. Nash odwrócił się do niego i warknął:

– Co jest, Nabil? To dlatego na moim parkiecie jest tylko jedna tancerka?

- Rozmawiamy z nimi – rzucił Kins.
- To sobie rozmawiajcie w ich prywatnym czasie.
- Mają teraz przerwę – powiedział Kins i zrobił parę kroków do przodu, tak że właściciel lokalu musiał się cofnąć i wpadł na Kotara.
- To prywatny klub. Nie macie prawa przesłuchiwać moich pracowników w godzinach pracy.
- Niezależnych pracowników kontraktowych – przypomniała Tracy, która wstała i podeszła do kolegi. – A klub jest otwarty dla publiczności.
- Jesteście na zapleczu. Miejsce dla publiczności jest tam.
- Świetnie, zatem dokończymy nasze rozmowy w boksie na sali. Co ty na to?
- Dzwonię po adwokata. Nie macie prawa przeszkadzać im w pracy.
- Jak będziesz z nim rozmawiał, to spytaj go przy okazji o wysokość grzywny za zatrudnianie nieletnich tancerek.
- Nic podobnego się tu nie zdarza.
- Nie? Veronica Watson miała dziewiętnaście lat. Od jak dawna tu tańczyła?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Wiadomo mi tylko, że jeśli tu są, to mają tańczyć, a jak nie, to na ich miejsce czekają inne.
- Tancerki z wyjątkiem Shereece wymknęły się bez słowa z garderoby. Afroamerykanka rozsiadła się przed jednym z luster.
- A ty co robisz? – burknął Nash.
- A, według ciebie, na co to wygląda? Muszę rozprostować nogi.
- Nie pyskuj, Shereece.
- Jak już zacznę pyskować, to będziesz wiedział. Właśnie skończyłam występ i mam przerwę.
- Po co tu przyjechałeś, Darrell? – spytał Kins.
- Przyjechałem, bo dostałem wiadomość, że brakuje tu trzech dziewczyn, więc przywiozłem dwie tancerki z Aurory.
- A po co byłeś wczoraj?

– Ten klub należy do mnie, panie detektywie. Nie muszę mieć specjalnych powodów, żeby przychodzić do własnego klubu.

– Rozmawiałeś wczoraj z Veronicą Watson?

Nash parsknął pogardliwie.

– Mówisz pan poważnie?

– Czy to znaczy „tak”?

– Nie przypominam sobie, żebym rozmawiał z Veronicą.

– O której stąd wyszedłeś? – wtrąciła Tracy.

– Czy jestem o coś podejrzany?

– Jak zostaniesz podejrzany, to się o tym dowiesz – odparł Kins. – Spodoba ci się, bo to fajna zabawa. Odczytamy ci twoje prawa.

Nash pokręcił głową.

– Przyjechałem skontrolować bramkę i wyjechałem tuż przed zamknięciem. Wróciłem do Aurory, pomogłem zamknąć klub i pojechałem do domu. Możecie spytać żony. Skończyliśmy już?

– Ktoś morduje twoje pracownice kontraktowe, Darrell – powiedziała Tracy. – Do końca jest jeszcze bardzo daleko.

* * *

Tracy weszła do kuchni tuż po trzeciej nad ranem i Roger tak się rozmiauczał, jakby w domu było całe stado kotów. Nakarmiła go i przeszła przez ciemny salon do sypialni, gdzie też nie zapaliła światła. Rzuciła na łóżko aktówkę i kurtkę, a wraz z nimi odznakę, klucze i glocka. Po wyjściu z Pink Palace pojechali z Kinsem na Pioneer Square, żeby obudzić Bradleya Taggarta, ale jeśli kochaś Veroniki Watson jeszcze tam mieszkał, nie było go w domu lub postanowił nie otwierać.

W łazience zdjęła bluzkę i spodnie, rzuciła na stertę brudów w kącie, szybko umyła zęby i odwróciła się, by usiąść na sedesie.

Kłapa była podniesiona.

Poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, kiedy Dan był u niej po raz

ostatni, ale dni zlewały się w jeden rozmazany ciąg. Nie mając pewności, wróciła do sypialni, na wszelki wypadek wzięła do ręki glocka i zajrzała do garderoby i pod łóżko. Drzwi tarasowe były zamknięte od środka. Zapalając kolejno światła, przeszła przez salon i jadalnię. Spojrzała w dół schodów i stwierdziła, że dźwignia zamka na drzwiach jest w pozycji zamkniętej, do końca w prawo. Zajrzała do schowka obok drzwi wejściowych i popatrzyła przez szybkę. Gdy upewniła się, że radiowóz jak zwykle stoi przed domem i w środku siedzi policjant, wróciła do sypialni i raz jeszcze sprawdziła drzwi na taras. Zamknięte.

Poszła do łazienki. Woda stojąca w sedesie była przezroczysta. Wytłumaczyła sobie, że podniesiona kłapa musi być sprawką Dana. Przecież mieszkała tu jak w fortecy. Niemniej, gdy położyła się do łóżka, glock znalazł się obok jej głowy na poduszce.

Rozdział 22

Następnego dnia rano Tracy i Kins spotkali się przy windzie i pojechali razem na szóste piętro.

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję – mruknął Kins, przekręcając popularne powiedzenie.

– A ty wyglądasz jak kupa gówna.

– Wiem.

Przeszli razem do Byczej Zagrody zespołu A, gdzie powitał ich szerokim uśmiechem Faz, ich biurowy ranny ptaszek.

– No i proszę, co kot nam tu przywłókł! – parsknął. – Dobrze się czujecie?

– Bardziej jak to, co kot zostawił w swojej skrzynce z piaskiem – prychnął Kins.

Tracy nie zdążyła nawet zdjąć płaszcza, gdy do boksu wkroczył Johnny Nolasco i wręczył Kinsowi listę nazwisk, którą on i Tracy spisali z myślą o grupie zadaniowej i zostawili mu na biurku przed wyjściem do Pink Palace. Lista była cała czerwona od skreśleń i widać było, że kapitan skrócił ją co najmniej o połowę.

– Powiedziałem wam, że mam fundusze tylko na niedużą grupę zadaniową – burknął. – To nie będzie drugi Ridgway z pięćdziesięcioma śledczymi uganiającymi się za cieniem.

– Nie wpisaliśmy pięćdziesięciu – powiedziała Tracy, biorąc do ręki listę ze skreśleniami. – To jak mamy złapać tego drania?

– Robiąc, co do was należy. To wy odpowiadacie za nazwiska na tej liście. Jak ktoś zawali sprawę, całe gówno spłynie na was.

Po wyjściu kapitana Faz, który przesiedział całą rozmowę przy swoim biurku, wstał i poprawił sobie spodnie w pasie.

- A ja jestem na tej liście? – spytał.
- Masz gotowe podanie, żebyśmy mogli je rozpatrzyć? – odparł Kins.
- Ty i twój koń, na którym przyjechałeś, Sparrow.
- Twoje nazwisko jest na liście – uspokoiła go Tracy.
- To dobrze – rzucił Faz z uśmiechem.
- Możesz być jedynym, który się z tego cieszy – mruknął Kins.

Skonsultowali się ze śledczym z grupy zadaniowej Ridgwaya, która w formie szczątkowej istniała jeszcze przez wiele lat, nim uległa ostatecznej likwidacji. Doradził im, by dobierali śledczych o takiej konstrukcji psychicznej, która pozwoli ścigać zabójcę bez względu na to, jak stare będą pozostałe po nim ślady. Zasugerował też, by unikali nowych pracowników oraz śledczych mających małe dzieci, takie zadanie mogło bowiem zaszkodzić dalszej karierze, a policyjni buchalterzy lubili wszystko mierzyć i ważyć. Ostrzegł ich również przed redukcją personelu, bo obowiązek ciągnięcia dalej spraw w toku spadnie wtedy na pozostałych, a to może prowadzić do tarć i niesnasek.

– Ja mam ADD – mruknął Faz. – Nie umiem się skoncentrować, jeśli mam więcej niż jedną rzecz do zrobienia.

– No cóż, tu możesz mieć dużo więcej niż jedną rzecz do zrobienia – powiedziała Tracy, wymachując listą nazwisk. – Bo nie mamy wystarczającej liczby ludzi.

– Jedną ze spraw do załatwienia możesz już skreślić – wtrącił Faz. – Del i ja popytaliśmy w firmach taksówkarskich o Veronicę Watson. Wiózł ją Rosjanin, niejaki Oliwer Azarow. Przypłynął statkiem zaledwie osiemnaście miesięcy temu z żoną i dwiema córkami. Przepuściłem go przez wyżymaczkę i facet jest czysty. Del i ja przejedziemy się z nim później i sprawdzimy, co wie.

– A w sąsiedztwie motelu nic nie wiedzą?

– Nikt nic nie widział. W sklepiku na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy mają kamerę monitorującą, ale skierowaną na drzwi. Kamera zewnętrzna jest nakierowana na dystrybutory i też nie obejmuje wejścia do motelu. Zadzwonię do wydziału ruchu drogowego, dowiem się, jakie tam mają kamery,

i poproszę o nagrania z dni zabójstwa Hansen, Schreiber i Watson.

Tracy pokiwała głową, ale wiedziała, że nagrania z kamer miejskich nic im nie dadzą. By móc z nich skorzystać, musieliby znać konkretne numery rejestracyjne, lecz nawet wtedy próba ich namierzenia przypominałaby szukanie igły w stogu siana.

* * *

Większość dnia Tracy i Kins spędzili na wprowadzaniu członków nowej grupy zadaniowej w szczegóły życia i śmierci trzech ofiar. Lista potencjalnych podejrzanych zawierała nazwiska Waltera Gipsona, Darrella Nasha, Bradleya Taggarta oraz całego męskiego personelu i klienteli Pink Palace.

– To poważnie zawęży pole – stwierdził Faz.

Przydzielili zadania i członkowie grupy zabrali się do pracy. Po południu zadzwonił do Tracy Mike Melton.

– Ślad DNA na sznurze należy do Veroniki Watson – poinformował. – Żadnych innych nie znaleźliśmy.

– Jak było do przewidzenia.

– Ale ze sznura ze strzelnicy zebraliśmy trzy różne profile DNA, w tym jeden zidentyfikowany.

– I co z tego wynika?

– Nie wiem.

– Masz nazwisko delikwenta?

– David Bankston.

Tracy podziękowała, rozłączyła się i obróciła z krzesłem w stronę biurka Kinsa.

– Mike zidentyfikował jeden profil DNA na sznurze ze strzelnicy – powiedziała.

– Znamy nazwisko? – spytał Kins, obracając się do klawiatury.

Wprowadził do systemu Davida Bankstona i oboje wpatrzyli się w ekran. Bankston nie był notowany i nie ciążyły na nim żadne wezwania, a jego DNA znalazło się w bazie, ponieważ kiedyś służył w Gwardii Narodowej.

– W czasie Pustynnej Burzy – dodał Kins. Nie przestawał przeglądać bazy i po chwili uzyskał drugie trafienie. – Wygląda na to, że uczył się też w akademii policyjnej.

– I co się z nim stało? – spytała Tracy.

– Nic tu nie piszą – odparł, sięgając po telefon.

Po pięciu minutach znał już odpowiedź.

– Bankston odpadł – powiedział. – Nie poradził sobie z ćwiczeniami fitness.

– Cholera, mam nadzieję, że mnie nic nie każą robić – jęknął Faz.

Według urzędnika, z którym Kins rozmawiał, w teczce Bankstona w akademii odnotowano jego wzrost: sto osiemdziesiąt trzy centymetry, i wagę: sto piętnaście kilogramów. Zwalisty, ale nie gruby.

– Odpada z akademii policyjnej i wstępuje do wojska – zauważył Kins. – I zamienia się w szczupłą i sprawną maszynę do walki.

– *Szarże* – powiedział Faz.

– *Szarże?* – zdziwiła się Tracy.

– Nie mów, że nie widziałas filmu *Szarże* – oburzył się Kins.

– Zapewniam cię, że nie widziałam. Ale pozwól, że zgadnę: to klasyk. – W rozmowach trzech mężczyzn Kins często cytował całe kwestie z filmów i programów telewizyjnych, zwykle dość szczeniackie. Z dumą się przechwalał, że oglądał wszystkie odcinki *Kronik Seinfelda* i *Zdrówka*.

– Chyba każdy film z Billem Murrayem to klasyk, nie? – powiedział Faz.

– Oszczędź mnie – jęknęła Tracy.

– Murray gra taksówkarza – rzekł Kins. – W życiu nic mu się nie układa, wstępuje więc do wojska. Jednego z kolegów w plutonie gra John Candy. Pamiętasz Johna Candy’ego, nie?

– To ten, który zmarł z otyłości, prawda?

– Jak my w ogóle możemy być partnerami?

– Czasami też się zastanawiam.

– Candy tłumaczy, że kuracja w miejscowej klinice odchudzającej kosztuje czterysta dolców, więc zamiast tego postanawia wstąpić do wojska i stać się...

– ...szczupłą i sprawną maszyną do walki – dokończyli chórem Kins i Faz.

– Klasyk – mruknęła Tracy.

– Hej, ale to nic, Profesorko. Chcesz, żebyśmy z Delem pogadali z tym facetem?

– Nie, sami się tym zajmiemy. Jak nam idzie z odczytaniem tego nagrania z parkingu Pink Palace?

– Melton nad tym siedzi – powiedział Faz. – Światło jest tragiczne, w dodatku samochód jest w ruchu. Melton twierdzi, że wydobyć szczegóły jest praktycznie niemożliwe. Mam nadzieję, że tylko tak mówi, żeby jego zasługa była tym większa.

* * *

David Bankston pracował w magazynie Home Depot z wyposażeniem dla domu, gdzie – jak Kins słusznie zauważył – miał ułatwiony dostęp do różnego rodzaju sznurów. Po raz pierwszy od wejścia do pokoju motelowego i znalezienia ciała Nicole Hansen Tracy błysnęła iskierka optymizmu.

Kierownik magazynu poprowadził ich przez wielki zadaszony plac z materiałami do budowy i remontu domów, gdzie na tyłach hali mieściły się biura, stołówka, pokój socjalny dla personelu i sanitariaty. Weszli do typowego pokoju biurowego z meblami w dębowej okładzinie i kopiami akwarel na ścianach. W pomieszczeniu tym urzędował szef Bankstona, Haari Rajput. Na ich widok wstał, uprzejmie skłonił głowę i podał obojgu wiotką rękę o zadziwiająco mocnym uścisku. Kierownik magazynu wyszedł, zostawiając ich samych.

– W czym mogę być pomocny? – spytał Rajput swą mocno akcentowaną angielszczyzną. Był szczupły, miał wąskie ramiona, nosił okulary w czarnej oprawie, pod szerokim nosem rósł

krzaczasty wąs, co w sumie upodabniało Rajputa do postaci kreowanej w starych filmach przez Groucho Marxa.

– Chcielibyśmy porozmawiać z jednym z pańskich pracowników – zaczęła Tracy. – Chodzi o Davida Bankstona. Rozumiem, że jest dziś w pracy.

Rajput sięgnął po radiofon na swoim biurku.

– David? Tak, zaraz go tu wezwę.

– Zanim pan to robi – wtrąciła szybko Tracy, unosząc rękę – chcielibyśmy najpierw zadać panu kilka pytań.

Z nieco zaniepokojoną miną cofnął dłoń.

– Pan jest bezpośrednim szefem Bankstona? – upewniła się Tracy po chwili milczenia, dając mu czas na uspokojenie.

– Tak.

– Od jak dawna tu pracuje?

– Nie wiem. Zaczął jeszcze przede mną. Musiałbym zajrzeć do jego akt. – Rajput wstał i ruszył do stojącej za biurkiem szafki.

– Wystarczy mi z grubsza, od ilu lat – wtrąciła szybko Tracy.

– Od kilku – odparł Rajput, wracając na miejsce.

– Magazyn działa całodobowo?

– Tak.

– Czyli personel pracuje na zmiany?

– Na trzy: dzienną, wieczorną i nocną.

– Na której pracuje Bankston?

Rajput poprawił okulary.

– Różnie. Czasem na dzienną. Czasem na wieczorną. Czasem na nocną.

Tracy wskazała ręką widniejący na ścianie zegar do podbijania kart pracy. Wisząca obok skrzyneczka z przegródkami była pełna beżowych kart.

– Jak długo trzyma pan te karty? – spytała.

– Wiele miesięcy. Tego wymagają przepisy.

– Te są bieżące, z tego tygodnia?

– Tak.

– Mogłabym zobaczyć kartę Bankstona?

Znów wstał i podszedł do skrzyneczki z kartami pracy. Podniósł z nosa okulary, oparł je o brwi i pochylił głowę, po czym wyjął z przegródki kartę i podał Tracy.

– Od której do której trwa wieczorna zmiana? – spytał Kins, by dać koleżance czas na przyjrzenie się karcie.

Rajput powrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Od szesnastej do północy – powiedział.

– Jakim David jest człowiekiem?

– Dobrym pracownikiem. Bardzo dobrym. Żadnych problemów.

– Chodzi mi o to, jakim jest człowiekiem. Hałaśliwym, spokojnym? Jak się zachowuje?

Rajput miał zwyczaj unoszenia dłoni, niczym w geście obronnym.

– Dobrze. To spokojny człowiek, bez problemów wywiązuje się z obowiązków.

– Kawaler, żonaty?

– Żonaty. Utrzymuje dwie osoby.

– Żonę i dziecko – domyślił się Kins.

Rajput skinął głową.

Tracy podała kartę Kinsowi. W nocie morderstw Angeli Schreiber i Veroniki Watson Bankston skończył pracę tuż po północy. Jak by powiedział Faz, to nie było nic.

– Czy on pracuje w jakimś określonym dziale?

– Nie. U nas wszyscy pracują wszędzie.

– Czyli ma do czynienia i z elektryką, i z hydrauliką, i z materiałami budowlanymi? Mogło się zdarzyć, że ładował i rozładowywał towar w każdym z tych działów? Po prostu robił to, co akurat było do zrobienia?

– Dokładnie tak.

– Które markety Home Depot zaopatrujecie z tego magazynu?

– Wszystkie na terenie Puget Sound.

– Ile ich jest w sumie?

– Dwadzieścia cztery.

Mnóstwo sklepów. I mnóstwo faktur do przejrzania, by odnaleźć w nich sprzedaż kawałka polipropylenowego sznura ze splotem typu Z.

– Czy pracownikom wolno kupować bezpośrednio z magazynu?

– Tak. Dostają specjalny rabat pracowniczy.

– Jak to działa? Jak dostają ten rabat?

– Do komputera wprowadza się numer służbowy pracownika. Żeby skorzystać z rabatu, kupujący musi podać ten numer.

– Czyli jeżeli pracownik kupuje coś za gotówkę, to w komputerze i tak pozostaje ślad, zgadza się?

– Jeśli chce skorzystać z rabatu pracowniczego, to tak.

Tracy spojrzała na Kinsa, a ten skinął głową.

– Możemy skorzystać z pańskiego gabinetu i porozmawiać tu z Bankstonem? – spytała.

– Tak. Proszę. – Rajput wstał i ruszył do drzwi. – Pójdę po niego.

– Nie – powstrzymała go Tracy. Nie chciała, by Rajput miał okazję coś mu powiedzieć po drodze. – Proszę wezwać go telefonicznie. I proszę nic nie mówić, po co pan go wzywa.

Znów nastroszył brwi, ale posłusznie wziął do ręki radiofon i nacisnął guzik. Z aparatu dobieła się krótka melodyjka.

– David?

Po chwili milczenia odezwał się męski głos:

– Tak?

– Mógłbyś do mnie zajrzeć?

– Jestem akurat w trakcie rozładunku palety. To nie może poczekać?

Tracy pokręciła głową.

– Nie, przyjdź zaraz. Potem dokończysz rozładunek.

Wydało jej się, że słyszy westchnienie.

– No dobra.

Kins umieścił kartę Bankstona z powrotem w przegródce i w oczekiwaniu na jego przyjście zapadło niezręczne milczenie.

– Mogę państwu zaproponować kawę lub herbatę? – spytał Rajput, ale oboje pokręcili głowami.

David Bankston zapukał do otwartych drzwi, przemknął spojrzeniem od Rajputa do Tracy i Kinsa i wyraz jego twarzy ze znużonej obojętności przemienił się w zaniepokojenie.

– Tak, David, proszę, wejdz – powiedział Rajput. – Nic się nie stało.

Bankston wszedł do gabinetu, wyglądając na mocno spłoszonego. Poprawił okulary w grubej czarnej oprawie, które mimo rozwichrzonej czupryny rudokasztanowych włosów i równie rozwichrzonej brody nadawały mu zadbane wygląd.

– David, państwo są z policji, detektyw Crosswhite i detektyw Rowe. Chcą ci zadać kilka pytań.

– W jakiej sprawie?

– Mam wyjść? – spytał Rajput.

– Tak, proszę – powiedziała Tracy.

Podziękowali Rajputowi i Kins zamknął za nim drzwi.

Według papierów z akademii policyjnej Bankston miał metr osiemdziesiąt trzy, ale w roboczych butach na grubej podeszwie niemal dorównywał wzrostem Kinsowi, który mierzył metr osiemdziesiąt osiem. Opadłe pod wydatny brzuch džinsy były podtrzymywane przez pomarańczowo-czarne szelki przypominające końską uprząż.

– Niech pan siada. – Tracy wskazała jedno z dwóch krzeseł po swojej stronie biurka.

Bankston zawahał się, po czym zajął miejsce. Obróciła drugie krzesło przodem do niego, Kins przyturlał fotel na kółkach z za biurka i usiadł obok niej.

– Możemy mówić panu po imieniu? – spytała Tracy.

– Okay. – Bankston wiercił się na krześle, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca. – No to o co chodzi? – bąknął, obrzucając ich spłoszonym spojrzeniem.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie niedawnych śmierci trzech kobiet w Seattle. Słyszałeś coś o nich?

Zmarszczył brwi.

– Hm... chyba czytałem coś w gazecie albo widziałem w telewizji.

– Ale nie jesteś pewny.

– Nie... to znaczy tak... słyszałem. Tylko nie wiem gdzie.

– A co słyszałeś lub czytałeś? – spytała Tracy. – Tak żebym nie marnowała twojego czasu i nie powtarzała czegoś, co już wiesz.

Zapatrzył się w jakiś punkt na wykładzinie podłogowej.

– No, tylko tyle, że te kobiety zostały zamordowane.

– Coś więcej?

Wzruszył niepewnie ramionami.

– Chyba nie. Chyba nic więcej nie pamiętam. Zdaje się, że były prostytutkami, nie?

Kins sięgnął do kieszeni i wyjął fotografie Nicole Hansen, Angeli Schreiber i Veroniki Watson i położył je na brzegu biurka. Bankston pochylił głowę i uniósł okulary, by się im przyjrzeć. Tracy uważnie mu się przypatrywała, doszukując się na jego twarzy śladu, że je rozpoznał, ale nie dostrzegła w jego zachowaniu niczego niepokojącego.

– Poznajesz którąś z tych kobiet? – spytał Kins.

– Nie.

– A mówią ci coś ich nazwiska: Nicole Hansen, Angela Schreiber, Veronica Watson?

Bankston pokręcił głową.

– Nie – powiedział cicho. – Wiecie, specjalnie się tym nie interesowałem.

Kins zebrał fotografie.

– Dobra, dzięki. Możemy cię trochę popytać o twoją pracę?

– Jasne, proszę.

– Te towary, które tu załadowujesz i rozładowujesz, to, jak się domyślam, te same rzeczy, które są potem do kupienia w najbliższym mnie punkcie Home Depot, tak?

– Mniej więcej. – Bankston zaczął skubać paznokcie, które, jak zauważyła Tracy, były już i tak bardzo krótkie.

– Widzę, że nie używasz rękawic – powiedział Kins.

Bankston sięgnął za siebie i wyciągnął zza paska parę żółto-czarnych rękawic roboczych.

– Zdjąłem je, idąc tutaj – wyjaśnił.

– Czyli zwykle używasz rękawic?

– Na ogół. Ale nie zawsze.

– A kiedy je zdejmujesz?

– W czasie przerw, do lunchu. Czasami zapominam je potem włożyć i wtedy nagle sobie przypominam: „O rany, moje rękawice”. – Znow nerwowo się uśmiechnął.

– W niedzielę i wczoraj pracowałeś na wieczornej zmianie, tak? – spytała Tracy.

Powiercił się chwilę i spojrzał na sufit.

– Hm... chyba tak. Czasem to się zaciera w pamięci. Różnie. – Kolejny nerwowy uśmieszek.

– O której kończy się wieczorna zmiana?

– O północy.

– Co robiłeś po pracy?

Wzruszenie ramion.

– Pojechałem do domu.

– Jesteś żonaty, David? – spytała Tracy.

Nastrój Bankstona jakby uległ gwałtownej zmianie. Wyprostował się na krześle i przybrał obronną pozę.

– A czemu chcecie wiedzieć, czy jestem żonaty?

– Po prostu chcę wiedzieć, czy kiedy wróciłeś do domu, ktoś w nim był.

– Aa. Hm... nie.

– Czyli mieszkasz sam?

– Była w pracy.

– Twoja żona?

– Tak.

– Czym się zajmuje?

– Pracuje w firmie sprzątającej. Sprzątają biura w śródmieściu.

– Pracuje nocami?

– Tak.

- Macie dzieci? – spytała Tracy.
- Córkę.
- Kto się nią zajmuje, kiedy obojga was nie ma w nocy w domu?
- Teściowa.
- Mieszka z wami?
- Nie, żona odwozi córkę po drodze do pracy.
- Czyli jak wróciłeś w niedzielę w nocy, to w domu nie było nikogo?
- Bankston pokiwał głową.
- Tak. – Znów się wyprostował. – Mogę o coś spytać?
- Oczywiście.
- Dlaczego mnie o to wszystko pytacie?
- Uzasadnione pytanie – odparł Kins i spojrzął na Tracy. – W jednym z naszych laboratoriów znaleziono na sznurze zostawionym na miejscu przestępstwa twoje DNA.
- Moje DNA?
- Znalazło się w bazie danych z uwagi na twoją służbę wojskową. Komputer je zidentyfikował, więc musimy dotrzeć do sedna sprawy.
- Masz coś w tej kwestii do powiedzenia? – dodała Tracy.
- Bankston się skrzywił.
- Pewnie musiałem dotknąć go gołą ręką, bo zapomniałem włożyć rękawice.
- Tracy spojrzała na Kinsa, po czym oboje pokiwali głowami, jakby chcieli powiedzieć: „Tak, to możliwe”. Ale tylko po to, by go uspokoić, bo instynkt podpowiadał jej coś zupełnie innego.
- I pomyśleliśmy, że może uda nam się ustalić, dokąd trafił ten sznur. Do którego punktu Home Depot.
- Nie mam pojęcia – rzucił Bankston.
- Czy istnieje dokumentacja wszystkich dostaw do oddziałów? Czy jest jakiś sposób, byśmy mogli odnieść ten konkretny kawałek sznura do konkretnej dostawy z tego magazynu?
- Nie wiem. Ja bym nawet nie wiedział, jak się do tego zabrać. To są już sprawy komputerowe, a ja tu jestem tylko

pracownikiem fizycznym.

– Co robiłeś w wojsku?

– Służyłem w kompanii polowej.

– Czym się zajmuje kompania polowa?

– Zakłada bazy.

– I na czym to polega?

– Robi się wylewki betonowe, stawia prowizoryczne budynki

i namioty.

– Czyli w walce się nie uczestniczy? – upewnił się Kins.

– Nie.

– Te namioty, o których mówisz, to takie wielkie jak cyrkowe?

– spytała Tracy.

– Coś w tym rodzaju.

– I nadal się je stawia przy użyciu lin i kołków wbijanych w ziemię?

– Nadal.

– I tym też się zajmowałeś?

– Jasne.

– Dobra, David – rzuciła Tracy. – Posłuchaj mnie: wiem też, że byłeś w akademii policyjnej.

– No i co?

– Wiemy o tym z komputera. Więc pewnie się domyślasz, że nasze zadanie polega w równym stopniu na eliminacji podejrzanych, jak i na ich znajdowaniu.

– Jasne.

– I że mamy ślady twojego DNA na sznurze znalezionym na miejscu przestępstwa.

– Tak.

– Więc muszę cię spytać, czy jesteś gotów nam pomóc w oczyszczeniu się z podejrzeń.

– Teraz?

– Nie. Po pracy. Kiedy będzie ci wygodnie.

Bankston przez chwilę się zastanawiał.

– Chyba mógłbym przyjść zaraz po pracy. Kończę około czwartej. Tylko musiałbym zadzwonić do żony.

– Czwarta pasuje – powiedziała Tracy. Wciąż jeszcze próbowała go rozgryźć. Robił wrażenie spiętego, w czym nie było nic dziwnego. W końcu dwoje śledczych nachodzi człowieka w pracy i zasypuje gradem pytań. Lecz jednocześnie sprawiał takie wrażenie, jakby go to wszystko ekscytowało. Mogło się to wiązać z jego planami wstąpienia do policji; być może wciąż jeszcze nasłuchiwał krótkofalówek policyjnych i straży pożarnej i uczestniczył w policyjnych imprezach. Ale poza jego zachowaniem zaciekało ją coś jeszcze. Pozostawało faktem to, że na sznurze znalazło się jego DNA. Że musiał tego sznura dotykać, a z karty pracy wynikało, że mógł zabić, przynajmniej Schreiber i Watson. Nie miał na te noce alibi, bo żona była wtedy w pracy, a córka przebywała u babci. Już postanowiła, że wyśle Faza i Dela ze zdjęciem Bankstona do Dancing Bare i Pink Palace, by popytali, czy ktoś go tam rozpoznaje. Przepuści też jego nazwisko przez bazę wydziału komunikacji i sprawdzi, jakim jeździ samochodem.

– A co musiałbym zrobić, żeby... żeby się oczyścić?

– Przejść badanie na wykrywaczu kłamstw. Będą ci zadawać pytania podobne do tych, jakie myśmy zadawali. O to, gdzie pracujesz, na czym polega twoja praca, tego typu rzeczy.

– I to wy przeprowadzicie to badanie?

– Nie – odparła Tracy. – Test przeprowadzi ktoś specjalnie przeszkolony w tych sprawach, ale śledczy Rowe i ja będziemy obecni, żeby ci pomóc.

– Okay – zgodził się Bankston. – Ale jak mówiłem: muszę najpierw zadzwonić do żony.

– Trzeba uzyskać zgodę szefowej – rzucił Kins. – Znam ten ból. David Bankston obrzucił go pustym spojrzeniem.

Rozdział 23

Tracy i Kins spotkali się na piętrze gmachu sądu z Fazem i Delem niosącymi po dwa pudła materiałów każdy, po czym zeszli schodami służbowymi na rzadko odwiedzany poziom zwany 1-A. Tracy poprowadziła ich w głąb korytarza i otworzyła kluczem drzwi, za którymi znajdowały się krótkie stalowe schodki wiodące na mały podest przed stalowymi drzwiami. Metalowa konstrukcja dudniła pod ich krokami, jakby się znajdowali wewnątrz statku.

– Czuję się jak na okręcie podwodnym – mruknął Faz, przyglądając się poziomym rurom na suficie i pionowym na ścianie.

Tracy otworzyła stalowe drzwi, weszła do środka i zapaliła światło. Pomieszczenie – mniej więcej sześć na sześć metrów – przypominało betonowy bunkier. Migające na niskim suficie jarzeniówki oświetlały rząd sześciu zdezelowanych biur, na ścianach widać było ślady po planszach i fotografiach, które tu wisiały w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, podczas śledztwa w sprawie Teda Bundy’ego, pierwszego seryjnego zabójcy na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku.

– Uroczo – parsknął Del, zaglądając z podestu do środka.

– A więc to jest ta sławetna Sala Bundy’ego – powiedział Kins, wchodząc do pomieszczenia.

Tracy zaproponowano skorzystanie z niej, kiedy oświadczyła, że chciałaby zająć jakieś odizolowane pomieszczenie, które pozwoli uniknąć wycieku informacji o postępie (lub jego braku) w prowadzonym śledztwie. Pomieszczenie było niewielkie i odpychające, tak jak o nim mówiono, ale przynajmniej miało

dwa niewielkie okna, przez które wpadało trochę dziennego światła.

Kins wyjął komórkę i sprawdził siłę sygnału.

– Jest zasięg, więc będziemy mogli informować świat, że jeszcze żyjemy.

– No dalej, Fazzio, rusz tyłek – rzucił Del. – Te pudła nie robią się ani trochę lżejsze od stania.

Faz stał na podeście przed drzwiami, poblady i niezdecydowany.

– Tu jest zła karma – wymamrotał.

– A co, boisz się duchów? – Del wyminął go, wszedł do środka i położył swoje dwa pudła na jednym z biurek. Głową niemal dotykał świetlówek na suficie. – Mamy ci zostawić zapalone światło?

Faz niepewnie wszedł do środka, a Tracy w tym momencie przypomniła sobie, że kiedyś wyznał jej, że cierpi na klaustrofobię.

– Powiedzmy, że czuję zdrowy szacunek dla śmierci – bąknął.

– To miejsce widziało tak dużo zła.

– Zajmij jedno z tych biurek pod oknami – poradziła mu Tracy.

– Tak jest, Profesorko.

Kins zamknął drzwi.

– Nie ma to jak w domu – mruknął. – Ale przynajmniej jest cicho.

Być może uwaga Faza o złu, jakie widziało to pomieszczenie, trochę ją speszyła, a może sama miała klaustrofobiczne skłonności, bo kiedy Kins zamknął drzwi, poczuła, że dostaje gęziej skórki. W pomieszczeniu było niesamowicie cicho i słyszało się tylko nieznaczne brzęczenie jarzeniówek, w powietrzu unosiła się zastała woń mokrego betonowego pyłu.

– Zostawmy drzwi otwarte – powiedziała, podpierając je krzesłem.

Na jednej ze ścian przyczepili pineskami i taśmą klejącą fotografie ofiar, podejrzanych i miejsc przestępstwa, a także

zdjęcia lotnicze terenu, na których zaznaczono lokalizację moteli i klubów Pink Palace. Jako że był to ich pierwszy dzień w nowym miejscu, Tracy zamówiła pizzę i porcje sałatki, co znacznie poprawiło humor Fazowi. Usiedli przy jednym z biurek i zabrali się do jedzenia; w tym czasie przywołany technik zajął się uruchomieniem telefonów i komputerów.

– Taksjarsz mówi, że zabrał Veronicę Watson samą z Pink Palace i zawiózł ją pod drzwi recepcji motelu – poinformował pozostałych Faz. – Nie pamięta, żeby ktoś się kręcił w pobliżu lub czekał na nią, ale długo tam nie zabawił. Dyspozytornia potwierdza, że zaraz dostał następne zgłoszenie i zabrał pasażera dwie przecznice od motelu. Z taksometru wynika, że był zajęty przez prawie całą resztę nocy.

– Wiózł ją już kiedyś przedtem? – Tracy nadziała listek sałaty na plastikowy widelec.

– Nie pamiętał jej – odparł Faz. – Ale jego angielski nie był za świetny.

– Twój, jak widać, też nie jest – mruknął Del.

– Tak, a ty za to mówisz królewską angielszczyzną.

– Bankston jest umówiony dziś po południu na test na wariografie – przypomniała Tracy. – Chcę, żeby ktoś poszedł za nim, gdy stąd wyjdzie. Trzeba mu na kilka dni doczepić ogon i upewnić się, co robi i dokąd chodzi.

– Dlaczego ogon? – spytał Faz.

– Z jego kart pracy wynika, że kończył o północy w te noce, kiedy zginęły Schreiber i Watson. Próbujemy zdobyć jego karty z poprzednich miesięcy i sprawdzić noc morderstwa Hansen. Zrób odbitki jego zdjęć i pokaż je w Dancing Bare i Pink Palace. Może ktoś go sobie przypomni.

Faz zrobił notatkę w swoim notatniku i sięgnął po następny kawałek pizzy. Usłyszeli kroki na metalowych schodkach i w drzwiach pojawiła się głowa Rona Mayweathera. Po jego minie widać było, że nie jest pewny, czy trafił we właściwe miejsce.

– Uroczu tu – parsknął. – Rozumiem, że kostnica była zajęta.

– Witaj, Kotter – rzucił Faz. – Zawsze marzyłeś, żeby się ruszyć z miejsca. – Ksywki nadawane w komisariacie, szczególnie te udane, przyczepiały się na dobre i trudno się było ich pozbyć. Ktoś obejrzał puszczaną późnym wieczorem powtórkę serialu telewizyjnego *Welcome Back, Kotter* i doszedł do wniosku, że Mayweather ze swoimi czarnymi kędziorami i wąsami jest wykapaną kopią Gabe’a Kaplana, aktora grającego tytułową rolę. Mayweather serdecznie tego przydomka nienawidził.

– Dzwonił Barney Miller⁵, Faz. Pytał o twój tyłek.

Del radośnie zakwiczał.

Mayweather odłożył plecak i chwycił kawałek pizzy.

– Coś się udało? – spytała Tracy. Prosiła Mayweathera o sprawdzenie, czy da się prześledzić drogę partii sznura z magazynu w Kent do konkretnego punktu sieci Home Depot.

– Niewykluczone – odparł. – Ale wciąż jeszcze nad tym siedzę. Ruch każdego towaru wchodzącego do magazynu lub z niego wychodzącego jest śledzony na podstawie kodu kreskowego.

– Rozróżniają poszczególne odmiany sznura? – spytała.

– Tego jeszcze nie wiem. Czekam, żeby ktoś do mnie oddzwonił. Mamy tu telefony?

– Są instalowane – odparł Kins. – Ale jest zasięg. Możesz dzwonić z komórki.

– Kierownik twierdzi, że są w stanie prześledzić zakupy personelu na podstawie numeru służbowego – powiedziała Tracy. – Spróbuj sprawdzić wszelkie zakupy dokonane w ciągu ostatnich sześciu miesięcy przez niejakiego Davida Bankstona.

Mayweather zapisał nazwisko, podniósł plecak i przeniósł kawałek pizzy na jedno z pustych biurk.

Kins wstał i wrzucił do śmieci swój papierowy talerzyk.

– Zadzwoń do pracodawcy Taggarta i dowiem się, co się z nim dzieje – oznajmił.

Zadzwoił telefon na biurku Tracy.

– Mamy już telefony! – wykrzyknęła i do słuchawki rzuciła ciszej: – Detektyw Crosswhite.

– Pani detektyw, tu David Bankston.

Rzuciła okiem na zegarek.

– Tak, David. Dzięki, że dzwonicz.

Kins spojrzał na nią pytająco, a ona kiwnęła głową.

– Tak... hm... no więc nie będę mógł dziś przyjść.

– Nie? – Pokręciła głową w stronę Kinsa na znak, że Bankston się wycofuje.

– Teściowa się rozchorowała. Nie może zostać z córką. Muszę wracać do domu.

– A żona nie może się nią zająć?

Zamilkł.

– Wezwali ją dziś wcześniej – odezwał się po chwili. – Dlatego zadzwoniła do matki, żeby czekała na mój powrót do domu.

– A jutro?

– Jutro nie mogę. Muszę się zająć córką i mam nocną zmianę.

– Powiedz, który dzień ci odpowiada. Naprawdę chcielibyśmy ci pomóc oczyścić się z podejrzeń.

– Jeszcze zadzwonię. Muszę najpierw sprawdzić rozkład zajęć żony i porozmawiać z nią.

– Zadzwonisz jutro?

– Tak... to znaczy spróbuję. Muszę kończyć. Jestem jeszcze w pracy. Nie wolno nam dzwonić w prywatnych sprawach. – Bankston się rozłączył.

Tracy spojrzała na Kinsa.

– Mówi, że nie może przyjechać, bo musi się zająć córką.

– Może się kapnął, że nie chodzi tylko o oczyszczenie go z podejrzeń.

Rozdział 24

Ostatni znany pracodawca Taggarta poinformował Kinsa, że Taggart zrezygnował z pracy i poprosił o wystawienie końcowego czeku.

– Pracodawca zaproponował, że wyśle mu go pocztą, ale Taggart oświadczył, że przyjedzie i odbierze go osobiście.

– Powiedział kiedy? – spytała Tracy.

– Dziś po południu. Ale się z nim rozminęliśmy. Jego pracodawca mówi, że był czymś bardzo podekscytowany, więc chciał jak najszybciej to załatwić. Określił jego zachowanie jako „niezrównoważone”.

– Nie wie, dokąd mógł się udać?

– Nie, ale jeden z ludzi w magazynie powiedział, że w dni wypłat Taggart pije na Pioneer Square w lokalu o nazwie Ostatni Strzał.

– Dla nas też nim może być.

* * *

Ostatni Strzał mieścił się w jednym z niskich ceglanych budynków przy First Avenue i zaczynający się już ruch zapowiadał, że wieczorem zrobi się tu naprawdę tłoczno. Goście siedzieli w boksach nad kuflami piwa i grali w bilard w wąskiej wnęce za barem. Tracy bez trudu rozpoznała Taggarta z fotografii w jego prawie jazdy. Siedział na stołku przy barze, sącząc ze szklanki coś w bursztynowym kolorze; obok stała butelka budweisera. Głowę miał uniesioną i wpatrywał się w jeden z ekranów telewizyjnych, na którym leciał wyścig

motocyklowy i zawodnicy zawzięcie skakali i wpadali w poślizgi na torze motocrossowym. Taggart był niewysoki, ale roztaczał wokół siebie aurę zabijaki, co podkreślał jeszcze swoim strojem – czarną skórzaną kamizelką, wysokimi czarnymi głanami motocyklisty i czarnymi džinsami z wyraźnymi śladami przetarc na tylnej lewej kieszeni, co świadczyło o zwyczaju żucia tytoniu. Tracy zauważyła też przyczepioną do paska pochwę na nóż.

Wyszła, by omówić sprawę z Kinsem, który zaparkował na drugiego w oczekiwaniu na wsparcie. W ciągu paru minut nadjechały dwa radiowozy i Tracy wysłała jeden, żeby obstawiał tylne wyjście z baru, drugi za róg, by był niewidoczny z okien Ostatniego Strzału.

A potem razem z Kinsem weszli do baru. Tracy usiadła dwa stołki w prawo od Taggarta; te po jego lewej ręce zajmowała jakaś para. Kins usiadł przy końcu kontuaru, w pobliżu tylnego wyjścia.

– Bradley Taggart – powiedziała głośno Tracy.

Taggart obrzucił ją chłodnym spojrzeniem i wziął do ręki butelkę z piwem. Oczy miał lekko szkliste, a jego kolano nerwowo podrygiwało pod kontuarem. Albo potrzebował działki, albo właśnie kończyło się działanie.

– Kto pyta? – mruknął i przechylił butelkę do ust. Na obu przedramionach miał wytatuowane kolorowe płomienie. Na prawym bicepsie widniał sztylet ze skapującymi kroplami krwi.

Tracy pokazała mu odznakę i mignęła legitymacją. Uśmiechnął się krzywo i powrócił wzrokiem do motocrossu, ale zauważyła, że lekko zsunął się ze stołka i oparł buty na podłodze, jakby szykował się do ucieczki.

– Na końcu baru jest jeszcze jeden gliniarz, dwaj następni czekają pod drzwiami – uprzedziła go.

Spojrzał na koniec baru, gdzie Kins już stał.

– I co z tego? – mruknął.

– To, że poproszę, żebyś położył obie ręce na barze, tak bym mogła na nie patrzeć.

– Dlaczego? Nic złego nie robię.

– Masz zaległy nakaz.

– Gówno prawda.

Taggart miał zwyczaj przeczesywać sobie włosy palcami.

– Nie stawiałeś się w sądzie w związku z zarzutem posiadania.

– Mój adwokat się tym zajął.

– Najwyraźniej niezbyt skutecznie. Złamałeś też jeden z warunków zwolnienia warunkowego, bo rzuciłeś pracę.

– Może znalazłem lepszą.

– Powinieneś powiadomić o tym swojego kuratora. Nadal ciąży na tobie wyrok sądowy.

Taggart przechylił butelkę do ust i pociągnął łyk.

– Chcę adwokata – burknął.

– Zdawało mi się, że już masz adwokata.

– Chcę innego.

– Będziesz mógł wystąpić o niego po aresztowaniu. Gdzie byłeś przez ostatnie parę dni?

– W żałobie.

Było widać, że łatwo nie pójdzie.

– No to jak będzie, panie Taggart?

Odstawił butelkę i wziął do ręki szklanę.

– Nie dopiłem jeszcze drinka.

– I dziś go już nie dopijesz.

Jednym haustem wychylił zawartość i spojrzał na Tracy z ironicznym uśmiechem.

– Jeszcze jakieś przepowiednie? – prychnął.

– Jedna. Że wyjdiesz stąd w kajdankach. Możesz to zrobić dobrowolnie albo mogę cię stąd wyciągnąć po podłodze.

– Czy przypadkiem nie trwa dochodzenie federalne w sprawie brutalności policji?

– Raz jeszcze proszę, żebyś położył ręce na barze. Masz zaległy nakaz sądowy. Mam prawo doprowadzić cię siłą.

– Obmacasz mnie, pani policjantko? – Mrugnął porozumiewawczo. – Bo już czuję, jak mi staje w spodniach.

Kiwnęła głową na Kinsa, a ten podszedł bliżej. Taggart spojrzał przez lewe ramię, westchnął i odstawił butelkę. Uniósł

ręce w przesadnym geście poddania, po czym walnął dłońmi w kontuar z takim impetem, by przyciągnąć uwagę gości. Para siedząca na stołkach po lewej szybko wstała z miejsc i oddaliła się. Tracy obeszła Taggarta od prawej strony i zatrzasnęła kajdanki tuż poniżej srebrnej bransoletki w kształcie węża z dwoma czerwonymi kamykami w miejscu oczu. Szarpnęła rękę na plecy, stołek pod nim się obrócił i wtedy jego lewa dłoń nagle wystrzeliła do tyłu i Taggart złapał Tracy za krocze.

Instynktownie wystawiła łokieć; kiedy walnęła go nim w twarz, zazgrzytała kość o kość. Chwyciła go za włosy z tyłu głowy i grzotnęła nią o kontuar. Kins doskoczył, by własnym ciężarem przygwoździć Taggarta, który bluzgnął serią przekleństw.

– Wszyscy jesteście świadkami! – wrzeszczał. – Nic nie zrobiłem! Brutalność policji! – Z jego rozbitego nosa ciekła krew, zabarwiając mu zęby na czerwono.

– Hej! – wykrzyknął barman, wyłaniając się skądś i stając za barem. – To naprawdę konieczne?

Tracy udało się wykręcić lewą rękę Taggarta do tyłu i zatrzasnąć na niej drugą obrączkę kajdanek. Wyciągnęła mu z pochwy nóż i wręczyła jednemu z mundurowych, którzy zdążyli do nich dołączyć, po czym szybko obmacała Taggarta w poszukiwaniu innej broni.

Niczego nie znalazła.

– Wstawaj – syknęła.

Gdy zepchnęła go ze stołka, a on spróbował stawić opór, poślizgnął się na plamie krwi i rozlanego piwa i runął na podłogę, waląc z całej siły głową w kamienną posadzkę.

– Nie ma powodu tak go traktować – burknął barman.

– Chcę adwokata! – zawył Taggart z podłogi. – Wszyscy byliście świadkami brutalności policji!

Tłumek gości zaczynał się już burzyć, co nigdy dobrze nie rokuje, i tym razem też zaczęło się rzucanie przekleństw i gróźb pod adresem policji. Czując, że sytuacja może jeszcze się zaognić, Tracy i Kins podnieśli Taggarta z podłogi i nie bacząc na jego

wrzaski i szarpanie, doprowadzili do wyjścia i czekającego przed nim radiwozu.

Rozdział 25

Postanowili dać Taggartowi ochłonąć w celi aresztu okręgu King, a na podstawie tego, jak się rzucał na tylnym siedzeniu radiowozu i w trakcie procedury aresztowania, Tracy sądziła, że może to potrwać nawet tydzień. Natomiast dużo krócej trwało rozejście się po Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych wiadomości o awanturze w barze. Billy zadzwonił, by ją uprzedzić, że Nolasco wezwie ją do siebie i że jest wściekły. Nie liczyła zresztą na żadne wyrazy sympatii i zrozumienia ze strony człowieka, który kiedyś pod pretekstem zademonstrowania techniki obszukiwania podejrzanego zaczął obmacywać ją po piersiach w sali pełnej słuchaczy akademii. Kins poszedł z nią, choć tak naprawdę nie był świadkiem złapania jej za krocze, bo Taggart w tym momencie obrócił się do niego plecami. Widział za to jej reakcję.

Żaluzje były jak zwykle opuszczone, ale drzwi do gabinetu Nolasco stały otworem, on zaś siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Podniósł na nich wzrok i twarz mu spąsowiała, szczęki się zacisnęły. Bez słowa wskazał dwa krzesła przed biurkiem i oboje usiedli.

– Tak, panie komendancie, rozumiem. Tak, oczywiście, zrobię tak – powiedział Nolasco do słuchawki. Odłożył ją, na moment zamilkł, przejechał dłonią po twarzy i zamknął oczy. – Zapewnij mnie, że nie złamałaś obywatelowi nosa w barze pełnym świadków.

– Podejrzanemu – poprawiła Tracy.

– Co? – Nolasco opuścił ręce.

– W barze pełnym świadków złamałam nos podejrzanemu.

– Czy ty sobie ze mnie jaja robisz, Crosswhite? Facet wrzeszczy, że wszystkich pozwie do sądu.

– Wiem. Byłam przy tym.

– Tak? A wiesz też, że mieliśmy już pięć telefonów w tej sprawie i żaden z dzwoniących nie zamierza stanąć po twojej stronie? Wszyscy mówią, że walnęłaś jego głową o bar, a potem podcięłaś mu nogi tak, żeby wyrznął łbem o posadzkę.

– To nie było tak, kapitanie – wtrącił Kins. – On ją złapał za...

– Chcę usłyszeć jej odpowiedź, Sparrow. Ty będziesz miał szansę przedstawić swoją wersję w pisemnym raporcie. I wierz mi, że będziesz musiał wszystko dokładnie opisać, bo ci, kurwa, gwarantuję, że ci z Biura Odpowiedzialności Zawodowej dobiorą mi się do dupy. A w ogóle to wynoś się stąd.

– Przepraszam, kapitanie, ale sądzę, że mógłbym potwierdzić...

– To już moja sprawa, Sparrow. Nie chcę, żebyś cokolwiek potwierdzał. Jeśli będzie dochodzenie, to powiedzą, że tylko powtarzasz za nią jej słowa. Więc wynoś się w cholerę i pisz raport.

Kins wstał, obrzucił Tracy przeciągłym spojrzeniem i ruszył do wyjścia.

– I zamknij za sobą drzwi! – wrzasnął za nim Nolasco. Gdy drzwi zamknęły się za Kinsem, kapitan zwrócił twarz ku Tracy. – Wiesz, kto przed chwilą dzwonił?

– Nie, panie kapitanie.

– Martinez. Zadzwoił, żeby mnie pouczyć, że teraz, kiedy nad głową wisi nam protokół Departamentu Sprawiedliwości, to najgorszy moment na coś takiego. I co ja mam mu powiedzieć?

– Niech pan mu powie, że Taggart stawiał opór przed aresztowaniem.

– Kto to jest Taggart?

– Chłopak Veroniki Watson. Jego pracodawca zadzwonił i dał nam cynk, że Taggart pije w barze na Pioneer Square. Sprawdziliśmy go i okazało się, że ma zaległy nakaz sądowy oraz że naruszył warunki zwolnienia warunkowego, bo rzucił pracę.

Trzykrotnie zażądałam, żeby położył ręce na barze. Ostrzegłam, że zamierzam go stamtąd wyprowadzić i że albo może wyjść spokojnie w kajdankach, albo zostanie wyciągnięty siłą. Wtedy położył ręce na barze.

– Czyli zastosował się do polecenia.

– Nie.

– Przed chwilą powiedziałaś, że położył ręce na barze.

– Bo tak było. Położył, a ja zatrzasnęłam mu kajdanki na prawej ręce. Ale on się wtedy obrócił ze stołkiem i mnie złapał.

– Gdzie cię złapał?

– Za krocze.

– Miał broń?

– Nóż.

– W ręce?

– Nie.

– Odniosłaś jakieś fizyczne obrażenia?

– Nie, panie kapitanie.

– I nikt tego nie widział?

– To już musi pan spytać świadków.

– Barman oświadczył, że widział, jak walnęłaś jego głową o blat baru.

– On zjawił się już po tym, gdy Taggart mnie złapał.

– Więc naprawdę walnęłaś jego łbem o bar.

– Zastosowałam chwyt, żeby go unieruchomić.

– A jak to się stało, że uderzył głową w podłogę?

– Kiedy ściągnęliśmy go ze stołka, poślizgnął się na mokrej podłodze.

– I nikt nie mógł go podtrzymać?

– Widać nie.

Nolasco przeczesał włosy palcami.

– Mimo wszystko nie potrafiłaś zapanować nad swoim temperamentem.

– Mój temperament nie miał z tym nic wspólnego. To on doprowadził do konfrontacji. Miał przy pasku nóż i powiedział, że w spodniach ma broń.

Nolasco aż się wychylił.

– I miał?

– Nie.

– Coś jeszcze?

– Nie, panie kapitanie.

Wlepił w nią wzrok.

– Wiem, co sobie wyobrażasz – rzucił.

– Nic sobie nie wyobrażam, kapitanie.

– Wyobrażasz sobie, że nie stanę po twojej stronie.

– Nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy.

– No więc aż tak nie pójde ci na rękę.

– Słucham?

– Chciałaś kierować grupą zadaniową w sprawie Kowboja i nie zwolnię cię z tego.

– Wcale nie prosiłam o zwolnienie.

– Bo jak to spieprzysz, to nie będziesz mogła zwalić tego na mnie i powiedzieć, że się mszczę na tobie za coś sprzed dwudziestu lat.

A więc o to chodziło. To dlatego poparł ją w kwestii pokierowania tym śledztwem i dlatego dał jej do dyspozycji oskrobaną do kości grupę zadaniową. Bo chciał, żeby to zaważyła. Chciał, żeby każde kolejne morderstwo Kowboja kładło się cieniem na jej karierze.

– Skończyliśmy już? – spytała.

– Powiem ludziom z Biura Odpowiedzialności Zawodowej, gdzie cię mogą znaleźć.

* * *

Przechodząc obok Byczej Zagrody, Tracy dostrzegła na swoim biurku brązowy karton. W pierwszej chwili ją to zaskoczyło, potem jednak zauważyła wpisane obok numeru sprawy nazwisko Beth Stinson i już wiedziała. Zniosła karton do garażu, wrzuciła do skrzyni swojego pick-upa i zawróciła do Sali Bundy'ego.

Kins siedział przy biurku i rozmawiał przez telefon, ale na jej widok szybko skończył.

– Oddzwonię do ciebie – powiedział. – Tak, porozmawiam z nim, jak wrócę do domu. Nie wiem. Mam nadzieję, że niezbyt późno.

– Wszystko w porządku? – spytała Tracy, gdy odłożyła słuchawkę. Po jego głosie poznała, że rozmawiał z żoną.

– Co?

– W domu. Pytam, czy wszystko w porządku.

– Eric nie radzi sobie z algebrą.

– Zdawało mi się, że jest dobry z matmy.

– Bo jest. Dlatego nie rozumiem, co się dzieje. Podejrzewamy, że może ma dziewczynę. Czym się skończyło u Nolasco?

Włożyła torebkę do dolnej szuflady biurka.

– Powyżywał się na mnie. Powiedział, że krocę po cienkim lodzie. A nie możecie załatwić mu korepetycji?

– Właśnie się zastanawiamy, ale korepetytorzy nie są tani. Zwrócisz się do związku?

– Jeszcze nie wiem.

– No bo jeśli ma być dochodzenie, to powinni cię reprezentować.

– Dostaliśmy już komputery? – Poruszyła myszką i na ekranie ukazały się latające okna wygaszacza ekranu.

– Tracy?

Być może był to przejaw zawiedzionej ambicji, ale nie chciała mu się przyznać, że Nolasco wyznaczył ją do kierowania ekipą śledczą tylko po to, żeby jej się nie powiodło i jej kariera na tym ucierpiała. Tracy zależało na tym, by Kins i wszyscy inni byli przekonani, że po prostu zasłużyła na to wyróżnienie.

– Powiedział, że będzie mnie wspierał.

Kins wsadził ręce do kieszeni spodni i wlepił w nią spojrzenie.

– Tak powiedział?

– No. – Wzruszyła ramionami. – Mnie to też zdziwiło.

– Powiedział coś jeszcze?

– Tak, spytał, kiedy wreszcie złapiemy tego skurwiela.

Rozdział 26

Gdy tuż po siódmej Tracy wyjechała z podziemnego parkingu, okazało się, że siąpi kapuśniaczek. Postanowiła wrócić do domu o przyzwoitej porze, bo chciała zasiąść do przeglądania dokumentacji morderstwa Beth Stinson. Gdy przejeżdżała mostem Zachodnim, kapuśniaczek przeszedł w regularny deszcz, a gwałtowne porywy wiatru zaczęły marszczyć wody Zatoki Elliotta i szarpać pick-upem. Nim dotarła do zjazdu na Admiral Way, deszcz tak już lał, że wycieraczki z trudem radziły sobie z grubą warstwą wody.

Pomachała policjantowi w radiowozie stojącym przed jej domem i wjechała do garażu. Brama garażowa opadła i Tracy wyjęła pudło z aktami sprawy Beth Stinson. Oparła je sobie na kolanie, otworzyła drzwi do domu i weszła do środka. I natychmiast wyczuła czyjś obecność. Usłyszała zbliżające się kroki, rzuciła pudło na podłogę, wyszarpnęła glocka i wycelowała.

– Niespo... – Dan połknął końcówkę słowa i wypuścił z rąk dwa kieliszki; z brzękiem się rozprysły, rozchlapując czerwone wino.

Tracy opuściła pistolet. Serce waliło jej jak oszalałe, kolana się pod nią uginały.

Twarz Dana zbladła jak papier i wyglądało na to, że z trudem łapie oddech.

– Niespodzianka – powtórzył, choć jego głos bardziej przypominał teraz charkot.

Tracy oparła się o ścianę.

– Co ty tu robisz?

– Sprawa arbitrażowa się skończyła, więc przyjechałem wcześniej, żeby zrobić ci kolację. Chciałem cię zaskoczyć i chyba mi się udało.

Poczuła się tak, jakby dostała kopa w brzuch.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Boby nie było niespodzianki.

– A gdzie twój samochód?

– Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy. Nie chciałem zastawić wjazdu do garażu, a poza tym gdybym zaparkował na podjeździe, to nie byłoby niespodzianki.

Przymknęła oczy. Od nagłego strzyknięcia adrenaliny kręciło jej się w głowie.

Dan dotknął jej ramienia.

– Hej, dobrze się czujesz? – spytał. – Bo to raczej ja powinienem...

Wtuliła twarz w jego pierś, walcząc ze łzami złości, zmieszania i zmęczenia.

Dan ją objął.

– Hej! Hej, spokojnie. Nic mi nie jest.

Odsunęła się, odetchnęła i zebrała w sobie.

– Przepraszam, Dan.

– Nie przepraszaj. Powinienem był lepiej to przemyśleć, uwzględnić to wszystko, co się wokół ciebie dzieje. Powinienem był zadzwonić.

– Nie. Nie, to był miły gest z twojej strony. Po prostu jestem strasznie spięta i zmęczona, i... – Otarła sobie policzki. – Nic się nie stało, naprawdę. Cieszę się, że cię widzę. – Wydusiła na twarz uśmiech i rozejrzała się. – A gdzie chłopaki?

– Przyjechałem prosto z sądu. Sąsiad obiecał, że się nimi zaopiekuje i dopilnuje, żeby nie pogryzły wszystkich mebli. Na pewno dobrze się czujesz?

– Mam za sobą parę trudnych dni, nic więcej. – Przeszła do kuchni, urwała kawałek papierowego ręcznika i wytarła nos. Od dwudziestu lat ukrywała swoje emocje. Tak było łatwiej, niż przyznać, że odeszli wszyscy członkowie jej rodziny i została

zupełnie sama. Przyznać, że mimo uporczywych starań, by oddać Sarze sprawiedliwość, była wciąż daleko od zamknięcia tej sprawy.

– Jesteś głodna? – spytał Dan.

– Właściwie – szepnęła, obejmując go rękami – to bardziej mi potrzeba, żeby ktoś mnie utulił.

* * *

Nie mogła usnąć, więc wstała z łóżka i nie budząc Dana, zabrała pudło z aktami Beth Stinson z przedpokoju, w którym je rzuciła po wejściu do domu, i zaniósła na stół w jadalni. Nie otworzyła go od razu; wodziła palcem po grubej warstwie kurzu na wieku, przywołując w pamięci chwilę, gdy sześć miesięcy wcześniej wyciągnęła z szafy w sypialni podobne pudło z zebraną przez nią dokumentacją w sprawie morderstwa Sary.

Kilka lat wcześniej pogodziła się z myślą, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, schowała papiery do szafy i postanowiła zająć się własnym życiem. Pamiętała tamto poczucie bezradności i straty nie do naprawienia. Wtedy nie myślała nawet, że kiedyś jeszcze to pudło otworzy. Ale potem dwóch myśliwych natknęło się na ludzkie szczątki na wzgórzach ponad Cedar Grove i nadzieje Tracy znów ożyły. Gdy biuro koronera potwierdziło, że znalezione szczątki należą do Sary, Tracy wyciągnęła pudło z szafy i na nowo rozpoczęła śledztwo.

Wiedziała, że otwarcie pudła z dokumentacją Beth Stinson nie oznacza automatycznego powrotu do sprawy, zresztą wątpiła, by rodzice Stinson – którzy żyli w przeświadczeniu, że mordercy ich córki wymierzono sprawiedliwość – byli gotowi znów przeżywać cały koszmar.

Mimo to zdjęła wieko, wyjęła pierwszą z wierzchu teczkę i zaczęła czytać.

Po godzinie usłyszała za plecami kroki Dana. Objął ją i wtulił twarz w jej szyję.

– Nie słyszałem, kiedy wstałaś. – Wyglądał na niewyspanego i mówił chrapliwym głosem.

– Nie chciałam cię budzić.

Ziewnęła, usiadł obok niej na krześle i spojrzał na rozłożone na stole papiery.

– Co to jest? – spytał.

– Stara sprawa. Natknęłam się na nią, szukając przypadków podobnych do zabójstwa Nicole Hansen.

– W jakim sensie podobnych?

– Lepiej, żebyś nie słuchał tego teraz. Powinieneś wrócić do łóżka i wyspać się.

– Już się obudziłem.

– No to zrobię ci herbaty.

Usiadła z nim przy stole i z kubkiem w dłoniach opowiedziała pokrótce historię Beth Stinson i Wayne'a Gerhardta.

– Gerhardt przyszedł po południu coś naprawić w domu Stinson, ale poza tym nic go z nią nie łączyło. W każdym razie nic, co by wynikało z tych papierów.

– I uznali, że wieczorem wrócił i ją zabił – domyślił się Dan.

– Mieli świadka, niejaką JoAnne Anderson, sąsiadkę z naprzeciwka. Zeznała, że widziała mężczyznę, który następnego dnia wcześniej rano wychodził z domu Stinson. Jego rysopis pasował do Gerhardta.

– Ale...

– Było jeszcze ciemno i świadek zeznała, że nawet nie pamięta, czy włożyła wtedy okulary.

– Sądysz, że to zmyśliła?

Tracy dosłyszała powątpiewanie w głosie Dana.

– Nie. Ale powiedziała policjantom, że wstała, żeby napić się wody, i właśnie była przy zlewie, kiedy przez okno zobaczyła po drugiej stronie ulicy tego mężczyznę. Miała w tym momencie sześćdziesiąt dwa lata i była krótkowzroczna.

– No to jak go rozpoznała?

– Według protokołu, najpierw wskazała jego zdjęcie w zestawie policyjnym, a potem wybrała go podczas okazania

podejrzanego. – Tracy podała Danowi przepisane na maszynie zeznanie świadka. – Z wyciągu z karty kredytowej Stinson wynikało, że zapłacono nią za naprawę wykonaną przez technika Roto-Rooter, a odciski palców zdjęte w łazience i z kuchennego blatu odpowiadały odciskom Gerhardta.

– Nie miał alibi?

– Mieszkał sam. Zeznał, że tego wieczoru był w domu i spał.

– I jaki to ma związek z morderstwami tancerek?

Podawała mu kilka fotografii z miejsca przestępstwa, Dan rzucił na nie okiem i odłożył na bok.

– Nie dziwię się, że nie możesz spać – powiedział.

Tracy poprawiła się na krześle.

– Nie chodzi tylko o to, że Stinson była związana. Rozejrzyj się po pokoju.

Wziął do ręki fotografie.

– Wszędzie panuje porządek – zauważył. – Nie ma żadnych śladów walki.

– Popatrz na jej łóżko.

– Posłane.

– Łóżka w motelach też były posłane, a ubrania ofiar złożone równo na kupkę. Stinson zamordowano nad ranem. Czemu więc jej łóżko było posłane?

– A co z badaniem DNA?

– I tu robi się ciekawie. Pobrano próbki DNA z ubrania Stinson i spod jej paznokci, ale nigdy ich nie przebadano.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może prokurator nie widział potrzeby. Mieli naocznego świadka. Pasujące odciski palców. Tego wieczoru Gerhardta był w domu i nie miał alibi. Dziś wiemy dużo więcej o DNA niż wtedy.

– A co na to obrońca? Czemu nie wystąpił o zbadanie DNA?

– Tego również nie wiem. To był obrońca z urzędu. Po złożeniu zeznań przez JoAnne Anderson widać namówił Gerhardta do przyznania się. Na tym proces się zakończył.

– Oskarżenie uznaje, że ma dość dowodów do uzyskania wyroku skazującego, a dodatkowe badanie mogłoby wykazać, że DNA należy do kogoś innego, i w ten sposób skomplikować sprawę.

– Też tak sędzę.

– Obrońca jest leniwy albo głupi, albo jedno i drugie, więc przekonuje Gerhardta, żeby zawarł układ.

– Może nie taki głupi. Gerhardtowi groziła czapa lub dożywocie, a dostał dwadzieścia pięć lat. Wyjdzie w wieku pięćdziesięciu kilku lat.

– Ale jeśli był niewinny, to czemu nie uparł się przynajmniej przy teście DNA?

Tracy pokręciła głową.

– Bo to wcale nie musiało uwolnić go od winy.

– Nie rozumiem

Podąa Danowi wypełniony kwestionariusz HITS.

– Śledczy, który to wypełniał, zaznaczył kratkę, że Beth Stinson była seksualnie napastowana. Pewnie dlatego ta sprawa nie wyskoczyła, gdy po raz pierwszy przeszukiwałam bazę. Żadna z trzech ofiar Kowboja nie była seksualnie napastowana, a to dość niezwykła okoliczność w tego typu sprawach. – Podąa Danowi raport koronera w sprawie Beth Stinson, a on przymrużył oczy, próbując czytać bez okularów. – Powiem ci z grubsza, co w nim jest – pośpieszyła z pomocą Tracy. – Sprawdzili wszystkie zakątki jej ciała w poszukiwaniu nasienia i nic nie znaleźli.

– Kondom?

– Na wacikach nie znalazły się też ślady lubrykantów i środków plemnikobójczych.

Dan wyprostował się i Tracy wiedziała, co powie, jeszcze zanim zaczął mówić.

– Zdajesz sobie sprawę, co się stanie, jeśli zaczniesz to rozgrzebywać? Media cię rozszarpia. Powiedzą, że chcesz doprowadzić do zwolnienia kolejnego mordercy.

– Tak, wiem. A poza tym Nolasco nigdy by do tego nie dopuścił.

– A co on ma z tym wspólnego?

– On z partnerem prowadzili śledztwo w tej sprawie.

Dan odłożył raport.

– I dlatego trzymasz te papiery w domu, a nie w pracy.

– Faz powiedział mi kiedyś, że Nolasco i Hattie lubili się przechwalać swoimi sukcesami, ale mówiło się, że osiągnęli je nie zawsze zgodnie z przepisami.

– Tym bardziej nie będzie chciał, żebyś grzebała w jego starych sprawach.

– A jeśli mam rację, Dan? Jeśli Gerhardt jest niewinny, a morderca Beth Stinson żyje na wolności i nadal zabija?

Na moment się zadumał.

– Co musiałabyś wiedzieć? – spytał. – I jak byś mogła się tego dowiedzieć?

– Musiałabym porozmawiać ze świadkiem i ustalić, co naprawdę widziała, a czego nie. Spytałabym ją, skąd miała taką pewność, że to był Gerhardt. Porozmawiałabym z innymi świadkami w sprawie. Z papierów nie wynika, że Nolasco lub Hattie w ogóle próbowali z nimi rozmawiać.

– Bo już mieli swojego sprawcę?

– Tak przypuszczam. Na koniec doprowadziłabym do zbadania śladów DNA. Choć, prawdę mówiąc, nie wiem, jak bym to zrobiła, mając na karku Nolasco, który tylko czeka na moje potknięcie.

– A gdym ja się tym zajął?

Uśmiechnęła się.

– Nie mogę cię w to pakować, Dan. Masz swoją pracę. To moja sprawa.

– Mój klient właśnie uzyskał siedmiocyfrowe zaspokojenie swoich roszczeń, z czego trzydzieści procent trafiło do mojej kieszeni. Pozwól mi trochę powęszyć. Pogadam z tym świadkiem i rozejrzę się. Jeśli się czegoś dowiem, dam ci znać.

– Normalnie powiedziałabym „nie”. – Tracy czuła, jak coś jej mówi: „Nie gódź się, nie wciągaj go w swoje zawodowe sprawy”. Wiedziała, że to gotowa recepta na rozwalenie związku. Ale niebo za tarasowymi drzwiami zaczynało się przejaśniać, wstawał nowy dzień i potrafiła myśleć tylko o tym, że jej komórka znów zadzwoni z wiadomością o znalezieniu kolejnej ofiary.

Rozdział 27

Następnego dnia rano Tracy i Kins stanęli za taflą lustra weneckiego, by obserwować zachowanie Bradleya Taggarta. W czerwonym kombinezonie aresztanta wyglądał jak kogut, głowa w sposób niekontrolowany skakała mu na boki, nogi w kolanach drgały.

– Wychodzi z czegoś – zauważył Kins. – Pewnie z mety.

– Też tak myślę – przyznała Tracy.

– Rzeczywiście wykręciłaś mu niezły numer – dodał Kins z uśmiechem. Taggart miał oczy w czarnych obwódkach jak szop, nos spuchnięty i lekko przekrzywiony w lewo, na jego grzbiecie widać było krwawą rysę. – Jak chcesz to rozegrać?

– Nie jest nowicjuszem i wie, że nie będziemy mogli go tu trzymać pod zarzutem niestawienia się przed sądem. Jeśli nie znajdziemy czegoś w jego mieszkaniu, to trzeba go będzie wypuścić.

Na wniosek Kinsa Cerrabone uzyskał nakaz przeszukania mieszkania i samochodu Veroniki Watson; Faz i Del dostali zadanie skoordynowania tego z ekipą CSI.

– Wydaje mi się, że Keen dobrze go rozgryzł – powiedziała Tracy, nawiązując do słów kuratora Veroniki Watson. – Myślę, że on tylko się nadyma i udaje twardziela, ale naprawdę to pętał. Pewnie mój widok specjalnie by go nie ucieszył. Może ty się nim zajmiesz?

* * *

Taggart zaczął bluzgać groźbami natychmiast po otwarciu przez Tracy drzwi sali przesłuchań. Zerwał się z krzesła, ale łańcuch, którym był przykuty do podłogi, nie pozwolił mu się wyprostować.

– Podam do sądu całą tę pieprzoną komendę za nękanie i policyjną brutalność.

Tracy podeszła do jednego z dwóch krzeseł po drugiej stronie metalowego stołu, Kins położył rękę na ramieniu Taggarta i stalowym chwytem zmusił go, by usiadł.

– Moja partnerka chciała zdjąć ci kajdanki, ale jej odradziłem. Powiedziałem, że się boję, że znów zrobisz coś głupiego i po raz drugi będzie musiała nakopać ci do dupy.

– Nie nakopała mi do dupy. – Taggart obrzucił Tracy wściekłym spojrzeniem. – Wycięła podły numer i mój adwokat zedrze z niej pasy w sądzie.

Kins pochylił się do niego.

– Masz na myśli tego samego adwokata, któremu nie udało się oddalić oskarżenia o posiadanie? To jak on sobie poradzi z zarzutem niestawienia się na rozprawie, z zarzutem złamania warunków zwolnienia i z zarzutem napaści na policjanta na służbie? Rozsiądź się wygodnie, Bradley, bo jeszcze długo posiedzisz. I może wykorzystaj ten czas na rozejrzenie się za lepszym adwokatem.

– Już mówiłem, że to było nieporozumienie. Mój adwokat wszystkim się zajmie, a ja w ciągu godziny wyjdę stąd za kaucją.

– W przypadku zabójstwa nie ma kaucji.

– Jaja sobie robisz? – parsknął Taggart.

– Tak myślisz? Veronica nie żyje. Mieszkała z tobą. Mamy świadków, którzy zeznają, że dla ciebie pracowała. Mamy sąsiada, który mówi, że wrzeszczeliście na siebie o każdej porze dnia i nocy i że ją fizycznie maltretowałeś. A tancerki w Pink Palace twierdzą, że widziały cię w niedzielę, jak z nią rozmawiałeś. Mamy ich zeznania pod przysięgą. A wiesz, co na sądzie robi największe wrażenie? Zeznania złożone pod

przysięgą. Więcej niż jedno. Więc może byłoby lepiej, jakbyś się przymknął i przestał pieprzyć głupoty.

Aresztant spuścił wzrok i zapatrzył się w kąt sali. Wyglądał jak nadąsany smarkacz.

– Po co byłeś w Pink Palace w niedzielę wieczorem? – spytał Kins.

Taggart otrząsnął się z zadumy.

– Powiem ci tylko jedno: chcę adwokata.

– W porządku. – Kins wstał, otworzył drzwi i zwrócił się do dwóch strażników czekających w korytarzu: – Zabierzcie go z powrotem do celi. Zamknijcie go na siedemdziesiąt dwie godziny, a ja przez ten czas porozmawiam z prokuratorem o postawieniu mu zarzutu morderstwa.

Taggart uniósł hardo brodę – kolejna sztuczka kogoś udającego twardziela – ale Tracy dojrzała w jego oczach cień niepewności.

– Dobrze – rzucił. – Z nim mogę porozmawiać, ale z tobą nie gadam.

– Ale z ciebie szczęściarz – powiedziała Tracy do Kinsa, który nie ruszył się od drzwi.

– Sprawa wygląda następująco, Bradley. Procedura wymaga obecności dwóch śledczych podczas przesłuchania. Więc jeśli jej tu nie będzie, to nie będzie też mnie, a ty wracasz do celi i czekasz na postawienie w stan oskarżenia. – Kins zawiesił głos. – To jak będzie?

Taggart zamknął oczy i widać było, że w środku się gotuje, jakby się zmagał z nagłym bólem głowy. Jego kolana chodziły pod stołem niczym maszyna.

– Mam dużo spraw do załatwienia, Bradley. Godzisz się z nami rozmawiać czy nie?

– Dobra.

– Co dobra?

– Dobra, porozmawiam.

– Rezygnujesz z prawa do obecności adwokata?

– Obojętne.

– Nie, to nie jest „obojętne”. Musisz to wyraźnie powiedzieć. Nie chcę, żeby potem jakiś prawnik mędził, że cię wykorzystaliśmy.

– Dobra. Zgadzam się rozmawiać z wami bez adwokata.

Kins wrócił na miejsce obok Tracy.

– Zatem zacznijmy od tego, po co pojechałeś do Pink Palace w niedzielę wieczorem?

– Potrzebowałem forsy. O co w ogóle chodzi? Przecież każdy tam może wejść.

– Jak długo tam zostałeś?

– Pięć minut. Może nawet nie. V powiedziała, że nie będzie żadnej forsy, póki nie zbierze napiwków, więc wyszedłem.

– I gdzie poszedłeś?

– Tak sobie położyłem.

– Nie pojechałeś nigdzie konkretnie?

– Nie.

– Czyli nikt nie może potwierdzić, że cię widział. – Kins spojrział na Tracy i rzucił: – Brak alibi.

– O której spodziewałeś się Veroniki w domu? – spytała Tracy.

Taggart wykrzywił twarz.

– Powiedziałem, że z nią nie gadam – przypomniał i patrząc na Kinsa, odparł: – Nie spodziewałem się jej.

– Nie spodziewałeś się, że wróci do domu? – zapytał Kins.

– Nie pilnowałem jej.

– Bo wiedziałeś, że po występach umawia się z facetami. Dostawałeś z tego swoją działkę?

– Mieszkaliśmy razem.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie płaciłem czynszu sam.

– Organizowałeś klientów dla Veroniki?

Taggart pokręcił głową, nim Kins zdążył skończyć pytanie.

– Nie musiałem. Sama dobrze sobie radziła, chyba że zaczynała tyć.

– I pewnie nie masz pojęcia, z kim była w niedzielę wieczorem.

– Skąd? Już mówiłem, że jej nie pilnowałem.

– Miała jakichś stałych klientów? – zapytał Kins.

– Paru. – Taggart spojrział na Tracy. – Potrafiła tak zrobić łaskę, że głowa boli. Tego będzie mi najbardziej brakować.

Taggart był podłą kreaturą, ale po dwudziestu latach użerania się z jemu podobnymi Tracy wiedziała, że życie w mieście ma swoje sposoby na pozbywanie się takich typów. Nie miała wątpliwości, że w którymś momencie dowie się o śmierci Taggarta z przedawkowania albo po zasztyletowaniu go nożem, albo postrzeleniu i porzuceniu w jakimś zaułku, gdzie wykrwawi się na śmierć. Sprawiedliwość przybiera różne formy.

– Wyjawiała ci kiedyś nazwiska stałych klientów? – spytał Kins.

– Nie. I nie trzymała ich w żadnym czarnym zeszyciku, jeśli to twoje następne pytanie.

– Skąd wiesz, ile zarabiała? Że cię nie oszukiwała i nie ukrywała przed tobą forsy?

– Bo nie była głupia – burknął Taggart.

– Co to znaczy?

– Wiedziała, co by jej groziło.

– Stłukłbyś ją? – spytała Tracy.

– Tego nie powiedziałem.

– Bo tancerki w Pink Palace mówiły, że ją biłeś. Potwierdzili to też jej matka i ojciec.

Prychnął, pochylił się i wyciągnął podbródek w stronę Tracy.

– Znaczący jej ojczym będzie robił za waszego głównego świadka, tak? Rznął ją, kiedy miała piętnaście lat. Dlatego uciekła z domu. To stary skurwiel.

– Ty też ją rznąłeś, kiedy miała piętnaście lat – zauważył Kins.

– Ale nie jestem jej ojczymem.

– Rozmawiałeś z nią już po wyjściu z Pink Palace? – spytała Tracy.

– Nie. – Taggart pokręcił głową.

– Czyli jak sprawdzimy rejestry w twojej komórce, to nie znajdziemy w niej żadnych wiadomości głosowych ani eśemesów, tak? – upewnił się Kins.

– W jakiej komórce?

Kins wyjął fotografie Nicole Hansen i Angeli Schreiber i położył je obok siebie na stole.

– Znasz te kobiety, Bradley?

Taggart wskazał głową zdjęcie Angeli.

– Ją znam. – Ponownie spojrzął na Tracy i uśmiechnął się, ukazując zepsute uzębienie nałogowego użytkownika metamfetaminy. – Chyba potańczyła mi kiedyś na kolanach.

– Spotkałeś się z nią kiedykolwiek w motelu przy Aurorze? – pytał dalej Kins.

– Chyba nie musiałem, jak V co noc wracała do domu.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, że jej nie pilnowałeś.

– Bo nie pilnowałem.

– Dlaczego rzuciłeś pracę? – zapytał Kins.

– Bo ten facet to kutas.

– Złamałeś warunki zwolnienia.

– Znajdę se inną robotę.

– Coś konkretnie?

– Właśnie zaczynałem szukać, gdy złamaliście moje prawa obywatelskie.

– Taa? To znaczy, że zamierzasz zostać barmanem? – spytał Kins.

– Twierdzisz, że po wyjściu z Pink Palace w niedzielę wieczorem nie widziałeś się z Veronicą ani nie miałeś od niej wiadomości? – wtrąciła Tracy.

– Tak mówiłem.

Wątkowali te sprawy przez kolejne czterdzieści pięć minut, szukając dziur w wersji Taggarta. Po dwóch godzinach Kins w końcu powiedział:

– Jeszcze ostatnie pytanie, Bradley. Jesteś prawo- czy leworęczny?

– A po cholere ci to wiedzieć? – obruszył się Taggart.

– Bo jak będziesz podpisywał zeznanie, to muszę wiedzieć, czy mam ci dostarczyć pióro dla prawo- czy leworęcznych.

Taggart przez moment wyglądał na zdezorientowanego.

– Prawo – mruknął w końcu.

Kins i Tracy wstali.

– Dobra. Strażnicy zaprowadzą cię teraz do aresztu.

– Co...? Dlaczego?

– Musisz odbębnić to zaległe wezwanie, Bradley.

– Mówiłeś, że ci na tym nie zależy.

– Mnie nie – rzucił Kins. – Ale ja nie jestem prokuratorem.

Rozdział 28

Gdy wrócili do Sali Bundy'ego, Tracy zadzwoniła do prokuratury i po skończonej rozmowie zwróciła się do Kinsa:

– Cerrabone twierdzi, że mamy za mało, by trzymać Taggarta pod kluczem. Jutro rano przedstawię mu zarzuty i puszcza wolno.

– No cóż, czuliśmy, że tak będzie. – Kins wyciągnął rękę po słuchawkę swojego dzwoniącego telefonu.

Tracy podeszła do Faza i Dela.

– Przykro mi, że was w to wpuszczam, ale musicie jutro założyć ogon Taggartowi. Umówcie się z aresztem, żeby was uprzedzili o jego wypuszczeniu.

– Wezmę jutro butelkę do sikania – mruknął Del.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Proponuję, żebyście się obaj urwali wcześniej do domu. Może was czekać kilka długich nocy.

– Ten koleś to wampir? – spytał Faz.

– Gorzej – odparła.

Do ich rozmowy dołączył Kins.

– Dzwonił Bennett, żeby nas uprzedzić – powiedział. – Super Glue szuka komentarzy do materiału, który mają puścić dziś wieczorem.

– Jakiego materiału? – spytała Tracy.

– Nie zdradziła mu. Chciała rozmawiać z tobą.

– Już to widzę. – Spojrzała ponownie na zegarek. – Dochodzi szósta. Pewnie niedługo się dowiemy.

Technicy zorganizowali im płaskoekranowy telewizor i postawili na jednym z nieużywanych biurków, by mogli na

bieżąc śledzić wiadomości. Kins wziął do ręki pilota i nastawił Kanał 8, a wszyscy obecni – Tracy, Kins, Faz i Del oraz dwaj śledczy, którzy dołączyli do nich z wydziału przestępstw seksualnych – zebrali się przed ekranem. Wyjątkowo wiadomości nie zaczęły się tym razem od Kowboja, ale na pojawienie się Vanpelt nie trzeba było długo czekać.

– Policję z Seattle czekają dziś nowe zarzuty o brutalność – powiedział prowadzący.

– Oho, zaczyna się – mruknął Faz.

– Łączymy się na żywo z reporterką śledczą KRIX Marią Vanpelt, która jest na Pioneer Square.

Dziennikarka stała w blasku reflektora, ubrana w długi płaszcz w kolorze wielbłądziej wełny.

„W tym barze na Pioneer Square doszło wczoraj wczesnym wieczorem do awantury, kiedy dwoje detektywów z wydziału zabójstw podjęło próbę przepytania chłopaka Veroniki Watson, trzeciej ofiary z ponurej serii brutalnych zabójstw tancerek z Seattle. Świadkowie mówią, że w wyniku tej próby mężczyznę ze złamanym nosem i możliwym wstrząśnieniem mózgu zabrano do Szpitala Szwedzkiego, skąd następnie trafił do aresztu okręgowego. Twierdzą też, że to policjanci ponoszą odpowiedzialność za pobicie mężczyzny.

Rzecznik policji z Seattle odmówił odpowiedzi na pytanie, czy chłopakowi Veroniki Watson postawiono jakieś zarzuty, oraz wszelkich innych komentarzy poza tym, że sprawę bada Biuro Odpowiedzialności Zawodowej. Niemniej zarzut pojawia się w wyjątkowo niefortunnym momencie dla policji i mocno krytykowanego komendanta Sandy’ego Clarridge’a zmagającego się z zarzutami sformułowanymi w protokole amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości, w którym poddano krytyce nieuprawnione korzystanie z przemocy fizycznej, a także z przestrogą sędziego federalnego, który skrytykował policję z Seattle za brak zmian w metodach działania”.

Vanpelt podziękowała za uwagę i oddała głos do studia.

– No cóż, jak na zwyczaje Super Glue to nie było jeszcze najgorsze – powiedział Kins.

– Może nawet udało jej się nic nie pokręcić – dodał Faz.

– Ciii... – uciszyła ich Tracy.

Prowadzący program podjął temat.

„Być może pamiętają państwo, że Kanał Ósmy KRIX aktywnie włączył się do wysiłków biura szeryfa okręgu King w trakcie poszukiwań mordercy znad Green River. Dziś mam przyjemność poinformować, że Kanał Ósmy ponownie włącza się w akcję poszukiwania seryjnego zabójcy. Nasza stacja wyznaczyła nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do aresztowania i skazania Kowboja, jak nazywa się sprawcę niedawnych zabójstw trzech tancerek z Seattle. W dole ekranu widzą państwo numer telefonu policyjnej grupy zadaniowej do sprawy Kowboja. Policja z Seattle apeluje do wszystkich o przekazywanie wszelkich informacji na ten numer.

– Do nikogo nie apelujemy – jęknął Faz. – To ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba.

Tracy poczuła ściskanie w żołądku.

Chwilę później rozdzwoniły się telefony na ich biurkach.

Rozdział 29

Telefony nie przestawały dzwonić przez blisko trzy godziny. Odbierając je, Tracy słyszała, jak pozostali członkowie grupy próbują popędzać swoich rozmówców i wydobywać z nich konkrety pozwalające zdecydować, czy w przekazywanej wiadomości jest coś istotnego. Większość dzwoniących dopytywała jednak, jak można odebrać nagrodę. Ktoś był pewien, że mordercą jest bywający w lokalnym barze człowiek, który „bardzo dziwnie się zachowuje”. Dzwoniły prostytutki przekonane, że zabójcą jest jeden z ich klientów. Byłe żony dzwoniły z donosami na byłych mężów. Odbierali telefony od kapusiów, sąsiadów i ludzi przekonanych, że sprawcą jest kolega z pracy. Zdawało się, że każdy jest gotów donosić na każdego, byleby wziąć udział w loterii pod hasłem „Szukamy seryjnego zabójcy”. Członkowie grupy zadaniowej przeżywali prawdziwy koszmar, bo do każdej rozmowy mieli obowiązek wypełnić odpowiedni kwestionariusz i podjąć czynności służbowe w ślad za uzyskanymi informacjami, co zapewniało kręcenie się w kółko przez wiele tygodni.

Gdy zrobiło się późno i telefony zaczęły dzwonić rzadziej, Faz odebrał połączenie na swój telefon komórkowy, wstał z miejsca, rzucił „Zaraz wracam” i po chwili wrócił w towarzystwie żony i syna o imieniu Antonio, który posturą niemal dorównywał ojcu. Chłopiec niósł brązowy karton, którego zawartość szybko wypełniła pomieszczenie zapachem czosnku, włoskich przypraw i stopionego sera. Vera wyjęła z niego dwa spore gary, papierowe talerze, plastikowe sztuce, miskę z sałatą i kilka butelek

czerwonego wina i rozłożyła wszystko na jednym z wolnych biurek.

– Jak nie mogłem pojechać do domu na cannelloni, to cannelloni musiało przyjechać do mnie – powiedział Faz, a Tracy pomyślała, że chyba nigdy nie widziała go szczęśliwszego. – Najlepsza żoneczka na świecie, nie? – dodał, wyciągając ręce, by objąć Verę, ale ta mu się wywinęła.

– Wystygnie – mruknęła.

Del szybko zakończył rozmowę.

– Zabieraj to stąd albo dawaj talerz, Faz, zanim cię stratuję. – Gdyby Del był na *Titanicu*, a jedzenie na szalupach ratunkowych, kobiety i dzieci nie miałyby szans przeżycia.

Podzielili się zadaniami i gdy część została przy telefonach, pozostali zabrali się do jedzenia. Gdy wszystko zostało spałaszowane, a telefony zamilkły, Faz wstał, a obok niego stanęli żona i syn.

– U nas Włochów jest tradycja, że po jedzeniu chwalimy szefa kuchni i składamy wyrazy uszanowania dla najważniejszej osoby przy stole – powiedział i spojrzał na Verę. – Zdrowie najlepszej kucharki w Seattle.

– Amen – dodał Del.

Vera zamachała rękami, ale widać było, że jest jej miło. Wszyscy poszli śladem Faza i uniósłszy kieliszki, zaczęli wykrzykiwać: *Salute!*

– Chcę też powiedzieć, że nie lubię tego miejsca – mówił dalej Faz. – Kiedy tu jestem, przechodzą mi ciarki po plecach, ale wszyscy mamy tu zadanie do wykonania. – Spojrzał na Tracy. – To jest teraz nasze biuro, Profesorko, i nie wolno nazywać go Salą Bundy’ego. Od teraz jest to Sala Kowboja. – Ponownie uniósł kieliszek. – Więc twoje zdrowie, Profesorko. Cokolwiek by się działo, wszyscy jesteśmy z tobą.

Tym razem wszyscy wstali, podnieśli kieliszki i znów rozległy się okrzyki *Salute!*

Tracy uśmiechnęła się i uniosła szklanekę wody.

Tak jak to było w przypadku decyzji o przekazaniu śledztwa Nicole Hansen do wydziału spraw dawnych, tak i przeciek do mediów informacji o dochodzeniu wszczętym przez Biuro Odpowiedzialności Zawodowej i wmówienie komuś wyżej, że uruchomienie otwartej linii telefonicznej dla informatorów będzie dobrym pomysłem – Tracy nie miała cienia wątpliwości, że to sprawka kapitana Nolasco – obróciło się przeciwko nim. Ludzie w jej zespole byli doświadczonymi śledczymi i Tracy nie musiała im nic mówić. Wiedzieli, co ich czeka. Niepisane reguły zostały złamane i każdy gliniarz zdawał sobie sprawę, że w takim przypadku należy robić wszystko, by chronić własny tyłek na równi z tyłkami kolegów.

Rozdział 30

Dzień wstał słoneczny i zimny, po błękitnym niebie sunęły olśniewająco białe chmury. Dzielnica Beth Stinson w północnym Seattle za dnia wyglądała zupełnie inaczej i sprawiała spokojne i przyjazne wrażenie. Domy były w większości parterowe i stylem nawiązywały do zabudowy z lat sześćdziesiątych, choć Dan naliczył też kilka z dobudowanymi piętrami. Drzewa owocowe przed domami – głównie wiśnie – były już leciwe, ulice nie miały latarni i chodników, przydomowe trawniki schodziły aż do samej jezdni.

Gdy poprzedniej nocy Dan przyjechał tu, starając się odtworzyć warunki, w jakich starsza kobieta rzekomo rozpoznała Wayne'a Gerhardta w noc zabójstwa Beth Stinson, okolica nie wydała mu się zbyt sympatyczna. Wszystko tonęło w ciemnościach, mrok rozjaśniały tylko plamy światła padające od niektórych trawników i ganków przed wejściami do domów. JoAnne zeznała, że obudziła się około wpół do trzeciej nad ranem i wstała, żeby napić się wody. Nie pamiętała, czy obudziło ją coś konkretnego, ale jak stwierdziła, w jej wieku człowiek musi wstawać co najmniej dwa razy w nocy, by skorzystać z łazienki. Zeznała, że wyjęła szklankę z szafki kuchennej i nalewając do niej wody, spojrzała w okno nad zlewem i „pomyślała”, że pod domem Beth Stinson „kogoś” widzi.

Dan przyjechał krótko po północy i zaparkował po drugiej stronie ulicy na wysokości domu Beth Stinson. Uznał, że kuchnia mieści się za prostokątnym oknem po prawej stronie. Rzeczywiście dom Stinson był z tego okna dobrze widoczny, ale dzieliły go od niego trawnik na posesji Anderson i ulica

dwukierunkowa. Co więcej, podjazd pod dom Stinson, na którym Anderson rzekomo widziała Gerhardta, znajdował się na południowym krańcu posesji, stosunkowo najdalej od jej okna kuchennego.

Siedząc w swoim SUV-ie, Dan nie bardzo potrafił ocenić odległość, ale uznał, że to praktycznie niemożliwe, by starsza kobieta mogła kogokolwiek rozpoznać w nocy przy – jak zeznała – zachmurzonym niebie i siąpiącym deszczu, nawet gdyby miała okulary.

Niemniej, po zapoznaniu się z treścią zeznań Anderson na sali sądowej, nieco lepiej rozumiał, dlaczego obrońca z urzędu mógł namawiać Gerhardta do pójscia na układ z oskarżeniem. Podczas procesu Anderson zeznawała z dużo większą pewnością siebie, niż kiedy składała zeznania na policji. Była prawie pewna, że widziała mężczyznę z jasną czupryną, którego wysokość przyrównała do drzewa rosnącego tuż obok garażu Stinson. Drzewo to, a dokładniej młody świerk, miało wysokość stu osiemdziesięciu centymetrów, Gerhard mierzył metr osiemdziesiąt dziewięć. W krzyżowej serii pytań obrońca wydobył z Anderson przyznanie, że „dokładnie nie pamięta”, czy przed pójsciem do kuchni po wodę włożyła okulary. Niestety, kobieta stwierdziła też, że „przecież musiała je włożyć”. Była to jedna z tych odpowiedzi, których adwokaci procesowi się boją, bo nie da się przewidzieć, co świadek powie zapytany, dlaczego uważa, że „musiała”. Istniało ryzyko, że odpowiedź tylko upewni ławę przysięgłych co do prawdziwości wcześniejszego stwierdzenia, więc obrońca Gerhardta postanowił nie ryzykować.

Dla dobra Tracy Dan miał nadzieję, że jego nocna eskapada na miejsce przestępstwa potwierdzi prawdziwość zeznania JoAnne Anderson. Że kobieta mogła dobrze się przyjrzeć Gerhardtowi i nie miała wątpliwości, że to on był mordercą.

– Jasna cholera – rzucił pod nosem, gdy wysiadłszy z samochodu, ruszył wybetonowaną dróżką. Wyglądało na to, że zieleń przed domem budzi się z zimowego letargu – rośliny

w skrzynkach wypuszczały nowe pędy, na drzewach owocowych pojawiały się pierwsze pąki kwiatowe.

Kobieta, która otworzyła drzwi, w pełni odpowiadała rysopisowi podanemu w aktach. Dziewięć lat starsza, Anderson wyglądała nobliwie w białym swetrze w serek, džinsach i tenisówkach. Po wyglądzie sądząc, musiała w niej płynąć domieszka azjatyckiej krwi. Dan od razu zwrócił uwagę na jej okulary – zielonkawe, w plastikowej oprawie – i obdarzył ją swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem.

– Pani JoAnne Anderson?

– Tak.

– Nazywam się Dan O’Leary. Przepraszam, że nachodzę panią bez telefonicznego uprzedzenia. – Większości ludzi łatwiej przychodzi rzucić słuchawkę, niż zatrzaskać komuś drzwi przed nosem. – Liczyłem, że uda mi się zadać pani kilka pytań w sprawie, która się tu wydarzyła blisko dziesięć lat temu.

– Chodzi o morderstwo Beth Stinson, tak? I zdarzyło się to dziewięć lat temu, nie dziesięć. Dziesięć minie dopiero dwudziestego kwietnia. Takich dat się nie zapomina.

– O, na pewno – potwierdził Dan.

– Mówił pan, że kim pan jest?

– Dan O’Leary. Przyjechałem z Cedar Grove.

– Cedar Grove? – zdziwiła się.

– To miasteczko na północy, w Górach Kaskadowych.

– Wiem, gdzie to jest. Co roku latem wyjeżdżaliśmy tam z dziećmi. Zna pan jezioro Ross?

– Wielokrotnie jeździłem tam na ryby.

– Mieliliśmy tam na wodzie pływający domek.

– Musieli państwo wcześniej się zakrzętnąć. Teraz podobno nawet dla krewnych jest lista oczekujących.

– Czterdzieści lat temu nie było takiego ścisku. – Kobieta się uśmiechnęła. – Mówił pan, że gdzie pracuje?

– Jestem adwokatem. Interesuję się tymi sprawami zawodowo – powiedział, lekko naginając prawdę.

– Co pana interesuje w tej sprawie?

- Przyglądam się materiałowi dowodowemu i staram się ustalić, czy był wystarczająco przekonujący.
- Ale Wayne Gerhardt się przyznał.
- Tak, wiem.
- Zmienił swoją wersję?
- Groziła mu kara śmierci. Jestem w trakcie zapoznawania się z materiałem dowodowym.
- Ma pan na myśli coś w rodzaju Projektu Niewinność?
- Słyszała pani o tym? – odparł, nadal balansując na granicy.
- O, tak.
- Mógłbym zadać pani kilka pytań?
- Chyba tak – odparła, ale nie zaprosiła go do środka.
- Powiedziała pani śledczym, że w nocy pani wstała i poszła do kuchni napić się wody.
- Bo tak było.
- I że nie była pani pewna, czy włożyła okulary.
- Bo nie byłam.
- Ale podczas procesu stwierdziła pani, że musiała je włożyć.
- To było zbyt dawno, żebym pamiętała takie szczegóły.
- Zdaję sobie sprawę, że minęło wiele lat.
- Pewnie tak powiedziałam, bo bez okularów bym go nie zobaczyła. Bez nich nawet pana bym dobrze nie widziała.
- Pamięta pani, ile pani miała dioptrii dziewięć lat temu?
- Na szczęście tyle samo co teraz.
- I ile to jest?
- Nie mam pojęcia. – Spojrzała ponad ramieniem Dana na ulicę. – To pański samochód?
- Tak, mój.
- W okularach mogę nawet odczytać pańskie numery. – Zdjęła je. – A teraz wszystko jest rozmazane.
- A zatem, ponieważ była pani w stanie rozpoznać Wayne’a Gerhardta, który o ile wiem, stał tam, przy dalszym narożniku domu Beth Stinson... – Dan, odwrócił się, wyciągając rękę.
- Zgadza się.

– Doszła pani do wniosku, że „musiała pani” mieć na nosie okulary, czy tak?

– Tam go widziałam.

– Więc założyła pani, że miała okulary.

– Niczego nie zakładałam. Musiałam je mieć, żeby móc go zobaczyć.

Kręcili się w kółko, do czego zapewne doszłoby też na sali sądowej, gdyby obrońca próbował ją o to wypytywać.

– Czy detektyw, który panią odwiedził, pokazał pani jakieś fotografie i spytał, czy rozpoznaje pani na nich osobę widzianą tamtej nocy?

– Dwaj detektywi. Było ich dwóch.

– Pokazali pani jakieś fotografie?

– Nie od razu. Za pierwszym razem im powiedziałam, że nie jestem pewna, czy to pana Gerhardta widziałam. Nie mając całkowitej pewności, nie chciałam być odpowiedzialna za skazanie niewinnej osoby. Człowiek nie chce mieć takiego ciężaru na sumieniu.

– I potem wrócili i pokazali pani fotografie?

– Ten młodszy wrócił, tak jakoś dziwnie się nazywał... Już nie pamiętam jak. Nieważne. Przyszedł i poprosił, żebym stawiała się w komendzie i rozpoznała podejrzanego.

– I zrobiła to pani?

– W pierwszej chwili odmówiłam.

– Dlaczego?

– Bo nie czułam się pewna.

– I co wpłynęło na zmianę zdania?

– Człowiek, którego widziałam, był bardzo podobny do tego na fotografii, którą ten policjant mi pokazał.

– Ile fotografii pani pokazał?

– Tylko tę jedną.

– I pokazali ją przed pani udaniem się na policję i zidentyfikowaniem Wayne’a Gerhardta podczas okazania podejrzanego?

– Tak, zgadza się.

– I wtedy pani potwierdziła, że widziała Gerhardta.

– Nie znałam jego nazwiska.

– Ale go pani zidentyfikowała.

– Byłam całkiem pewna.

Dan starał się mówić spokojnie i nie okazywać emocji.

– Ale wciąż nie w stu procentach?

– Myślę, że w niektórych sprawach nigdy nie mamy stuprocentowej pewności. Ale poczułam się pewniejsza, kiedy mi powiedzieli, że pan Gerhardt nie ma alibi i że tego dnia po południu był w domu Beth.

– Detektywi to pani powiedzieli?

– Owszem. A potem przypomniałam sobie jeszcze, że wcześniej tego dnia widziałam furgonetkę Roto-Rooter na podjeździe pod jej domem.

– Widziała pani wtedy także pana Gerhardta czy tylko furgonetkę?

– Widziałam go. – Machnęła ręką w stronę ogródka przed domem. – Akurat pielłam skrzynki z sadzonkami, wyprostowałam się, żeby odsapnąć, i właśnie wtedy on od niej wyszedł i zaczął chować narzędzia do furgonetki.

– Miała pani wtedy okulary?

– O, tak. Zdejmuję je tylko, kładąc się do łóżka.

– Czyli mogła mu się pani dobrze przyjrzeć.

– Tak.

– Jak był ubrany?

– A co powiedziałam w zeznaniu?

Dan udał, że tego nie wie.

– Nie bardzo pamiętam, co pani powiedziała.

– Chyba że był w niebieskim kombinezonie z biało-czerwonym logo na plecach.

– Mówi pani o panu Gerhardcie widzianym tego popołudnia?

– A pan nie?

– A jak był ubrany człowiek, którego widziała pani w nocy?

– To był ten sam mężczyzna.

– Jasne. Ale jak był ubrany?

– Nie pamiętam. Było zbyt ciemno.

W czasie procesu JoAnne Anderson zeznała, że widziała Wayne'a Gerhardta w tym samym niebieskim kombinezonie. Dan nie wątpił, że widziała go tak ubranego, tyle że po południu, a nie w nocy.

– Dziękuję pani, nie będę już pani więcej męczył – powiedział.

– Mam nadzieję, że do czegoś się przydałam. Nie chciałabym żyć z przeświadczeniem, że ktoś niewinny siedzi przede mną w więzieniu.

– Nikt z nas by nie chciał.

Rozdział 31

Tracy i Kins siedzieli w holu typowym dla wszystkich federalnych biurowców: ściśle użytkowe umeblowanie, białe ściany, czarno-białe fotografie innych rządowych budowli w Seattle. Nolasco zorganizował im wczesnoporanne spotkanie z profilerką FBI i Tracy była przekonana że zrobił to celowo, żeby im dokuczyć po długiej i trudnej nocy. Tak długiej, że żadne z nich nawet nie próbowało wrócić do domu. A teraz jeszcze, na domiar złego, profilerka kazała na siebie czekać.

– To wszystko jest do dupy – mruknęła Tracy. Od dwudziestu czterech godzin była w tych samych ciuchach, nie miała czasu wejść pod prysznic, czuła zmęczenie i poirytowanie i z całą pewnością nie była w nastroju do czekania.

– Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia – odezwał się Kins głosem równie posępnym – i jak najszybciej się stąd wyniesiemy. Pójdziemy coś zjeść.

– Pieprzyć to – burknęła. – Dłużej nie czekam.

Już miała powiadomić recepcjonistkę, że wychodzą, gdy do holu wkroczyła młoda kobieta o wysportowanej sylwetce, z krótkimi włosami. W uszach miała zwisające kolczyki w kształcie kół, karnację w kolorze mlecznego koktajlu czekoladowego z przewagą czekolady.

– Detektyw Crosswhite? Jestem Amanda Santos. Przepraszam, że musieliście czekać. Nijak nie mogłam się wyplątać z rozmowy z Waszyngtonem. – Uścisk jej dłoni był twardy, ale nie miażdżył palców, co niektórym koleżankom Tracy się zdarzało.

– Nie ma problemu – rzucił Kins, nagle ożywiony.

Santos miała na sobie czarny kostium ze spodniami o tradycyjnym kroju, ale ściśle przylegającymi do ciała, co Tracy dodatkowo uprzytomniło jej własny niechlujny wygląd. Gdy profilerka się odwróciła i ruszyła przez hol, szybko poprawiła kołnierzyk bluzki pod sztruksowym żakietem.

– Mogę wam zaproponować kawę? – spytała Santos.

– Możesz – odparł Kins. – Chyba że macie tu sposób na dożylny zastrzyki z kofeiny.

Zerknął na Tracy, a ona zrobiła minę z gatunku: „Daj sobie spokój, nie grasz w jej lidze, a poza tym jesteś żonaty”.

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

Z filiżankami kawy w rękach weszli do sali konferencyjnej z jarzeniowym oświetleniem na podwieszanym suficie i z nieodzownymi czarno-białymi fotografiami budynków rządowych na ścianach. Santos usiadła przy trzech segregatorach z aktami, Tracy i Kins zajęli miejsca po drugiej stronie stołu.

– To jak, masz dla nas nazwisko tego łajdaka? – spytała Tracy.

– Mogę zadzwonić do prokuratora, wystawi nakaz aresztowania i wszyscy pójdziemy na śniadanie.

– Chciałabym. – Santos odsłoniła w uśmiechu rząd idealnie równych białych zębów. No pewnie, jakżeby inaczej, pomyślała Tracy. – Niestety, nie jestem optymistką i nie sądzę, by wkrótce do tego doszło. Nie zazdroszczę wam.

– Ani ja – rzucił Kins.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała Tracy, zwracając się do profilerki.

– Bo macie do czynienia ze zorganizowanym zabójcą. Zdezorganizowany bywa dużo bardziej impulsywny i nieprzewidywalny. Zdezorganizowani zabójcy popełniają błędy, zostawiają odciski palców, pozwalają się namierzyć. Zorganizowani traktują morderstwo jak sztukę, którą próbują doprowadzić do perfekcji. Nie popełniają błędów.

Tracy przyszła na myśl Beth Stinson.

– Co masz na myśli, mówiąc o „doprowadzaniu do perfekcji”?

– To, że ćwiczą. Zaczniemy od sposobu duszenia ofiar stosowanego przez twojego sprawcę. Jest pomysłowy i dobrze przemyślany. Wątpliwe, by sprawca za pierwszym razem osiągnął zadowalający rezultat, zwłaszcza że musiał działać szybko, zanim ofiara odzyska zdolność do walki.

Tracy wyprostowała się i odsunęła od stołu, zapominając o kawie.

– Czyli mogły być inne ofiary, ale pozbawiono je życia w nieco odmienny sposób. Zastosowano jakiś inny wariant.

– To możliwe. Zorganizowani zabójcy bardzo się starają zginąć w tłumie, prowadzić z pozoru ustabilizowane życie. Nie zabijają z pasji czy ze złości. Są metodyczni i inteligentni. Niektórzy mają podstawową wiedzę o metodach policyjnych i technikach kryminalistycznych oraz, w przeciwieństwie do tych nieorganizowanych, nikomu nic o sobie nie mówią. Bo nie chcą być złapani.

– Czy dlatego ten nasz nie uprawia seksu ze swoimi ofiarami?

– spytał Kins. – Nie chce zostawiać po sobie żadnych fizycznych śladów?

– Może tak być, ale nie sądzę, by w tym wszystkim chodziło o zaspokojenie seksualne.

– A o co? – rzucił Kins.

– O poczucie władzy, o kontrolę i dominację nad ofiarą. Może uważać, że atakowane kobiety są czymś gorszym od niego, i chce, byście wiedzieli, że nie chodzi mu o seks.

– Albo jest impotentem – dodała Tracy.

– Nie sądzę – odparła Santos.

– Dlaczego?

– Bo wtedy oczekiwałabym śladów jakichś innych czynności seksualnych, na przykład penetracji ręką.

– Może dla niego taką czynnością są tortury – zasugerowała Tracy.

– Jestem pewna, że w jakimś stopniu tak, ale w przeciwieństwie do innych seryjnych zabójców, którymi się zajmowałam, ten nie próbuje ukrywać swoich ofiar. Nie zabiera

im licencji tancerek ani dowodów tożsamości. Chce, żeby ludzie wiedzieli, kim są jego „ofiary” i jak umarły. To wskazuje bardziej na kogoś pragnącego coś przekazać, i myślę, że to jego przesłanie brzmi: tu nie chodzi o seks. On nie uważa ich za swoje ofiary, on je uważa za grzesznice, które zasługują na ukaranie.

– Tym się kieruje? – spytał Kins.

– Może mieć różnorodne motywy – odparła Santos. – Albo jego motywy ewoluują z kolejnymi zabójstwami.

– Gdybyś musiała wyrazić zdanie, to jak byś określiła jego motywację? – spytała Tracy.

– Wiąże je w kołyskę lub na wieprza, bo tak kiedyś wiązano świnie do zarzynania. Moim zdaniem, odczuwa wrogość i nienawiść do tej określonej kategorii kobiet. Może to też wskazywać na psychologiczny rytualizm lub mieć związek z wewnętrznym rozdarciem wynikającym z jakiejś perwersyjnej fantazji. Wasz sprawca może realizować z góry obmyślony scenariusz. Gdy przesłuchiowano Teda Bundy’ego, bez oporów opowiadał śledczym o wszystkich szczegółach zabójstw, ale pomijał ostatnie chwile życia swoich ofiar. Te uważał bowiem za intymne doświadczenie tylko ich i jego.

– W jakim sensie? – spytała Tracy.

– Tego się nigdy nie dowiemy – powiedziała Santos. Bundy został już stracony.

– Dobra, no to jaki scenariusz realizuje ten nasz? – drążyła Tracy.

– To ciekawy przypadek. Mimo oczywistej wrogości wobec ofiar aplikuje im rohypnol, by je sobie w ten sposób podporządkować, a nie robić tego siłą, co współgra z tym całym mechanizmem, a także z przypalaniem papierosem stóp.

– Jak to? – zdziwiła się Tracy.

– Bo nie chce ich dotykać. On ich nie zabija. Zabijają się same. Myślę, że to jego sposób na odcięcie się od tych zabójstw, na ich usprawiedliwienie.

Kins odstawił na stół kubek po kawie.

– A jak interpretujesz to, że łóżka są pościelone, a ubrania ofiar równo złożone?

– To zachowanie zdecydowanie rytualne – odparła profilerka.
– Ścielenie łóżek i układanie swoich rzeczy to typowe obowiązki, jakie często spadają na dzieci.

– To znaczy co? – Kins zmarszczył czoło. – Facetowi się zdaje, że morduje mamusię, bo kazała mu zaścielić łóżko?

Santos pokręciła głową.

– Nie jestem zwolenniczką freudowskich bzdur, że każdy chłopiec marzy o seksie ze swoją matką. Nie szukałabym zbyt wydumanych powodów tych zabójstw. Doświadczenie nas uczy, że ci ludzie najczęściej mordują z jednego powodu. Bo sprawia im to frajdę.

Mimo początkowego nastroszenia Tracy zaczynała się przekonywać do tej kobiety.

– Czy on jest wariatem? – spytał Kins.

Santos pokręciła głową.

– Sądzę, że jest bardzo normalny. Mam na myśli to, że z całą pewnością odróżnia dobro od zła. Słuchajcie, kochani, mogę wam opowiadać psychologizujące teoryjki z uwzględnieniem mnóstwa biologicznych, społecznych i środowiskowych czynników na temat tego, dlaczego ktoś postanawia zabić, ale nic z tego dla was nie wyniknie. I szczerze mówiąc, właśnie dlatego profilerzy cieszą się tak złą opinią. Za bardzo staramy się dojść do tego, dlaczego ci ludzie zabijają, podczas gdy w rzeczywistości nie da się zidentyfikować wszystkich czynników, które doprowadzają ich do tego, że stają się seryjnymi zabójcami. Pomyślcie o miliardach drobiazgów, które zdecydowały o tym, kim jesteście. I nie mówię tylko o genetyce i wychowaniu. Pomyślcie o wszystkim, co was spotykało dzień po dniu przez całe życie, a co wpłynęło na wasz ostateczny kształt. Dlatego nie istnieje szablon dla tych ludzi. Jedyne, co możemy zrobić, to próbować wyróżnić pewne wspólne cechy.

– O jakich cechach mówimy? – spytała Tracy.

– Antyspołeczne zachowania we wczesnym dzieciństwie.

– Jak obdzieranie ze skóry kota sąsiadki albo podpalenie ogona psu – podrzucił Kins.

– Wdawanie się w bójkę w szkole – powiedziała Santos. – Widoczny brak wyrzutów sumienia za popełnione wybryki, obojętność wobec fizycznego bólu lub tortur. Później, zwykle w wieku dwudziestu kilku lat, żądza kontrolowania i zabijania staje się zbyt potężna, by móc nad nią zapanować. A gdy raz zaczną zabijać, realizować swoje mroczne fantazje, złudzenie, jakiegokolwiek by ono było, bierze górę.

– Ale znamy przypadki seryjnych zabójców, którzy w pewnej chwili przestawali mordować, i takie przerwy potrafiły trwać wiele lat. Ridgway zabił większość swoich ofiar między tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim i czwartym rokiem, a złapano go dopiero dwie dekady później.

– Ridgway twierdzi, że zabił osiemdziesiąt kobiet – przypomniała Santos. – Kto może wiedzieć, kiedy naprawdę przestał? W międzyczasie był kilkakrotnie żonaty i niektóre swoje fantazje seksualne mógł realizować z żonami. To samo może dotyczyć Dennisa Lynna Radera z Kansas. Chodzi mi o to, że morderczy impuls nigdy nie wygasa, a im dłuższa jest przerwa między zabójstwami, tym trudniej nad takim impulsem zapanować. Jak już raz zaczną, nie mogą przestać.

– Czyli możemy się spodziewać kolejnych – wtrąciła Tracy.

– Obawiam się, że tak.

Kins wyprostował się na krześle.

– Pozwól, że cię o coś spytam. Na ile to prawdopodobne, że skoro temu łajdakowi z takim powodzeniem udaje się zabijać kobiety, posunąłby się do ataku na policjantkę?

Santos spojrzała z ukosa na Tracy.

– Jeśli to był ten sam człowiek, to byłoby to dość niezwykle, ale nie niemożliwe. Detektyw Crosswhite pokazywano w wiadomościach. Seryjni zabójcy cierpią na przerost ego. Chcą się znajdować w centrum uwagi. Ten konkretny może myśleć, że odbierasz mu należną uwagę. – Zawiesiła na moment głos. – Albo może cię uważać za swą najważniejszą zdobycz.

Rozdział 32

Człowiek, który powitał Dana w małym pomieszczeniu recepcyjnym, nie był zbyt podobny do mężczyzny na stronie internetowej kancelarii. Od czasu zrobienia tego zdjęcia James Tomey mocno się postarzał i utył. Może nie miał jeszcze chorobliwej nadwagi, ale był zdecydowanie pulchny, i Danowi od razu przyszedł na myśl brak umiaru w piciu. Miał nalaną twarz, grube mięsiste usta i bujną strzechę blond włosów.

Wyciągnął rękę.

– Pan jest O’Leary? – spytał.

– Tak – odparł Dan i przyjrzał się mu. Na oko musiał mierzyć co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Tara, konferencyjna wolna?! – krzyknął Tomey w głąb korytarza.

– Garth ją zarezerwował.

– Na co?

– Na spisanie zeznania Ungera. O pierwszej.

Tomey podciągnął rękaw koszuli i błysnął kosztownym zegarkiem.

– To wcześniej ja ją zajmę.

– Cały stół jest zavalony papierami.

– Nieważne, teraz ja ją zajmę. – Wywrócił oczami. – Czasem człowiek się zastanawia, kto tu u kogo pracuje.

Dan z grubsza sprawdził go w Google’u. Tomey dzielił kancelarię z czterema innymi adwokatami procesowymi, z których trzech było dawnymi obrońcami publicznymi, jeden oskarżycielem. Firma zajmowała się obroną przyłapanych na jeździe po alkoholu, a także skarżeniem policji o wykroczenia

służbowe, przypadkami naruszenia praw obywatelskich, przestępstwami seksualnymi oraz drobnymi wykroczeniami. Kancelaria była gotowa rozkładać należność na raty i przyjmowała karty płatnicze.

– Kawy? – spytał Tomey, nalewając sobie kubek.

– Nie, dziękuję.

Biła z niego swada i pewność siebie typowa dla prawników procesowych. Kiedy Dan zadzwonił i zaproponował spotkanie w celu omówienia sprawy Wayne’a Gerhardta, ani chwili się nie wahał i gdy teraz wyszedł do recepcji, w jego zachowaniu nie widać było cienia niepokoju. Dan z doświadczenia wiedział, że tego rodzaju adwokaci zazwyczaj reprezentują typ rewolwerowca, a nie mola książkowego. Mają zwyczaj strzelać z biodra, co oznacza, że strzały często bywają niecelne, a zachowanie strzelców jest nieprzewidywalne.

Tomey przesunął stertę papierów po świeżo wywoskowanym blacie z ciemnego drewna, wziął do ręki kubek z kawą i oparł się plecami o fotel.

– Dobra, a więc Wayne Gerhardt, tak? – zaczął.

– Chciałbym usłyszeć od pana coś więcej o jego sprawie.

– Najął pana?

Dan nie poinformował go, że sam też jest adwokatem.

– Interesuję się jego sprawą w imieniu kogoś innego.

– To znaczy kogo?

– Nie wolno mi wyjawić tożsamości mojego klienta.

– Pewno jego siostry, co? Ona nigdy nie chciała, żeby poszedł na układ. I prawie go przekonała.

– To dlaczego poszedł?

Tomey wydmął usta.

– Musiał. Oskarżyciel miał go w ręku.

– Czy Wayne Gerhardt przyznał się do winy?

– Nie mogę mówić, co powiedział lub czego nie powiedział, bo to sprawy poufne. Ale mogę zdradzić, że upierał się przy swojej niewinności. Nie miało to jednak większego znaczenia.

– Dlaczego?

– Bo liczą się dowody, a tych mieli aż nadto. Gerhardt był w dniu zabójstwa w domu ofiary i zostawił po sobie dziesiątki odcisków palców. Nie miał alibi. Sąsiadka z naprzeciwka go rozpoznała. A w dodatku nie podobało mi się podejście przysięgłych. Takie sprawy się czuje. Byli gotowi go powiesić.

– Poszedł na układ po zeznaniu sąsiadki.

– Musiał. Jak już mówiłem, ona go rozpoznała. Była całkowicie pewna.

– W jej zeznaniu dla policji nie widać tej pewności.

Tomey uśmiechnął się pobłaźliwie i odstawił kubek.

– Panie O’Leary, robię w tym biznesie od wielu lat i proszę mi wierzyć, że to, co świadek mówi podczas przesłuchania na policji, jest bez znaczenia. Znaczenie ma to, co się mówi w obecności dwunastu kretynów siedzących na kretyńskiej ławie, a im świadek oświadczyła, że widziała Gerhardta przed domem zamordowanej. I niech pan tylko spróbuje nieco docisnąć taką miłą staruszkę, to ława przysięgłych zniełubi pana, a pańskiego klienta jeszcze bardziej.

Protekcjonalny ton wskazywał na to, że Tomey uważa go za prywatnego detektywa i Danowi bardzo to odpowiadało.

– Rozumiem – rzucił. – A co ze śladami DNA? Czemu ich nie przebadano?

Tomey rozłożył ręce.

– Zbadasz pan DNA, okaże się, że to pański klient, i oskarżenie już nie pójdzie na układ. Bo nie może. Musi wtedy walczyć o czapę. Bo co by powiedzieli rodzinie ofiary? Kapuje pan? Myli się pan w swoich domysłach i funduje klientowi wyrok śmierci, ponieważ go powieszą.

– A gdyby badanie DNA wykazało, że to nie był Gerhardt?

– Widzi pan, właśnie tego ludzie nie rozumieją. Ślady DNA były na jej ubraniu, ale nie było ich w niej. Znajduje pan ślady DNA w ofierze, badanie wykazuje, że nie należą do pańskiego klienta, i ma pan punkt zaczepienia do dalszej walki. Ale w protokole koronera było napisane, że do seksu nie doszło. Czyli gdyby nawet DNA nie było jego, to by nie przesądzało, że jej nie

zabił. Znaczyłyby tylko tyle, że ślady DNA należały do kogoś innego: jej chłopaka czy kogoś, kto ją odwiedził. To o niczym nie świadczy, nie uwalnia od zarzutów. Czyli podejmuje się ryzyko. Trzeba wybierać między karą śmierci lub dożywociem bez prawa do ułaskawienia a wyrokiem dwudziestu pięciu lat. Gerhardt był młodym człowiekiem. Przy dobrym sprawowaniu ma szansę wyjść po piętnastu.

– Nie doszło do seksu, więc jaki był motyw zabójstwa? – spytał Dan.

– Kto to może wiedzieć? – Tomey wzruszył ramionami.

– A zdaniem oskarżenia?

– Nie zdążył jej zgwałcić, bo umarła.

– Miała chłopaka?

– Kto?

– Beth Stinson. Powiedział pan, że ślady DNA mogły należeć do jej chłopaka. Był ktoś taki?

– Nie pamiętam, czy był, czy nie było. Ja mówię o tym, że pójście tą drogą oznaczało postawienie wszystkich pieniędzy krupiera na jedną kartę.

Dan nie do końca rozumiał tę złożoną metaforę, ale przesłanie było jasne.

– A co z innymi świadkami? – spytał.

– Jakimi innymi świadkami?

– Z wymienionymi w aktach policyjnych. Rozmawiał pan z nimi?

– Pewnie tak. W każdym razie nie pamiętam, żeby coś zatrzęsło posadami świata. – Tomey rzucił okiem na swój kosztowny zegarek. – Dobra, to wszystko?

– Tak, wszystko. – Dan skinął głową. Wcale tak nie uważał, ale wiedział, że ten człowiek nie poświęci mu już więcej czasu. W świecie Tomeya czas to pieniądz, a siedząc i rozmawiając z Danem o kliencie przebywającym od dziesięciu lat w więzieniu, nie zarabiał ani grosza. Ale ważniejsze było to, że Dan dowiedział się już tego, o co mu chodziło.

Tomey kompletnie olał obronę Gerhardta.

* * *

Po powrocie do domu wybrał się na długą przebieżkę, wziął prysznic i spędził resztę wieczoru na przeglądaniu całej zawartości teczki Beth Stinson. O siedemnastej zadzwoniła Tracy, że niedługo wraca, ale półtorej godziny później zadzwoniła ponownie, że coś ją zatrzymało.

Danowi udało się skomponować sałatkę do piersi z kurczaka, które znalazł w zamrażarce i zamarynował w sosie sojowym, ale poza tym w lodówce Tracy nie było nic innego do jedzenia. Usłyszawszy hurgot opuszczanej bramy garażowej, wstawił kurczaka do nagrzanego piekarnika, na którym zegar wskazywał godzinę 18:33. Na dźwięk otwieranych drzwi z garażu ustawił się za załomem ściany i wyciągnąwszy rękę, pomachał białym ręcznikiem.

– Można bezpiecznie wyjść?! – zawołał.

Roześmiała się, a on wystawił głowę. Mimo uśmiechu wyglądała na tak zmęczoną i sponiewieraną, jak brzmiał jej głos przez telefon. Postawiła aktówkę na podłodze i rzuciła płaszcz na oparcie krzesła. Dan pocałował ją na powitanie.

– Masz ochotę na kieliszek wina? – spytał.

– Lepiej nie, bo usnę.

– Kolacja będzie za dwadzieścia minut. Pomyślałem, że może będziesz chciała najpierw wziąć prysznic.

– Dzięki. Trochę jestem skonana. Jak ci minął twój wolny dzień?

– Wolny dzień? Akurat! Ale to może poczekać. Najpierw weź prysznic.

Przyjrzała mu się.

– Masz mi coś do powiedzenia. Widzę to po twojej minie.

– Tak naprawdę to się zastanawiam, ile z tego mam ci zdradzić.

– O Beth Stinson?

– Rozmawiałem rano z JoAnne Anderson.

– No i?

– A potem z obrońcą Wayne’a Gerhardta.

– No i?

– A jak cię zaczną wypytywać... Nolasco lub ktoś inny? Może lepiej, żebyś nie znała wszystkich szczegółów.

Oparła się ciężko o blat. Doceniała troskę Dana, ale w śledztwie nic się właściwie nie działo i gdyby odkrycie nowych dowodów miało je ożywić – nawet za cenę potencjalnych kłopotów z powodu wtykania nosa do starych spraw – to trudno.

– Rozmawiałam dziś z profilerką FBI. Według niej tego typu seryjni mordercy ćwiczą zabijanie mniej więcej tak, jak inni uderzenia kijem golfowym, i zwykle za pierwszym razem im nie wychodzi. To by mogło tłumaczyć różnice między zabójstwem Stinson i pozostałych ofiar.

Dan przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym zaczął mówić:

– Anderson jest krótkowzroczna. Bez okularów nie widzi dobrze ulicy. Kiedy spytałem ją, czy miała okulary tamtej nocy, odparła, że nie jest pewna. Myśli, że miała, bo myśli, że widziała Gerhardta. A ja myślę, że nie, ale nawet gdyby je miała, to i tak by go nie zobaczyła. Byłem u niej pod domem wczoraj późnym wieczorem, by uzyskać podobny obraz jak tamtej nocy. Okazuje się, że jest tam zupełnie ciemno. Nie ma ulicznych latarni, tylko kilka lamp oświetlających trawniki. Żadnych świateł pod domem Beth Stinson.

– Dziewięć lat temu mogło być inaczej.

– W aktach jest kilka fotografii tego domu. A poza tym ludzie z reguły dodają lampy, nie likwidują.

– No to jak Anderson rozpoznała Gerhardta? – spytała Tracy.

– Początkowo go nie rozpoznała. Powiedziała Nolasco i jego partnerowi, że nie jest pewna tego, co widziała. Zdawało jej się, że widziała mężczyznę, ale nie chciała ponosić odpowiedzialności za skazanie niewinnego człowieka i mieć jego los na sumieniu.

– Ale przecież zeznała, że widziała Gerhardta.

– Dopiero po ujrzeniu go na okazaniu, a wcześniej Nolasco pokazał jej jego fotografię.

– Wybrała go z zestawu?

Dan pokręcił głową.

– Twierdzi, że pokazali jej tylko fotografię Gerhardta.

– Ale w teczce są zdjęcia jeszcze czterech innych mężczyzn.

– Wiem. Ale Anderson jest pewna.

– Chyba jednak napiję się tego wina – rzuciła Tracy.

Dan nalał do kieliszka i podał jej. Pociągnęła łyk.

– Pokazują jej fotografię Gerhardta – odezwała się – widzi tego samego faceta na okazaniu, więc dochodzi do wniosku, że tamtej nocy miała na nosie okulary i widziała Gerhardta.

– Powiedziała też, że tego dnia, kiedy Gerhardt przepychał zapchane rury u Stinson, pracowała w ogrodzie i widziała go, jak wychodzi z domu i chowa narzędzia do furgonetki.

– Czyli mogła go zapamiętać z popołudnia, a nie z tej nocy.

– Zeznała, że Gerhardt był w kombinezonie. – Dan pokręcił głową. – Nawet gdyby miała okulary, w żaden sposób nie mogłaby dostrzec takiego szczegółu. Niebo było zachmurzone i padało. Jestem gotów się założyć, że widziała go w kombinezonie, ale po południu.

– Nic z tego nie ma w aktach.

– Nie. Ale po tym, jak poznałem obrońcę Gerhardta, nie jestem pewien, czy nawet gdyby to było w raporcie policyjnym, to wyszłoby na procesie. Przyznał mi się, że zbyt nie naciskał na Anderson, bo nie chciał wrogo nastawić przysięgłych. Jego klientowi groziło długoletnie więzienie, a on nie chciał denerwować przysięgłych?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– I co teraz? – spytała w końcu Tracy.

– Następnym logicznym krokiem byłaby rozmowa z Gerhardtem, ale musimy to najpierw dobrze przemyśleć.

– Nie ma o czym myśleć, Dan. Już nie.

– Jeśli ktoś się dowie, że z nim rozmawiam, ile czasu minie, zanim media i twój szef skojarzą mnie z tobą? A jeśli Nolasco

i jego partner naprawdę wrobili w to Gerhardta, to na pewno nie będzie chciała, żebyś to rozgrzebywała. Przedstawi cię jako maniaczkę, która zamiast łapać seryjnego zabójcę, próbuje uwolnić następnego skazańca. Nie wiem, jak byś z tego wybrnęła, zwłaszcza jeśli ktoś by zaczął pytać, jakim cudem miałem dostęp do akt policyjnych.

Tracy spojrzała przez drzwi na taras. Ostatnie błyski dnia kładły się złocistymi plamami na szklanych fasadach wieżowców Seattle.

– Pamiętasz Waltera Gipsona? – spytała.

– Tego nauczyciela?

– Przyznaje, że był ze Schreiber w motelu tej nocy, kiedy ją zamordowano, ale zarzeka się, że nie on to zrobił. Jeśli mówi prawdę, to znaczy, że ktoś przyszedł do tego pokoju po jego wyjściu. Nie ma innej możliwości.

– Brzmi sensownie.

– Profilerka, z którą dziś rozmawiałam, twierdzi, że nasz zabójca jest inteligentny, ostrożny i konsekwentny. A jeśli wiedział, że Schreiber spotka się z Gipsonem, i podszył się pod niego?

– Skąd mógłby wiedzieć?

– Schreiber co najmniej raz przyprowadziła Gipsona do garderoby, a Faz wypatrył coś w nagraniach z monitoringu Pink Palace z tej nocy, gdy Schreiber i Gipson wyszli razem.

– Co wypatrył?

– Samochód zaparkowany w bocznej uliczce, który nagle rusza z miejsca i chyba za nimi jedzie.

– Czyli myślisz, że jeśli Gerhardt nie zabił Stinson, to zabójca mógł wiedzieć, że Gerhardt został tego popołudnia wezwany do awarii w domu Stinson, i też się pod niego podszył?

– Dość logiczny wniosek, nie sądzisz?

– A te dwie następne tancerki?

– Tego jeszcze nie wiem. Nadal się z tym zmagam. Ale jeśli w tym myśleniu coś jest, może to znaczyć, że od początku błędę. Bo jeżeli zabójca miał wcześniejszy kontakt ze swoimi ofiarami,

to muszę zrewidować wyjściowe założenie, że mamy do czynienia z morderstwami przypadkowych osób.

Dan znał ten wyraz oczu Tracy. Spojrzenie, jakim patrzyła na cel na strzelnicy.

– Mówiłaś chyba, że przepuściliście przez wyżymaczkę wszystkich pracowników klubów i nie znaleźliście nic podejrzanego.

– Tak było, ale to jeszcze nic nie znaczy. Profilerka powiedziała, że ci ludzie latają poniżej pułapu radaru, prowadzą z pozoru normalne życie, nie są notowani za wcześniejsze przestępstwa. Liczy się dla nich tylko to. Wiedzą, że jak ich złapią, dostaną dożywocie lub karę śmierci.

– Jest coś jeszcze. – Dan poprowadził ją z kuchni do stołu w jadalni i podał jej kwestionariusz HITS wypełniony w związku ze sprawą Beth Stinson. – Spójrz na pytanie numer sto dwa. Piszą tam, że istnieją dowody na wykorzystanie seksualne, ale jednocześnie nie odznaczają kratki na potwierdzenie, że w ciele ofiary znaleziono ślady nasienia.

– Też zwróciłam na to uwagę.

Chciała jeszcze coś dodać, lecz Dan jej przerwał.

– Moment! – Wziął do ręki raport koronera z uwypuklonymi na żółto fragmentami i przyklejonymi karteczkami z uwagami. Przerzucił kilka stron i zaczął czytać: – *Brak zaczerwienienia, otarć lub innych śladów fizycznych wskazujących na to, że doszło do kontaktu seksualnego. Na wacikach pobranych z jam ciała ofiary nie znaleziono śladów spermy. Przeprowadzono kolposkopię, ale nie znaleziono żadnych mikrourazów narządów płciowych, które wskazywałyby na niedawny stosunek płciowy i penetrację. Nie występuje płyn nasienny, spermatozoa ani fosfataza kwaśna.*

Tracy miała za sobą rok pracy w wydziale przestępstw seksualnych.

– Przypadki, w których u ofiary nie ma śladów spermy, ale występuje fosfataza, zwykle wskazują na to, że gwałciciel miał zrobioną wazektomię lub używał prezerwatywy – wyjaśniła.

– I pewnie Nolasco i jego partner przyjęli taką wersję i na pytanie o napastowanie seksualne dali odpowiedź twierdzącą. Tyle że koroner wykluczył użycie kondomu. Nie znalazł żadnych śladów lubrykantów czy środków plemnikobójczych. – Dan odłożył raport. – Zabójca Beth Stinson nie uprawiał z nią seksu. Nolasco i jego partner pośpieszyli się z odznaczeniem kratki numer sto dwa, bo...

– Bo brakowało im motywu.

Dan pokiwał głową.

– Podobnie jak podejrzanego. Ale ponieważ obrońca Gerhardta namówił go na pójsie na układ, nic z tego nie wyszło na jaw, a im nie chciało się wracać do sprawy i zmieniać wpisów w kwestionariuszu.

– Czyli należałoby porozmawiać z Gerhardttem, dowiedzieć się, kto jeszcze wiedział o jego wizycie serwisowej tamtego popołudnia, i pójsć tym tropem – podsumowała Tracy.

– Rodzina Beth Stinson nie będzie chciała ponownie przeżywać tego koszmaru.

– Wiem i trudno im się dziwić. Ale jeśli się nie mylimy, to mamy do czynienia nie tylko z człowiekiem siedzącym w więzieniu za niepopelnione zbrodnie, lecz także z kimś, kto zabija od dziesięciu lat lub dłużej i zabił dużo więcej niż trzy czy cztery kobiety. A jeżeli profilerka ma rację, to coś znów rozbudziło w nim żądzę zabijania i tym razem z własnej woli nie przestanie.

Rozdział 33

Wcisnął klawisz EJECT i ponownie popatrzył na kobietę na podłodze. Siedziała wciąż prosto, miała otwarte oczy i wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Miał z nią więcej kłopotu niż z innymi. Za każdym razem, gdy myślał, że już nie żyje, ona się nagle wzdrygała, stękała i powracała do życia. Zupełnie jakby oglądał jeden z tych horrorów, w których zombie nie chcą umrzeć, póki nie odstrzeli im się głowy. W pierwszej chwili było to nawet dość podniecające, ale szybko go znudziło. Chciał, by już umarła, żeby mógł sobie pójść. Zapach jej perfum i ciała go brzydził, a od smrodu papierosów robiło mu się niedobrze.

Kaseta w magnetowidzie nie przestawała furczeć, w końcu jednak stanęła. Sięgnął po nią, ale szufladka się nie wysunęła. Ponownie nacisnął EJECT, usłyszał kliknięcie świadczące o tym, że taśma została przewinięta, lecz kasetka znów się nie wysunęła. Ze złością postukał w klawisz.

– No rusz się! No rusz się! No rusz się, ty śmieciu!

Walnął pięścią w magnetowid tak mocno, że toaletka głośno stuknęła w ścianę, a on aż ścierpł ze strachu. Wcześniej słyszał jakieś odgłosy w sąsiednim pokoju, ale od godziny panowała w nim cisza. Odchylił klapkę magnetowidu i zajrzał do środka. Kasetka tam była, lecz mechanizm jej nie wysunął. Poczul na czole i karku krople zimnego potu. Ze skroni spłynęły strużki potu.

Znów spojrział na kobietę, która nie przestawała się w niego wpatrywać.

– Przestań się na mnie gapić – warknął i wymierzył jej kopniaka. Zachwiała się, ale nie upadła.

Szarpnął magnetowid, ten okazał się jednak przyśrubowany do blatu toaletki.

– Jakby ktoś chciał ukraść główniane wideo sprzed dwudziestu lat, za które w lombardzie nie daliby nawet dychy – burknął pod nosem.

Znów wcisnął EJECT, a potem zaczął zaglądać do szuflad toaletki w poszukiwaniu czegoś, czym dałoby się podważyć kasetę, lecz szuflady były puste. Przeklął pod nosem. Co za główniany motel, żeby nawet długopisu nie było! Wyjął z kieszeni kółko z kluczami i spróbował wcisnąć do środka jeden z nich. To nie był przejaw sentymentalizmu. Wprawdzie miał tę kasetę od dziecka, przeważały jednak względy praktyczne. Było na niej mnóstwo jego odcisków palców.

Zerknął na zegarek. Na jak długo ona wynajęła ten pokój? Zawsze dawał im pieniądze za całą noc, ale zauważył, że sknerzą. Opłacały godzinę lub dwie, a resztę chowały do kieszeni. Dlatego zaczął przypalać im stopy papierosami – bez tego ich umieranie ciągnęło się za długo i obawiał się, że mógłby przyjść kierownik, by upomnieć się o dodatkową opłatę – mógł używać w tym celu końca papierosa i nie musieć ich dotykać. Budziły w nim obrzydzenie, ale i tu ważniejsze były względy praktyczne. Jakikolwiek kontakt fizyczny groził pozostawieniem dowodów: kawałka włosa, złuszczonego naskórka, czegokolwiek.

Spojrzał na drzwi. Zaczep był spuszczone, łańcuch założony.

Kobieta wciąż mu się przypatrywała.

Odwrócił się do niej plecami, bo miał teraz ważniejszy problem do rozwiązania. Musi tylko zachować spokój. Wykonał kilka głębokich oddechów, tak jak uczono go skupiania się przed występem. W ciągu minuty przyszło mu do głowy rozwiązanie. Tak proste, że aż się roześmiał. Przecież nie on wynajął ten pokój. Nie mieli numeru jego karty kredytowej czy prawa jazdy. Więc co mu szkodzi rozwalić ten cholerny magnetowid?

Przesunął dłoń po wystającym z tyłu przewodzie zasilającym, zgarnął z niego koty kurzu i martwe owady i wyciągnął z gniazdka. A potem uchwycił obudowę za boki i zaczął ciągnąć.

Lichej jakości laminat blatu puścił z trzaskiem i oderwany magnetowid znalazł się w jego rękach.

Pora się zwijać.

Wsunął magnetowid do sportowej torby, ale urządzenie nie zmieściło się całe i koniec wystawał. Spróbował je włożyć pod innym kątem, obrócił bokiem, starał się rozciągnąć torbę, lecz nic to nie dało. Nie było sposobu, żeby je zmieścić. Będzie musiał improwizować. Zawsze miał bardzo sprawne nogi. Nauczyciele twierdzili, że to jedna z jego mocniejszych stron. Ściągnął przez głowę bluzę i okrył nią wystający koniec magnetowidu. Nie było idealnie, jeśli jednak uchwyci rączki torby w odpowiedni sposób, będzie wyglądało prawie naturalnie. A poza tym nie miał wyboru, więc musi to wystarczyć. Po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. Łóżko było pościelone, ubranie równo ułożone.

Występ zakończony.

Naciągnął głębiej czapkę, włożył skórzane rękawiczki na lateksowe i ruszył do drzwi. Odhaczył zaczep i zdjął łańcuch, uważając, by zrobić to jak najciszej. Ostrożnie uchylił drzwi i przed wystawieniem głowy chwilę odczekał. Na galeryjce nie było nikogo. Nikt nie stał na parkingu. Wymknął się i cicho zamknął za sobą drzwi, pamiętając, by je zatrzaskać. Zawiesił rączkę torby na ramieniu. Poczul dodatkowy ciężar wetkniętego do niej magnetowidu, ale nie dając tego po sobie poznać, spokojnie ruszył wzdłuż budynku.

Parking na tyłach motelu przylegał do sąsiedniej ulicy. Ruszył nią na południe; przeszedł kawałek różnym, zdecydowanym krokiem, ale nadmiernie się nie śpiesząc, jak ktoś wracający z ćwiczeń na siłowni. Skręcił w lewo i w pierwszą w prawo. Zostawił samochód pod siatkowym ogrodzeniem pustej parceli. Plansze na siatce informowały, że nieruchomości jest na sprzedaż na cele komercyjne. Zanim ktoś ją kupi, było to idealne miejsce na zaparkowanie, z dala od wścibskich spojrzeń ciekawskich sąsiadów. Był już na tyle daleko od motelu, że zaczynał się rozluźniać, ale wciąż się pocił. Zimne powietrze przyjemnie chłodziło mu skórę i pozwalało głębiej odetchnąć.

Otworzył samochód kluczykiem, celowo rezygnując z użycia pilota, by uniknąć głośnego piknięcia, i postawił torbę na tylnym siedzeniu. Wsiadł, uruchomił silnik – choć nie dało się tego usłyszeć, bo hybrydowy silnik pracował zupełnie bezszelestnie – i ruszył z miejsca. Kawalek dalej zapalił światła, zatrzymał się przed znakiem STOP i skręcił w prawo.

– Droga wolna – mruknął pod nosem.

Z Aurora Avenue wyjechał jakiś samochód. Rzucił okiem na szybkościomierz: równo czterdzieści kilometrów na godzinę. Zatrzymał się przed kolejnym skrzyżowaniem, ponownie zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył migające niebieskie i czerwone lampy.

Serce gwałtownie podeszło mu do gardła i poczuł pulsowanie w skroniach. Nie mógł nic poradzić na ciekące po twarzy strużki potu. Spróbował usiąść prosto. Uspokój się, skarciał się w duchu. Jesteś na to przygotowany. Masz to przećwiczone. Znasz odzywki na pamięć. Zachowuj się normalnie i trzymaj się scenariusza.

Zjechał do krawężnika, stanął i zaczął się wpatrywać w lusterko boczne. Policjant wysiadł od razu po tym, jak radiowóz się zatrzymał, co było pocieszające, bo znaczyło, że chyba nie miał czasu sprawdzić jego numerów.

Opuścił boczną szybę.

– Coś nie tak, panie władzo?

– Nie działa panu jedno światło stop. – Policjant wyglądał jak dzieciak, miał rekrucką szcecinę na głowie i chłopięcą twarz. Pewnie żółtodziób, oby tylko nie służbista.

– Naprawdę? Które?

– Prawe.

– Mogę wysiąść i rzucić okiem? – Zawsze o wszystko pytaj, bądź uprzedzająco grzeczny.

– Jasne.

Rozpiął pas i wysiadł, zerkając do tyłu na swoją sportową torbę.

– Nacisnąć hamulec, żeby pan sam zobaczył? – spytał policjant.

– Byłbym wdzięczny.

Policjant uchwycił się otwartych drzwi, wsadził do środka nogę i nacisnął pedał hamulca.

– Rzeczywiście, przepaliło się.

– Samochód wygląda na dość nowy.

– Długo nim nie jeżdżę, ale kupiłem używany. Pojadę do serwisu w czasie lunchu i każę wymienić żarówkę. – Otarł skronie z ciekącego nieubłaganie potu.

– Strasznie pan się poci.

– Wracam z siłowni i bardzo długo trwa, zanim odsapnę.

Policjant spojrzał na tylne siedzenie.

– Gdzie pan tu chodzi na siłownię? – zapytał.

– Do 24 Hour Fitness. Mają salę zaraz za rogiem. – Wskazał ręką na tylne siedzenie. – Trzymam w samochodzie torbę. – Policjant poświecił przez okno latarką. – Ale dziś musiałem skrócić ćwiczenia, bo przed pracą czeka mnie jeszcze koci alert.

– Koci alert?

Podszedł do drzwi kierowcy, wsadził głowę do środka, zebrał z fotela pasażera garść ulotek i wręczył jedną policjantowi.

– Córce trzy dni temu zginął kot, Angus. Naprawdę kocha tego zwierzaka. Zawsze z nią spał. Jeżdżę i rozklejam te ulotki po całej dzielnicy, ale szczerze mówiąc, nie mam wielkich nadziei, że się odnajdzie. Boję się, że mógł wpaść pod samochód, ale nigdy nic nie wiadomo. Działy się już dziwniejsze rzeczy.

Policjant rzucił okiem na ulotkę i zwrócił ją.

– Niech pan nie zapomni naprawić tego światła – powiedział.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, panie władzo.

Odwrócił się i pochylił, by schować ulotki, kiedy usłyszał: „Chwileczkę” i aż zdrętwiał.

Wyprostował się i spojrzał za siebie. Policjant zmierzał w jego kierunku. Niewątpliwie każe mu teraz pokazać prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– Tak, panie władzo?

– Pan mi da taką jedną ulotkę. Mam dwoje dzieci i wiem, że gdyby zaginął ich kot, serce by im pękło z żalu. Będę miał oczy otwarte na Angusa.

Rozdział 34

Na widok Tracy wchodzącej do Sali Kowboja Kins wstał.

– Dzwonili z Biura Odpowiedzialności Zawodowej i kazali mi złożyć oświadczenie. Rozpoczynają dochodzenie w sprawie Taggarta. Zdawało mi się, że powiedziałaś, że Nolasco będzie cię wspierał.

– I tak jest. Ale pewnie dochodzenie i tak musi być.

– Tracy? – Do pomieszczenia wszedł Bennett Lee z taką miną, jakby się bał, że na jego granatowym garniturze w białe prążki osiadzie cementowy pył. – Próbuję cię złapać, a ty nie oddzwoniasz.

– Byłam trochę zajęta.

– Tak, no cóż, szef chce, żebym dziś po południu przekazał prasie komunikat o aktualnym stanie śledztwa.

– Nie mam nic nowego do powiedzenia.

– Nolasco mówi, że znasz profil sprawcy. Że miałaś spotkanie z FBI.

– Chyba żarty sobie stroisz – parsknął Kins.

Tracy przymknęła oczy. Czowała, że Nolasco miał jakiś ukryty cel w zaaranżowaniu jej spotkania z Amandą Santos, choć i tak była zadowolona, że do niego doszło. Jeśli kapitanowi zależało, by praca grupy zadaniowej zakończyła się fiaskiem, doprowadzenie do ujawnienia niepełnego i błędnego profilu sprawcy było logicznym posunięciem. Media i opinia publiczna potraktowałyby to jako zapowiedź rychłego aresztowania Kowboja, a gdyby do tego nie doszło, jedni i drudzy mieliby pretekst do przypiekania grupy zadaniowej jak na rożnie. Co gorsza, ogłoszenie profilu spowodowałoby zalanie ich lawiną

bezwartościowych informacji, których i tak już otrzymali ponad tysiąc.

Lee podniósł ręce w geście poddania.

– Nie strzelaj do posłańca, Sparrow. Sam wiesz, jak jest. Jeśli nie ogłosimy profilu, wszyscy będą myśleć, że nic nie mamy.

– Bo nic nie mamy – mruknął Kins.

– Ogólnokrajowe media zaczynają nazywać Seattle „połem śmierci”. Szefostwo strasznie na mnie ciśnie, Tracy. Nolasco mówi, że to fatalnie wpływa na nasz wizerunek.

– Wiesz, co wpłynie jeszcze gorzej? – wtrącił Kins. – Ogłoszenie, że zabójcą jest biały mężczyzna w wieku między dwadzieścia pięć a czterdzieści pięć lat, prawdopodobnie żonaty, być może rozwiedziony, być może ojciec dzieci, być może wychowany przez nadopiekuńczą matkę, która rozbudziła go seksualnie, być może moczący łóżko i być może torturujący małe zwierzęta.

Lee popatrzył na Tracy.

– Możesz mi dać cokolwiek?

W odruchu współczucia już miała powiedzieć, żeby usiadł, a ona coś dla niego wyskrobie, ale w tym momencie zadzwonił jej telefon.

– Zaczekaj – rzuciła, podnosząc słuchawkę. Przez chwilę słuchała, czując ściskanie w żołądku i nagłe strzyknięcie adrenaliny. – Już jedziemy. – Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Kinsa, a ten bez słowa sięgnął po marynarkę.

Tracy przeniosła wzrok na Lee.

– Dziś nie będziesz musiał się zajmować profilem sprawcy, Bennett.

* * *

Podczas ostatniej wizyty w murach więzienia stanowego Walla Walla Dan siedział obok Tracy przy stole i rozmawiał z Edmundem House'em, napakowanym steroidami więźniem z mięśniami jak postronki i rozsadzającymi skórę żyłami.

Więzień, który dziś wszedł do pokoiku wielkości budki telefonicznej i stanął po drugiej stronie porysowanej przegrody z pleksiglasu, był fizycznym przeciwieństwem tamtego. Więzienny sweter khaki i płócienne spodnie wisały na wąskich ramionach i wychudzonym ciele jak na strachu na wróble, podobieństwa dopełniała szczupła twarz, szpiczasty podbródek i nos oraz czupryna w kolorze spalonej słońcem słomy.

Gerhardt przysunął sobie krzesło, usiadł i spojrzał na Dana niebieskimi oczami bez wyrazu.

– Panie Gerhardt, jestem Dan...

– Wiem, kim pan jest. – Głos więźnia brzmiał cicho i łagodnie.

– Wszyscy tu pana znają. Reprezentował pan Edmunda House'a.

– Rzeczywiście.

– Czego pan ode mnie chce?

– Chciałbym zadać kilka pytań.

– Dlaczego?

– Interesuje mnie parę szczegółów morderstwa Beth Stinson.

– Pisz pan książkę?

– Nie, jestem adwokatem.

– I co z tego? Teraz wszyscy adwokaci piszą książki, nie? – Kąciki ust się uniosły.

– Nie piszę książki – powiedział Dan, kwitując jego słowa półuśmiechem.

– Kto panu powiedział o mojej sprawie?

– W tej chwili nie mogę tego wyjawić.

Gerhardt zmrużył oczy. Jeśli zamierzał wstać i odejść, był to najważniejszy moment. Ale Dan wiedział, że tego nie zrobi. Sądząc po wyglądzie więźnia – jakże różnym od tego, co widział na policyjnych fotkach – domyślał się, że okazja porozmawiania z kimś innym niż gwałciciele, mordercy i różne świry stanowiła dla niego atrakcję w więziennej monotonii.

– Jestem adwokatem, panie Gerhardt, ale formalnie nie pańskim. Dlatego wszystko, co tu powiemy, nie podlega ochronie adwokackiej, chyba że zechce pan uznać tę rozmowę za

konsultację z adwokatem. Na razie nie mogę wszystkiego panu wyjawić. Czyli na tę chwilę musi mi pan zaufać.

Więzień ponownie się uśmiechnął, ale tym razem bardzo gorzko.

– Kiedy ostatnio zaufałem adwokatowi, skończyło się to dla mnie dwudziestopięcioletnim wyrokiem.

– Odpowie pan na moje pytania?

Gerhardt wyprostował się i przysunął twarz bliżej przegrody.

– Jest tylko jedno pytanie i jedna odpowiedź, które mają znaczenie. – Uniósł brwi i ich łuki niemal podjechały do blond czupryny. – Czy ją zabiłem? Nie, nie zabiłem.

Dan skorzystał z tego wyłomu i ruszył do ataku.

– Czy zetknął się pan z Beth Stinson przed dniem, gdy był pan u niej z wizytą serwisową?

– Nie.

– Co pan może powiedzieć o tej wizycie?

– A co pan chce wiedzieć? Miałem dziesięć lat na to, żeby o niej myśleć.

– Wszystko, co pan pamięta.

– Zapchał jej się sedes. Przed nią miałem inne wezwanie i zajęło mi to dłużej, niż myślałem, więc dotarłem do niej z opóźnieniem.

– Która to była godzina?

– Po południu, około czwartej. Była zniecierpliwiona, bo śpieszyła się do pracy, ale nie chciała wyjść z domu, bo się bała, że toaleta jej wybije i zapaskudzi łazienkę. Już chyba kiedyś jej się tak zdarzyło.

– Gdzie pan zaparkował furgonetkę?

– Na podjeździe pod domem. Wyjechała swoim samochodem i zostawiła go na ulicy. Był zupełnie nowy i bała się, że mogę go porysować. I nie chciała, żebym ją zablokował.

– Żeby mogła pojechać do pracy.

– Właśnie.

– I co jeszcze?

– Wpuściła mnie do domu i zaprowadziła do łazienki...

- Mówi pan o łazience przy głównej sypialni na tyłach domu?
 - Zgadza się.
 - Czyli musiał pan przejść przez jej sypialnię.
 - Nie było innej możliwości.
 - Czy dotykał pan czegokolwiek w sypialni?
 - Powiedzieli, że znaleźli moje odciski na toalecie, więc pewnie tak było.
 - Znaleźli też mnóstwo odcisków w łazience.
 - Nie da się pracować bez dotykania.
 - Jaką kobietą była Beth Stinson?
 - To znaczy co?
- Dan zastanowił się, jak najlepiej sformułować pytanie.
- Zachowywała się wobec pana z rezerwą, była wyniosła, bezpośrednia, przyjacielska?
 - Normalna. Powiedziałbym, że raczej przyjacielska. I ładna. To pamiętam. Miała na sobie obcisłe legginsy i bluzę do pępka. Była zgrabna.
 - Udało się panu przetkać rurę?
 - Nie od razu. Parę razy musiałem chodzić do furgonetki po narzędzia i spiralę. W końcu przepchnąłem tę rurę od studzienki na zewnątrz.
 - Gdzie była Beth Stinson, kiedy pan to robił?
 - Głównie siedziała w kuchni i czytała jakieś czasopisma, ale parę razy przyszła do łazienki, żeby spytać, jak idzie.
 - Niecierpliwiła się – domyślił się Dan.
 - Już mówiłem.
 - Wchodził pan w ogóle do kuchni?
 - Tylko żeby jej powiedzieć, że rura jest zapchana głębiej, niż myślałem, i że spróbuję się do niej dostać od zewnątrz.
- Znaleziono odciski palców Gerhardta na blacie kuchennym i dla oskarżenia stanowiły dowód na to, że próbował usunąć ślady błota z wykładziny dywanowej Stinson.
- Gdzie była ta studzienka?
 - Pod domem. – Chwilę się zastanowił i dodał: – Od ulicy.

Czyli od strony domu JoAnne Anderson. Gerhardt musiał być ku niemu zwrócony twarzą za każdym razem, gdy wychodził na zewnątrz.

– Czy było tam błoto?

– No, było. Trochę jej nabłocilem w domu, ale nie była na mnie zła. Najpierw próbowała zatrzeć ślady, a potem powiedziała, że i tak zamierza zastąpić wykładzinę parkietem.

– Widział pan kogoś, wychodząc z domu?

– Sąsiadka po drugiej stronie ulicy robiła coś w ogrodzie. To ona później zeznawała. Powiedziała, że widziała mnie w nocy. A to nieprawda.

– Kiedy pan ją widział, miała na nosie okulary?

– Nie pamiętam. Zeznała, że miała, więc pewnie tak było. Pamiętam tylko, że na głowie miała słomkowy kapelusz chroniący przed słońcem, wie pan, taki z opuszczanym rondem dla zasłonięcia twarzy.

– Machał pan do niej albo w jakiś inny sposób pozdrawiał?

– Nie.

– Jak był pan ubrany?

– Jak zawsze do pracy. W szare spodnie i granatową koszulę.

– Czyli nie w kombinezon?

– Kombinezon włożyłem, kiedy musiałem wcisnąć się pod dom.

Dan dopisał dwie linijki pod swoją notatką, że JoAnne Anderson widziała Gerhardta w kombinezonie.

– A na nogach?

– Timberlandy.

– Z jak grubą podeszwą?

Gerhardt rozstawił palce na jakieś pięć, sześć centymetrów.

– Ile pan ma wzrostu, panie Gerhardt?

– Metr osiemdziesiąt dziewięć. A bo co?

Dan znów coś zapisał.

– Bo JoAnne Anderson zeznała, że mężczyzna, którego widziała w nocy, był wzrostu drzewka na podwórzu. Dziewięć lat

temu miało metr osiemdziesiąt. W butach na tak grubej podeszwie miał pan jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć.

– Powie, że było ciemno i tak dokładnie nie widziała.

Dan uśmiechnął się i po raz pierwszy w oczach Gerhardta coś rozbłysło.

– Wayne, czemu się przyznałeś, skoro tego nie zrobiłeś?

Gerhardt wzruszył ramionami i spuścił wzrok, a gdy znów spojrzął na Dana, w oczach miał łzy.

– Czułem się tak, jakby wszyscy się przeciwko mnie zmówili. Ta kobieta wskazująca na mnie w czasie okazania i potem w sądzie. – Wstrząsnął nim dreszcz i widać było, że ledwo się trzyma. – Mój obrońca twierdził, że nie mam szans. Że jak nie zgodzę się na układ, zażądają kary śmierci. Powiedział, że mają dowody na to, że przed zamordowaniem zgwałciłem ją, i uznają to za okoliczność obciążającą.

– Mówił, jakie dowody?

– DNA.

– Rozmawiał z tobą o badaniu śladów DNA?

– Zagroził, że jeśli się okaże, że to moje DNA, nie pójdą na żaden układ. Że oskarżyciel nie mógłby się z tego wytłumaczyć przed swoim szefem i że wycofa propozycję zawarcia układu. To był mój błąd, ale byłem młody i przerażony. – Otarł pojedynczą łzę, wyprostował się i zebrał w sobie. – Nie należało się godzić. Od lat próbuję znaleźć kogoś, kto by się zajął moją sprawą. Pisałem do Projektu Niewinność na Uniwersytecie Stanu Waszyngton i w Bostonie, praktycznie wszędzie.

– A ten twój obrońca?

– Przez niego tu jestem. Od lat nie miałem z nim kontaktu. Ma pan jakiś pomysł?

– Nawet kilka. Na przykład moglibyśmy wystąpić o analizę DNA. Sędzia może podjąć taką decyzję we własnym zakresie.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Nie robi, chyba że dostarczę mu bardzo przekonujący powód.

– I ma go pan?

– Spytam ciebie, Wayne. Wspomniałeś komuś, że masz wezwanie i jedziesz do domu Beth Stinson? Chodzi mi o to, czy był ktoś, kto wiedział, że będziesz tam tego popołudnia?

Gerhardt się zamyślił.

– Brygadzysta, paru kolegów monterów. Na pewno powiadomiłem telefonicznie dyspozytornię, że jadę na wezwanie. Właściwie wielu w pracy mogło o tym wiedzieć.

Dan znów coś zanotował.

– A czemu pan pyta?

– Z czystej logiki wynika, że jeśli nie ty zabiłeś Beth Stinson, zrobił to ktoś inny. Może ktoś, kto wiedział, że po południu byłeś u niej w domu.

– Brzmi to bardzo mało prawdopodobnie.

– Być może.

– Myśli pan, że to by wystarczyło do zbadania DNA?

– Samo to nie, ale właśnie nad tym pracuję.

Tym razem Gerhardt nie uśmiechnął się ani w żaden sposób nie zareagował. Siedział nieruchomo, wpatrzony w przegrodę z pleksiglasu. Dla Dana było oczywiste, że w ciągu minionych dziesięciu lat nadzieje tego człowieka zbyt wiele razy okazały się płonne.

Rozdział 35

Gdy tylko Tracy i Kins wysiedli z samochodu na motelowym parkingu, gromadka reporterów zasypała ich pytaniami.

– Czy to znów sprawka Kowboja?

– To kolejna tancerka?

– Detektyw Crosswhite, dysponuje pani profilem zabójcy?

Jak poprzednio, pokój znajdował się daleko od recepcji motelu, w narożniku budynku w kształcie litery L. Tracy nie od razu weszła do środka. Minęła drzwi i zatrzymała się na końcu galeryjki, która otaczała narożnik, ciągnęła się wzdłuż tylnej ściany budynku i kończyła zejściem na boczną uliczkę na tyłach Aurora Avenue.

– Myślę, że on nie używa parkingu motelowego – zwróciła się do Kinsa, który do niej dołączył. – Dlatego nie udaje nam się namierzyć żadnych numerów rejestracyjnych. Myślę, że zostawia samochód gdzieś w pobliżu i dochodzi do motelu pieszo. – Przywołała sierżanta patrolu policyjnego i poleciła ogrodzić taśmą budynek motelu od tyłu. – Może chłopcy z CSI znajdą jakieś ślady stóp, niedopałek papierosa, cokolwiek.

Oboje z Kinsem wpisali się do rejestru i weszli do pokoju.

– O Boże, nie – jęknęła na widok ofiary. Drobną dziewczyną miała rude włosy i Tracy nie musiała nawet sprawdzać jej licencji. Była jedną z tancerek, z którymi rozmawiali w garderobie Pink Palace.

* * *

Wróciwszy kilka godzin później do Sali Kowboja, Tracy znalazła na biurku karteczki, że dzwoniли do niej Nolasco, Bennett Lee i Billy Williams, a także niejaki Ferris, śledczy z Biura Odpowiedzialności Zawodowej. Tę ostatnią kartkę wyrzuciła do kosza. Na linię udostępnioną publicznie bez przerwy dzwoniłono i członkowie grupy nie mogli nadążyć z odbieraniem. Wszyscy narzekali, że muszą siedzieć kołkiem przy biurkach i nie zajmują się w terenie tym, czym powinni. Wiedzieli, że sprawdzenie wszystkich sygnałów zajmie im wiele tygodni, a powiększenie składu grupy nie wchodziło w rachubę. Nolasco skrupulatnie pilnował budżetu i czekał na blamaż Tracy.

Ktoś zdążył już umieścić nową fotografię na ścianie. Ruda nazywała się Gabrielle Lizotte, na estradzie występowała jako Francuski Płomyk. Miała dwadzieścia dwa lata, w Pink Palace tańczyła od dwóch i pół roku, głównie w klubie przy First Avenue, gdzie Tracy i Kins z nią rozmawiali. Wcześniej pracowała w Dancing Bare i zaskoczona tym Tracy skarciła się w duchu, że nie przyszło jej do głowy spytać, czy któraś z tancerek znała Nicole Hansen. Faz i Del mieli najpierw wstąpić do Pink Palace, by pokazać zdjęcie Nicole, i dopiero potem pojechać do Dancing Bare i popytać tam o Lizotte. Ron Mayweather ślęczał nad listą aktualnych pracowników Pink Palace, konfrontując ją z listą obecnych i byłych pracowników Dancing Bare, a także spisując nazwiska wszystkich klientów, którzy umawiali się z Lizotte za pośrednictwem strony internetowej Pink Palace. W Dancing Bare nie oferowano takiej usługi.

Tracy podeszła do biurka Kinsa, odczekała, aż partner skończy rozmawiać, i dała mu znak, by wyszedł za nią z sali. Gdy zamknęli za sobą drzwi, otoczyło ich żółtawe światło klatki schodowej oraz woń wilgotnego betonu. Gdzieś w dole słychać było kroki na metalowych schodkach i trzaśnięcie drzwi.

– Co jest? – spytał Kins.

– Myślę, że ona go znała. Myślę, że wszystkie go znały.

– Znały go jako kogo? Klienta? Pracownika? Masz na myśli Nasha?

– Niewątpliwie musiałyby się z nim liczyć i trudno by im było odmówić. Nash znał wszystkie z wyjątkiem Nicole Hansen.

– Podobnie jak Taggart – powiedział Kins. – Być może też Gipson. I wszyscy inni pracownicy.

Kiwnęła głową i zgłosiła tylko sprzeciw wobec Davida Bankstona. Nikt w Pink Palace ani w Dancing Bare nie rozpoznał go z fotografii.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich głowa Rona Mayweathera.

– Tracy? Dzwoni Bennett Lee. Mówi, że musi pilnie z tobą rozmawiać.

– Za chwilę wracam.

Mayweather zamknął drzwi.

– Dlaczego uważasz, że wszystkie go znały? – spytał Kins. – Chodzi ci o to, że Angela Schreiber wynajęła pokój na dłużej niż godzinę?

Niedzielenie się z partnerem kompletem posiadanych informacji było wbrew obowiązującym procedurom, ale jeśli na Tracy miały spaść gromy za grzebanie w sprawie morderstwa Beth Stinson i dopuszczenie do niej Dana, nie chciała, by Kins też się znalazł w polu rażenia.

– Od tego się zaczęło – odparła. – Ale teraz zastanawiam się, dlaczego trafiło to na Gabrielle Lizotte. Sam widziałeś, jak była przerażona tego wieczoru, kiedy z nią rozmawialiśmy. Bała się wyjść z garderoby.

– Warto się temu przyjrzeć. – Kins kiwnął głową. – Sprawdziliśmy jednak cały personel.

– To może być któryś ze stałych klientów, ktoś z internetu.

– Występowałyby pod pseudonimem.

Tracy kiwnęła głową.

– W każdym razie, skoro Gabrielle Lizotte tańczyła w Dancing Bare, to po raz pierwszy łączy się to z Nicole Hansen.

– A to nie jest nic. – Kins westchnął głośno.

Wrócili na salę i Tracy podniosła słuchawkę.

– Potrzebuję oświadczenia dla prasy – burknął Lee.

– To nie jest dobry moment, Bennett. Koledzy zasypują mnie doniesieniami świadków, telefony nie przestają dzwonić.

– Tak, ale Nolasco mówi, że szef domaga się czegoś. Może coś o tym profilu?

– Już ci mówiłam, że potrzebuję trochę czasu, żeby się do tego przymierzyć. I z góry uprzedzam, że to nie będzie nic konkretnego.

– Kiedy mogę na to liczyć?

Kins odwrócił się do niej od biurka i przycisnął słuchawkę do piersi.

– Dzwoni David Bankston, że przyjedzie – rzucił.

– Kiedy? – spytała.

– Na wczoraj – rzucił Lee.

– Dzisiaj – odparł Kins. – Jak skończy zmianę. Zadzwońię do Ludlow i upewnię się, że będzie mogła go zbadać na wariografie.

– Słucham? – spytał Lee.

– Bennett, za chwilę do ciebie oddzwonię.

– Tracy, kiedy mogę liczyć...

– Zadzwońię. – Odłożyła słuchawkę i zaczęła się przysłuchiwać, jak jej partner umawia Davida Bankstona na późne popołudnie.

– Świetnie nam idzie, nie? – mruknął Kins, odkładając słuchawkę. – Jedyne podejrzany, którego da się powiązać z tancerkami, i właśnie on jest gotów poddać się badaniu na wykrywaczu kłamstw.

– Może byś zadzwonił do Santos i skorzystał z jej propozycji, że jest gotowa przyjść, żeby mu się przyjrzeć. Mogłaby podzucić jakieś pytania.

Policjantka wyznaczona do odbierania telefonów odwróciła głowę od biurka.

– Detektyw Crosswhite? Dzwoni jakaś kobieta, która chce rozmawiać tylko z panią.

– Powiedz jej, że musisz jej wystarczyć ty. – Niektórzy dzwoniący upierali się przy rozmowie z Tracy, bo widzieli w niej kogoś w rodzaju celebrytki i chcieli, by ich rewelacje trafiały bezpośrednio do niej. Dzwoniły też prywatne laboratoria badawcze i niezależni profilerzy oferujący swoje usługi. Odezwała się nawet znana kobieta medium, która twierdziła, że z całą pewnością będzie mogła pomóc. Ale trafił się też ktoś z zaproszeniem na kolację.

– Wezmę Bankstona na siebie – rzucił Kins, zerkając na zegarek. – Możesz się zająć oświadczeniem dla Clarridge’a.

Zadzwoiła komórka Tracy i na wyświetlaczu pojawił się numer Policyjnego Laboratorium Stanu Waszyngton. Odebrała.

– Mike?

– Mam coś dla ciebie.

Spojrzała na zegarek.

– Nie wiem, kiedy mi się uda dojechać.

– Jestem tu, w budynku, dwa kroki od ciebie, w biurze AFIS.

Spojrzała na Kinsa, ale on znów rozmawiał przez telefon.

– Już idę – powiedziała do komórki.

Ruszyła do drzwi. Mijana policjantka odłożyła słuchawkę na ramię i spojrzała na nią.

– Pani detektyw...?

– Przyjmij od niej wiadomość i obiecaj, że oddzwonię. Dowiedz się, ile możesz, o co chodzi.

Melton czekał na Tracy w holu lokalu W-150, siedziby regionalnego biura AFIS, skąd razem przeszli do jednego z laboratoriów na tyłach biura. Tracy przywitała się z Sherri Belle, znaną jej z poprzednich spraw. Na stole leżała fioletowa torebka Veroniki Watson, widać na niej było smugi proszku aluminiowego, stosowanego do zdejmowania odcisków palców.

– Sprawdziłam torebkę ofiary – powiedziała Belle. – Znaleźliśmy pięć możliwych do identyfikacji odcisków palców. Trzy należą do ofiary, dwa zidentyfikowaliśmy jako należące do Bradleya Taggarta. Mike mówi, że go znasz.

– Był chłopakiem ofiary – rzuciła Tracy. Mogło być sto różnych powodów, z jakich jego odciski palców znalazły się na torebce Veroniki. Pamiętała uwagę Shereece, że Taggart traktował Watson jak bankomat.

Widząc, że odkrycie nie robi na Tracy większego wrażenia, Melton kiwnął głową na Belle.

– Powiedz jej.

– Naszym specjalistom od odcisków udało się skojarzyć je z niepełnymi odciskami na toalecie w pokoju motelowym.

Rozdział 36

Przebywający jeszcze w budynku funkcjonariusze wyciągali szyje i odprowadzali wzrokiem Amandę Santos, którą Kins powitał przy windzie i poprowadził korytarzem szóstego piętra Centrum Sprawiedliwości.

– Tylko nie licz na zbyt wiele – zastrzegł się, sięgając po kawę w maleńkiej kuchence.

– Ja też pracuję w państwowej instytucji – odparła Santos. – Nawet smoła byłaby smaczniejsza od tego, co czasami przychodzi mi pić.

Zabrali kubki do Byczej Zagrody zespołu A i usiedli przy środkowym stole, by przejrzeć przygotowane przez Santos pytania, które operatorka wariografu, Stephanie Ludlow, miała zadać Bankstonowi.

– Pozwól, że spytam – powiedział Kins. – Załóżmy, że jest winny. Więc dlaczego się godzi na test na wykrywaczu kłamstw? Czy tacy ludzie naprawdę myślą, że uda im się go przechytrzyć?

– Niektórzy mogą, ale większość nie podchodzi do tego w ten sposób. Nie starają się go przechytrzyć przy użyciu z góry założonej techniki czy planu odpowiedzi. Myślą, że wyjdą z tego obronną ręką, bo to, co zrobili, nie budzi w nich wyrzutów sumienia. Uważają swoje postępowanie za całkowicie usprawiedliwione.

– To po co poddawać się testowi?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – Bundy nie potrafił się oprzeć. Uważał się za prawnika sprytniejszego od wszystkich wokół i nie wierzył, że go przyłapią. Ci ludzie

trzymają albumy z wycinkami z gazet. Niektórzy zachowują trofea na pamiątkę.

– Na przykład Jeffrey Dahmer, który zachowywał szczątki swoich ofiar.

– Na przykład. Ridgway z kolei wracał na miejsca przestępstwa i uprawiał seks ze zwłokami, chociaż wiedział, że jest podejrzany. Zgodził się nawet na przeszukanie swojego domu, bo zdążył już zerwać wykładzinę dywanową i położyć nową. Wiedział, że śledczy niczego nie znajdą, i myślał, że to go wykluczy z kręgu podejrzanych.

Telefon na biurku zadzwonił i Kins podniósł słuchawkę.

– Już idę – rzucił i ją odłożył. – To on – zwrócił się do Santos.

Powitał Davida Bankstona w holu, wsiedli do windy i jechali w niezręcznej ciszy. Bankston stał, wpatrując się w milczeniu w stalowe drzwi.

– Dzięki, że pan przyjechał – bąknął Kins.

Bankston zerknął na niego.

– Jasne. Jak długo to potrwa?

– Nie powinno zbyt długo. Ile lat ma pańska córka?

– Dwa.

– Straszne dwulatki. To radosny czas dla rodziców.

– No – mruknął Bankston, nie odrywając wzroku od drzwi.

– Rozmawiał pan z żoną?

– O czym?

– O wizycie u nas.

Pokręcił głową.

– Nie.

– W ogóle pan jej o tym nie wspomniał?

– Nie.

Kins otworzył drzwi do pokoju przesłuchań i na widok Santos siedzącej przy stoliku Bankston się zawahał.

– A gdzie detektyw Crosswhite? – spytał.

– Jest zajęta innymi sprawami – odparł Kins.

– Odebrali jej tę sprawę?

– Przedstawiam panu detektyw Santos.

Santos podeszła do drzwi i wyciągnęła rękę na przywitanie, ale Bankston jakby tego nie zauważył.

– Myślałem, że się spotkam z detektyw Crosswhite – burknął.

– Ma pan jej coś konkretnego do powiedzenia? – spytał Kins.

– Pytała mnie o sznur. Czy możemy zidentyfikować wysyłaną partię.

– I dowiedział się pan czegoś? – zapytał Kins, chociaż znał już odpowiedź. Mayweather przeszedł drogę towarów z magazynu i uznał, że prędzej da się znaleźć uczciwego kongresmana. Sprawdził też listę zakupów Bankstona z rabatem pracowniczym, ale nie znalazł na niej ani polipropylenowego sznura, ani chlorowego wybielacza, ani alkoholu izopropylowego.

Bankston nie odpowiedział od razu i Kins, nie czekając, zaproponował, żeby usiedli. Jeszcze przez chwilę Bankston się wahał, w końcu wszedł do środka i obaj usiedli przy okrągłym stole.

– Czego pan się dowiedział? – powtórzył Kins.

– Co?

– W sprawie wysyłki towaru. Co pan ustalił?

– Da się przesledzić wysyłkę. Używają kodu kreskowego. Można ustalić, dokąd wysłano towar, do którego sklepu. W sklepie towar jest wprowadzany do komputera, a to znaczy, że zostaje ślad po sprzedaży i można ją przesledzić.

– Ale tylko przy płatności kartą, tak?

– Niekoniecznie. Mają też programy promocyjne dla klientów. Kupujący dostają punkty nawet przy płatności gotówką, ale wtedy muszą podać numer telefonu.

– O tym nie pomyślałem. – Tak naprawdę pomyśleli, ale trudno było przypuszczać, by Kowboj zostawił swój numer telefonu. – To ważna wskazówka.

Bankston pokiwał głową.

– I pomyślałem też, że w sklepach jest pełno kamer bezpieczeństwa, więc moglibyście sprawdzić nagrania. Zobaczyć, czy ktoś kupuje sznur w dniach śmierci tych kobiet.

Kins skinął głową i spojrzał na Santos.

– Kolejny dobry pomysł. Widać, że był pan w akademii. Myśli pan jak gliniarz.

– W akademii policyjnej? – spytała Santos.

– Nim wstąpił do wojska – wyjaśnił Kins, patrząc, jak Bankston nerwowo pociera dłońmi uda.

– Naprawdę? – zdziwiła się Santos. – I czemu zrezygnował pan z kariery policyjnej?

– Nie wyszło – odparł Bankston, patrząc na Kinsa, jakby to on zadał pytanie.

– A co się stało? – Santos znała odpowiedź, bo znajdowała się ona w papierach, i Kins pomyślał, że swoją dociekliwością pewnie testuje odporność Bankstona na nękanie pytaniami.

– Odpadłem na sprawności fizycznej – burknął Bankston i spojrzał na Kinsa. – To kiedy będzie to badanie?

– Wymagania akademii bywają surowe – powiedziała Santos.

– Ile razy pan próbował?

Wlepił wzrok w podłogę.

– Tylko raz. Uznałem, że nie ma co więcej próbować. – Znów podniósł wzrok na Kinsa. – To od czego zaczynamy?

– Osoba przeprowadzająca test już szykuje stanowisko. To nie powinno długo potrwać.

Bankston popatrzył na Santos.

– To nie pani będzie go przeprowadzała?

– Nie.

– Gabinet znajduje się w głębi korytarza – rzekł Kins. – Skoro i tak czekamy, to przeprowadzę pana przez całą procedurę. Denerwuje się pan?

– Dlaczego miałbym się denerwować?

– Bo to stresujące doświadczenie. Nerwy są czymś zupełnie naturalnym.

Bankston wzruszył ramionami.

– Może trochę – przyznał.

– Tu są pytania, które zostaną panu zadane. – Kins przesunął ku niemu kartkę.

– Dajecie mi wcześniej pytania? – spytał Bankston, spojrzawszy najpierw na kartkę, a potem na Kinsa i Santos.

– Nie tak jak w szkole, co? – Kins się uśmiechnął. – Ujawniamy panu pytania, ale nie odpowiedzi. Nie próbujemy pana zwieść. Może się pan zastanawiać, ile tylko chce. Jak pan widzi, pytania zaczynają się od banalnie prostych: pańskie nazwisko, adres, wiek. Tak zwane pytania kontrolne. Pańska reakcja na nie staje się punktem odniesienia przy odpowiedziach na dalsze pytania. Jak już mówiłem, celem całego testu jest oczyszczenie pana z podejrzeń, tak by pan mógł spokojnie dalej żyć.

Podał Bankstonowi długopis i odnotował w myślach, że ten wziął go prawą ręką.

Po kilku dalszych uwagach na temat testu Kins zerknął na Santos, a ta dyskretnie pokręciła głową.

– Dobra – rzucił. – Zatem jeśli nie ma pan więcej pytań, przedstawię pana osobie prowadzącej test.

Poszedł z Bankstonem w głąb korytarza do gabinetu Stephanie Ludlow, która zdążyła już wywiesić na drzwiach tabliczkę: CISZA! BADANIE W TOKU. W pomieszczeniu było czysto i elegancko, stały kryte skórą fotele i donica z jakąś rośliną, wewnątrz było łagodnie oświetlone i kolorowe. Kins przedstawił Bankstona Ludlow i wrócił do pokoju przesłuchań.

– Dziwny koleś – orzekła Santos. – Ani razu nie nawiązał ze mną kontaktu wzrokowego.

– Tak, zauważyłem.

– A gdy po raz pierwszy z nim rozmawialiście, ty i detektyw Crosswhite, zauważyłeś u niego coś podobnego?

Kins pokręcił głową.

– Nie, ale rozmowę prowadziła Tracy.

– Spytaj potem Ludlow o jej wrażenia.

– Nie powiedział nic żonie. Spytałem go w windzie, czy powiedział żonie o wizycie u nas. Czy nie wydaje ci się dziwne, że tego nie zrobił?

– Trochę. Ale może po prostu nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić – odparła Santos.

– Albo bał się jej reakcji. A jak odbierasz jego uwagi o sznurze i wzmiankę o kamerach monitoringu?

– Tyle jest policyjnych seriali, że każdy zamienia się w detektywa amatora. Odnoszę wrażenie, że w głębi duszy podoba mu się, że jest w to zamieszany.

* * *

Gdy Tracy wróciła do Sali Kowboja i nie zastała w niej Kinsa, zaproponowała Fazowi, by to on udał się z nią na poszukiwania Taggarta. Szybko skreślili jego mieszkanie przy Pioneer Square, bo okazało się, że gospodarz kamienicy nie widział Bradleya Taggarta od wielu dni. Także sąsiadka i barman w Ostatnim Strzale ostatnio go nie widzieli ani o nim nie słyszeli.

Jak zwykle w piątkowe popołudnie ruch w mieście zgęstniał i gdy w żółwym tempie posuwali się zatłoczonymi ulicami w kierunku Centrum Sprawiedliwości, nagle zadzwoniła komórka Tracy. Dyspozytor przekazał wiadomość o zlokalizowaniu samochodu Taggarta, co natychmiast wprowadziło Tracy w lepszy nastrój.

– Samochód stoi na Fourth Avenue South – powtórzyła.

– Fourth Avenue South? Czemu brzmi to znajomo? – powiedział Faz.

Tracy pokiwała głową.

– Bo Taggart siedzi w Dancing Bare.

* * *

Niebieskoszary tynk był pokryty graffiti, poobijany i pokruszony w miejscach, gdzie parkujący goście źle obliczali odległość zderzaków swoich samochodów od ściany parterowego budynku. Dancing Bare nie rzucał się tak bardzo w oczy jak Pink Palace i na charakter lokalu wskazywały jedynie jego nazwa⁶ oraz sylwetka nagiej tancerki nad wejściem.

Tracy i Faz przejechali przed klubem, by upewnić się, że samochód Taggarta wciąż tam stoi.

– Jest nasz chłoptaş – rzucił Faz.

Wychodzące na ulicę okna były zaklejone od wewnątrz grubą folią, ale Tracy pamiętała rozkład pomieszczeń klubowych z czasów śledztwa w sprawie Hansen. Pamiętała też, że budynek stoi na działce w kształcie trójkąta, którego wierzchołek dotyka zbiegu Fourth Avenue South i torów kolejowych.

Objechali narożnik i dotarli od tyłu do miejsca, gdzie budynek graniczył z płotem z siatki, oddzielającym działkę od torów kolejowych. Alejka była za wąska, by przejechał nią ich samochód, po drugiej stronie płotu znajdował się zastawiony naczepami parking jakiegoś magazynu.

– W tej budzie jest nawet tylne wyjście? – zdziwił się Faz.

– Jest – potwierdziła Tracy, wskazując drzwi.

Chwilę potem podjechał radiowóz z dwoma mundurowymi i Tracy wręczyła im fotografię Taggarta, wyjaśniła położenie budynku oraz układ całej działki i poleciła, by podjechali od strony Sixth Street, przy której znajdował się wyjazd z magazynowego parkingu.

Gdy odjechali, zwróciła się do Faza:

– Oczywiście on mnie pozna, więc jak mnie zobaczy, może się rzucić do ucieczki. Lepiej będzie, jeśli wejdiesz od frontu, a ja poczekam z tyłu.

Ustawiła się pod tylnymi drzwiami i po chwili usłyszała przez krótkofalówkę głos Faza:

– Mamy królika!

Ale Taggart nie wypadł nagle przez drzwi, tylko spokojnie obszedł narożnik budynku i dopiero na widok Tracy stanął jak wryty. Sekundę później wskoczył na sięgającą mu do pasa betonową podmurówkę i rzucił się na płot. Zdołał uchwycić się górnego obramowania, ale szerokie noski jego butów nie zmieściły się w oka siatki i Taggart zaczął bezradnie gmerać nogami po siatce.

Tracy też wskoczyła na podmurówkę, uchwyciła go w pasie i zawisała na nim. Jego ręce nie wytrzymały ciężaru i oboje spadli na ziemię. Poczuli ostry ból w prawej kostce; Taggart przeturlał się i wymierzył jej kopniaka. Udało jej się w porę uchylić twarz, ale obcas jego buta trafił ją w obojczyk. Mimo to zdołała go przygnieść sobą do ziemi i w tej pozycji zastał ich Faz, który nadbiegł, sapiąc z wysiłku jak astmatyk. Przyklęknął na jedno kolano i przygniół całym ciężarem swego cielska ramiona i kark Taggarta.

– Dobra, dobra – jęknął Taggart, który jakby nagle cały zwiotczał.

Tracy wykręciła mu obie ręce na plecy, skuła nadgarstki i stoczyła się z niego, zdyszana i mocno obolała. Ramię i kostka piekły ją tak, jakby je ktoś przypalał.

Faz chwycił Taggarta za kołnierz i niemal uniósł go w powietrze, co uruchomiło całą lawinę gróźb i wyzwisk.

– Oboje was oskarżę! To jest policyjne nękanie! Rano wyjdę i pojedę prosto do telewizji.

– Jeszcze nie wiesz, kolego, co to jest policyjne nękanie – burknął Faz. – Ale mów dalej, to gwarantuję, że się dowiesz.

Rozdział 37

Kins siedział w gabinecie Stephanie Ludlow i z niedowierzaniem wpatrywał się we wstępną ocenę testu Bankstona.

– Nie wszystkie pytania – zaczęła Ludlow – ale...

– Na jakich poległ? – przerwał jej.

Wyciągnęła rękę.

– Przerzuć kartki. Tu, zatrzymaj się. Widzisz? Czy znał którąś z ofiar? Czy kiedykolwiek się z nimi spotkał?

Kins uniósł głowę znad wydruku.

– A pytanie, czy je zabił?

– Brak jednoznacznej reakcji.

– Jak to możliwe, Stephanie? Jak mógłby kłamać, że ich nie znał, ale nie kłamać, że ich nie zabił.

– Nie wiem, co ci mam powiedzieć, Kins. – Ludlow podała mu listę pytań i swoich wstępnych wniosków. – Pik wystąpił u niego również przy pytaniu o aktualne miejsce zamieszkania.

– Czyli to niczego nie przesądza.

– Że kłamie? Nie. Ale trudno powiedzieć, w jakich sprawach kłamie. Zachowywał się nerwowo i nieufnie. Właściwie ani na chwilę w pełni się nie odprężył.

Kins pamiętał o prośbie Santos.

– A co z jego kontaktem wzrokowym? Patrzył ci prosto w oczy?

– Prowadząc test, siedzę z boku, a on spoglądał wprost przed siebie. Ale w tej sprawie nic, według mnie, nie odbiegało od normy. – Spojrzała na zegarek. – Powiedziałam mu, że ktoś się do niego odezwie. Mam za chwilę inne spotkanie. Proponuję, żebyś

pośledzał trochę nad tymi pytaniami i wynikami. Zadzwoń do mnie jutro i omówimy to szczegółowiej.

Podziękował, wrócił do siebie i zadzwonił do Tracy, ale zgłosiła się tylko jej poczta głosowa. Wykręcił numer Amandy Santos i profilerka odebrała po trzecim dzwonku.

– Tu śledczy Rowe. Powiedziałaś, że podejrzani niekiedy pokonują system, bo nie czują wyrzutów sumienia. Bo nie uważają, że są czemuś winni. A co to znaczy, kiedy oblewają test?

* * *

Tracy z pomocą Faza przykuśtykała do Byczej Zagrody i z zaskoczeniem ujrzała Kinsa siedzącego przy biurku.

Na jej widok wstał.

– Co ci się stało? – spytał.

– Profesorka znów nakopała Taggartowi do dupy – oznajmił Faz, pomagając Tracy opaść na fotel przy biurku. – Pójdę po lód i apteczkę pierwszej pomocy.

Bolały ją plecy i kostka, prawy łokieć też był mocno obolały. Ciekawe, czy to kopnięcie Taggarta złamało mi obojczyk, pomyślała. Już teraz ból nie pozwalał jej podnieść ręki ponad głowę, a była pewna, że zanim z tego wyjdzie, zrobi się jeszcze dużo gorzej. Wysunęła dolną szufladę biurka i wygrzebała małą białą buteleczkę Aleve.

– Dlaczego uwzięłaś się na tego Taggarta? – zapytał Kins.

Wytrząsnęła dwie małe niebieskie tabletki, połknęła je bez wody i opowiedziała Kinsowi o odcisku palca w pokoju motelowym Veroniki Watson, który zidentyfikowano jako należący do Taggarta.

– Chłopcy z patrolu wypatrzyli jego samochód pod Dancing Bare. Kiedy się tam zjawiliśmy, próbował prysnąć.

– Czyli jest też powiązany z Dancing Bare.

– Być może. On twierdzi, że poszedł tam tylko dlatego, że w Pink Palace nie chcą go widzieć.

Wrócił Faz z woreczkiem kostek lodu i apteczką.

– Nasza Profesorka jednym skokiem przesadzała wysokie płoty.

Tracy spojrzała na rozdarcie w dżinsach. Kolano pod nim było podrapane i zakrwawione.

– To były zupełnie nowe dżinsy – jęknęła.

– Chyba takie są teraz modne – pocieszył ją Faz. – Dziewczyna syna właśnie takie nosi.

– To wspaniale – mruknęła. – Przydadzą mi się do podrywania piętnastoletnich chłopców. – Zdjęła but i skarpetkę, podciągnęła nogawkę i przyjrzała się kostce. Na szczęście nie była spuchnięta ani sina.

– I co? – spytał Kins.

– Chyba tylko lekko skręcona. – Przyłożyła woreczek z lodem do obojczyka. Zimny dotyk przynosił ulgę. – Przywiozą tu Taggarta z aresztu. Powiedziałam, żeby wcześniej zadzwonili. Chcę go pomaglować, nim zdąży wszystko przemyśleć. – Poprawiła sobie okład z lodu. – A co z Bankstonem? Zjawił się?

Kins podał jej wstępne wyniki testu.

– Wyłożył się – powiedział.

– Wyłożył się? – powtórzyła.

– Nie na wszystkich pytaniach, ale Stephanie twierdzi, że wystarczająco dużo razy, by uznać jego odpowiedzi za podejrzone. Na przykład skłamał w odpowiedzi na pytanie, czy znał tancerki.

Tracy szybko przebiegła wzrokiem odnośny fragment oceny Ludlow.

Poznał pan kiedyś Veronicę Watson?

Nie.

Poznał pan kiedyś Nicole Hansen?

Nie.

Poznał pan kiedyś Angelę Schreiber?

Nie.

W trakcie odpowiedzi badanego na powyższą serię kluczowych pytań w zapisie wariografu występują wyraźne fizjologiczne reakcje, co zwykle wskazuje na mówienie nieprawdy. Zdaniem prowadzącej badanie, na podstawie dokładnej analizy reakcji fizjologicznych opartej na skomputeryzowanej ocenie statystycznej tych reakcji można uznać, że odpowiadając na te pytania, David Bankston NIE MÓWIŁ PRAWDY.

- Znał je wcześniej? – spytała Tracy.
 - W ocenie testu jest zapisane, że tak.
- Tracy czytała dalej.

Czy zabił pan Veronicę Watson?

Nie.

Czy zabił pan Nicole Hansen?

Nie.

Czy zabił pan Angelę Schreiber?

Nie.

W zapisach wariografu nie stwierdzono znaczących reakcji fizjologicznych, co zwykle wskazuje na mówienie prawdy. Zdaniem prowadzącej badanie, na podstawie dokładnej analizy reakcji fizjologicznych opartej na skomputeryzowanej ocenie statystycznej tych reakcji można uznać, że odpowiadając na te pytania, David Bankston MÓWIŁ PRAWDĘ.

- Przecież to bez sensu.
- To samo powiedziałem.
- Jak Stephanie to tłumaczy?
- Nie tłumaczyła. Chce to omówić jutro. Zadzwoiłem do Santos i wysłałem jej wyniki testu.
- Gdzie jest teraz Bankston?
- W domu. Wysłałem za nim ogon, ale kazałem go trzymać na długiej smyczy. Jego samochód stoi na podjeździe pod domem, nasi stoją w zwirowej zatoczce przy I-90. Jeśli Bankston wjedzie na autostradę do miasta, będziemy o tym wiedzieć. Jeśli pojedzie na zakupy do miejscowego sklepu, to nie.

Odezwał się telefon na biurku Tracy. Dzwonił dyżurny aresztu okręgu King, że Taggart został oficjalnie osadzony w areszcie.

– Już tu z nim jadą – zwróciła się do kolegów.

* * *

Resztę popołudnia Dan spędził na próbach wyszukania świadków wymienionych w aktach zabójstwa Beth Stinson. Po dziewięciu latach niektóre numery telefonów były już nieaktualne, a pamięć świadków uległa dramatycznemu zatarciu. Dwie osoby przyznały, że dzwoniły wtedy na policję, ale już nie pamiętały, z jaką informacją, i przez ostatnie lata niewiele o tym myślały. Ktoś inny powiedział, że parę dni wcześniej sprzedał Stinson samochód i pomyślał, że policja będzie chciała o tym wiedzieć, choć w transakcji nie było nic niezwykłego. Dan mimo to zrobił notatkę dla Tracy, że może warto faceta sprawdzić. Pamiętał jej uwagę, że morderca mógł się wcześniej zetknąć z ofiarą. W jednym niewątpliwie miała rację: Nolasco i Hattie nie próbowali rozmawiać z żadnym z tych świadków.

Najowocniejszy okazał się telefon do dawnego pracodawcy Beth Stinson, właściciela hurtowni w północnym Seattle, gdzie była zatrudniona w księgowości. Abe Drotzky powiedział Danowi, że może Stinson nie poruszyła z posad bryły świata, ale codziennie rano od poniedziałku do piątku stawiała się do pracy i „uczciwie zarabiała na chleb”. O jej życiu prywatnym wiedział niewiele poza tym, że chyba była aktywna towarzysko, bo zdarzało jej się przyjeżdżać do pracy z nieco przekrwionymi oczami.

Po rozmowie z Drotzkym Dan postanowił sprawdzić jeszcze jedno nazwisko na liście, niejaką Celeste Johnson, a potem coś zjeść. Numer telefonu zapisany w aktach był już nieaktualny, ale podany adres znajdował się niedaleko hurtowni, więc Dan postanowił tam podjechać.

Drzwi otworzyła mu kobieta dobrze po siedemdziesiątce, którą jego pytanie o Celeste wyraźnie rozbawiło.

– Już wiele lat temu wyprowadziła się z domu.

– To pani córka? – domyślił się Dan.

– A pan to kto?

Wyjaśnił kobiecie, że jest adwokatem i zajmuje się sprawą Beth Stinson.

– Czy to znaczy, że ten łajdak szykuje się do wyjścia? – zachnęła się starsza pani.

– Nie mogłem się dodzwonić do córki na numer zapisany w aktach sprawy.

– Celeste wyszła za mąż i zmieniła nazwisko na Bingham.

– Nadal mieszka w tej okolicy?

– Na szczęście. Potrzebuję babcinych czułości co najmniej raz w tygodniu.

Kobieta odmówiła ujawnienia adresu córki, ale podała numer jej telefonu. Gdy Dan zadzwonił, odebrało dziecko.

– Hej, mamuś, telefon do ciebie!

– Nie musisz tak krzyczeć. Stoję koło ciebie.

Dziecko jak to dziecko, niezrażone krzyknęło ponownie:

– Telefon do ciebie!

– Przestań! – Dan usłyszał podniesiony głos, po czym ten sam głos powiedział do słuchawki. – Halo?

– Pani Celeste Bingham?

– Jeśli chce mi pan coś sprzedać, to proszę skreślić mnie z listy.

– Niczego nie sprzedaję. Dostałem ten numer od pani matki. Dzwonię w sprawie Beth Stinson.

W słuchawce zapadła cisza i Dan zaczął szybko mówić, by czymś ją wypełnić.

– Po zabójstwie pani Stinson dzwoniła pani na policję z wiadomością, że być może ma pani istotną informację.

Odpowiedzią znów było milczenie.

– Pani Bingham, jest tam pani?

– Do czego pan zmierza?

– Próbuje rozwiązać pewne wątpliwości i chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Jest pan z policji?

– Jestem adwokatem.

W słuchawce znów zapadło milczenie i Dan pomyślał, że Bingham zaraz mu powie, że nic nie pamięta lub że nie chce do tego wracać.

– Do czego pan zmierza? – powtórzyła jeszcze bardziej niechętnym tonem.

– Staram się ustalić, czy podczas procesu Gerhardta nie popełniono żadnych błędów. – Dan czuł, że nie może dłużej kluczyć i unikać odpowiedzi na jej pytanie.

Znowu nie od razu zareagowała i był niemal pewien, że tym razem usłyszy, że jego rozmówczyni nie ma mu nic do powiedzenia. I znów bardziej po to, by wypełnić niezręczną ciszę, dorzucił:

– Moglibyśmy się spotkać o dogodnej dla pani porze. Albo mogę przyjechać do pani do domu.

– Nie – wtrąciła. – Do domu nie.

Dan zamilkł, czując, że lepiej będzie, jeśli nic więcej nie powie.

– Niedługo zawożę syna na trening piłki nożnej i będę około godziny czekała, aż skończy. Jest taki sportowy bar przy Fifteenth Avenue w północnym Seattle. Nazywa się Iron Bone i mieści się naprzeciwko centrum handlowego. Tam się spotkajmy.

Rozdział 38

Tracy kiwnęła głową dwóm strażnikom ze służby więziennej, stojącym pod drzwiami pokoju przesłuchań.

– To długo nie potrwa – powiedziała.

– Może się pani nie śpieszyć – mruknął jeden z nich. – Chłopakowi należy się dobra lekcja.

– Będę miał was na oku z sąsiedniego pokoju – dodał Faz, zbierając się do odejścia.

Tracy już miała nacisnąć klamkę i wejść do pokoju, gdy nagle przypomniała sobie słowa kuratora Veroniki Watson, że to zwykły pętaś, który tylko gra twardziela. Przytrzymała Fazę za rękę.

– Potrafisz jeszcze udawać włoskiego zakapiora?

– Co znaczy „udawać”? – parsknął głosem, w którym od razu zabrzmiał wyraźny akcent z New Jersey.

– Mam w tej sprawie przecucie – zwróciła się do Kinsa.

– Iść z tobą?

– Za pięć minut zadzwoń do mnie na komórkę.

Kins wszedł do sąsiedniego pomieszczenia, skąd mógł obserwować przesłuchanie przez lustro weneckie, Tracy otworzyła drzwi i wkroczyła do pokoju przesłuchań, za nią wparował Faz w roli zwalistego osiłka.

– To wszystko o kant dupy potłuc – zaczął od razu Taggart. Sińce pod jego oczami nabrały paskudnego fioletowo-żółtego odcienia. – Wszystkich was podam do sądu, całą policję, całe pieprzone miasto. Mój adwokat mówi, że to sprawa warta miliony.

– Słuchaj no, ty śmierdzieliu – warknął Faz, przy którym postura Taggarta od razu skarłała. – Zamknij tę zasraną jadaczkę, bo jak nie, to ja ci ją zamknę. A jak ja ją zamknę, to już tak zostanie.

– Dotknij mnie tylko, to ciebie też zaskarżę.

Faz oparł się o krawędź stołu i nachylił nad Taggartem, włamując się w jego prywatną przestrzeń. Tracy miała tylko nadzieję, że obiad jej kolegi zawierał odpowiednio dużo czosnku. Taggart szarpnął się do tyłu, ale z rękami przykutymi do łańcucha przytwierdzonego do podłogi miał dość ograniczony zakres ruchów.

– Często się zdarza, że ludzie w tych pokojach się potykają i przewracają – odezwał się Faz z uśmiechem. – Wałą przy tym głową w stół i robią sobie różne kuku.

Taggart wykrzywił twarz.

– Nic mi nie zrobisz. Wszystko jest nagrywane.

– Nagrywane? – Faz obejrzał się na Tracy, która świetnie się bawiąc, zachowywała kamienną minę. – Co ten koleś sobie wyobraża, że kto my jesteśmy? KGB? A ja to Putin? – Pochylił się jeszcze niżej i Taggart spróbował wstrzymać oddech. Faz machnął ręką w stronę szklanej tafli. – My tu nic nie nagrywamy. Tam masz lustro, żebyś mógł się przejrzeć i zobaczyć, jaka z ciebie menda. A teraz mordą w kubek i słuchaj pani detektyw.

Wyprostował się i usiadł obok Tracy.

– Dlaczego próbowałaś uciekać? – spytała Tracy.

Taggart odwrócił się do niej bokiem jak nadąsane dziecko.

– Chciałem sobie pobiegać. Nękanie mnie. Nie macie żadnego powodu, żeby mnie tu trzymać.

Położyła na stole powiększoną odbitkę śladu palca z komputera AFIS, obok odbitki odcisku zdjętego przez CSI z toaletki w pokoju motelowym, w którym zabito Veronicę Watson. Taggart obrzucił fotografie obojętnym spojrzeniem i odwrócił głowę na znak, że go to nie interesuje. Tracy czuła jednak, że w środku nie jest tak spokojny, i przez chwilę pottrzymała go w ciszy.

W końcu puściły mu nerwy. Spojrzał na nią i burknął:

– No co?

– Chcesz nam opowiedzieć coś więcej o tym wieczorze, kiedy zamordowano Veronicę?

– Powiedziałem wam już wszystko.

– No to powtórzmy sobie to, co wiemy. Wiemy, że tej nocy pojechałeś do Pink Palace. Najpierw skłamałeś i zeznałeś, że nie, potem zmieniłeś wersję i twierdziłeś, że pojechałeś po pieniądze, ale Veronica nic dla ciebie nie miała, bo nie zebrała jeszcze napiwków. Ciekawa jestem, skąd w takim razie wziąłeś pieniądze tamtej nocy?

– Obrabowałem bank – parsknął Taggart.

– Albo raczej okradłeś jej torebkę. – Uwaga wywołała spłoszone spojrzenie Taggarta. – Fioletowa, z długim złotym łańcuszkiem na ramię.

– Nic o tym nie wiem – burknął.

Komórka Tracy zaczęła wibrować. Uznawszy to za sygnał, Faz walnął pięścią w stół z taką siłą, że wszystko aż zadygotało, a Taggart odruchowo szarpnął się do tyłu.

Nie ma to jak dobre zgranie w czasie.

– Mam już dość fochów tego zasrańca! – wrzasnął. – Zabierzmy go z powrotem do pierdła i niech tam gnije.

Tracy odebrała telefon, a Faz przeszył Taggarta sztyletującym spojrzeniem.

– Faz naprawdę minął się z powołaniem – powiedział Kins. – Mógłby robić za gwiazdę w mafijnych filmach z lat dziewięćdziesiątych.

– Tak, dobrze. Już idę – rzuciła do telefonu Tracy. Rozłączyła się i spojrzała na Faza. – Myślisz, że sam sobie poradzisz?

Nie przestając wpatrywać się w Taggarta, jakby był smakowitym krwistym stekiem na talerzu, Faz się uśmiechnął.

– Z największą rozkoszą – odparł.

Wstała z miejsca i podeszła do drzwi.

– Jak z nim skończysz, odeślij go z powrotem do aresztu. Nie zapomnij im powiedzieć, żeby wpisali mu zarzut o czynną

napaść na funkcjonariusza policji.

– Chcesz mnie tu z nim zostawić? – oburzył się Taggart.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać, to sobie porozmawiasz z nim.

– Zaraz, czekaj.

– Mam też inne sprawy na głowie, Bradley. – Tracy westchnęła.

– Dobra. No więc pojechałem tej nocy do Pink Palace, w porządku? I poprosiłem Veronicę o kasę, ale nie mogła mi nic dać, bo nie zebrała jeszcze napiwków.

– To wszystko już wiemy – mruknęła Tracy. – Tracisz tylko mój czas.

Zaczął kołysać się razem z krzesłem, unosząc jego przednie nogi i waląc nimi w podłogę.

– Chcę zawrzeć deal – rzucił.

– Deal?

– No. – Odwrócił się i postukał palcem w blat stołu. – Umowę, że wszystko, co powiem, nie zostanie użyte przeciwko mnie w sądzie.

– A ty kto? – warknął Faz. – Nowy Perry Mason?

– Deal w zamian za co? – spytała Tracy.

– Nic z tego. Bez umowy nic nie powiem.

Sięgnęła po odblaski odcisków palców i przesunęła je po stole bliżej Taggarta, a on spojrzał na nie z ukosa.

– Dobrze im się przyjrzyj, Bradley. Wiesz, co to jest? To są twoje odciski palców. Ten znajduje się w aktach sprawy. Wiesz, dlaczego komputer go wypluł? Wypluł go dlatego, że ten odcisk zdjęto z toaletki w pokoju motelowym, w którym znaleziono zwłoki Veroniki.

Taggart opuścił wzrok, ale poza tym nawet nie drgnął.

– Więc mi powiedz, Bradley – ciągnęła – jakim cudem odcisk twojego palca znalazł się w tym pokoju, skoro jak twierdzisz, po wyjściu z Pink Palace już więcej Veroniki nie widziałeś. – Zamilkła i wlepiła w niego wzrok; Taggart miał wyraźne trudności z przełykaniem śliny. – Nie masz prawa do zawierania

jakichkolwiek umów – dodała Tracy. – Na razie jedyne, co ci się należy, to długie lata za kratkami, może nawet do końca życia. Chyba że dostaniesz czapę.

Wahnięcia krzesła przybrały na szybkości, jego nogi waliły w podłogę, oddech Taggarta stał się głośny i świszczący. Tracy bywała już świadkiem napadów hiperwentylacji w tym pokoju. Taggart uniósł skute ręce i schylił głowę, by otrzeć sobie pot z czoła.

– Dobra, posłuchaj. Pojechałem do klubu po forszę, ale V nic nie miała, więc odjechałem.

– Dokąd?

– Do Ostatniego Strzału.

– Jak się znalazłeś w pokoju motelowym?

– Zacząłem grać w bilard i nim się zorientowałem, barman ogłosił, że za chwilę zamyka. Wróciłem do klubu, ale tam się dowiedziałem, że V już rozliczyła napiwki i wyszła. Zadzwoiłem do niej na komórkę, powiedziałem, że potrzebna mi forsa, a ona kazała mi przyjechać do motelu.

– Na co potrzebowałeś tych pieniędzy?

– Właśnie tego nie mogę powiedzieć bez zawarcia umowy.

– Na kupno narkotyków – domyśliła się Tracy.

– Mówię tylko, że... no wiesz, tak, pojechałem do motelu i wziąłem od niej kasę. Jej nie była potrzebna. I tak miała dostać dwie stówy.

Tracy spojrzała na Faza, który tkwił nieruchomo jak posąg z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Według ciebie brzmi to prawdopodobnie, Faz? – spytała.

– Ani jedno pieprzone słowo.

– Człowieku, mówię wam teraz, jak było – zachnął się Taggart.

– Przedtem nie mówiłem, ale teraz tak.

Tracy przechyliła się w jego stronę. Lewe ramię bolało ją od kopniaka, skaleczenie na kolanie paliło, nogę w kostce miała obolałą.

– Pozwól, że ci wyjaśnię mój problem, Bradley. Jestem tu tylko od zbierania informacji. To prokurator zdecyduje, czy ci wierzyć,

czy nie, ale mogę cię zapewnić, że jeśli mu powiem: „Facet przedtem kłamał, ale teraz mówi prawdę”, on na to powie: „Mamy jego odciski z tego pokoju. Przyznaje, że tam był, nie ma alibi, a teraz bywa w Dancing Bare. Aż nadto, żeby go trzymać w nieskończoność pod zarzutem morderstwa”. – Pokręciła głową i poczuła ukłucie bólu w obojczyku. – Więc musisz mi dać coś konkretnego, z czym będę mogła do niego pójść. Coś, co mu pomoże uwierzyć, że nie jesteś kłamcą.

– Mogę się poddać badaniu na wykrywaczu. Przetestujcie mnie.

– Znasz problemy związane z wykrywaczami kłamstw? obrońcy sądowi zgłaszają tysiące wątpliwości i zastrzeżeń i nigdy nie ma pewności, czy wyniki testu zostaną uwzględnione. Czyli tak naprawdę to nie rozwiązuje sprawy.

Taggart siedział, przygryzając dolną wargę; przednie nogi krzesła stuknęły w podłogę.

Tracy ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

– Robi się późno, Bradley, a kolega Faz lubi piątkowe kolacje jadać w domu.

– Cholernie się wkurwiam, jak nie jem. Jak to się nazywa, Profesorko?

– Hipoglikemia.

– O właśnie!

– Bez zawarcia dealu nie mogę powiedzieć, co robiłem – burknął Taggart.

– On nam chce pokazać królewskiego iksa – rzucił Faz.

– Co chcę pokazać?

– Co, nigdy nie grałeś w berka? – Faz skrzyżował palce wskazujące w X. – To oznacza „wyłączony”. Pokazujesz i jesteś nietykalny.

Taggart spojrział na Tracy takim wzrokiem, jakby Faz zwariował.

– No więc byłem w Belltown, okay? Pojechałem do kogoś, żeby odebrać towar. Ten koleś może zaświadczyć, że tam byłem, tylko że...

- Jaki towar?
- Metę.
- Jak się ten koleś nazywa? – spytała Tracy.
- Człowieku, właśnie tego nie mogę powiedzieć. On by mnie zabił.
- Muszę mieć ten adres.
- Człowieku, daj spokój.
- Powiedzmy, że prokurator się zgodzi – powiedziała. – Ale nadal mamy stawianie oporu przed aresztowaniem i napaść na funkcjonariusza policji.
- Mogłabyś z nim pogadać, wyjaśnić, co się stało.
- Tracy spojrzała na Faza.
- Może udałoby się przekonać prokuratora, że podejrzany współpracuje ze śledczymi w sprawie zabójstwa. To by mogło mu pomóc.
- Faz wzruszył swymi potężnymi barkami i to coś, co mu jeszcze zostało z szyi, zupełnie w nich utonęło.
- Niespecjalnie. Bo to on może być zabójcą.
- Taggart rozbieranym wzrokiem patrzył to na nią, to na niego.
- Zależało mi na niej, wierście mi. I nie dlatego, że dobrze robiła laskę. Wcale tak nie myślałem. Powiedziałem tak tylko w złości. Jasne, kłóciliśmy się. Kto się nie kłóci, nie? Ale fajnie było mieć kogoś. Nigdy przedtem z żadną tak nie byłem
- Wzruszające – mruknął Faz. – Całkiem jak Romeo i Julia.
- Słuchajcie, pytaliście mnie poprzednio, czy dla mnie pracowała. Nie pracowała. Naprawdę.
- Jak mam to rozumieć? – spytała Tracy.
- V miała swoich własnych klientów. Do niczego jej nie zmuszałem.
- Tracy się zamyśliła. Nie sądziła, by Taggart był Kowbojem, ale mógł posiadać jakieś przydatne informacje.
- Kto was widział rozmawiających tej nocy w klubie?
- Nie wiem. Ale siedzieliśmy na sali przy stoliku, więc każdy mógł nas zobaczyć.
- Mówiłeś komuś, że jedziesz do motelu?

– Nie.
– A Darrell Nash? Widziałeś go tamtej nocy?
– Nasha? Tak, był w klubie.
– Widział, że rozmawiasz z Veronicą lub z którąś z tancerek?
– Nie wiem. Nie siedziałem tam długo. Chcieli, żebym płacił za wstęp, a ja im zawsze mówiłem: „Wała!”.
– A co z tym motelem? Veronica ci powiedziała, z kim jest umówiona?
– Nie.
– Nie wspomniała żadnego nazwiska?
– Nie, nic nie mówiła.
– A ty nie widziałeś nikogo w pokoju lub w motelu? – wtrącił Faz. – Nikogo na parkingu, siedzącego w samochodzie?
– Nikogo.
– Ktoś już u niej był?
– Myślę, że tak. – Taggart skinął głową.
– Myślisz? – rzuciła Tracy.
– Jak zadzwoniłem, to mi powiedziała, żebym dał jej godzinę. Więc myślę, że tak.
Spojrzała w lustro weneckie.
– Ale nikogo nie widziałeś?
– Jak wszedłem do pokoju, to nikogo – potwierdził Taggart. – Tylko V.
– Miała zwyczaj opowiadać ci o swoich stałych klientach?
– Taa, był taki jeden, który się z nią umawiał przez internet. Nazywali go Mecenas. Lubił V i zawsze o nią prosił.
– Ale nie wiesz, czy to właśnie z nim tej nocy była umówiona?
– Nie.
Tracy popatrzyła na Faza.
– Coś ci powiem, Bradley – rzuciła – Skorzystam z tej twojej propozycji testu na wykrywaczu kłamstw. Jeśli go zaliczysz, nie będę cię męczyła o nazwisko diler. Nie zaliczysz, zwrócę się do prokuratora, żeby cię zamknął na bardzo długo.

Rozdział 39

Johnny Nolasco schował raporty do szuflady biurka i zamknął ją na klucz. Stał już przy drzwiach i wrzucał na siebie marynarkę, gdy na biurku zadzwonił telefon.

– Tak?

– Ktoś do pana, kapitanie – rozległ się głos recepcjonistki w głośniku interkomu. – Jakaś kobieta, mówi, że rozmawiała z panem kilka lat temu w sprawie morderstwa w północnym Seattle. JoAnne Anderson.

Nolasco westchnął, zastanawiając się, czy zawracać sobie głowę telefonem. Spojrzał na zegarek.

– Jak nazywała się ofiara? – spytał.

– Nie powiedziała. Mówi tylko, że nazywa się JoAnne Anderson. Chyba była świadkiem.

Nolasco zawrócił do biurka.

– Połącz – nakazał i podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. – Mówi kapitan Nolasco. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się JoAnne Anderson. Rozmawialiśmy ponad dziewięć lat temu o morderstwie mojej sąsiadki, Beth Stinson. Mieszkałam po drugiej stronie ulicy. Byłam naocznym świadkiem na procesie.

Nolasco pamiętał tę sprawę i to nazwisko, choć od blisko dziesięciu lat w ogóle o tym nie myślał. Morderstwo Beth Stinson było ostatnią sprawą, jaką zajmował się z Floydem Hattiem przed jego odejściem na emeryturę. Pamiętał też JoAnne Anderson, której zeznania na sali sądowej przypominały rozmowę z Betty Crocker⁷.

– Oczywiście, pamiętam, pani Anderson. Czym mogę służyć?

- Miałam nadzieję, że się dowiem, jak posuwa się śledztwo.
- Słucham?
- Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale gdzieś mi się zapodziała wizytówka tego adwokata, który u mnie był.
- Był u pani jakiś adwokat?
- Powiedział, że zajmuje się tą sprawą i rozmawia ze świadkami.
- Nareszcie zaczynał coś z tego rozumieć.
- Pani Anderson, ten adwokat musiał zostać najęty przez rodzinę Gerhardta. W tym nie ma nic niezwykłego. Albo zbliża mu się termin wystąpienia o przedterminowe zwolnienie i szukają argumentów, które mogłyby mu pomóc, albo szykuje się do złożenia kolejnego wniosku o powtórny proces. Nie ma czym się niepokoić. Gdyby Gerhardt miał wyjść na wolność przed terminem, na pewno panią o tym zawiadomimy.
- Bo ja ciągle myślę o tej strasznej nocy.
- Nie ma powodu do niepokoju – zapewnił ją Nolasco. – I, pani Anderson, nie musi pani w ogóle rozmawiać z tymi ludźmi, jeśli to panią denerwuje. Nie ma pani wobec nich żadnych prawnych ani moralnych zobowiązań. Więc jeśli ten adwokat w jakikolwiek sposób się pani narzuca...
- Och, nie. Był bardzo miły. Po prostu nie mogę nigdzie znaleźć jego wizytówki. Może mi nie dał. Nie jestem pewna. Wszystko tak łatwo zapominam. Przepraszam, że zajęłam panu czas.
- Nie ma problemu. – Nolasco już miał odłożyć słuchawkę, gdy coś mu jednak przyszło do głowy. – Jeśli sobie pani życzy, mogę podzwonić, dowiedzieć się, co się dzieje, i oddzwonić do pani.
- Byłabym wdzięczna.
- Nie ma problemu. – Wziął do ręki długopis, znalazł skrawek papieru i odwróciwszy go na czystą stronę, zapytał: – Nie pamięta pani przypadkiem nazwiska tego adwokata?
- Pamiętam. Nazywał się Dan. Dan O’Leary.

* * *

Wyglądało na to, że Iron Bone cieszy się popularnością. Grupki kobiet i mężczyzn grały w bilard i stołowy shuffleboard, inni rozmawiali lub oglądali mecz koszykówki NBA na ekranie telewizora, jeszcze inni siedzieli w boksach nad porcjami barowego jedzenia. Dan dojrzał kobietę siedzącą samotnie w głębi sali, w boksie pod ścianą udekorowaną tablicami rejestracyjnymi z całych Stanów.

– Celeste Bingham? – upewnił się.

Kiwnęła głową, ale nie wstała. Przedstawił się, a ona podała mu rękę i lekko uściśnęła. Z wyglądu ocenił ją na trzydzieści kilka lat, czyli byłaby rówieśniczką Beth Stinson, gdyby ta żyła. Ładna, ale wyglądała jak zaganiana, zatroskana mama: rude włosy były naprędce związane w koński ogon, pod oczami widać było zmarszczki, nie miała na sobie śladu makijażu ani – poza prostą obrączką na palcu – żadnej biżuterii.

Dan zdjął marynarkę i zjawiała się kelnerka. Zamówił dla siebie piwo i spojrzał pytająco na Bingham, która trzymała w dłoniach szklankę z wodą, ale wyglądała tak, jakby przydało jej się coś mocniejszego.

– Mogę zamówić dla pani coś do picia? – spytał.

– Dla mnie tylko woda. – Pokręciła głową.

Kelnerka odeszła i Dan wsunął się do boksu. Z głośników pod sufitem rozbrzmiewała muzyka, klasyczny rock z lat osiemdziesiątych: Steve Perry z Journey śpiewał *Don't Stop Believin'*, co jeśli dobrze pamiętał, było przebojem na jego balu maturalnym.

– O której musi pani odebrać syna? – spytał.

Spojrzała na zegarek.

– Mam jakieś trzy kwadranse. – Prześlizgnęła się wzrokiem po barze i powróciła do Dana. – Powiedział pan, że to dotyczy Beth?

– Dobrze ją pani znała?

– Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od liceum.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało.

– Dla kogo pan pracuje, panie O'Leary?

– Na imię mi Dan. Przepraszam, ale nie mogę w tej chwili ujawnić mojego klienta. Mogę tylko powiedzieć, że przeglądam akta tamtej sprawy i próbuję wyjaśnić pewne wątpliwości. Na przykład zauważyłem, że policyjni śledczy nigdy nie wezwali pani ponownie na przesłuchanie.

Bingham pokręciła głową. Dłonie nadal trzymała oplecione wokół szklanki z wodą z lodem, rysując kciukiem linie na oszronionej powierzchni szkła.

– Nie, nie wezwali.

– A było coś, co chciała im pani przekazać?

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale w tym momencie zjawiała się kelnerka z piwem Dana i Bingham nic nie powiedziała. Kelnerka postawiła piwo na kartonowej podkładce.

– Zamawiają państwo coś z kuchni? – spytała.

– Myślę, że to nam wystarczy – odrzekł Dan, choć naprawdę od śniadania nie miał nic w ustach i umierał z głodu.

Bingham odczekała, aż kelnerka odejdzie.

– Nie chcę być w nic zamieszana – powiedziała. – To znaczy nie mogę być świadkiem, zeznawać w sądzie ani nic takiego.

– Jasne.

– Bo jak to pójdzie dalej i sprawa trafi do sądu, to ja... ja nie mogę zeznawać.

– W porządku. Proszę mi powiedzieć to, co pani chciała powiedzieć policji.

Odchyliła się na skórzane oparcie kanapy, położyła ręce na stole i skubiąc paznokcie, zaczęła mówić:

– Mamy z mężem prywatną firmę poligraficzno-marketingową. Dostajemy dużo zleceń ze szkół i z kościoła. Mąż jest biskupem w Kościele mormońskim. Wie pan coś o Kościele mormońskim?

– Widziałem sztukę na ten temat – powiedział Dan z uśmiechem.

Nie odwzajemniła go.

– Przed nawróceniem byłem katoliczką. Czy rozumie pan, co do pana mówię?

– Chyba tak. Po wyjściu za mąż przeszła pani na mormonizm.

– Nawróciłam się, żeby wyjść za mąż. Dale nie ożeniłby się z niemormonką. Jego rodzina by do tego nie dopuściła. Mąż nie wie nic z tego, co panu powiem, i nie może się dowiedzieć. On... nie może... się... dowiedzieć. – Ominęła wzrokiem Dana, jakby chciała się upewnić, że siedząca w sąsiednim boksie para ich nie podsłuchuje. A potem zaczerpnęła głęboko powietrza, by się uspokoić. – Przepraszam, ale...

– Spokojnie, proszę się nie śpieszyć. – Zaczynał rozumieć, dlaczego na spotkanie wybrała to miejsce. Liczyła, że tu nie natknie się na nikogo z kręgów kościelnych.

Upiła łyk lodowatej wody i odstawiła szklankę.

– Jak mówiłam, Beth i ja byłyśmy kumpelkami od czasów liceum i z jeszcze jedną koleżanką ostro imprezowałyśmy. Żadna z nas nie poszła na studia. Ja pracowałam jako recepcjonistka, Beth zajęła się księgowością. I prawie co wieczór chodziłyśmy gdzieś się zabawić.

Potwierdzały się podejrzenia pracodawcy Beth Stinson.

– Dla dziewcząt w waszym wieku nie było w tym nic niezwykłego – wtrącił Dan.

Bingham upiła kolejny łyk wody i znów zaczerpnęła powietrza.

– Któregoś wieczoru, kiedy siedziałyśmy, popijając i dobrze się bawiąc, Beth wyskoczyła nagle z pomysłem, żeby pójść do klubu ze striptizem.

Dan poczuł ciężący mu w żołądku kamień.

– W pierwszej chwili pomyślałam, że żartuje, ale nie – ciągnęła Bingham. – Mówiła poważnie. Na Shoreline otworzyli właśnie nowy klub i wszyscy o nim mówili. Pisali nawet o nim w gazetach i pokazywali w telewizji, i Beth chciała go zobaczyć. Powiedziałam coś w rodzaju: „No co ty?”, ale ona się upierała, że fajnie byłoby się przekonać na własne oczy. Więc w końcu powiedziałam: „A co mi tam”, czy coś w tym stylu, i poszłyśmy. Usiadłyśmy w boksie w głębi sali i kiedy podeszły do nas te kobiety, Beth zaczęła je wypytywać o różne sprawy: ile zarabiają,

jak dużo pracują i takie tam. Niektóre zarabiały po dwieście dolarów za wieczór, w weekendy jeszcze więcej. Dużo więcej od nas. W tamtym czasie minimalne wynagrodzenie było prawie żadne. Jedna z tancerek popatrzyła na nas i powiedziała: „Powinnyście tańczyć. Z waszymi figurami zarobiłybyście masę kasy”. Mężczyźni podobno woleli kobiety hojnie obdarzone przez naturę i Beth doskonale spełniała ten warunek, ja mniej.

Dan przywołał w pamięci rozmowy z dawnym szefem Beth Stinson i z Wayne'em Gerhardtem, a także informacje o Beth wyczytane w aktach policyjnych. Pracodawca mówił, że Stinson pracowała od poniedziałku do piątku. Wayne Gerhardt powiedział, że był u niej w sobotę i Stinson przestawiła samochód, mówiąc, że będzie musiała pojechać do pracy.

– Beth zadzwoniła do mnie następnego dnia, żeby pogadać o tancerkach i o tym, że my też mogłybyśmy zarabiać kupę forsy. Powiedziała, że chce pogadać z kierownikiem klubu. Byłam temu przeciwna, ale jak ona czegoś chciała, potrafiła być bardzo przekonująca. Mówiła, że wszystko dobrze przemyślała. Że mogłybyśmy tańczyć pod przybranymi nazwiskami, a niektóre tancerki nosiły nawet peruki. Przekonywała, że nikt z naszych znajomych tam nie przychodzi. Więc żeby przestała mi wiercić dziurę w brzuchu, w końcu zgodziłam się pójść z nią do klubu na rozmowę, ale tylko w roli osoby towarzyszącej. Pojechałyśmy następnego dnia. To chyba była sobota. Pamiętam, że przed wejściem do środka wypaliłyśmy dla kurażu jointa w samochodzie Beth. Rozmowa była bardzo krótka. Kierownik spytał tylko o wiek i czy jesteśmy notowane, potem wskazał na rurę i powiedział: „Pokażcie”. Beth się uchwyciła i zaczęła się kręcić i wyginać. W liceum trenowała gimnastykę, była naprawdę dobra i kierownik z miejsca ją zaangażował. A potem popatrzył na mnie i powiedział: „Teraz ty”. Wykręcałam się, że ja nie, ale on na to, że jak już tu jestem, to powinnam chociaż spróbować. Nadal nie chciałam, tylko że Beth znów zaczęła swoje, ja byłam na niezłym haju i w końcu się zgodziłam zrobić to samo co ona, ale tylko tak dla wygłupu.

– A on pani też zaproponował angaż – domyślił się Dan.

– Wie pan, miałam wtedy kupę długów i naprawdę chciałam się wyrwać z domu rodziców. No i jeśli mam być szczerą, myśl o zostaniu tancerką była dość ekscytująca.

– Jak się nazywał ten klub? – Nie odważył się wyjąć notatnika w obawie, że może tym wystraszyć Bingham.

– Naga Rewia Sprośnego Erniego. Żeby pokonać nasze zdenerwowanie, a właściwie tylko moje, bo Beth wcale się nie stresowała, pracowałyśmy na tej samej zmianie. Jechałyśmy po pracy i tańczyłyśmy gdzieś tak do jedenastej, dwunastej, zależnie od tego, ile było gości. Wszystkie tancerki występowały topless. Beth była lepsza ode mnie, miała mniejsze opory. Mężczyźni zaczęli się do niej zgłaszać i proponować wygibasy na stolikach i kolanach. Klub był nowy, cieszył się dużą popularnością i Beth zaczęła zgarniać kupę forsy. Przebąkiwała nawet o rzuceniu pracy w księgowości. Ja zarabiałam dużo mniej. Nie godziłam się na prywatne występy, a prawdziwe pieniądze zarabiało się na tym.

– Jakiego pseudonimu scenicznego używała Beth?

– Betty Cycatka. – Przerwała i westchnęła, a po jej policzkach spłynęło kilka łez. Dan wyjął z uchwytu papierową serwetkę i jej podał. – Mam w tej kwestii ogromne poczucie winy – ciągnęła, wycierając oczy i starając się opanować bełkot.

Jej piersią wstrząsał szloch. Dan, milcząc, czekał, aż dojdzie do siebie. Po chwili wysiąkała nos i sięgnęła po następną porcję serwetek.

– Beth zaczęła zapraszać niektórych mężczyzn do siebie. – Wyrzuciła te słowa tak gwałtownie, jakby od lat je w sobie tłamsiła i już dłużej nie mogła.

Danowi cisnęło się do głowy mnóstwo pytań, ale postanowił milczeć i pozwolić jej wszystko powiedzieć we własnym tempie.

– Wynajęła dom w północnym Seattle i zaczęła ich tam przywozić. Nie codziennie i nie wszystkich. – Bingham otarła łzy. Wyglądała na fizycznie i psychicznie zdruzgotaną. – Znała ich z klubu.

– I co się stało, Celeste? – spytał łagodnym tonem Dan.

– Poszłam do kierownika i mu oświadczyłam, że rezygnuję. Powiedziałam Beth, że też powinna zrezygnować, ale ona... za bardzo polubiła pieniądze. Trochę się ścięłyśmy i na jakiś czas nasze kontakty się urwały.

– Dowiedziawszy się o tym, że została zabita, uznała pani, że zrobił to któryś z mężczyzn sprowadzanych do domu.

Bingham pokiwała głową.

– Ale nikt się nie zgłosił, żeby ze mną porozmawiać. A potem przeczytałam w gazecie, że mają podejrzanego, który się przyznał. Więc pomyślałam, że już nie będę musiała nikomu o tym mówić. Wie pan, po co robić wstyd naszym rodzinom. Wróciłam do domu rodziców i dwa razy w tygodniu chodziłam na sesje AA. Męża poznałam jakieś sześć miesięcy po śmierci Beth. On o niczym nie wie. I nie może się dowiedzieć.

– Znała pani Wayne'a Gerhardta? Był jednym z tych mężczyzn, których Beth zapraszała do domu?

– Nie znałam go. W klubie nigdy go nie widziałam. A wie pan, stałych bywalców się pamięta.

– I Gerhardt do nich nie należał.

– Nie.

Czując, że jest coś jeszcze, od czego Bingham chce się uwolnić, że nie przyszła tylko po to, by mu opowiedzieć, jak Beth i ona tańczyły w klubie, Dan powiedział:

– Mogę panią o coś spytać, Celeste? Dlaczego zgodziła się pani ze mną porozmawiać? Dlaczego nie powiedziała pani po prostu, że nie pamięta pani, po co dzwoniła na policję, i nie odcięła się w ten sposób od całej sprawy?

Pokręciła głową.

– Zna pan zasady działania Anonimowych Alkoholików? – spytała.

– Z grubsza.

– W kroku dziewiątym procesu leczenia jest mowa o wyrównaniu krzywd. Należy naprawić wyrządzone krzywdy, pod warunkiem że nie skrzywdzi się tym kogoś innego. Nie chcę

skrzywdzić męża ani naszych dzieci, panie O'Leary. Mamy czworo dzieci. Mam udane życie, grono dobrych znajomych. Ale nie przestaje mnie nękać myśl, że być może ten człowiek tego nie zrobił.

I dlatego siedziała teraz w boksie jak grzesznik w konfesjonale. Z poczucia winy.

– Powiedział, że to zrobił – bąknął Dan.

Łzy znów pociekły jej po policzkach, ale tym razem nawet nie próbowała ich ocierać.

– Czego jeszcze mi pani nie powiedziała, Celeste?

Jej klatka piersiowa gwałtownie falowała. Kobieta wypła kolejny łyk wody.

– Tego dnia rozmawiałam z Beth przez telefon. Zaczęłyśmy znów do siebie dzwonić, tak żeby spytać, co słyhać, i zapomnieć o tym, co sobie wykrzyczałyśmy. Zaproponowałam, żebyśmy może się spotkały wieczorem po pracy, ale ona powiedziała, że jest już umówiona.

– Może miała na myśli spotkanie z Gerhardtem.

Pokręciła głową i zamilkła

Dan próbował jej nie popędzać.

– Dlaczego nie?

– Bo się o nią martwiłam, wie pan. I radziłam jej, żeby uważała. Powiedziałam, że nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś jej się stało, a ona na to, żebym się nie martwiła. Że wszystko jest pod kontrolą... – Bingham zaczęła ciężko dyszeć. – Że wszystko dobrze, bo... bo to ktoś, kogo znam, i to miły człowiek.

Rozdział 40

Tracy nie dostrzegła na podjeździe ani na ulicy tahoe Dana. Radiowóz z komisariatu Południowy Zachód podjechał w chwili, gdy drzwi garażu z chrobotem podjeżdżały w górę, i w pierwszym odruchu chciała nawet poprosić, by mundurowy wszedł do środka i zaczekał, aż ona sprawdzi pomieszczenia, w końcu jednak zrezygnowała. Przecież była policjantką i miała broń. Więc właściwie w czym miałyby być od niej lepszy?

Wyjęła glocka, weszła do domu, omiotła wzrokiem schody i zawróciła do kuchni. Odłożyła broń na blat, wyjęła z lodówki resztę wczorajszego makaronu i podziabala widelcem zimne kluchy, nie przestając myśleć o swoich wątpliwościach dotyczących materiału dowodowego – od niezaliczenia przez Bankstona testu na wariografie, poprzez odcisk palca Taggarta w pokoju motelowym, w którym zamordowano Veronicę Watson, po morderstwo Beth Stinson sprzed ponad dziewięciu lat.

Była tak skonana, a jej obolałe mięśnie tak się domagały kojącego ciepłego prysznica, że włożyła makaron z powrotem do lodówki i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nie powitał jej Roger. To było zupełnie do niego niepodobne. Przeszła przez dom, nawołując kota, wydało jej się, że słyszy ciche miauczenie, i znieruchomiała, by posłuchać. Otworzyła drzwi do garażu, ale tam go nie było. Znów zawołała, ponownie usłyszała miauczenie i ruszyła za nim do jadalni, lecz wciąż nie widziała zwierzaka.

– Roger?

Usłyszała go po raz trzeci, tym razem wyraźniej, i poszła za dźwiękiem ku schodom na dolny poziom. Dźwignia zamka na

drzwiach była w pozycji zamkniętej.

– Roger?

Miauczenie stało się głośniejsze i bardziej natarczywe, spod drzwi wysunął się ku niej czarny pazur.

Tracy zawróciła do kuchni i wzięła do ręki glocka. Przypomniała jej się podniesiona kłapa na sedesie, o którą nie zdążyła spytać Dana. Pomieszkiwał u niej i możliwe, że to on zszedł na dół lub wyszedł za dom, tylko po co? Tym razem nie było z nim psów. A potem przyszło jej do głowy, że mógł zejść po to, by ustawić czułość czujnika ruchu. Mógł zostawić za sobą otwarte drzwi i Roger uznał to za okazję do krajoznawczej eskapady.

Znów usłyszała drapanie Rogera za drzwiami i tym razem jego miauczenie wydało jej się wręcz rozpaczliwe. Zeszła po schodach, przesunęła dźwignię zamka, nacisnęła klamkę i pchnąwszy drzwi, wycelowała w mroczne wnętrze sali telewizyjnej. Roger śmignął jej koło nóg i jak pręgowana błyskawica wystrzelił w górę schodów. Trzymając pistolet w jednej ręce, drugą namacała wyłącznik światła i nacisnęła. Schowane w suficie lampy oświetliły skórzaną kanapę w kształcie litery L i nie najnowszy model rzutnika, ustawiony przed dużym ekranem telewizyjnym na tylnej ścianie.

Tracy spojrzała ku drzwiom prowadzącym na podwórze. Jak na drzwiach przy schodach, tu zamek też był w pozycji zamkniętej. Wyszła z sali, zamknęła za sobą drzwi, spuściła zatrzask i wróciła schodami na górę.

Roger kręcił się nerwowo po kuchennym blacie, głośno domagając się jedzenia.

– Jakbyś się nie szlajał, gdzie nie trzeba, nie byłoby problemu.

– Ujęła go za przednie łapki. – Może należało nazwać cię Houdini, co? Jak ty się tam dostałeś?

Roger miauknął ze złością na znak, że nie jest w nastroju do zabawy.

– Dobrze już, dobrze.

Otworzyła puszkę kocięj karmy, wyłożyła porcję na miseczkę i przyglądając się, jak Roger rzuca się na jedzenie, wybrała numer komórki Dana. Nie odebrał. Rozłączyła się bez zostawienia wiadomości, poszła do łazienki i zamknęła od środka drzwi. Położyła glocka na stoliku i ostrożnie ściągnęła ubranie. Kolano było zaczerwienione, ale nie spuchnięte. Noga w kostce bolała, lecz nie wyglądało to tak źle, jak się obawiała. Najbardziej doskwierał jej kopnięty przez Taggarta obojczyk. Obejrzała w lustrze zasinienia. Już miała rzucić dzinsy na stertę brudów, kiedy przypomniała sobie o sprawdzeniu kieszeni i natknęła się na kartkę wręczoną jej przez policjantkę tuż przed wyjściem z Sali Kowboja na spotkanie z Michaeliem Meltonem. To jej przypomniało, że miała też zadzwonić do Bennetta Lee, który pewnie był już na nią wściekły.

Rozprostowała karteczkę i spojrzała.

– Shereece – odczytała głośno imię afroamerykańskiej tancerki z Pink Palace i wybrała numer.

Odezwał się kobiecy głos.

– Shereece, tu detektyw Crosswhite – powiedziała do słuchawki.

– Nareszcie – burknęła Shereece. – Musimy porozmawiać. Teraz.

* * *

Johnny Nolasco wybrał stolik w narożniku za kamiennym kominkiem. Wszystkie sąsiednie były wolne. Trzymając w rękach filiżankę z kawą i wpatrując się w drzwi, kolejny raz odtworzył w myślach rozmowę z JoAnne Anderson i kolejny raz poczuł przyływ wściekłości.

Dan O’Leary był adwokatem, który reprezentował Edmunda House’a, a jednocześnie kolegą z dzieciństwa Tracy Crosswhite. Jeśli teraz zainteresował się sprawą śmierci Beth Stinson, musiała stać za tym jego przyjaciółka.

Do śledztwa w sprawie Stinson naprawdę się przykładali. Ofiara nie była prostytutką, narkomanką czy uciekinierką z domu. Była zwyczajną dziewczyną z sąsiedztwa, typową przedstawicielką klasy średniej, napadniętą w jej własnym domu. A zabójstwa dziewcząt z sąsiedztwa się nie zdarzają. Nie zdarzają się córkom zwyczajnych rodzin, mieszkającym w zwyczajnych, bezpiecznych dzielnicach. Jej sąsiadów to przeraziło, lokalnych polityków oburzyło; politycy ze szczybla centralnego naciskali, by szybko aresztować sprawcę. A ponieważ gówno płynęło z samej góry, Nolasco i Hattie taplali się w nim dzień i noc.

Przełom nastąpił w chwili, gdy z wyciągu z karty kredytowej Stinson dowiedzieli się o wizycie hydraulika z firmy Roto-Rooter. Wizyta miała miejsce w dniu poprzedzającym morderstwo. Szybko ustalili nazwisko hydraulika, niejakiego Wayne'a Gerhardta, dwudziestoosmioletniego kawalera, mieszkającego samotnie niedaleko wynajętego domu Stinson. W domu ofiary znaleziono mnóstwo odcisków palców Gerhardta, a także ślad jego ubłoconego buta na wykładzinie dywanowej, który próbował nieudolnie zatrzeć. Na noc zabójstwa nie miał alibi i Nolasco z Hattiem szybko doszli do wniosku, że dorwali sprawcę. Ważnym świadkiem okazała się sąsiadka; początkowo była pewna, że widziała Gerhardta w nocy, gdy wstała napić się wody. Kobieta okazała się jednak osobą sumienną i bogobojną i opadły ją wątpliwości, czy nie pogrąży niewinnego człowieka. A bez jej zeznania mieli zbyt mało, by uzyskać w sądzie wyrok skazujący.

Wówczas były inne czasy i panowały inne zwyczaje. Można było manipulować zestawami zdjęć i nie tylko. Także okazaniami policyjnymi. Świadców pouczano, by zapamiętali to, co zobaczą. Stosowano naciski – subtelne, ale efektywne – których jedynym celem było wsadzenie złoczyńcy za kratki, a żaden zespół śledczy nie mógł się pochwalić lepszą statystyką od Nolasco i jego partnera. Hattie szykował się do przejścia na emeryturę, ale nie było mowy, by zrobił to, mając na koncie niedokończone

śledztwo. Liczący na awans Nolasco był w równym stopniu zainteresowany szybkim zakończeniem sprawy. Na szczęście trafił im się Wayne Gerhardt, a oni byli przekonani o jego winie. Musieli tylko pomóc JoAnne Anderson i utwierdzić ją w przekonaniu, że to właśnie jego widziała tamtej nocy. Wiedzieli, że jeśli tylko uda im się skłonić ją do złożenia zeznania przed sądem, będzie po sprawie, a Gerhardt będzie mógł wybierać: pójść na układ lub dostać wyrok śmierci. Nolasco był pewien, że Gerhardt nie będzie miał wątpliwości, co jest dla niego lepsze.

Dlatego powiedzieli Anderson, że mają podejrzanego i potrzebują tylko potwierdzenia, że to jego widziała tamtej nocy. Pokazali jej fotografię Gerhardta, a ona go rozpoznała. Wtedy poprosili ją o wzięcie udziału w okazaniu policyjnym, podczas którego bez wahania wskazała Gerhardta. Była zupełnie pewna i gdy usiadła na miejscu dla świadków w sali rozpraw, nie miała już wątpliwości. Gerhardt poszedł na układ i przyznał się do winy, Hattie dołączył do jego zdjęcia w aktach podobizny czterech innych podejrzanych i odszedł na emeryturę z czystym sumieniem. Nolasco zakończył na tym pracę w terenie i zaczął się wspinać po administracyjnej drabinie, awansując najpierw na porucznika, potem na kapitana. W ciągu całej swej kariery ani przez chwilę nie pomyślał o Beth Stinson i Wayne Gerhardcie.

Aż do teraz.

Po rozmowie z Anderson zadzwonił do Olympii i uzyskał potwierdzenie, że Crosswhite kazała wyciągnąć z archiwum teczkę z aktami Stinson i przesłać ją do Centrum Sprawiedliwości. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy tylko jedno wytłumaczenie jej zainteresowania starymi sprawami: słyszał pogłoski o wątpliwościach wyrażanych przez starszych pracowników wydziału w sprawie metod śledczych stosowanych przez niego i Hattiego i uznał, że Crosswhite szuka na niego haka, by się na nim odegrać. Ale gdy przeszło mu pierwsze wzburzenie, zaczął głębiej analizować jej postępowanie. Tracy Crosswhite nie jest głupia i nie grzebałaby w sprawie sprzed

dziesięciu lat – zwłaszcza jego – bez istotnego powodu. Musiała wiedzieć, że próba doprowadzenia do nowego procesu następnego skazanego zabójcy wystawi ją na pożarcie mediom. Czyli musiał być jakiś powód.

Przywołał w pamięci szczegóły tamtej sprawy i przypomniał sobie, że Stinson znaleziono związaną i uduszoną sznurem. Pamiętał też, że zwrócili wtedy uwagę na dziwny szczegół: łóżko ofiary było pościelone, chociaż do zabójstwa doszło we wczesnych godzinach porannych. To prowadziło do jednego wniosku: Crosswhite musiała uznać, że między śmiercią Stinson a morderstwami Kowboja istnieje jakiś związek, i kazała O’Leary’emu przeczytać akta tamtej sprawy i porozmawiać ze świadkami, a ci mu niewątpliwie powiedzą, że Nolasco i Hattie w ogóle ich nie przesłuchiwali. Ciekawe, czy JoAnne Anderson zapamiętała, że Hattie pokazał jej tylko fotografię Gerhardta, a nie zestaw zdjęć potencjalnych podejrzanych? Jeśli tak, O’Leary może dojść do wniosku, że Nolasco i Hattie świadomie zmanipulowali Anderson, by wskazała na Gerhardta, i że w wyniku niedopuszczalnych metod śledczych nie tylko skazano niewinnego człowieka, ale zostawiono na wolności seryjnego zabójcę, który dzięki temu mógł zabijać przez następne dziesięć lat. Nolasco nie wierzył, że tak właśnie było. Był przekonany, że Gerhardt zabił Stinson, lecz nie chciał, by Crosswhite węszyła w jego starych sprawach.

Przez parę godzin kipiał w środku, zastanawiając się, jak powinien zareagować. Jeśli spróbuje stawić jej czoło, Crosswhite może pójść wyżej, do Biura Odpowiedzialności Zawodowej lub do któregoś z prokuratorów. Może wtedy wystąpić nie tylko o ponowne przyjrzenie się sprawie Stinson, ale też wszystkim sprawom prowadzonym przez niego i Hattiego.

Nolasco musiał się zachowywać tak, by nie wyglądało to na jego osobistą zemstę.

I wtedy pomyślał o Marii Vanpelt. Zdawał sobie oczywiście sprawę z niebezpieczeństwa związanego z wtajemniczeniem reporterki śledczej, ale nawet on uważał Vanpelt za goniącą za

sensacją dziennikarkę, która chętnie sięga po nisko wiszący owoc, bo jest zbyt leniwa i nie chce jej się dociekać ukrytej głębiej prawdy. Interesowały ją tematy, dzięki którym mogła liczyć na to, że jej twarz zdominuje wydania wiadomości telewizyjnych o osiemnastej i dwudziestej trzeciej.

A Nolasco miał coś, co jej to zapewni i pomoże w karierze.

Weszła do kawiarni, miną i tonem głosu okazując zniecierpliwienie.

– Mam nadzieję, Johnny, że to nie jakaś sztuczka, żeby mnie tu ściągnąć. Mam za sobą ciężki dzień.

– Mnie też jest miło cię widzieć.

Rzuciła z brzękiem kluczyki na stół, przyciągając tym uwagę stojącej za barem młodej dziewczyny.

– Kawa, bezkofeinowa, czarna – burknęła.

Barmanka popatrzyła na nią tak, jakby Vanpelt mówiła w obcym języku.

– Tu nie podają do stolików – powiedział Nolasco.

– Przynieś mi kawę – rzuciła głośno dziennikarka. – Zarobisz na napiwek.

Dziewczyna za barem bez słowa zabrała się do pracy, Vanpelt obdarzyła Nolasco uśmiechem mówiąc: „Wszystko ma swoją cenę”.

– To co jest aż tak ważne, że nie mogło poczekać do rana?

– Mogę mieć dla ciebie prawdziwy szlagier.

– Już mam wystarczający szlagier. Dzięki Kowbojowi trafiam codziennie na pierwszą stronę, a jutro będę w telewizji na żywo z Andersonem Cooperem i będziemy rozmawiać o Seattle jako polu śmierci. W przyszłym tygodniu mogę się znaleźć w programie Nancy Grace.

– Pogratulować. – Nolasco wolno poprawił się na krześle, położył ręce na stole i pochylił się nad filiżanką. – Tracy Crosswhite znów rozrabia.

Gdy podeszła barmanka, wyprostował się, by zrobić jej miejsce.

– Nie mam przy sobie gotówki – mruknęła Vanpelt.

Nolasco sięgnął do kieszeni, przesunął w palcach kilka banknotów i podał dziewczynie piątkę.

– Reszty nie trzeba – rzuciła dziennikarka. Siorbnęła kawy, odstawiła filiżankę i uniosła głowę. – To o co chodzi?

– A jakbym ci powiedział, że Crosswhite zajmuje się zwolnieniem następnego skazanego zabójcy? Kolejnego mężczyzny, który zamordował młodą kobietę?

Uniosła filiżankę, po czym nie dotknąwszy jej ustami, odstawiła na stolik.

– Na ile to jest pewne? – spytała.

– Bułka z masłem. Wystarczy wykonać parę telefonów. – Przesunął ku niej skrawek papieru. – Zaczynij od tego. To numer do stanowego archiwum.

– I co mam z tym zrobić?

– Powiedz, że chciałabyś zajrzeć do archiwalnej teczki. Pod numerem telefonu masz zapisany numer sprawy.

– Nie wydadzą mi teczki bez wniosku z powołaniem się na ustawę o swobodnym dostępie do informacji.

– Nie wydadzą ci teczki, bo jej nie mają. Spytaj, kto ją ostatni brał i kiedy.

– Co jest w tej teczce?

Nolasco rozsiadł się wygodnie.

– Teraz może ci się przydać notes i długopis.

Vanpelt powoli sięgnęła do torebki i wyjęła długopis, ale nie notes. Zamiast niego wzięła ze stolika papierową serwetkę.

– Dziewięć lat temu – zaczął Nolasco – Beth Stinson jest samotną młodą kobietą zamieszkałą w północnym Seattle. W jej domu zjawia się Wayne Gerhardt, hydraulik z Roto-Rooter, żeby odetkać zapchaną rurę. Tego samego dnia w nocy wraca i ją morduje. Naoczny świadek widzi go wychodzącego wcześniej rano z domu Stinson. Na miejscu przestępstwa są jego odciski palców i ślady DNA. Gerhardt nie ma alibi, przyznaje się do winy i dostaje dwadzieścia pięć lat.

– I co Crosswhite ma do tego?

– To już twoje zadanie.

– A dlaczego nie twoje?

– Bo to przede mną ukrywa, a to znaczy, że nie chce, bym wiedział, co robi. Więc jak ją spytam, to zapewne nie otrzymam prostej odpowiedzi. Mogę ci natomiast zdradzić, że w tej sprawie pomaga jej ten sam adwokat, który reprezentował Edmunda House'a. Już rozmawiał z naocznym świadkiem i odwiedził Gerhardta w Walla Walla.

– Dan O'Leary – rzuciła Vanpelt bez chwili namysłu. Znów coś zapisała, odłożyła długopis i wyprostowawszy się, przyjrzała się Nolasco z cieniem uśmiechu na twarzy.

– Martwi cię to – mruknęła.

– Wkurza, to lepsze słowo.

Uśmiech na twarzy dziennikarki się poszerzył.

– To była twoja sprawa – powiedziała, a gdy Nolasco nie zareagował, dodała: – Co Crosswhite może na tym zyskać?

– Myślę, że to jej sposób na to, by mnie dopaść. Na rewanż za jakąś wydumaną krzywdę, jaką rzekomo jej wyrządziłem.

– Dopaść cię? – Uniosła brwi. – Zdawało mi się, że powiedziałeś, że miałeś naocznego świadka, ślady DNA i przyznanie się do winy. Więc jak mogłaby cię dopaść? Czyżby ten oskarżony był niewinny?

– Oczywiście, że nie.

– To czym się martwisz?

– Już ci powiedziałem. Nie martwię się, tylko jestem wkurzony.

– Wyglądasz na zmartwionego.

– Słuchaj, podrzucam ci smakowitą kość. Nie chcesz jej, zadzwonię do kogoś innego.

– Do kogo?

– Nie sądzisz, że mógłby z tego wyjść dobry program telewizyjny?

Vanpelt uśmiechnęła się krzywo.

– Nie wiem, Johnny. Jeśli wyrzucą Crosswhite ze służby, to stracę najlepsze tematy.

– Nie potrzebujesz jej do swojej kariery. Ja ci mogę to zapewnić.

– Jak?

– Jest coś jeszcze, nad czym teraz pracuję – powiedział. – Coś większego, ale na razie nie możesz tego tknąć. – Jeśli Tracy Crosswhite chce go skompromitować, to on z radością ją ubiegnie.

– Co to takiego? – spytała Vanpelt.

– Jeden z głównych podejrzanych w sprawie Kowboja poległ na wariografie.

– Który?

– Już ci powiedziałem, na razie nie możesz tego tknąć.

* * *

Tracy zaparkowała przy krawężniku i przyjrzała się domowi o wyglądzie typowym dla Dzielnicy Centralnej. Dwupoziomowy, z wąskim gankiem od frontu, stojący na niewysokiej skarpie. Weszła po drewnianych schodkach na ganek, zapukała do czerwonych drzwi i chwilę później ujrzała przed sobą cherubinkowatą buzię chłopca w niebieskiej piżamie w czerwone piłki do koszykówki. Oceniła go na siedem, osiem lat.

– Cześć – rzucił. – Rezydencja Scottów. Mogę w czymś pomóc?

To wywołało u niej uśmiech.

– Tak, możesz. Mama w domu?

Tracy niemal nie poznała kobiety, która stanęła w drzwiach, bez trudu rozpoznała jednak jej głos.

– Co ty wyprawiasz, młody człowieku? Dlaczego nie w łóżku? I co ci mówiłam o otwieraniu drzwi obcym?

– Ale to jest pani.

– Znasz ją? – Shereece wzięła się pod boki. – No pytam. Znasz ją?

Chłopiec pokręcił głową.

– Czyli to ktoś obcy.

Mały uśmiechnął się chytrze, ukazując szczerbę zamiast dwóch górnych jedynek. Musi być z niego niezły rozrabiaka, pomyślała Tracy.

– Spodziewałeś się jakichś gości? – Shereece nie odpuszczała.

Pokręcił głową.

– No to biegiem na górę do łóżka.

– Do widzenia, obca pani.

Przemknął pod ręką matki i pobiegł na górę obłożonymi wykładziną schodami.

Shereece nie udało się stłumić śmiechu.

– Proszę, wchodź.

Długie loki okalające twarz nadawały jej delikatności. Podobnie jak obcisła biała koszula z długimi rękawami i czarne legginsy.

– Założę się, że masz na co wydawać pieniądze – powiedziała Tracy z uśmiechem.

– To mój bilet do nieba. Jeśli uda mi się uchronić go przed kłopotami, to mogą mnie jeszcze ogłosić świętą.

Z głębi domu wyłoniła się starsza kobieta o uderzającym podobieństwie do Shereece i zatrzymała się z ręką na poręczy schodów.

– Dzień dobry – powiedziała Tracy.

– Pani jest tą detektyw z telewizji.

– Tak.

– Kiedy złapiecie tego drania?

– Mam nadzieję, że niedługo. Staramy się, jak możemy.

Kobieta obrzuciła Tracy sceptycznym spojrzeniem.

– Słyszałam to już parę dni temu w telewizji.

– Tj nie śpi, mamó – powiedziała Shereece. – Poradzisz z nim sobie?

Jej matka, w dzinsach i bluzie z kapturem, nie wyglądała dużo starszej od Tracy.

– Czy sobie z nim poradzę? Tak, myślę, że sobie poradzę. – Ruszyła schodami na górę, w połowie się zatrzymała i spojrzała w dół na gościa. – Miło było panią poznać.

– Mnie również.

Shereece odczekała, aż matka dotrze do szczytu schodów i zniknie za drzwiami jednej z sypialni.

– Przepraszam za zamieszanie – rzuciła.

– Nie ma za co.

– Wchodź i siadaj.

Pokój od frontu był gustownie urządzone; stał tu komplet wypoczynkowy, na pokrytej parkietem podłodze leżał dywan, na półce nad wyłożonym kafelkami kominkiem ustawiono ramki z rodzinnymi fotografiami. Tracy ostrożnie opadła na fotel.

– Co ci się stało? – spytała Shereece.

– Trochę jestem obolała. Mama mieszka z tobą?

Kobieta usiadła naprzeciw niej na czerwonej skórzanej kanapie i schowała pod siebie bosą stopę.

– Po śmierci ojca przebudowaliśmy suterенę. Mąż pracuje w niektóre noce, więc potrzebowaliśmy pomocy mamy przy dzieciach.

– To szczęście, że ją macie – powiedziała Tracy, myśląc jednocześnie, jak bardzo by chciała, by jej matka jeszcze żyła.

– Czasami robi się tłoczno – mruknęła Shereece, spoglądając w górę schodów. – I czasami zapomina, że jestem już dorosła. Ale niekiedy mąż i ja nie możemy się nadziwić, jak dawaliśmy sobie radę sami z trójką dzieci.

Tracy uśmiechnęła się.

– Rozumiem, że dziś masz wolne – rzuciła.

– Zadzwoiłam, że jestem chora. Czasami myślę, czyby się na stałe nie rozchorować. Pieniądze są bardzo dobre, ale nie aż tak, żeby za nie umierać. Rozmawialiśmy o moim powrocie do szkoły, kiedy mąż znajdzie bardziej stałą pracę, ale może nie ma na co czekać. – Shereece wyprostowała się. – Nie w tej sprawie jednak dzwoniłam. Zadzwoiłam dlatego, że wczoraj był u nas pan Mecenias. To ten gość, o którym ci wspominałam. Ten, któremu podobają się dziewczyny z dużymi cyckami. Bardzo lubił Veronicę.

– Tak, pamiętam.

– Taa... no więc wczoraj zauważyłam, że wyraźnie zainteresował się Gabby.

– W jakim sensie się zainteresował?

– Wiesz w jakim. Byłam na scenie i widziałam, jak łapie ją za rękę, kiedy przechodziła koło jego stolika. Wyglądała na zaskoczoną. Mecenasa coś jej szepnął na ucho i Gabby się roześmiała i kiwnęła głową. A potem poszli oboje do pokoju na zapleczu. Więc tak się zastanawiam, czego on chce od tego chudzielca.

– Widziałaś ich po wyjściu?

– Specjalnie uważałam. Gabby wyszła roześmiana od ucha do ucha. Potem spytałam ją w garderobie, co jest grane, a ona powiedziała, że dał jej pięćdziesiąt dolców za zatańczenie mu na kolanach. Pięćdziesiąt! Była tak uszczęśliwiona, że nie przyszło mi do głowy spytać: „Dlaczego akurat tobie?”. Wiesz. A teraz żałuję, że tego nie zrobiłam.

– Jak długo został?

Shereece wyglądała na bliską płaczu.

– Dokończył drinka i wyszedł. Najwyżej jakieś dziesięć minut.

– Która to była godzina?

– Wpół do dwunastej, za piętnaście dwunasta, jakoś tak.

– Gabby wyszła razem z nim?

– Nie. Została do końca zmiany. – Shereece uniosła rękę. – Ale przestań mnie wypytywać i daj mi powiedzieć, w jakiej sprawie zadzwoniłam. Kiedy zobaczyłam, że szykuje się do wyjścia, zrobiłam sobie przerwę i wyszłam na papierosa. Tak naprawdę to go obserwowałam, ale z ukrycia. Trzymał w ręce kluczyki do samochodu i już chciałam iść za nim, gdy piknął jeden z samochodów zaparkowanych tuż pod wejściem. Beemka. Ładna fura.

Tracy pomyślała o ciemnym samochodzie odjeżdżającym spod wejścia i ruszającym za Walterem Gipsonem i Angelą Schreiber na nagraniu z kamery na parkingu Pink Palace i poczuła, że przyśpiesza jej puls.

– Jakiego był koloru? – spytała.

- Ciemnoniebieski. Granatowy.
- Zapisłaś numer rejestracyjny?
- Nie miał zwyczajnego numeru. To była jedna z tych szpanerskich tablic na specjalne zamówienie. Litery układały się w słowo D-F-E-N-C-E, potem cyfra cztery i litera U.
- Obrona dla ciebie – powiedziała Tracy.

Rozdział 41

Tracy podniosła głowę znad iPada i spojrzała na wypadającego z domu Kinsa, który trzymał pod pachą skórzaną kurtkę do połowy uda. Otworzył drzwi po stronie pasażera i wskoczył do pick-upa.

– Ktoś sprawdził tę rejestrację? – rzucił.

Tracy podała mu iPada i ruszyła wąskimi uliczkami. Na ekranie widniała strona z wykazem firm prawniczych.

– Możesz wierzyć lub nie, ale ten Mecenaz naprawdę jest adwokatem – odparła.

– Tak przypuszczałem – powiedział Kins, przewijając stronę. – Tylko prawnik może się pokusić o taką rejestrację.

– Z jego biogramu wynika, że przed otwarciem prywatnej praktyki pracował jako obrońca z urzędu. Nie przypominam sobie takiego nazwiska, a ty?

– Ani ja. – Kins odłożył laptop. – I gdzie on mieszka?

– Washington Park.

Kins gwizdnął z podziwem.

– Musi mu się nieźle powodzić w tej prywatnej praktyce.

Tracy przepchnęła się przez Arboretum i przecięła Madison. Po minięciu ekskluzywnej Szkoły Busha droga zaczęła się trochę wiać. Kawalek przed jeziorem skręcili w lewo i ruszyli aleją wysadzaną roslymi dębami i klonami. Po obu stronach drogi ciągnęły się eleganckie rezydencje z zadbanymi trawnikami i wypielęgnowanymi ogrodami. Brak latarni ulicznych i żywopłoty odgraniczające posiadłości od ulicy utrudniały sprawdzanie adresu.

– Zwolnij – rzucił Kins, wyglądając przez okno. – Mam nadzieję, że nie zdarzają się tu zawały serca, bo delikwent dawno by zszedł, zanim by do niego trafili. – Gdy ich samochodowy GPS zaanonsował dotarcie do adresu zapisanego w wydziale ruchu drogowego, Kins spojrzał w głąb podjazdu między dwoma kamiennymi słupami. – Nie wiem, żadnego adresu tu nie widzę, ale GPS twierdzi, że to tutaj.

Tracy wjechała między słupy i ruszyła podjazdem, mając po obu stronach równo przystrzyżone trawniki z rosnącym na jednym z nich potężnym dębem. Zatrzymała się pod garażem z trzema drewnianymi bramami; nad każdą wisiała lampa. Od garaży prowadziła zadaszona dróżka do willi w stylu Tudorów z kamienną fasadą, stromymi, przecinającymi się fragmentami dachu i wąskimi witrażowymi oknami przepuszczającymi niezbyt dużo światła. Całość przypominała Tracy rodzinny dom z jej dzieciństwa w Cedar Grove.

Wysiedli i podeszli ścieżką do zwieńczonego łukiem wejścia.

– Można by oczekiwać, że jak człowieka stać na tak drogi dom, to powinno mu też starczyć forsy na jakąś tabliczkę z adresem, nie sądzisz? – mruknął nadąsany Kins.

– Przypominasz mi psa, który dorwał kość – parsknęła Tracy.

– To moje zaburzenie obsesyjno-kompulsywne.

Lampa nad ich głowami rozbłysła i drzwi się otworzyły, nim Tracy zdążyła zapukać.

– Czym mogę służyć?

Mężczyzna stojący w progu pasował do opisu Shereece: wysoki i barczysty, wyraziste rysy szerokiej twarzy, usta jak u Micka Jaggera. Tracy i Kins błysnęli odznakami.

– Pan James Tomey? – spytała Tracy.

– O co chodzi?

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

Miał na sobie lniane spodnie khaki, mokasyny i rozpinany czarny sweter, ale nie sprawiał wrażenia rozluźnionego. Spojrzał na nich z ukosa.

– Trochę późno jak na domowe wizyty, państwo policjanci. Jakiego typu pytania? Chodzi o któregoś z moich klientów? Bo jeśli tak, to będę musiał powołać się na klauzulę poufności w relacjach adwokata z klientem.

Tracy nie podobało się jego protekcyjne zachowanie, wyczuwała też w nim udawaną brawurę.

– Wiemy, która jest godzina, panie Tomey, i mogę pana zapewnić, że my też wolelibyśmy teraz siedzieć spokojnie w swoich domach. Więc czy woli pan, byśmy zadawali panu pytania tu, na ganku, czy proponuje pan jakieś wygodniejsze miejsce na rozmowę. Bo jeśli nie, to ja bez trudu znajdę odpowiednie miejsce.

Przez chwilę wpatrywał się w nią przez okrągłe okulary w szylkretowej oprawce, po czym westchnął z rezygnacją i wpuścił ich do środka. Weszli do wyłożonego boazerią holu i ujrzeni opartą o framugę drzwi kobietę.

– To policja – wyjaśnił jej Tomey. – Chcą mi zadać kilka pytań w sprawie mojego klienta. Wezmę ich do gabinetu.

– Jest już strasznie późno – bąknęła kobieta.

– To nie potrwa długo – uspokoił ją.

Poprowadził Tracy i Kinsa przez urządzone z przepychem salon do równie bogato umeblowanego gabinetu z wielkim rzeźbionym biurkiem i sięgającymi po sufit półkami z równo ustawionymi książkami. Zamknął za nimi przesuwne drzwi i gestem ręki zaprosił, by usiedli. Skórzane fotele, dyskretne oświetlenie regałów, stojąca na biurku lampka Tiffany'ego z zielonym abażurem i unoszący się w powietrzu zapach drogich cygar nadawały pomieszczeniu typowo męski charakter. Skórzany fotel za biurkiem lekko zaskrzypiał pod ciężarem gospodarza.

– No więc o co chodzi?

– O Gabrielle Lizotte – powiedziała Tracy.

– Niestety, nie znam nikogo takiego. – Tomey odgarnął z czoła kosmyk blond włosów, usilnie starając się stwarzać pozory nonszalanckiej swobody.

- A może zna ją pan pod pseudonimem Francuski Płomyk. – Tracy nie spuszczała z niego wzroku.
- Obawiam się, że nie.
- Nie chciało jej się z nim droczyć.
- Panie Tomey, czy jeździ pan granatowym bmw o numerze rejestracyjnym DFENCE4U?
- Tak, jeżdżę.
- I to granatowe bmw stało wczoraj około jedenastej wieczorem zaparkowane na First Avenue.
- Czy to pytanie, pani detektyw?
- Nie, stwierdzenie faktu.
- A ma pani jakieś pytanie?
- Był pan w Pink Palace z kimś czy sam?
- Tomeyowi chwilę zajęło odchrząknięcie.
- Byłem sam. To niedaleko od mojej kancelarii. I to nie jest nielegalne.
- Czy zażyczył pan sobie tańca na kolanach w wykonaniu rudowłosej tancerki znanej jako Francuski Płomyk?
- Zachowywał pokerową twarz.
- Przypominam sobie taniec na kolanach. Nie pamiętam imienia tancerki.
- Rude włosy, szczupła figura. Coś się panu kojarzy?
- Owszem.
- Położyła fotografię Gabrielle Lizotte na biurku Tomeya.
- Podeszła do pana stolika, pan chwycił ją za rękę i szepnął jej coś na ucho, a ona poprowadziła pana do pokoju na tyłach klubu.
- Tak zwykle wygląda dogadywanie się, pani detektyw. I jak już wspominałem, nie ma w tym nic nielegalnego.
- Proszę opowiedzieć o tym konkretnym dogadaniu się.
- Ponownie odchrząknął. Odwrócił się bokiem do biurka, założył nogę na nogę i popatrzył na Tracy i Kinsa przez ramię jak ktoś, kto szykuje się do opowiedzenia anegdoty.
- Zaproponowałem jej trzydzieści pięć dolarów, a ona przyjęła moją ofertę.

– Widać był pan zadowolony z jej usług, bo dopłacił pan jej dodatkowe pięćdziesiąt dolarów. Czyli blisko stu pięćdziesięcioprocentowy napiwek.

– Raz jeszcze, pani detektyw, ma pani jakieś pytanie?

– Czy w zamian za tak suty napiwek oczekiwał pan czegoś więcej?

– To oburzająca insynuacja.

– Czytuje pan gazety, panie Tomey?

– Wyłącznie „New York Timesa” i „Washington Post”.

– Zatem pozwoli pan, że przekażę panu garść informacji z lokalnej prasy. Dziś rano znaleziono Gabrielle Lizotte w pokoju motelowym przy Aurora Avenue. Została w nim zamordowana. Czy ta wiadomość trafiła do „New York Timesa” lub do „Washington Post”?

Tomey nie odwrócił głowy; wlepił wzrok w jakiś punkt na blacie biurka.

– Wiedziałem, że zamordowano kolejną tancerkę – odezwał się łagodniejszym tonem. – Tego typu informacje interesują ludzi w moim zawodzie. Ale nie sądzę, by w gazecie podano nazwisko ofiary czy w jakiś inny sposób ją zidentyfikowano.

– Czyli słyszy pan o tym od nas po raz pierwszy, czy tak? – spytała Tracy.

– O tym, kim była ofiara? Tak.

– A znał pan Veronicę Watson? Występowała pod pseudonimem Velvet.

– Owszem, znałem.

– I miał pan do niej słabość?

– Słabość?

– Lubi pan tancerki z dużym biustem, prawda?

Zmarszczył czoło.

– Pani detektyw, czy rozmawia pani ze mną w roli świadka czy podejrzanego?

– Jest pan obrońcą w sprawach kryminalnych, mecenasie Tomey. Widziano pana w towarzystwie dwóch spośród zamordowanych ofiar, w tym wczorajszej ofiary Gabrielle

Lizotte. Odbył pan z nią intymną rozmowę i jeszcze intymniejsze spotkanie. Zapłacił pan jej ogromny napiwek i wkrótce potem opuścił klub.

– Fakty zgodne z prawdą.

– Gdzie się pan udał po wyjściu z klubu?

– Wróciłem do domu, by dokończyć pisanie wniosku, jaki musiałem dziś złożyć w sądzie.

– W jakiej sprawie? – wtrącił Kins, odrywając wzrok od notatnika. Czasami jego wycucie czasu bywało perfekcyjne. Nic tak nie deprymuje kłamiącego świadka, jak szczegółowe pytanie zadane przez człowieka z piórem i notesem w ręce.

– Co?

Kins wychylił się do przodu.

– Pytam, w jakiej sprawie musiał pan dziś złożyć wniosek?

– Nie pamiętam.

– Myślałem, że złożył go pan dzisiaj.

– Mam dużo spraw. Musiałbym zajrzeć do kalendarza.

– Jak się nazywa pański klient?

Tomey przeniósł wzrok z Kinsa na Tracy.

– Chcę adwokata – oświadczył, sięgając po słuchawkę.

Tracy wyciągnęła rękę i położyła ją na telefonie.

– Niewątpliwie ma pan do tego prawo. Ale skoro żąda pan adwokata, nadajmy temu formalny bieg. Proszę wstać i założyć ręce do tyłu.

– Co?

– Ma pan prawo milczeć. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu w sądzie.

– Recytuje mi pani prawo Mirandy?

– Proszę mi nie przerywać, panie Tomey. Przecież sam pan wie, jakie to ważne, żeby zatrzymany usłyszał i zrozumiał swoje prawa.

– Nie możecie tego zrobić.

– Ma pan prawo do adwokata – ciągnęła Tracy. – Jeśli pana nie stać na wynajęcie adwokata, zostanie przydzielony panu z urzędu.

Kins wstał i odczepił od pasa kajdanki.

– Proszę się odwrócić i założyć ręce do tyłu – polecił.

– To oburzające – warknął Tomey. – Nie ma żadnego uzasadnienia dla kajdanek.

– Czy zrozumiał pan prawa, które panu odczytałam, panie Tomey? – spytała Tracy.

– Chcę zadzwonić do adwokata.

– Czy zrozumiał pan swoje prawa?

– Tak, zrozumiałem.

– Będzie pan miał prawo do telefonu po formalnym aresztowaniu – wtrącił Kins.

– Pod jakim zarzutem? Nie ma nic nielegalnego w pójściu na drinka do klubu dla mężczyzn.

– Zatrzymujemy pana pod zarzutem nakłaniania do przestępstwa – powiedziała Tracy. Była pewna, że Joon rozpozna w Tomeyu gościa, którego widział w swoim motelu co najmniej dwukrotnie w towarzystwie Veroniki Watson. Tracy podejrzewała, że to właśnie z nim Veronica była umówiona tego wieczoru, kiedy w motelu pojawił się Taggart z żądaniem pieniędzy, i że to on spotkał się z Lizotte w jej pokoju motelowym. To, czy je zabił, było już zupełnie oddzielną kwestią.

– Wstać! – rozkazał Kins.

– Na górze są moje dzieci – powiedział stłumionym tonem Tomey.

– A moje są w domu i właśnie szykują się do snu – warknął Kins. – Odwrócić się.

Rozdział 42

Tracy stała obok Ricka Cerrabone'a z prokuratury, obserwując Tomeya przez lustro weneckie. Przywieźli go od razu do Centrum Sprawiedliwości zamiast do aresztu okręgowego, bo wzięwszy pod uwagę jego zawód i żądanie adwokata, Tracy doszła do wniosku, że powinna skonsultować się z kimś z prokuratury. Kins zasiadł przy biurku i zabrał się do szykowania nakazów przeszukania domu i kancelarii Tomeya, a także wniosków o dokonanie analizy DNA na podstawie próbek jego krwi, włosów i śliny. Zamierzał skonsultować swoje wnioski z Cerrabone'em i po uzyskaniu jego aprobaty wystąpić do sędziego o ich podpisanie. Jednocześnie Tracy zleciła Fazowi i Delowi przygotowanie zestawu fotograficznego z włączeniem podobizny Tomeya i przedstawienie go w motelu Joon. Ten sam zestaw mieli potem pokazać w Dancing Bare, jako że o wizytach Tomeya w Pink Palace już wiedzieli.

Przy zgaszonych górnych światłach przyciski urządzenia nagrywającego jarzyły się na żółto, zielono i czerwono.

– Jestem pewna, że Joon rozpozna w nim tego, którego widział z Veronicą Watson podczas jej dwóch ostatnich wizyt. I założę się, że to on ostatniej nocy był z Gabrielle Lizotte.

– Do kogo zadzwonił? – spytał Cerrabone. – Kto jest jego adwokatem?

– Jeden ze współników. Były prokurator, Stan Bustamante. Cerrabone się uśmiechnął.

– Był moim uczniem. Pracowaliśmy razem jakieś sześć lat, nim się zbiesił i przeszedł na drugą stronę.

Zabrzęczała komórka Tracy. Dzwonił dyżurny z dołu, że ktoś do niej przyszedł.

– Wprowadźcie go na górę – poleciała.

– To on? – spytał Cerrabone.

– Nie, to mój znajomy.

Dan dzwonił już wcześniej z wiadomością, że ma jej dużo do powiedzenia, a ona go poinformowała, że właśnie aresztowali podejrzanego i znów wróci późno do domu, jeśli w ogóle. Dan się jednak uparł i twierdził, że sprawa jest pilna i nie może czekać. Centrum Sprawiedliwości niemal już opustoszało, kapitana Nolasco nie było nigdzie na horyzoncie i Tracy uznała, że może zaryzykować i spotkać się z Danem tutaj.

Wszedł do pomieszczenia, wprowadzony przez umundurowanego funkcjonariusza. Tracy przedstawiła sobie obu prawników i Dan popatrzył w lustro weneckie.

– Co James Tomey tu robi? – spytał zdziwiony.

Tracy i Cerrabone wymienili się spojrzeniami.

– Znasz go? – spytała.

– To jeden z powodów, dla których chciałem z tobą rozmawiać – odparł Dan. – Tomey był obrońcą z urzędu Wayne’a Gerhardta.

– Pamiętam tę sprawę – wtrącił Cerrabone. – Morderstwo Beth Stinson, tak?

Tracy kiwnęła głową.

Twarz Cerrabone’a pojaśniała.

– Sądzisz, że sprawa Stinson łączy się z zabójstwami Kowboja?

– Stinson związano i uduszono pętlą założoną na szyję – odparła Tracy. – Nie było śladów przemocy seksualnej, łóżko było pościelone.

– I nie tylko. Jest jeszcze dużo więcej – dodał Dan i zrelacjonował swoje odkrycia.

Dan skończył opowieść i Cerrabone spojrział na Tracy.

– Nie sądzę, byśmy mieli problem z przekonaniem Stana, że jego klient powinien z nami porozmawiać – powiedział.

* * *

Po zjawieniu się Bustamantego przenieśli Tomeya do jednego z przyzwoitszych pokoi przesłuchań i usiedli wszyscy wokół okrągłego stołu. Siedzieli na tyle ściśnięci, że Tracy wyraźnie czuła cuchnący oddech Tomeya, który papierowym ręcznikiem co chwilę ocierał sobie skronie i czoło z potu. Cerrabone rzucił uwagę, że od czasu pracy w prokuraturze Bustamante znacznie przytył, i rzeczywiście koszulka polo ciasno opinała sterczący brzuch. Widać też było, że mocno łysieje, co próbował maskować szcesywaniem na czoło żałosnych resztek włosów. Z Cerrabone'em byli po imieniu i przyjaźnie się przywitali.

– Poinstruowałem mojego klienta, żeby z tobą nie rozmawiał – oświadczył Bustamante.

– Nic nie szkodzi – odparł Cerrabone. – Wystarczy, żeby słuchał. Ty zresztą też. Potem możecie się naradzić i zdecydować, czy chce z nami porozmawiać.

Bustamante splótł ręce na brzuchu, jakby mówił: „A róbcie, co chcecie”.

Cerrabone skinął głową na Tracy, a ta spojrzała na Tomeya.

– Dziewięć lat temu był pan pełnomocnikiem oskarżonego Wayne'a Gerhardta – zaczęła.

– Co to ma wspólnego z naszą sprawą? – oburzył się Bustamante, rozplatając ręce i pochylając się. Nic nie pobudza bardziej adwokata niż pytanie, na które nie zna odpowiedzi.

– Gerhardt był serwisantem w firmie Roto-Rooter i został wezwany do domu kobiety mieszkającej samotnie w północnym Seattle...

– Nadal nie widzę... – zaczął Bustamante.

– ...niejakiej Beth Stinson.

Tracy dostrzegła w oczach Tomeya błysk zrozumienia. Po raz drugi w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wymieniono w jego obecności te dwa nazwiska. Bustamante też zauważył reakcję swojego klienta i szybko coś zanotował.

– Stinson znaleziono zamordowaną w jej domu, a ściślej mówiąc, w sypialni. Miała skrępowane ręce i nogi i pętlę na szyi, którą się udusiła. Policji wystarczył jeden rzut oka, by zakwalifikować to jako morderstwo na tle seksualnym. Podobnie jak panu. Tyle że w protokole koronera nie ma słowa o tym, by ofiara w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin odbyła stosunek seksualny. W ciele Stinson nie znaleziono śladów nasienia.

Tomey nastroszył brwi.

– Beth Stinson nie była ofiarą przemocy seksualnej. Nie została też obrabowana. Podobnie jak Nicole Hansen, Angela Schreiber, Veronica Watson czy Gabrielle Lizotte. Te cztery kobiety były tancerkami w klubach striptizowych Seattle. Wiemy, że co najmniej dwie z nich się panu podobały, trzecią pan znał.

– Beth Stinson była księgową – odezwał się Tomey.

Ręka Bustamantego wystrzeliła do przodu, jakby chciał go uchronić przed wpadnięciem pod samochód.

– Tylko słuchaj, James – syknął.

– Ma pan rację – ciągnęła Tracy. – Za dnia Beth Stinson pracowała w księgowości, ale wieczorami i przez weekendy tańczyła w klubie w Shoreline o nazwie Naga Rewia Sprośnego Erniego.

– Tego nie wiedziałem.

– James, proszę – jęknął Bustamante.

Tomey spojrział na swego adwokata.

– Nic z tego nie wiedziałem, Stan.

– Beth Stinson powiedziała jednej z koleżanek w klubie, że tego wieczoru, kiedy ją zamordowano, była z kimś umówiona. Wzbogaciła swoją działalność i zaczęła sprowadzać do domu mężczyzn. Gdy koleżanka wyraziła niepokój, Beth ją uspokoiła, mówiąc, że to ktoś, kogo zna.

– Koleżanka? Jaka koleżanka? Ona to zmyśla – zachnął się Tomey.

– James...

– Stan, ona to zmyśla.
– Jesteśmy tu po to, żeby słuchać.
– Prokurator nigdy o tym nie wspomniał – powiedział Tomey.
– Ustaliliśmy to we własnym zakresie, w ramach bieżącego śledztwa – wyjaśniła Tracy. – Ale mogę pana zapewnić, że ten świadek jest bardzo rzetelny. – Zwróciła się do Bustamantego. – Pytanie brzmi: dlaczego pański klient przekonał Wayne’a Gerhardta, by nie nalegał na zbadanie śladów DNA z miejsca przestępstwa w sytuacji, w której mogło to w sposób jednoznaczny dowieść jego niewinności?

– Nie uwzględniliby jego wniosku – wtrącił Tomey, zanim jego adwokat zdołał go powstrzymać. – Mieli naocznego świadka, który go widział na miejscu przestępstwa.

Bustamante rzucił ze złością pióro.

– Naocznego świadka, który mógł mieć okulary na nosie lub ich nie mieć – powiedziała Tracy. – Starszą kobietę, która patrzyła przez ulicę i stwierdziła, że widziała jasnowłosego mężczyznę o wzroście metr dziewięćdziesiąt pięć. Ile pan ma wzrostu, panie Tomey?

– Nie odpowiadaj – burknął Bustamante.

– Dlaczego nie wystąpił pan o badanie śladów DNA?

– Na to też nie odpowiadaj.

– Był pan kiedyś w Nagiej Rewii Sprośnego Erniego?

– Co? – prychnął Tomey.

– Nie od-po-wia-daj – powiedział z naciskiem Bustamante.

– Teraz, dziewięć lat później, zamordowano kolejne cztery kobiety w okolicznościach bardzo przypominających zabójstwo Beth Stinson. Trzy z tych czterech tańczyły w klubie, w którym jest pan regularnym bywalcem. Mamy świadków, którzy zeznają, że ostatniej nocy widzieli pana w trakcie intymnej rozmowy z Gabrielle Lizotte, po czym oboje udaliście się do prywatnego gabinetu. Zeznają też, że wręczył jej pan bardzo sowity napiwek i zaraz potem wyszedł z klubu. Zeznają także, że podobała się panu Veronica Watson. – Tracy na moment zawiesiła głos dla lepszego efektu, po czym dodała: – A właściciel motelu, w którym

zamordowano Veronicę Watson, rozpoznał pańską twarz w zestawie fotograficznym i twierdzi, że widział pana z Veronicą co najmniej dwa razy.

– Stan, to nam zupełnie wystarczy do zatrzymania go w areszcie – powiedział Cerrabone. – I zupełnie mi wystarczy do wystawienia nakazów przeszukania domu i kancelarii oraz do pobrania próbki DNA. Mogę go zamknąć na co najmniej trzy doby, czyli cały weekend. Sądowe przesłuchanie wstępne może najwcześniej odbyć się w poniedziałek rano, a postawienie w stan oskarżenia parę godzin później. Rzeźniczka akurat będzie miała w tym czasie dyżur. – Cerrabone użył przezwiska sędzi Karen Kerkorian, znanej z bezlitosnego stawania po stronie oskarżenia. – Znasz ją i wiesz, że ona już sobie z tym poradzi. Twój klient posiedzi do momentu, aż sformułuję zarzuty. No i zacznie się medialna zabawa.

– Wystąpimy o wyznaczenie kaucji.

– Przy podejrzeniu o wielokrotne zabójstwo? Życzę powodzenia.

Bustamante odchrząknął.

– Mogę prosić o chwilę na osobności z moim klientem?

* * *

Dan wstał na widok Tracy i Cerrabone'a wchodzących do sali obserwacyjnej.

– I co powiedział? – spytał.

– Deliberują – odparła Tracy.

– Jak zdobyłaś te wszystkie informacje? – zwrócił się do niej Cerrabone.

– Sprawa wyszła przy przeszukiwaniu HITS. Wtedy poprosiłam o akta.

– A jak znalazłaś tego świadka?

– Wolałabym teraz nie mówić. Jeśli sprawa się rozwinie, wtedy ci powiem.

– Lokal Sprośnego Erniego zamknięto z inicjatywy mieszkańców – oznajmił Dan. – Teraz jest tam sklep wielobranżowy. Sprawdziłem dokumentację w biurze stanowym. Być może jego dawny właściciel gdzieś się jeszcze obraca i będzie mógł zidentyfikować Tomeya.

– Dziewięć lat to dość długo na to, by kogoś pamiętać – mruknął Cerrabone.

– Też tak myślę. – Dan skinął głową. – I dlatego powinniśmy wystąpić o analizę śladów DNA w domu Beth Stinson, żeby sprawdzić Tomeya.

– Aby to uzasadnić, musiałbym mieć pisemne oświadczenie tego świadka – zaznaczył Cerrabone.

– Od tamtych wydarzeń minęło prawie dziesięć lat – zauważył Dan. – W życiu ludzi dużo się zmieniło. Wielu mogłoby cierpieć, gdyby wyszło na jaw, że Beth Stinson rozbierała się za pieniądze i sprowadzała do domu mężczyzn.

– Musiałbym to mieć – powtórzył Cerrabone.

– Ten świadek to kobieta, ma nowe życie, męża, dzieci i funkcjonuje w społeczności kościelnej. A rodzice Beth Stinson jeszcze żyją i o niczym nie wiedzą. Obie były wtedy głupimi, naiwnymi dziewczętami.

Cerrabone spojrział na Tracy.

– Musisz mi dać coś, z czym będę mógł pójść do sędziego. I będę też musiał wytłumaczyć to Dunleavy’emu – dodał, mając na myśli swego bezpośredniego zwierzchnika, prokuratora okręgu King. – Zabójstwo Stinson narobiło dużo szumu. Mieszkańcom Shoreline nie spodoba się, że Gerhardt może wyjść na wolność.

– Zaczekaj – rzuciła Tracy. – Jakie mamy opcje?

– Potrzebuję pisemnego oświadczenia pod przysięgą.

– A gdybym tak ja złożył takie oświadczenie i przysięgł, że usłyszałem to na własne uszy? – spytał Dan. – Wiem, że to informacje z drugiej ręki, ale jestem adwokatem procesowym i mógłbym zawęzić swoje oświadczenie jedynie do potrzeb analizy DNA. Lecz gdyby się okazało, że ślady DNA nie należały

do Gerhardta, tylko do Tomeya lub kogoś trzeciego, moglibyśmy pociągnąć to dalej.

– Nie wiem, jak by na to zareagowali – przyznał Cerrabone.

– Rick, daj spokój – wtrąciła Tracy. – Przecież rozmawiamy o kimś, kto dziewięć lat temu mógł zacząć swój morderczy proceder. Ślady DNA znalezione na miejscu przestępstwa mogą należeć do niego. Ale mogą też należeć do Tomeya, a to by go połączyło z innymi zabójstwami. Tak czy owak, nie chcesz chyba, żeby się rozniosło, że ten morderca może spokojnie zabijać kolejne kobiety, bo nie chciało wam się zbadać śladów DNA. Spytaj Dunleavy’ego, jak by to wpłynęło na wyniki następnych wyborów prokuratora okręgowego.

– Wcale nie jestem przekonany, że to Tomey – oświadczył Cerrabone. – To pewnie przypadek, że właśnie jemu przypadła obrona Gerhardta.

– A może nie. Może wcale nie przypadek – powiedziała z naciskiem Tracy. – Profilerka z FBI uważa, że Kowboj jest kimś wybitnie inteligentnym. Wiemy, że inteligencja Tomeya starczyła do zdania egzaminu adwokackiego. Zna się na prawie. Wiemy, że lubi bywać w klubach striptizowych i że jednym z nich mógł być też klub Sprośnego Erniego. Morduje Stinson, policja przeprowadza śledztwo i aresztuje Gerhardta. Tomey jest obrońcą z urzędu, więc idzie do swojego szefa i prosi o przydzielenie mu tej sprawy.

– No nie wiem – bąknął Cerrabone, wyraźnie nieprzekonany.

– Słuchaj, nie twierdzę, że tak musiało być – dodała Tracy. – Ale chciałabym przynajmniej się dowiedzieć, co Tomey jeszcze wie i kto go mógł widzieć z Veronicą Watson i Gabrielle Lizotte. Sam wiesz, jak takie sprawy się toczą. Człowiek podąża po śladach tam, dokąd one prowadzą, czyli najczęściej od jednego do drugiego ślepego zaułka. A potem nagle następuje przełom. W naszym przypadku to może być ten przełom, Rick. Śmierć Beth Stinson może być przełomem, który pozwoli nam złapać tego drania.

Cerrabone przez chwilę dumał z takim grymasem na twarzy, jakby walczył z nagłym bólem głowy.

– No dobra – zwrócił się w końcu do Dana. – Napisze mi pan to oświadczenie, ale chcę, żeby pan w nim podał nazwisko tej kobiety i opisał, jak pan do niej dotarł. – Dan już zaczynał protestować, ale Cerrabone mu przerwał. – To wszystko, co mogę panu zaproponować. Złożę pańskie oświadczenie w sądzie i poproszę o utajnienie danych świadka z uwagi na obawę o jego bezpieczeństwo i naruszenie prywatności.

– Musimy szybko przeprowadzić tę analizę DNA – wtrąciła Tracy.

– Tak, dobrze, w takim razie powiedz Meltonowi, żeby mniej grał na gitarze. – Cerrabone spojrział na zegarek. – Jestem zmęczony. Mieli dość czasu, żeby się naradzić. Dowiedzmy się, co nasz Bustamante zamierza zrobić.

* * *

Bustamante odzyskał wigor i zaczął w buńczucznym nastroju, czego, zdaniem Tracy, należało się spodziewać po adwokacie występującym w obecności swego klienta.

– Przede wszystkim, jeśli tych dodatkowych informacji nie było w aktach lub zostały one zachachmęcone przez oskarżenie, to mój klient w żaden sposób nie mógł wiedzieć o istnieniu tego świadka, a tym samym nie mógł wykorzystać jego zeznań w swojej obronie.

– Nie powiedziałam, że tego nie było w aktach – sprostowała Tracy. – A każdy obrońca wart swej licencji adwokackiej, będąc pełnomocnikiem klienta oskarżonego o zabójstwo kwalifikowane, powinien dokładnie przeczesać akta policyjne, wyciągnąć z nich nazwiska i sprawdzić każdy trop.

Bustamante postukał końcem długopisu o notatnik.

– Bez znaczenia. Ważne, że nie wiedział. Nie wiedział, że Stinson tańczyła w klubie striptizowym ani że była prostytutką. Nigdy nie był w lokalu Sprośnego Erniego. Nawet o nim nie

słyszał. A co do Pink Palace, bywanie w takich lokalach nie jest zakazane.

– Ale nakłanianie do prostytucji jest.

– To tylko wykroczenie – burknął Bustamante.

– Nie wtedy, gdy tancerka umiera.

– Chwileczkę – wtrącił Cerrabone. – Czy twój klient potrafi udowodnić, gdzie był, kiedy mordowano te tancerki?

– Musiałby zajrzeć do swojego kalendarza.

Tracy spojrzała na Tomeya.

– Zna pan Darrella Nasha, właściciela Pink Palace?

Tomey spojrział pytająco na Bustamantego, a ten przyzwalająco skinął głową.

– Tak, rozmawialiśmy kilka razy.

– Wspominał pan mu kiedyś o spotkaniach z Veronicą w motelu?

– Nie rozumiem, po co miałbym to robić.

– A wczoraj wieczorem? Widział się pan z Nashem w klubie? –

Tracy wiedziała od Shereece, że Nash pojawił się późnym wieczorem.

– Nie pamiętam, żebym go tam wczoraj widział.

– Wspominał pan komuś o umówieniu się z Gabrielle?

Ręka Bustamantego gwałtownie wystrzeliła.

– Nie odpowie na to pytanie bez zawarcia dealu – warknął.

– Dokąd pan się udał po wyjściu z Pink Palace? – spytała Tracy.

Tomey znów przeniósł wzrok na swojego adwokata, a ten znów przyzwalająco kiwnął głową.

– Pojechałem do domu. Ale, niestety, moja żona nie będzie mogła tego potwierdzić.

– Pańska żona nie będzie mogła potwierdzić, że wrócił pan do domu? – zdziwiła się Tracy.

– Moja żona jest alkoholiczką. Kiedy wracam, zwykle jest już zalana lub śpi. Nie będzie pamiętała żadnych szczegółów w kwestii moich powrotów do domu ani nawet, czy w ogóle

wróciłem. Często śpię w pokoju gościnnym i zazwyczaj wychodzę do pracy, nim ona wstanie z łóżka.

– Dlaczego pije? – spytała Tracy.

– Nieważne – wtrącił Bustamante. – Nie odpowiadaj.

– Może dlatego, że mąż sypia z prostytutkami. – Tracy chciała dotknąć Tomeya i sprawdzić, jak łatwo wyprowadzić go z równowagi.

– Na to też nie odpowiadaj – burknął jego adwokat, obrzucając Tracy nienawistnym spojrzeniem.

Tomey jednak sprawiał wrażenie bardziej znużonego niż dotkniętego.

– Muszę zajrzeć do kalendarza. Mamy abonament do teatru Fifth Avenue i do filharmonii. Mógł to też być jeden z tych nielicznych wieczorów, kiedy moja żona była w miarę trzeźwa i wyszliśmy wszyscy na kolację. Można to sprawdzić na mojej karcie kredytowej. Aktywnie uczestniczę również w zajęciach sportowych moich dzieci. Mogłem wyjść z pracy, by potrenować z którymś z nich.

– Jesteśmy gotowi przekazać wam terminarze Jamesa – dodał Bustamante.

– Chcemy waszej zgody na przeszukanie domu, kancelarii i samochodu – powiedział Cerrabone. – I potrzebna nam będzie próbka DNA. Mamy gotowe wnioski do sądu o wydanie nakazów, ale gotowość do współpracy ze strony twojego klienta bardzo by przyśpieszyła całą sprawę.

– Tylko pod warunkiem, że przeszukanie domu odbędzie się w czasie, gdy dzieci będą w szkole, a przeszukanie kancelarii poza godzinami pracy i po moim wcześniejszym upewnieniu się, że nie zostanie narażona poufność relacji mojego klienta z jego klientami. Mamy w zanadrzu kilka spraw przeciwko prokuraturze, Rick.

– Jakoś to przeżyję – mruknął Cerrabone.

– Oraz że nazwisko mojego klienta nie trafi do gazet – ciągnął Bustamante. – Jeśli zdecydujecie się postawić mu zarzuty, to najpierw zadzwonicie do mnie i dacie mu dwadzieścia cztery

godziny na dobrowolne stawienie się w prokuraturze. Żadnych cyrków z policyjną akcją w jego domu.

– Mogę pana zapewnić, że nie zależy mi na nawet odrobinę większym rozgłosie – powiedziała Tracy.

Rozdział 43

Zamknął drzwi, cicho podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyjął kasetę wideo. Udało mu się rozmontować magnetowid i pozbyć się fragmentów w kilku pojemnikach na śmieci w różnych częściach miasta. Pilnie oglądał doniesienia o śmierci czwartej tancerki, ale nikt nie wspomniał o zaginionym magnetowidzie, co specjalnie go nie zdziwiło. Był to szczegół, jakich policja nie lubiła ujawniać, bo można ich było użyć do weryfikacji prawdopodobności przesłuchiwanym podejrzanych. To właśnie dlatego tak się wściekli, kiedy reporterka telewizyjna wyjawiała typ sznura użytego do zaduszenia Nicole Hansen.

Włączył telewizor z wbudowanymi odtwarzaczami DVD i wideo i ostrożnie wsunął kasetę do szpary. Dłonie miał lepkie i czuł mdłości. Kasetą nie wyglądała na uszkodzoną, ale tak naprawdę okaże się to dopiero wtedy, gdy uruchomi odtwarzanie.

Odszedł kilka kroków z pilotem w ręce i usiadł w fotelu. Ekran poczerniał, po czym zaczęły po nim biegać rozbłyski. Słysząc było szum obracających się szpulek kasety, ale na ekranie nie pojawiał się obraz. Jeszcze chwilę trwały błyski, po czym ekran znów poczerniał i gwałtownie rozbłysnął.

Zacząła się kreskówka o Scooby-Doo.

Uśmiechnął się, czując dobrze znane ciepłko w kroczu, które szybko rozeszło się po całym ciele.

* * *

Drzwi pokoju za jego plecami otworzyły się i usłyszał, jak pakują się do środka. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że nie jest sama. Ona nigdy nie była sama. Zawsze kogoś z sobą przyprawiała. Słyszał ich, jak rozmawiają ściszymi głosami, czuł przyprawiający o mdłości smród papierosów, potu, perfum i alkoholu.

Siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, nie odrywając wzroku od telewizora.

– Kurwa, nic mi nie mówiłaś, że masz dziecko – rozległ się męski głos.

*– Nim się nie przejmuj. Poza kreskówkami nic go nie interesuje.
– Poczochrała mu włosy, przechodząc obok. – To dobry chłopak. Utrzymuje mi czystość w mieszkaniu. Prawda, słoneczko?*

Odchylił głowę, żeby nie poczuć jej dotyku. Mężczyzna obszedł go i stanął przed nim. Grube uda w szarych spodniach zasłoniły mu telewizor. Powoli podniósł wzrok. Mężczyzna miał rozpiętą kamizelkę i ciasno opinającą go koszulę. Ze szpar na piersiach wymykały się kosmyki włosów, brzuch sterczał nad klamrą paska od spodni, na szyi zwisały fałdy skóry i był zupełnie łyśy.

Wyglądał jak Świnka Porky.

– Co... co... co robisz? – spytał mężczyzna.

Nawet się zacinał jak Świnka Porky.

– Wiąże węzły! – zawołała kobieta z malutkiej kuchni. – Ma na ich punkcie hopla. Siedzi i całymi dniami wiąże, chyba że mu dam coś do roboty. Węzły i kreskówki.

– Jest opóźniony w rozwoju?

Wpatrywał się w twarz mężczyzny, nie przestając wiązać węzła.

– Dla... dla... dlaczego tak na mnie patrzysz, chłopcze?

– Bo zasłaniasz mu telewizor.

Mężczyzna gwałtownie się obrócił, zachwiał się i omal nie runął na podłogę.

– Nie chcę, żeby pat... patrzył tak na mnie.

– Przestań na niego patrzeć – powiedziała, po czym zwróciła się do mężczyzny: – Chodź już, wypijmy tego drinka.

Mężczyzna wymierzył w niego palec.

– Nie patrz na mnie, chłopcze.

Na ekranie rozrośnięty Kurak Leghorn walczył z pisklęciem jastrzębia, waląc je po głowie drewnianym tłuczkiem, wiążąc i przypiekając nad ogniem.

Musiał pogłośnić trochę dźwięk, żeby zagłuszyć jęki i stękanie dochodzące z sąsiedniego pokoju. Sprężyny łóżka skrzypiały i strzelały, odgłosy przybierały na sile.

Kot Sylwester obmyślił następny plan, jak dorwać Tweety'ego. Próbował przepłynąć po wodzie, by dostać się do klatki ptaszyska, ale mu nie wyszło, bo wielka fala porwała jego tratwę i roztrzaskała ją o skały.

Ich oddechy stały się wolniejsze, łóżko przestało skrzypieć.

Sięgnął pod kanapę i wyciągnął zawiązywaną pętlę. Nauczył się wiązania z książki. Wyprostował rękę i z zachwytem przyjrzał się swemu dziełu. Ten węzeł podobał mu się najbardziej. Podobało mu się, jak sznur gładko prześlizguje się przez otwór, a pętla to się zacieśnia, to znów poszerza.

Odwrócił głowę i spojrzał w stronę sypialni, ale ze środka nie dochodziły już żadne odgłosy.

Podszedł do drzwi i zajrzał. Gruby mężczyzna leżał na niej bez ruchu.

Cicho podszedł do łóżka i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Mamo? – Dotknął jej ponownie. – Mamo?

Nie zareagowała. Mężczyzna się nie poruszył.

Załóżyl pętlę na jej nadgarstek i za pomocą prostego węzła na kokardkę przywiązał sznur do słupka łóżka. Obszedł łóżko i zrobił to samo z jej drugą ręką. Oddech matki pozostawał głęboki i rytmiczny.

Gruby mężczyzna chrapał, pochrząkiwał i pokastywał. W końcu stoczył się z niej, ale się nie obudził.

Ostrożnie założył pętlę na jej szyję i skrócił na tyle, że sznur dotykał jej podbródka. Przeciagnął drugi koniec sznura pod dolną poprzeczką ramy łóżka, potem pociągnął w górę i przełożył przez górną poprzeczkę, cały czas obserwując sznur wijący się po

podłozie niczym wąż. Wszedł z sypialni, wrócił z jednym z kuchennych krzesel i postawił je przy łózku. Wszedł na krzesło, przełożył sznur przez ramię i spojrzal przez otwarte drzwi na ekran telewizora. Kreskówka już się kończyła. Głupiemu kotu znów się nie udało. Nigdy mu się nie udawało.

Rozbrzmiała końcowa muzyka. Czekal, by dokładnie zgrać to w czasie.

Na ekran wyskoczyła Świnka Porky.

– Wstrę-ciuch, wstrę-ciuch, wstrę-ciuch – wyrecytował z nią. – To już wszystko, kochani.

Zeskoczył.

* * *

– Tatusiu?

Oderwał wzrok od telewizora. W drzwiach stała jego córka, z jedną ręką na klamce; jej różowa koszulka nocna wlokła się po podłozie.

– Czemu ty nie śpisz?

– Miałam zły sen.

Wyciągnął ręce, a ona podeszła. Uniósł ją z podłogi, przytulił do piersi i usiadł, a ona się w niego wtuliła i zaczęła ssać kciuk. Drugą ręką zwijała kosmyk włosów, wlepiając wzrok w ekran.

– Oni są śmieszni, tatusiu.

– To moi przyjaciele – powiedział z uśmiechem.

Rozdział 44

Przed wyjściem z Centrum Sprawiedliwości James Tomey dobrowolnie dostarczył próbkę DNA i kilka włosów, odmówił natomiast poddania się testowi na wariografie.

Następnego dnia rano Tracy i Kins niecierpliwie czekali na wiadomość od Cerrabone'a, który miał namówić swojego szefa do wystąpienia do Sądu Najwyższego w okręgu King z wnioskiem o przeprowadzenie poprocesowej analizy śladów DNA w sprawie zabójstwa Beth Stinson. Jeśli Dunleavy się zgodzi i sędzia podpisze wniosek, Tracy miała pojechać do magazynu materiałów dowodowych i pobrać zebrane ślady DNA, oczywiście jeśli wciąż tam jeszcze były. Reguła obowiązująca w policji w Seattle przewidywała trzymanie materiałów dowodowych w sprawach o zabójstwo przez osiemdziesiąt lat, chyba że śledczy mieli powody do wcześniejszego ich zniszczenia, jak choćby w przypadku śmierci skazanego w trakcie odbywania kary. Tracy nie sądziła, by Nolasco lub przebywający od wielu lat na emeryturze Hattie poświęcili choćby chwilę uwagi sprawie Beth Stinson.

Wpatrywała się w dolny prawy róg ekranu swojego komputera i gdy tylko cyferki pokazały godzinę 8:00, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do magazynu dowodów, podała dyżurnemu sierżantowi numer sprawy i przez chwilę słuchała stukotu klawiszy. Sierżant westchnął, odchrząknął i wreszcie powiedział: „Tak, są”.

Tracy już go chciała spytać, czy są również zebrane na miejscu przestępstwa ślady biologiczne, ale nie zdążyła, bo sierżant ją ubiegł.

– Jest już pani drugą osobą, która w ciągu ostatnich dwóch dni pyta o tę sprawę. Coś się dzieje, pani detektyw?

Tracy poczuła się tak, jakby dostała kopa w brzuch. Opanowała się i szybko powiedziała:

– Przykro mi, ale wie pan, jak w tych sprawach bywa. Kiedy zbliża się przedterminowe zwolnienie i apelacja, wszystkim zaczyna się nagle palić. Czy tą drugą osobą był mój partner, Kinsington Rowe? Czasem jedna ręka nie wie, co robi druga.

Znów dał się słyszeć stukot klawiatury.

– Nie, to nie on. To pani szef, kapitan Johnny Nolasco. Dzwonił wczoraj tuż przed zamknięciem.

– Przykro mi, że zawracamy panu głowę. – Mówiła tak spokojnym tonem, jakby ta wiadomość nie była dla niej zaskoczeniem. – Czy kapitan Nolasco zabrał te materiały?

– Jeszcze nie. Tylko się upewniał, czy wciąż je mamy.

– Jestem niedaleko. Wstąpię i je odbiorę.

– Będę tu cały dzień.

Odłożyła słuchawkę i szybko sięgnęła po sztruksowy żakiet, co nie uszło uwagi Kinsa.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytał. – Mamy dziś rano Taggarta na wariografie.

Od sześciu lat współpracowali na zasadzie „absolutnej szczerości”, a dziś musiała od niej odstąpić. Kins nie byłby szczęśliwy, wiedząc, że coś przed nim ukrywa, ale pytanie Nolasco o materiał dowodowy tylko ją upewniło, że postępuje słusznie. Niewykluczone, że kapitan jakimś cudem wpadł na podobieństwa łączące śmierć Beth Stinson z serią zabójstw Kowboja, ale gdyby nawet tak było, nie tłumaczyłoby to jego telefonu do magazynu dowodów. Jedynym logicznym wytłumaczeniem było to, że Nolasco poczuł się zagrożony, a jedynym powodem zagrożenia mogło być to, że w jakiś sposób dowiedział się o zainteresowaniu Tracy i Dana tamtym śledztwem. A jeśli tak było, to tym bardziej musiała chronić Kinsa i jego rodzinę przed możliwością zwolnienia go z pracy.

– Możesz się zająć tym sam? – spytała. – Dzwonił Cerrabone. Muszę się włączyć do działań CSI przy przeszukaniu domu Tomeya, a mamy mało czasu. Spotkajmy się tam na miejscu po teście Taggarta.

* * *

Pół godziny później Tracy szła już z pudłem w ręce do swojego pick-upa. Rozejrzała się w obu kierunkach po South Stacy Street, w pełni przygotowana na widok pędzącej ku niej czerwonej corvette'y Nolasco, ale ulica była pusta. Wślizgnęła się do samochodu, położyła pudło na siedzeniu pasażera i szybko wyjechała z parkingu.

Gdy zadzwoniła komórka, odebrała w trybie głośnomówiącym.

– Sędzia podpisał nakaz – powiadomił ją Cerrabone. – Możesz odebrać z magazynu materiały dowodowe i przekazać je Meltonowi.

– Już jadę – rzuciła.

Rozdział 45

Dan podjechał do krawężnika, popatrzył na zaniedbany dom ze spadzistym dachem przy obsadzonej śliwami uliczce w miasteczku Everett i raz jeszcze sprawdził adres. Cały ranek poświęcił na grzebanie w internetowych księgach władz stanowych. Licencja dla klubu Sprośnego Erniego wygasła po roku działalności. Jako właściciela zarejestrowano niejakiego A. Gotchleya, ale jego adres był już nieaktualny, a telefon o podanym numerze został wyłączony. Dan sprawdził inne firmy zarejestrowane na tego samego właściciela i komputer wypuł kilkadziesiąt numerów ewidencyjnych, pod którymi zarejestrowano firmy deweloperskie i budowlane, dwa bary, lombard, agencję nieruchomości i firmę serwisową. Najnowszą z nich była spółka z o.o. o nazwie Renowacje Domów i adresie w Everett, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Seattle.

Jeśli stan nieruchomości o czymś świadczył, to o tym, że pan Gotchley inwestował niefortunnie. Dom wyglądał na rudere, siding na ścianach był odrapany, ganek przed wejściem zapadnięty, betonowy podjazd dziurawy i pokruszony, pożółkły trawnik porośnięty mleciami.

Dan wysiadł z tahoe, obszedł maskę i znalazł się na chodniku. Przed sąsiednim domem po lewej sterczała tablica NA SPRZEDAŻ, dwie podobne zauważył po drodze przed domami w tym samym kwartale ulic, jednak do nich doczepione były tabliczki ze słowem SPRZEDANE. Wszystkie trzy wystawione na sprzedaż były bardzo podobne do siebie i domu Gotchleya. Tak naprawdę pod względem architektonicznym były identyczne. Więc może Gotchley aż tak źle nie zainwestował.

Dan poczuł, jak drewniane schodki uginają się pod jego ciężarem, deski ganku też mocno skrzypiały, jakby lada chwila miały runąć. Starając się poruszać lekko i ostrożnie, podszedł do frontowych drzwi z farbą zdartą do żywego drewna i zapukał. Otworzyła kobieta ubrana w malarski kombinezon i malarską czapkę na głowie, która zakrywała zatknięte za uszy krótkie siwe włosy.

– Zdaje się, że przyszedłem nie w porę – powiedział z uśmiechem Dan. – Szukam kogoś o nazwisku A. Gotchley.

– Właśnie patrzysz, kotku, na A. Gotchley. A ty to mniej więcej kto?

Z prawego ucha Gotchley zwisał pęk kółek, w lewym nozdrzu miała maleńki sztyft z brylancikiem, co łącznie z zachowaniem nadawało jej młodzieńczy wygląd, ale z dat powoływania do życia kolejnych firm wynikało, że musi być dobrze po pięćdziesiątce.

– Mniej więcej Dan O’Leary. – Próbował dopasować się do konwencji.

– Ach, Dan O’Leary! – wykrzyknęła, imitując irlandzki akcent, a jej niebieskie oczy aż rozbłysły. – Przystojny z ciebie chłoptaś, Danie O’Leary, w dodatku masz rajcowne ogrodniczki. Ale pewnie nie przyszedłeś złożyć oferty na kupno mojego domu, co?

– Nie, obawiam się, że nie.

– No to strasznie szkoda. – Porzuciła irlandzki akcent. – A może chociaż umiesz malować?

– Zdarzyło mi się chlapnąć farbą raz czy dwa, ale nie zabrałem z sobą roboczego ubrania – odparł z uśmiechem Dan.

– Alita – powiedziała, wyciągając rękę. – I przyszedłeś w samą porę, chyba że przynosisz wezwanie sądowe.

– Nie, niczego nie przynoszę. Potrzebuję informacji.

– To w porządku. Właśnie skończyłam malowanie kuchni i farba musi przeschnąć.

– To wszystko twoje domy, Alito?

Wyszła na ganek i wyciągnęła rękę.

– Dwa już sprzedane. Ten właśnie trafił na rynek, został jeszcze jeden.

– I ten też pójdzie? Bo wygląda tak, jakby był na kroplówce.

– Trzeba było widzieć tamte trzy, kiedy je kupowałam. Te domy mają blisko sto pięćdziesiąt lat.

– Współczuję. Odnawiałem dom rodziców w Cedar Grove, więc wiem, ile przy tym pracy. – Dan liczył na znalezienie płaszczyzny porozumienia.

– Gdzie jest Cedar Grove?

– W północnej części Gór Kaskadowych.

– No cóż, rzuciło cię kawał od domu. Czym ci mogę służyć?

– Szukam informacji o firmie, która kiedyś do ciebie należała.

– Musisz sprecyzować pytanie. Założyłam ponad pięćdziesiąt różnych firm. Władze stanu mnie kochają.

– Sprośny Ernie – powiedział Dan.

Alita uśmiechnęła się.

– A, tak. Naga Rewia Sprośnego Erniego. Krótka istniała, ale miałam z nią kupę zabawy. Ludzie mówią, że zjednoczyłam ją radę miejską jak nikt nigdy przedtem ani potem.

– Zamknęli lokal?

– Zmienili zasady. Żadnej nagości. Banda pruderyjnych palantów. Przez mniej więcej rok biznes kwitł aż miło. Cholerni hipokryci, wszyscy co do jednego. Mieli gęby pełne frazesów, za blisko szkół, przyciąga nieodpowiedni element... Ale coś ci powiem: przychodziły tłumy i to z niezbyt daleka. Nic nie sprzedaje się lepiej od piwa i cycków, Dan, zapamiętaj to sobie. O jaką informację ci chodzi?

– Wiesz, Alito, to jedna z tych spraw, którą się rozpoznaje na nosa.

– Czyli tak naprawdę nie wiesz, tak?

– Wiem tyle, że pracowały dla ciebie dwie tancerki. Jedną z nich była Beth Stinson.

– Betty Cycatka. – Alita kiwnęła głową. – Miłe dziecko. Naprawdę miała czym oddychać. Tragicznie skończyła. Pamiętam, jak się o tym dowiedziałam. Bardzo smutne, taka

młoda dziewczyna. I tak bez sensu. Wyobrażasz sobie, że politycy użyli tego jako pretekstu, żeby mi zamknąć klub? Stwierdzili, że przyciąga nieodpowiednich ludzi. Jesteś gliniarzem?

– Prawnikiem. Tą drugą tancerką była Celeste Bingham.

– Jagódka. Bardziej wycofana, spokojniejsza od Beth. Długo u nas nie zabawiła. Jeśli dobrze pamiętam, były koleżankami z liceum.

– Masz dobrą pamięć.

– Do dobrych ludzi, dobrych kochanków i dobrego wina.

– Pamiętasz wszystkich swoich pracowników?

– Z pięćdziesięciu dwóch firm, Danie O’Leary. Podaj nazwisko.

– Nie znam nazwiska. W tym problem. Ale jak mówiłem, może mógłbym je rozpoznać na nosa.

– Musisz powiedzieć mi coś więcej. Zaprosiłabym cię do środka, boję się jednak, że upaćkasz sobie farbą te śliczne ogrodniczki.

Usiedli na górnym schodku ganku i Dan wyłożył powód swej wizyty.

– Dlatego szukam jakichś powiązań, nazwiska pracownika Sprośnego Erniego, które by ostatnio wypłynęło – zakończył.

– Kapuję.

– Znałaś Beth lub Celeste prywatnie, poza pracą?

– Nie.

– I nic nie wiesz o tym, że Beth zabierała niektórych klientów do domu?

– Nic. A szkoda, bo bym jej coś powiedziała. Tak młoda dziewczyna pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego, w co się pakuje. Żyj i daj żyć innym, to moje motto, ale wiąże się z tym niebezpieczeństwo przekroczenia linii.

– Zachowałaś dokumentację personelu, listy płac, cokolwiek, co mogłoby mi pomóc w identyfikacji dawnych pracowników?

– Bez tego nie mogłabym prowadzić firmy. Urząd podatkowy każe trzymać pewne dokumenty przez określoną liczbę lat, chyba siedem, ale ja je chomikuję dużo dłużej. Głównie z lenistwa. Trzymam wszystko, bo to łatwiejsze niż grzebanie

w papierach i decydowanie, co już można wyrzucić, a co jeszcze zostawić. Ale nie potrafię ci powiedzieć, co mam, a czego nie.

– Jak moglibyśmy to sprawdzić?

– Przekopując się przez stertę pudeł pełnych papierzysk.

– I gdzie mógłbym znaleźć te pudła?

– Razem z pudłami papierzysk z pozostałych pięćdziesięciu dwóch firm. W magazynie, który dzierżawię kawałek dalej. Mogę ich poszukać, ale najpierw muszę skończyć to, co tu robię. Dom obok wymaga jeszcze paru pociągnięć pędzlem, a niedługo jest termin udostępnienia go potencjalnym nabywcom. I chcę położyć jeszcze jedną warstwę farby w kuchni.

– Mógłbym pojechać z tobą i pomóc ci w grzebaniu w pudłach.

– Im więcej pomocników, tym weselej, zwłaszcza jeśli pomocnicy są stanu wolnego. – Wskazała głową dłonie Dana. – Zauważyłam brak obrączki, Danie O’Leary. Więc może cię zapamiętam.

– Jestem z kimś związany – powiedział z uśmiechem.

– I należysz do tych wiernych?

– Owszem.

– Powinszować.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie, Alito?

– W ramach rewanżu.

– Dlaczego klub striptizowy?

– Bo na dobrych klubach nieźle się zarabia, a ja lubię zarabiać. Nigdy w życiu nie podbijałam karty pracowniczej. Sprośny Ernie mógł być kopalnią złota. – Wzruszyła ramionami.

– Ale to nic. Mówi się trudno i walczy dalej.

– A kim był Ernie?

Uśmiechnęła się.

– Moim byłym mężem. Wszystkie moje firmy noszą imiona ludzi, którzy mi się narazili. Kafajka Smrodliwego Pete’a, Smary i Oleje u Upartego Richarda. Nie wyobrażasz sobie, jaka to radocha przychodzić do pracy i widzieć na dachu neon „Sprośny Ernie”.

– Zawzięta z ciebie kobieta.

– Odgrażał się, że mnie poda do sądu, a ja go błagałam, żeby to zrobił. Jestem jak Madonna. Wszystko jedno, co o tobie piszą, byle pisali. O mojej walce z władzami Everett o zgodę na renowację tych ruder pisali na pierwszych stronach gazet. W rezultacie, kiedy wypuściłam je na rynek, ludzie ustawili się w kolejce, żeby je kupować. – Wstała ze schodka. – Dobrze ci się układa w miłości, Dan? Bo jestem zamożną kobietą i umiem rozpieszczać swoich mężczyzn.

– Myślę, że nie narzekasz na brak obiektów do rozpieszczania.

– Spotkajmy się tu o piątej, a ja dopuszczę cię do moich sekretów. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo i wycofała się do wnętrza.

* * *

Tracy i Kins stali przy furgonetce CSI zaparkowanej na podjeździe do domu Jamesa Tomeya. Promienie słońca przeciskające się przez powyginane gałęzie dębu rzucały na ziemię wzorzyste plamy światła.

– Taggart zaliczył test na wykrywaczu – powiedział Kins. – Żadnego kręcenia.

– No pewnie. Taggart zalicza, Bankston nie. Nic w tej sprawie nie ma sensu. Co z nim zrobiłeś?

– Odesłałem go z powrotem do aresztu. Rozmawiałem z chłopakami z narkotykowego. Podali mi nazwisko prawdopodobnego dostawcy Taggarta w Belltown. Chcieli go dla nas przetrzepać, ale powiedziałem, żeby na razie się wstrzymali. Taggart chyba mówił prawdę. Facet z Belltown jest dobrze ustawiony. Gdyby Taggart miał kłamać, nie wydałby kogoś takiego. – Kins rozejrzał się. – A co tu mamy?

– Na razie jeszcze nie zwoje sznura – odparła. Po drodze podrzuciła do laboratorium materiał do analizy DNA i rozmawiając z Meltonem o swoich podejrzeniach, odebrała esemesa od Cerrabone'a, który poinformował ją, że dostał zielone światło na przeszukanie domu Tomeya, natomiast wciąż

jeszcze pracuje nad zorganizowaniem przeszukania jego kancelarii.

– Chodźmy zobaczyć, co tam wygrzebali – powiedziała, wskazując głową funkcjonariuszy CSI.

* * *

Dan wrócił do remontowanej rudery tuż po piątej i zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Przytknął ucho do świeżo wypiąskowanych drzwi wejściowych i nie dosłyszał w środku żadnych dźwięków. Czyżby Alita go wystawiła? Zszedł z ganku i ruszył po wysypanym żwirem podjeździe, gdy nagle wyłoniła się zza narożnika domu.

– Tak mi się zdawało, że ktoś puka. Płukałam wałki za domem.

Poczuł zapach rozcieńczalnika do farb.

– Pomyślałem, że może zapomniałaś o naszej randce – powiedział.

– Nie drażnij się ze starszą kobietą, Dan. Bo w tej konkretnej zostało jeszcze sporo dzikiej kocicy.

– Mam jechać za tobą?

– To niedaleko. Pojadę z tobą, jeśli mnie potem podrzucisz tu z powrotem.

– Z przyjemnością. Czy mogę cię potem w rewanżu zaprosić na kolację?

Alita uśmiechnęła się.

– Ostrzegam cię, Dan. Jak tak będziesz gadał o randkach i kolacjach, to mogę cię w ogóle nie wypuścić.

Do magazynu rzeczywiście nie było daleko. Kierując się wskazówkami Ality, dojechał do boksu wielkości garażu na jeden samochód. Podnoszona brama była przytwierdzona kłódką do uchwyty w podłodze. Alita otworzyła ją i podciągnęła bramę do góry.

– Sezamie, otwórz się! – zaanonsowała.

Dan aż się skrzywił. Nic nie przesadziła z tym chomikowaniem. Sterty kartonów wypełniały całą przestrzeń od betonowej podłogi po metalowy sufit i od wejścia aż do tylnej ściany; przejrzanie ich mogło potrwać kilka dni.

– Są ułożone według dat i firm? – spytał.

– Miałoby to sens, nie? – odparła.

– No cóż – powiedział, podwijając rękawy. – Myślę, że jest tylko jeden sposób, żeby się z tym uporać.

Alita wyciągnęła zza sterty pudeł drabinkę.

– Wejź i podaj mi te kartony z góry – poprosiła. – Mnie to pójdzie szybciej, a przy okazji może to dobry moment, żeby choć część tych szpargałów wyrzucić.

Dan wszedł na drabinkę, podał jej pierwszy z brzegu karton i Alita aż stęknęła pod jego ciężarem.

– Na pewno nie wolisz zamienić się miejscami? – zapytał.

Uśmiechnęła się i prześlizgnęła wzrokiem po jego pośladkach.

– I stracić taki piękny widok?

Rozdział 46

W domu Jamesa Tomeya nie znaleźli zwojów sznura ani butelek rohypnolu, a Tracy nie liczyła też na znalezienie ich w jego kancelarii. Gdy wróciła z Kinsem do Sali Kowboja, zleciła Ronowi Mayweatherowi przeszukanie terminarzy Tomeya pod kątem dat wszystkich czterech zabójstw.

– Mamy odbitki kart pracowniczych Bankstona z hurtowni – powiedział Mayweather. – W dniach tych czterech morderstw pracował na wieczornych zmianach.

Drzwi otworzyły się i do sali wparował Faz, tuż za nim Del.

– Hej, Sparrow, słyszę, że ten zasraniec Taggart zaliczył test na wariografie.

– Dobrze słyszysz – odparł Kins.

– W starych dobrych czasach po prostu byśmy wydusili z niego prawdę i zaoszczędzili krajowi zbędnych wydatków.

– I kiedy tak było? W latach dwudziestych? – mruknął Ron Mayweather.

– Nie, przed sporządzeniem protokołu Departamentu Sprawiedliwości.

Wszyscy się roześmiali.

– Zaczynają się wiadomości z naszą ulubioną reporterką – zauważył Mayweather. – Może się dowiemy od niej o następnym zabójstwie. Bo wygląda na to, że wie więcej niż my wszyscy do kupy.

Ale tym razem Vanpelt nie stała przed wejściem do motelu czy baru. Siedziała na stanowisku reporterskim w studiu, co u niej było dość nietypowe.

„W śledztwie w sprawie Kowboja wydarzyło się dziś coś zaskakującego. Maria zna szczegóły” – powiedział prowadzący i oddał jej głos.

„Tak jest. Policji nadal nie udało się złapać tak zwanego Kowboja, ale Kanał Ósmy dowiedział się, że prowadząca śledztwo grupa zadaniowa bada możliwy związek pomiędzy niedawnymi czterema zabójstwami i zabójstwem sprzed dziewięciu lat”.

Po plecach Tracy przebiegły ciarki.

„Komendant policji Sandy Clarridge zwołał dziś konferencję prasową, by przedstawić aktualny stan śledztwa – mówiła dalej Vanpelt – i to podczas niej zadałam mu pytanie o tę starą sprawę”.

Puszczono nagranie pokazujące, jak Clarridge odczytuje komunikat przekazany Bennettowi przez Tracy, w pewnej chwili przerywa czytanie i mówi: „Członkowie ekipy zadaniowej poświęcają sto procent swego czasu temu śledztwu i będą to robić aż do chwili, gdy zabójca zostanie schwyty i postawiony przed obliczem sprawiedliwości”, po czym siedząca w pierwszym rzędzie Vanpelt wstaje i zadaje pytanie: „Panie komendancie, dlaczego grupa zadaniowa do sprawy Kowboja zajmuje się zabójstwem w północnym Seattle sprzed blisko dziesięciu lat?”. Clarridge aż sztywnieje i spogląda bezradnie na Bennetta, który sprawia wrażenie równie zaskoczonego.

– Co ona pieprzy? – obruszył się Faz.

– Jakież wyssane z palca bzdury, typowe dla Vanpelt! – burknął Kins.

Tracy poczuła mdłości.

„Podobno grupa zadaniowa powróciła do śledztwa w sprawie zabójstwa Beth Stinson, a jej członkowie od nowa przesłuchują świadków w tamtej sprawie – powiedziała Vanpelt. – Pytam, czy to prawda?”

Policzki Clarridge’a oblały się rumieńcem.

„Nie komentuję konkretnych poczynań grupy zadaniowej” – odparł.

„Czy wie pan, że adwokat Dan O’Leary odwiedził niedawno Wayne’a Gerhardta w stanowym zakładzie karnym Walla Walla?”

„Mogę tylko powtórzyć, że nie komentuję żadnych szczegółów. – Komendant potoczył wzrokiem po zebranej gromadce reporterów. – Dziękuję państwu”.

Tracy poczuła na sobie wzrok Kinsa.

Siedząca w studio Vanpelt kończyła swoje wystąpienie:

„Być może pamiętają państwo brutalne zabójstwo dwudziestojednoletniej Beth Stinson. Przyznał się do niego niejaki Wayne Gerhardt, który obecnie odsiaduje dwudziestopięcioletni wyrok. Mimo iż sprawa została zamknięta, Kanałowi Ósmemu udało się ustalić, że pewien adwokat ponownie wypytuje świadków o sprawę Stinson. Z księgi odwiedzin w zakładzie karnym Walla Walla wynika, że ów adwokat rozmawiał z osadzonym w więzieniu Gerhardtem. Co jeszcze ciekawsze, okazuje się, że ten adwokat to nie kto inny, jak Dan O’Leary, który doprowadził do zwolnienia Edmunda House’a skazanego za zabójstwo Sary Crosswhite, siostry funkcjonariuszki wydziału zabójstw policji z Seattle, Tracy Crosswhite. Detektyw Crosswhite kieruje pracą grupy zadaniowej, która prowadzi śledztwo w sprawie Kowboja. Próbowaliśmy się skontaktować z detektyw Crosswhite i mecenasem Danem O’Learym, ale oboje byli nieosiągalni. Rozmawiałam dziś z rodzicami Beth Stinson i oboje zareagowali oburzeniem na wiadomość o możliwym wypuszczeniu na wolność mordercy ich córki. Nie powiadomiono ich też o ponownym otwarciu śledztwa”.

– Co u diabła? – prychnął Kins.

– Co się dzieje, Profesorko? – spytał Faz.

Telefon na biurku Tracy zaczął dzwonić.

* * *

Policzki Sandy'ego Clarridge'a były równie czerwone jak w telewizji, a siateczka fioletowych żyłek na nosie przypominała plan miasta. Po jego lewej ręce siedział z płonąącym wzrokiem Stephen Martinez, po tej samej stronie stołu zajął też miejsce Johnny Nolasco, by nie było wątpliwości, po czyjej stronie się opowiada. Po drugiej stronie stołu usiedli Tracy i Kins, ich porucznik Andrew Laub i Billy Williams. Tracy nie liczyła na ich znaczącą pomoc, jako że ze sprawą Beth Stinson nie mieli nic wspólnego.

– Kins nic o tym nie wiedział – zapewniła. – To była wyłącznie moja decyzja.

– Nie raczyła pani nawet poinformować swojego partnera? – warknął Clarridge.

– Nie.

– Bo zdawała sobie pani sprawę z naganności takiego postępowania?

– Zdawałam sobie sprawę z możliwych konsekwencji, gdyby się okazało, że nie miałam racji.

Komendant skrzywił się na znak, że nic z tego nie rozumie.

– Więc dlaczego to pani zrobiła?

– Bo uważam, że mam rację. Sądziłam, że są dowody na słuszność moich podejrzeń.

– I cóż to za dowody?

Tracy wyliczyła podobieństwa występujące w zabójstwach Beth Stinson i czterech tancerek.

– Szefie, to ja prowadziłem śledztwo w sprawie Beth Stinson – odezwał się Nolasco. – Świadek nie miała wątpliwości co do tożsamości Wayne'a Gerhardta.

– Świadek nabrała pewności dopiero po przedstawieniu jej fotografii Gerhardta jako potencjalnego sprawcy.

– Wskazała go podczas okazania policyjnego, a Gerhardt się przyznał. – Nolasco wydawał się bardziej znużony niż poirytowany.

– Wskazała go po obejrzeniu jego fotografii, a przyznał się dlatego, że mu zagrozono, że jeśli o wyroku zadecydują

przysięgli, to dostanie karę śmierci.

– Lub dlatego, że był winny – uzupełnił Nolasco.

Tracy spojrzała na Clarridge'a.

– Istniały dowody materialne, o których analizę nie wystąpili ani prokurator, ani obrońca.

– Obrońca zrezygnował, bo gdyby wyniki potwierdziły winę Gerhardta, nie byłoby mowy o zawarciu układu z oskarżeniem – wtrącił Nolasco. – Oskarżyciel nie negocjuje w sprawach zabójstw z premedytacją. Wtedy Gerhardtowi groziłaby kara śmierci...

– Koroner nie znalazł żadnych dowodów na odbycie przez ofiarę stosunku seksualnego w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin przed śmiercią – powiedziała Tracy. Nolasco skrzywił się tak, jakby dostał cios w żołądek, i Tracy wykorzystała to, by przypuścić atak. – Wpis w HITS stwierdza, że Beth Stinson została zgwałcona, czemu w sposób jednoznaczny przeczą ustalenia koronera.

Nolasco spojrzał na Clarridge'a.

– Szefie, wszyscy znamy detektyw Crosswhite i wiadomo, że między nią a mną są pewne zaszłości.

– To nie ma nic wspólnego z zaszłościami między nami. Beth Stinson nie została zgwałcona, koniec, kropka – oświadczyła z naciskiem Tracy.

– A w jaki sposób przeprowadzenie analizy DNA mogłoby oczyścić Gerhardta? – spytał Clarridge.

– Był w dniu zabójstwa w domu ofiary, bo został wezwany do przepchania rury w łazience – wyjaśniła Tracy. – Jego odciski palców i ślady butów były wszędzie. Można by się więc spodziewać, że po kimś tak nieostrożnym zostałyby też włosy, ślady potu czy płyny ustrojowe na ofierze lub sznurze.

– Szefie, nie było wtedy i nie ma do dziś sposobu na zdjęcie odcisków palców z kawałka sznura – wtrącił Nolasco.

– Ale da się pobrać próbkę DNA – odparowała Tracy. – Ślady DNA sprawcy powinny się znajdować na sznurze lub na ofierze.

– To znowu tylko spekulacje.

- Nie przesłuchał pan innych świadków w tej sprawie. Nolasco machnął lekceważąco ręką.
- Rozmawialiśmy ze świadkami.
- W aktach nie ma protokołów przesłuchań.
- Nic nie wskazywało na to, że mamy niewłaściwego podejrzanego.

Tracy znów przypuściła atak.

- Skoro rozmawiał pan ze świadkami, to dlaczego nie wiedział pan, że Beth Stinson była striptizerką?

Kapitan zachował pozorny spokój, ale jego jabłko Adama gwałtownie skoczyło i znów na chwilę zamilkł jak po ciosie.

- Stinson była księgową – burknął.
- Za dnia. Wieczorami tańczyła w klubie i sprowadzała do domu mężczyzn.

Clarridge uniósł rękę.

- Dobrze, wszystko jedno. A jakim cudem... – zajrzał do notatek – ...Dan O’Leary uzyskał informacje o tej sprawie?

– Ode mnie.

Komendant znów się skrzywił.

- To pani dostarczyła mu akta i ujawniła nasze wątpliwości?
- Tak. I zrobiłabym to jeszcze raz, gdybym wierzyła... a tak właśnie jest... że dzięki temu uda nam się złapać sukinsyna, który morduje te kobiety.

– To rewidowanie historii – prychnął Nolasco.

– Należało się tym zająć.

Clarridge zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa.

- Detektywie Rowe? – Kins oderwał wzrok od punktu na stole, po którym od dłuższej chwili jeździł palcem. – Nie wiedział pan nic o tej sprawie?

Kins pokręcił głową.

- Nie – powiedział niemal bezdźwięcznie.
- Jest pan wolny. Pełni pan nadal dotychczasową funkcję w grupie zadaniowej.

Kins odsunął się z krzesłem od stołu, ale nie wstał od razu, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. W końcu się podniósł,

odwrócił plecami do Tracy i bez słowa wyszedł z sali.

– Detektyw Crosswhite – podjął na nowo Clarridge. – Wspierałem panią, bo wierzyłem, i nadal w to wierzę, że to ważne, by na każdym szczeblu sił policyjnych były też kobiety, a także dlatego, że niezależnie od płci jest pani doskonałym pracownikiem wydziału śledczego. Ale pani postępowanie nie tylko naraziło nas na krytykę, lecz zmusiło mnie do poddania ponownej ocenie pani postawy i postępowania. Udostępnienie cywilnemu prawnikowi akt policyjnych jest służbowym wykroczeniem, którego nie mogę zignorować. Zwrócę się do Biura Odpowiedzialności Zawodowej o przeprowadzenie oficjalnego i szczegółowego dochodzenia w tej sprawie, a pani udzieli im wszelkiej niezbędnej pomocy. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– Tak.

– Do czasu zebrania przez nich wszystkich danych i podjęcia decyzji zostanie pani wyłączona z grupy zadaniowej i przesunięta na stanowisko administracyjne. – Przeniósł wzrok na Nolasco. – Kapitanie Nolasco, od tej chwili przejmuje pan osobisty nadzór nad śledztwem w sprawie Kowboja i w tym zakresie podlega pan bezpośrednio mnie.

– Tak jest, panie komendancie.

Clarridge odsunął krzesło, wszyscy pozostali zrobili to samo. Z wyjątkiem Tracy, która nie ruszyła się z miejsca.

* * *

Tracy znalazła pusty karton w rupieciarni szóstego piętra zajmowanego przez personel administracyjny komendy i zniosła go do swego boksu. Kins siedział przy swoim biurku, plecami do niej, i kiedy na jej wejście nawet nie podniósł głowy znad klawiatury, bez słowa zajęła się opróżnianiem szuflad w biurku.

– Przez ciebie wyszedłem na idiotę – rzucił po chwili. – Gdybym wiedział, mógłbym próbować cię poprzeć.

– I właśnie tego nie chciałam. Bo gdybyś wiedział, pakowałbyś się teraz razem ze mną.

– I to ma być absolutna szczerość? – burknął.

Usłyszała skrzypnięcie jego krzesła, odłożyła zszywkę i odwróciła głowę. Patrzył na nią.

– Wiedziałam, że kiedy Nolasco się dowie, tak się to skończy.

– Jesteśmy partnerami – przypomniał, wstając z miejsca i podchodząc do niej.

– Ale ty masz żonę i trzech chłopaków na utrzymaniu. Skoro nic nie wiedziałeś, nikt nie może mieć do ciebie pretensji, że nic nikomu nie powiedziałeś.

Stał z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w podłogę. Tracy знаła go na tyle, by wiedzieć, że właśnie trawi jej argumentację. W końcu spojrzął na nią.

– Co się stało po moim wyjściu? – spytał.

– Odwołali mnie z grupy zadaniowej. Teraz kieruje nią Nolasco. I nie mogę się opędzić od myśli, że właśnie o to mu chodziło.

Kins zdusił sarkastyczne prychnięcie.

– Zupełnie nie pojmuję dlaczego. Nie jesteśmy bliżej złapania tego drania, niż byliśmy pierwszego dnia. Wszystko wskazuje na to, że na tej sprawie można zwichnąć sobie karierę. – Rozejrzał się ponad przegrodami boksów i ściszył głos. – A co z tą sprawą Beth Stinson? Nie myślisz chyba, że Nolasco i Hattie próbowali celowo coś zachachmęcić, co?

– Nie, nic aż tak dramatycznego. – Tracy też ściszyła głos. – Zabójstwo Stinson było ostatnią sprawą Hattiego przed jego przejściem na emeryturę. Myślę, że już jedną nogą na niej był i nie chciało mu się zbytnio angażować. On i Nolasco szczylic się doskonałą statystyką. Według relacji świadka, najpierw pokazali jej fotografię Wayne’a Gerhardta i dopiero potem kazali go wskazać podczas okazania.

– Nie ma w tym nic niezwykłego.

– Ale to, co jej pokazali, nie było zestawem wielu twarzy do wyboru. Anderson twierdzi, że pokazali jej jedno zdjęcie i tylko

w aktach są jeszcze cztery inne twarze.

– Może się mylić. Minęło wiele lat i tego typu szczegóły zacierają się w pamięci.

– Nolasco i Hattie nie przesłuchali też żadnego z pozostałych świadków wymienionych w aktach. Gdyby to zrobili, wiedzieliby, że Stinson tańczyła w miejscowym klubie striptizowym i sprowadzała klientów do domu. Jej najlepsza przyjaciółka powiedziała Danowi, że rozmawiała z nią w dniu zabójstwa i ją ostrzegła. A Stinson podobno ją uspokoiła, mówiąc, żeby się nie martwiła, bo mężczyznę, z którym jest umówiona, obie dobrze znają.

– Więc może Nolasco ma powód do zmartwienia – rzekł Kins.

– Może posadzili niewłaściwego człowieka. Jak daleko zaszłaś w sprawie testu DNA?

– Cerrabone uzyskał podpis sędziego na nakazie. Dziś rano przekazałam materiały Mike’owi i poprosiłam go o pilne zajęcie się sprawą. Być może wyniki nie oczyszczą Gerhardta, ale mogą nam... tobie pomóc znaleźć nowego podejrzanego lub obciążyć tego, którego już masz.

– Nie popuścisz, co?

– Nie mogą mi już wiele więcej zrobić.

– Mogą cię zwolnić z pracy.

– I pewnie to zrobią.

Kins zagryzł zęby.

– Gdzie są te akta Stinson? – spytał.

– Nolasco nie pozwoli ci do nich zajrzeć. Mam je spakować i natychmiast zwrócić.

Zacisnął usta i zamyślił się.

– Będiesz ze mną w kontakcie? – spytał.

– Jasne, że będę.

– To dobrze. I nie wychylaj się.

– Gwiżdżę na Nolasco.

– Nie jego miałem na myśli. Nie zapominaj, że gdy ty dopiero próbowałaś się dowiedzieć, kim jest ten bandzior, on o tobie wiedział już wszystko.

Rozdział 47

Zjechała windą do podziemnego garażu i ruszyła do swojego pick-upa, by zostawić w nim pudło z biurowym dobytkiem. Chciała jeszcze wrócić na chwilę do Sali Kowboja i porozmawiać z tymi, których tam zastanie. Była im winna wyjaśnienie. Tak jak Faz powiedział, początki w betonowym bunkrze wywoływały ciarki na plecach, ale po paru dniach zaczęła się tu czuć jak w domu, a to przynajmniej świadczyło o jednym: że ona i Kins dobrze dobrali zespół. Składał się z silnie zmotywowanych osób, które były gotowe do różnych poświęceń, by złapać Kowboja. Będzie jej ich brakowało. Zabraknie jej codziennej pracy z nimi. I na pewno będzie jej brakować emocji towarzyszących polowaniu na zabójcę.

Jednostajny szum samochodów docierający z pobliskiej autostrady I-5 niemal zagłuszał gruchanie gołębi gnieźdzących się w betonowych załomach sufitu, blade oświetlenie garażu nadawało wszystkiemu lekko pomarańczowy odcień. Podchodząc do pick-upa, Tracy wyczuła, że nie jest sama. Po jej plecach przebiegł dreszcz i dostała gęsiej skórki. Otworzyła drzwi i postawiła pudło na siedzeniu.

Usłyszała za sobą kroki.

Wyszarpnęła glocka, odwróciła się i wymierzyła lufę w sam środek postaci.

Nolasco wytrzeszczył oczy i szarpnął się do tyłu, wpadając na zaparkowany samochód.

– Co ci jest, do cholery? – wystękał, z trudem łapiąc oddech, a gdy Tracy nie odpowiedziała, dorzucił: – Zawsze tak sięgasz po broń bez zastanowienia?

– Dobrze się zastanowiłam – wycedziła, nie opuszczając broni.
– Gdyby nie to, już byś leżał na podłodze z jedną dziurą w głowie i dwiema w klatce piersiowej.

– Może zechciałabyś to opuścić – burknął, pokazując ręką pistolet.

Jeszcze przez chwilę w niego celowała, w końcu opuściła rękę, ale nie schowała glocka do kabury. Nolasco spoglądał na nią lekko szklistym wzrokiem i Tracy poczuła od niego woń alkoholu, nieskutecznie maskowaną zapachem ziół. Jeśli żuł ziołową gumę, musiał ją chyba połknąć z wrażenia.

– Czego chcesz? – warknęła.

– Chciałem tylko spytać, dlaczego to zrobiłaś?

– Już ci powiedziałam dlaczego.

– Oboje wiemy, że to nie ten powód. Myślałaś, że pozwolę ci się skompromitować?

– Czy jesteś aż tak niepewny siebie, że wciąż nie możesz się otrząsnąć z czegoś, co się wydarzyło przed dwudziestu laty? – powiedziała Tracy. – To smutne.

– I czego ty szukałaś w mojej starej sprawie?

– Szukałam zabójcy.

– Gówno prawda! Zawzięłaś się, żeby mnie skompromitować. No to teraz masz za swoje. – Odwrócił się i ruszył w stronę swojego samochodu.

– Skąd wiedziałaś o Gerhardcie?! – zawołała Tracy.

– Nieważne.

– I tobie to nie przeszkadza, że w więzieniu może siedzieć niewinny człowiek, a morderca kobiet wciąż jest na wolności? – powiedziała podniesionym głosem.

Nolasco dotarł do swojej corvette'y i odwrócił się.

– Fantazjujesz. Mordercą był Gerhardt. Wiedzieliśmy o tym od pierwszego dnia.

– I dlatego tak namieszałaś w głowie JoAnne Anderson, że uwierzyła, że to jego widziała?

– Wszystko dobrze widziała.

– To czemu dziś skłamałeś? Dlaczego powiedziałeś, że rozmawiałeś z innymi świadkami, choć wcale tak nie było?

– Jadę, bo czeka mnie jutro ważny dzień. – Nolasco się uśmiechnął. – Będę musiał powiadomić media o okolicznościach odsunięcia cię od sprawy Kowboja. Tobie też radziłbym się przespać, bo podejrzewam, że będą mieli do ciebie mnóstwo pytań. I media, i koledzy z Biura Odpowiedzialności Zawodowej.

* * *

Tahoe Dana stało pod domem na miejscu zajmowanym do wczoraj przez radiowóz. Zapewne kolejna złośliwość ze strony Nolasco: nie należała już do grupy zadaniowej, więc nie musiała mieć ochrony. Wjechała do garażu, wysiadła i wyjęła pudło ze swym biurowym dobytkiem. Dan przytrzymał jej otwarte drzwi, a mina Tracy widać zdradzała jej odczucia, bo spytał z troską w głosie:

– Co ci jest? Co się stało?

Wyminęła go bez słowa i postawiła pudło na kuchennym blacie. Roger wskoczył na blat, by ją powitać, a ona machinalnie pogłaskała go po grzbiecie.

– Tracy, co się dzieje? Co jest w tym pudle?

– Nie widziałeś wiadomości?

– Dwie godziny spędziłem w magazynie z papierzyskami.

Otworzyła lodówkę i wyjęła napoczętą puszkę kocięj karmy.

– Nolasco dowiedział się o Gerhardcie i sprzedał to Vanpelt.

Twarz Dana zmartwiała. Tracy wyminęła go i wyjęła z szafki talerzyk.

– I co, zrobił się smród? – spytał.

– Właśnie wracam ze spotkania z komendantem. Odwołali mnie z grupy zadaniowej i przydzielili do pracy biurowej do czasu, aż Biuro Odpowiedzialności Zawodowej zakończy dochodzenie w tej sprawie.

– Co to wszystko znaczy?

Odpychając Rogera, wygarnęła całą karmę z puszki na talerzyk.

– To znaczy, że prawdopodobnie mnie wywałą.

Wrzuciła łyżkę do zlewu, pustą puszkę do śmieci i podeszła do drzwi na taras. Okazało się, że właśnie zaczęło padać, więc zrezygnowała z wyjścia. Dan zaszedł ją od tyłu i objął.

– Dobrze się czujesz? – szepnął.

Stała przez chwilę, wpatrzona w dal. Widok był piękny, ale spędziła zbyt wiele nocy na podziwianiu go w samotności.

– Spytałeś mnie niedawno, czy potrafiłabym znów być szczęśliwa w Cedar Grove. – Zawiesiła głos, a gdy Dan nie zareagował, ciągnęła: – Kiedyś chciałam tam mieszkać. Myślę, że znów bym mogła.

– Tracy, o niczym bardziej nie marzę, niż żebyś naprawdę tak myślała...

– Naprawdę tak myślę. – Zwróciła się ku niemu twarzą.

Uśmiechnął się, ale jego uśmiech był zaprawiony smutkiem.

– Tylko że twoje życie jest tu. Tu jesteś szczęśliwa. I dobra w tym, co robisz. Kochasz to.

– Nauczycielką chemii też byłam dobrą. I robiłam coś pożytecznego.

– Odczekaj parę dni...

– Czekałam dwadzieścia lat, Dan. Myślisz, że to mało?

– Mówisz poważnie? – W jego głosie słyhać było powątpiewanie.

Objęła go, przyciągnęła ku sobie i pocałowała w usta.

– Tak, mówię poważnie.

Roger wskoczył na stół w jadalni i zamiauczał.

– A z nim to omówiłaś? – spytał Dan. – Bo coś czuję, że nie będzie zachwycony.

– Przyzwyczai się. Jak długo ty się przyzwyczajałeś po przeprowadzce?

Chwilę się zastanawiał, głaszcząc ją lekko po plecach.

– Krócej, niż myślałem – odparł. – Nie było mnie tam prawie tak długo jak ciebie, ale właściwie nie czułem się obco. Myślę, że

nigdy tak do końca się nie rozstajemy z rodzinną miejscowością. Cedar Grove jest zakodowane w naszym DNA.

– Tak bym chciała, żeby Sara wciąż tu była – jęknęła Tracy. – Tak bardzo mi jej brakuje, Dan. Codziennie o niej myślę. I chyba nigdy nie przestanę.

* * *

Tracy podkreśliła ogrzewanie na maksimum i weszła pod prysznic. Pozwoliła biczom wody boleśnie siec skórę i mięśnie zaczęły się rozprężyć; czuła, jak powoli ustępuje stężenie w karku i ramionach. Oparła głowę o wyłożoną glazurą ścianę i poddała się kojącemu działaniu wody.

Po dwudziestu minutach zakreśliła prysznic, otuliła się jaskrawożółtym ręcznikiem i wyszła na marmurową posadzkę sypialni. Roger leżał rozciągnięty na jej łóżku, więc chwilę go popieściła, drapiąc w szyję i za uszami. Przekreślił się na grzbiet i z uniesionymi łapkami zaczął mruścić, a ona pogłaskała go po brzuszku.

– Szczęście, że jesteś samowystarczalny – powiedziała. – Bo masz okropną panią.

Na podwórzu za domem rozbłysły światła.

Tracy ze złością owinęła się ciasniej ręcznikiem i podeszła do drzwi na taras. Wiatr się wzmógł i zacinał deszczem w dwóch smugach światła padającego z okien. Na podwórzu nie było nikogo.

Dan przeszedł przez sypialnię i stanął przy niej.

– Światła wciąż się zapalają? – zapytał.

– Na to wygląda – odparła, rozglądając się po pustym trawniku.

– Ustawiłem czujniki na minimalną czułość.

– Kiedy?

– Przedwczoraj przed wyjazdem.

To by wyjaśniało, jak doszło do zamknięcia Rogera na dole.

– Może po prostu je wyłączę. I tak mieszkasz tu jak w fortecy.

– Nie, nie przeszkadzają mi. – Prawdę mówiąc, lubiła te zapalające się światła. Zastępowały szczekanie psa i pełniły funkcję systemu wczesnego ostrzegania.

– Lepiej się czujesz? – spytał, obejmując ją.

– Dużo lepiej.

– Świetnie. A jesteś głodna?

– Właściwie to nawet bardzo – odparła zdziwiona.

– To lepiej stąd chodźmy, bo w tym ręczniku wyglądasz dużo apetyczniej niż kurczak Alfredo. – Całowali się długo i namiętnie, po czym Dan uwolnił się z jej objęć. – Sam siebie zdumiewam, ale wychodzę stąd.

Po jego wyjściu wyjęła z komody czysty T-shirt i już go miała włożyć, gdy coś jej przyszło do głowy. Wciąż jeszcze owinięta ręcznikiem, podeszła do drzwi na korytarz.

– Za ile będzie kolacja?! – zawołała.

– Niedługo! – odkrzyknął, zanurzony w kłębach pary znad garnka z wrzącą wodą, do której właśnie wrzucał makaron.

– Bo przypomniałam sobie o tym obiecany kieliszku czerwonego wina.

Chwycił butelkę, napełnił kieliszek i spojrzał na nią przez zaparowane okulary. Tracy stała oparta o framugę drzwi, ze zgiętą nogą, odsłaniając spory fragment uda. Dan zdjął okulary.

– To nie fair – jęknął. – Właśnie wrzuciłem makaron.

– Czyli mamy jakieś dwanaście minut, nie?

Wziął do ręki opakowanie po makaronie i zerknął na czas gotowania.

– Bliżej dziewięciu – bąknął.

Tracy opuściła nogę i wyprostowała się.

– Doprawdy?

Dan roześmiał się, odrzucił przez ramię paczkę po makaronie, ściągnął przez głowę koszulę i przemierzywszy szybkim krokiem pokój, objął Tracy.

– Kochaj się ze mną, Dan.

Namiętnie pocałował ją w usta, potem łagodniej musnął wargami szyję i ramiona i pociągnął za ręcznik, który opadł na

podłogę. Poczowała, jakby się unosiła pod dotykiem Dana, kojącym jak krople ciepłej wody. Ręce i nogi stały się bezwładne, w głowie zawirowało. Pomogła mu zdjąć spodnie, ale nawet nie dotarli do łóżka. Dan uniósł ją i oparł o ścianę, a ona opłótła go nogami.

* * *

Potem, wciąż jeszcze ciężko dysząc, Dan odwrócił głowę i spojrzał na budzik na jej stoliku nocnym.

– Nigdy nie sądziłem, że będę dumny z tego, że się zmieściłem z kochaniem w czasie potrzebnym na ugotowanie makaronu.

– I to z trzema minutami w zapasie – zauważyła.

Oboje się roześmiali.

– Jeśli nie lubisz rozgotowanych kluch, to chyba lepiej już pójdę. – Zebrał swoje rzeczy, włożył bokserki i T-shirt, raz jeszcze ją pocałował i wyszedł z sypialni.

Tracy ponownie opłukała się pod prysznicem, wytarła, włożyła dres i przeczesła włosy. Za oknami tak się rozpadało, że krople szumiały na tarasie niczym samochody na autostradzie, i widocznie to wystarczyło do uruchomienia czujników, bo światła na podwórzu znów rozblęły.

Podeszła do przeszklonych drzwi, ale tym razem podwórze za domem nie było puste. Na środku trawnika stała jakaś zakapturzona postać, której rysów twarzy w strugach deszczu i cieniu kaptura nie było widać. Chwilę potem lampy zgasły.

Z sercem walącym jak oszałała Tracy podbiegła do stolika przy łóżku, chwyciła glocka i biegiem ruszyła ku prowadzącym w dół schodom.

Dan uniósł głowę i odprowadził ją wzrokiem.

– Chcesz teraz ten kieliszek...?

Zbiegła po schodach.

– Tracy?

Przesunęła dźwignię zamka i otworzyła drzwi.

– Co się dzieje?! – zawołał za nią Dan.

Nie zapalając światła, przebiegła przez salę telewizyjną, dopadła do drzwi wychodzących na podwórze, otworzyła następny zamek i rozglądając się nerwowo na boki, wyskoczyła na deszcz z glockiem w wyciągniętej ręce. Lampy znów rozbłysły, oświetlając pusty trawnik. Omiotła go pistoletem od lewej do prawej, podążając wzrokiem wzdłuż krawędzi światła i przeczesując nim gęste zarośla na granicy posiadłości. Jej bose stopy zapadały się w nasiąknięty wodą trawnik, strugi deszczu rozmazywały pole widzenia. Potrząsnęła głową, by pozbyć się z twarzy kropli wody.

– Gdzie ty jesteś? – powiedziała głośno. – Gdzie ty, do cholery, jesteś?

– Tracy? – dobiegł ją głos Dana od otwartych drzwi. – Tracy?

Dotarła do zarośli i zaczęła się rozglądać za śladami: połamanymi gałązkami, zgniecioną trawą, odciskami stóp w namokłej ziemi.

Dan nagle znalazł się tuż przy niej.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołał, przekrzykując szum deszczu.

– On tu był.

– Co? Kto?

Nie przerywała poszukiwań; sunęła wzdłuż granicy zarośli, trzymając w wyciągniętej ręce pistolet skierowany ku krzakom.

– Ktoś stał na trawniku. To on wzbudził czujniki.

– Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. Stał i gapił się na mnie.

– Wracajmy do środka. Możemy zadzwonić...

Gwałtownie się obróciła.

– Do kogo, Dan? Do kogo mam dzwonić? To ja jestem policja, rozumiesz? Ja jestem pieprzoną policją, a ten skurwiel stał tu, na środku mojego podwórka. Mojego podwórka! – Zwróciła twarz ku krzakom i nagle coś dojrzała. Podeszła bliżej, przedzierając się przez kolczaste gałęzie, które zahaczały o materiał dresu i boleśnie drapały jej nagie ramiona. Podniosła rozmokły skrawek papieru i dostrzegła w pobliżu jeszcze kilka podobnych leżących w błocie i nadzianych na kolce.

– Co to jest? – spytał Dan.

– Nie wiem. – Weszła krok głębiej, uważając, by nie nadepnąć na pozostawione odciski stóp i nie zamazać innych śladów, i zebrała rozrzucone kawałki papieru. I nagle zrozumiała, co trzyma w ręce.

Podartą na strzępy fotografię.

* * *

Tracy rozłożyła fragmenty na stole w jadalni i zaczęła je przekładać i dopasowywać do siebie jak puzzle. Z przemoczonych spodni i bluzy od dresu skapywały krople wody, tworząc kałużę na wykładzinie, włosy jej zmatowiały. Nie odrywając wzroku od układanki, wytarła twarz ręcznikiem przyniesionym przez Dana. Powoli obrazek nabierał kształtu.

Poczuła gwałtowne gniesienie w żołądku i odsunęła się od stołu.

– To ty – zdumiał się Dan.

Fotografia przedstawiała zbliżenie jej twarzy zrobione teleobiektywem. Twarz okalał kaptur kurtki, osłaniający ją przed sypiącym śniegiem.

– Co to za zdjęcie? – spytał.

Pamiętała ten moment. Stała na ganku przychodni weterynaryjnej w Pine Flat, w środku był Dan z postrzelonym Rexem. Rozmawiając przez telefon, patrzyła na zasypany śniegiem parking i stojący na nim samochód. Mimo gęsto padającego śniegu przednia szyba była oczyszczona i Tracy czuła, że ktoś za nią siedzi i ją obserwuje.

– W Pine Flat, pod przychodnią weterynaryjną.

– Co?

Szybkim krokiem przeszła do przedpokoju i wyjęła z torebki telefon komórkowy.

Dan podążył za nią.

– Pine Flat? Przecież to ponad miesiąc temu. Sześć tygodni.

– Mógł zostawić odcisk buta w błocie. Strzęp materiału lub włos mógł się zahaczyć o krzak. Cokolwiek. – Wybrała numer dyspozytora, podała swoje nazwisko i numer służbowy i poprosiła o połączenie z biurem CSI.

– Mówisz o tym dniu, kiedy postrzelili Rexa? – upewnił się Dan. Wyglądało, że wciąż nie może w to uwierzyć. Rex dostał wtedy w bok porcję śrutu i oboje zawieźli go do przychodni.

– Tamtego dnia zauważyłam samochód na parkingu – powiedziała. – Początkowo sądziłam, że ktoś go tam zostawił z powodu zasp, ale potem dostrzegłam, że przednią szybę ma oczyszczoną ze śniegu. Tego samego wieczoru widziałam go ponownie pod motelem.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nie wiedziałam, czy ma to jakieś znaczenie. Myślałam, że to któryś z reporterów.

Uniosła rękę, ale to nie powstrzymało Dana.

– Więc to on – powiedział. – Ten sam facet. Ten, który zostawił ci pętlę. Chodzi za tobą od wielu tygodni? – Podeszedł do drzwi i wyjrzał na podwórze.

Tracy skończyła rozmowę z CSI i stanęła obok niego.

– Chyba miał kamuflaż. Nie jestem pewna, ale zdaje się, że miał na głowie taki maskujący kapelusz z szerokim rondem. Za bardzo padało i jego twarz pozostawała w cieniu. A potem zgasło światło.

Odeszła od drzwi i usiadła na krześle w jadalni. Nagle poczuła dreszcze i zaczęła dygotać. Dan wyjął z rąk Tracy ręcznik, okrył nim jej ramiona i ruszył w stronę sypialni.

– Musisz zdjąć z siebie te mokre rzeczy – powiedział, ale ona wcale nie była pewna, czy dygocze z zimna.

Rozdział 48

Jako ostatnia z ekipy CSI pracę zakończyła Kaylee Wright i Tracy odprowadziła ją do szarej furgonetki. Deszcz zelżał i przeszedł w lekki kapuśniaczek. Wright była specjalistką od tropienia przestępców i pracowała w Sekcji Operacji Specjalnych biura szeryfa okręgu King. Jako ekspert w czytaniu śladów na miejscu przestępstwa, była jedną z tych, którym udało się odnaleźć w lasach i mokradłach nad brzegami Green River szczątki ofiar Gary'ego Ridgwaya. Powiedziała Tracy, że w krzakach parę metrów od granicy posiadłości znalazła ślady butów, a także połamane gałązki na stromym zboczu, którym intruz wszedł i zszedł. Ślady butów znajdowały się też na nasiąkniętej wodą trawie, co pozwalało wyznaczyć jego ruchy po podwórzu. Deszcz mocno rozmył ślady i Wright nie była pewna, czy uda im się odtworzyć wzór i nazwę firmy na podeszwach, nie miała natomiast wątpliwości co do tego, że buty były w rozmiarze czterdzieści pięć lub czterdzieści sześć.

Tracy i Kins pożegnali ekipę CSI i zostali na chodniku przed domem.

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz? – spytał Kins.
- Tak. Mam do pomocy Dana i swojego glocka.
- Dzwon, gdyby cokolwiek się działo.
- Przecież wiesz.
- Dopilnuję, żeby przywrócili radiowóz pod domem.

Tracy wątpiła, by Nolasco wyraził na to zgodę.

- Wracaj do domu, Kins. Dzięki, że przyjechałeś.
- Nie ma sprawy. – Ruszył do swojego samochodu, w połowie drogi zatrzymał się i odwrócił. – Słuchaj, chcę, żebyś wiedziała,

że nie mam do ciebie żalu. Wiem, że próbowałaś mnie chronić.

Kiwnęła głową.

– Między nami wszystko dobrze? – upewnił się.

– Między nami wszystko dobrze.

Tracy zatrzasnęła furtkę, poruszyła nią, by się upewnić, że jest zamknięta, i postąpiła jeszcze chwilę, odprowadzając wzrokiem samochód Kinsa, który po chwili zniknął za lekkim wybrzuszeniem jezdni. Od ponad sześciu lat widywali się niemal codziennie, spędzali z sobą po osiem, dziesięć godzin. Będzie go jej brakowało.

Weszła do domu, zamknęła drzwi i usłyszała, jak zatrask automatycznie zaskakuje.

Dan wszedł schodami z dołu.

– Wszystko szczelnie zamknięte – powiedział. – Sprawdziłem wszystkie okna i drzwi. Zmieniłaś kod do furtki i drzwi wejściowych?

Kiwnęła głową.

– Przywiozę tu Rexa i Sherlocka i zostawię ci ich, jeśli sam nie będę mógł zostać. – Spojrzał na zegarek i Tracy machinalnie zerknęła na zegar na ścianie w kuchni. Było trochę po drugiej. No i tyle co do wczesnego pójścia spać.

– Chyba nie usnę. – Otworzyła szafkę w kuchni i wyjęła butelkę scotcha i dwie szklanki. Nalała do obu na dwa palce, wręczyła jedną Danowi i usiedli oboje przy stole w jadalni.

– Pętla i fotografia – rzucił Dan. – Co to może znaczyć?

Myślała o tym podczas przeszukiwania jej podwórka przez CSI.

– Sądzę, że pętla miała po prostu przyciągnąć moją uwagę, dać mi znać, że tam jest. Tego samego dnia wieczorem zabił Angelę Schreiber.

– A dlaczego podarł twoją fotografię?

Tracy się zawahała.

– Zasłony w sypialni były rozsunięte, światła zapalone – odezwała się cicho.

Dan odstawił drinka.

– Widział nas – powiedział.

Pokiwała głową.

– Zwróciłam na to uwagę, chodząc po podwórzu z ludźmi z CSI. Z miejsca, w którym zdaniem tej specjalistki od śladów się ukrywał, widać wewnątrz sypialni i jadalni. Ona twierdzi, że ze śladów jego butów wynika, że nacisk na przednią część stóp był większy niż na pięty, co oznacza, że prawdopodobnie siedział przykucnięty. Jak myśliwy czający się na kaczki i obserwujący niebo przez lornetkę.

Rozdział 49

Następnego dnia rano Tracy pojechała do Centrum Sprawiedliwości. Czuła się fizycznie wyczerpana, psychicznie zgnębiona i równie spięta jak w dniu, gdy po raz pierwszy jechała do Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, by jako jedna z pierwszych kobiet w policji w Seattle rozpocząć w niej pracę. Tyle że w przeciwieństwie do tamtego dnia, kiedy większość personelu ostentacyjnie ją witała i życzyła powodzenia, tym razem czekał na nią tylko asystent Nolasco, by ją poinformować, że została przydzielona jako piąte koło do zespołu D, a jej miejsce pracy znajduje się w głębi szóstego piętra, razem z resztą personelu administracyjnego. Jeśli Nolasco chodziło o to, by ją schować przed wzrokiem innych, można było uznać, że mu się udało. Jej nowe biurko stało w najdalszym kącie i było dosłownie zastawione stertami kartonów.

Tracy nie obejrzała wiadomości i nie wzięła nawet do ręki porannego wydania „Seattle Times”. Po południu była umówiona z ludźmi z Biura Odpowiedzialności Zawodowej w sprawie napaści na Bradleya Taggarta – która nagle znów ożyła – oraz w sprawie nieuprawnionego udostępnienia akt policyjnych osobie spoza policji. Zadzwoiła do przedstawiciela związku zawodowego i poprosiła o pomoc prawną. Adwokat wyznaczony przez związek miał się do niej odezwać i powiadomić, czy do wyznaczonego spotkania z BOZ dojdzie dziś, czy w późniejszym terminie.

Poranek upłynął jej na szperaniu w internecie i czytaniu doniesień o zabójstwach Kowboja. Potem wpisała do wyszukiwarki Wayne’a Gerhardta i Beth Stinson i ze

zdumieniem stwierdziła, że wyświetliło się kilka stron linków. Kolejno zajrzała do wszystkich i dopiero burczenie w żołądku skłoniło ją do zerknięcia na zegar w komputerze. Dochodziło południe.

Zadzwoiła z komórki do Kinsa.

– Dzwonię z ciekawości, żeby spytać, jak leci – powiedziała.

Kins ściszył głos.

– Nolasco przeniósł nas z powrotem do Byczej Zagrody, sam siedzi przy twoim biurku. Odnoszę takie wrażenie, jakby chciał mieć nas wszystkich na oku. Panuje atmosfera jak na pogrzebie. Na dwunastą zwołał odprawę. A z tobą co wyczyniają?

– Na razie siedzę i kręcę młynka – odparła.

– Miałaś jakieś wiadomości od Meltona?

– Na razie nic. Chodźmy na kawę.

– Dam znać, jak będę mógł się wyrwać.

Tracy się rozłączyła i uniosła głowę na odgłos kroków. Zza kartonów wyłonił się Preston Polanco z zespołu D i zwałił na jej biurko naręczę papierów.

– Nolasco kazał ci znaleźć jakieś zajęcie – powiedział z uśmiechem. – Trzeba przeczytać te zeznania świadków i ustalić chronologię. Nic tak pasjonującego jak twoje śledztwo w sprawie Kowboja, zwykła strzelanina dwóch rzezimieszków, ale czasem wszyscy musimy odwalać czarną robotę, prawda?

* * *

Dan biegł w dół zbocza w stronę przystani Don Armeni, czując w kolanach i łydkach efekty walenia stopami w twardą powierzchnię i dochodząc do wniosku, że to nie najlepiej służy czterdziestodwuletnim stawom. Choć było dość chłodno, w granicach dziesięciu stopni Celsjusza, świeciło słońce i czuł na twarzy łagodne ciepło jego promieni. Kawalek przed Harbor Way trochę się zgrzał, zwolnił więc do lekkiego truchtu i tak dotarł do wyznaczonego sobie punktu docelowego, latarni morskiej Alki Point.

Bieganie zawsze dobrze mu robiło, dawało czas na przemyślenie bieżących problemów lub uwolnienie głowy od zbędnego balastu. Tracy dała mu dużo do myślenia. Powiedziała, że byłaby gotowa wrócić do Cedar Grove i rozpocząć z nim wspólne życie. Zdawał sobie sprawę, że jej słowa po części biorą się z rozgoryczenia po wycofaniu jej z grupy zadaniowej, i dlatego początkowo chciał, by ochłonęła i jeszcze się zastanowiła, ale potem, gdy pod jej domem pojawił się ten morderca, przeszły mu wszelkie skrupuły i zaczęło mu zależeć na tym, by jak najszybciej zabrać ją stąd do Cedar Grove, gdzie się nią zaopiekuje i gdzie będzie bezpieczna.

Martwił się o nią. Cały czas leżało mu na sercu to, że tak do końca nie rozliczyła się ze śmiercią Sary. Nie miała na to czasu. Zdarzenia w Cedar Grove sześć miesięcy wcześniej były tak zaskakujące i wszystko działo się w takim tempie, że nie było chwili na zastanowienie. Potem Tracy wróciła do Seattle i od razu zwała się na nią sprawa zabójstw tancerek. Podejrzewał, że podchodziła do nich trochę tak jak do śmierci siostry. Czuła się za nie odpowiedzialna, i Dan się martwił, jak to poczucie winy na nią wpłynie.

Po czterdziestu czterech minutach biegu znalazł się ponownie u stóp zbocza wiodącego ku domowi Tracy. Zrobił pętlę o długości około dziesięciu kilometrów, ale podbiegnięcie pod zbocze wymagało co najmniej takiego wysiłku jak piętnastokilometrowy odcinek. Wiedział, że Rex i Sherlock byliby zachwyceni bieganiem nad wodą, ale nie miał wątpliwości, że na widok wiodącego w górę zbocza oba psy przysiadłyby na swych wielkich zadach i jednoznacznie dałyby do zrozumienia, że za jedyny sposób dostania się na górę uważają jazdę na tylnym siedzeniu tahoe. Lecz pobudzony porannym zastrzykiem adrenaliny Dan ani przez chwilę się nie wahał i ostro ruszył pod górę. Dotarł na szczyt zdyszany i ociekający potem. Wbiegł na ulicę Tracy, splótł dłonie na tyle głowy i ruszył spacerowym krokiem w stronę jej domu. Gdy dotarł do furtki, zatrzymał się i kilkakrotnie głęboko zaczerpnął powietrza. Dopiero kiedy jego

oddech jako tako się uspokoił, wstukał nowy kod, pchnął furtkę i wszedł na podwórko przed domem.

* * *

Tracy godzinę ślęczała nad papierami, które zostawił jej Polanco, wyszukując w nich wszystkie daty i godziny i przystępując do tworzenia chronologii zdarzeń. Zadanie było przeraźliwie nudne, ale i tak wolała to od bezczynności. Niemniej ucieszyło ją, gdy zadzwonił jej telefon, bo pomyślała, że to Kins.

– Detektyw Crosswhite, mówi detektyw sierżant Rawley z BOZ. Byliśmy umówieni na trzynastą trzydzieści.

Spojrzała na zegar na ekranie komputera i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest już 13:40.

– Powiedziano mi, że mam czekać na mojego adwokata z ramienia związku.

– Pani adwokat już tu jest.

– Nikt mnie nie zawiadomił. Już idę.

Odłożyła słuchawkę, wzięła do ręki żakiet i torebkę i ruszyła do wyjścia, ale w tym momencie zadzwoniła jej komórka. Wyłowiła ją z torebki i ujrzała na wyświetlaczu numer Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego Stanu Waszyngton.

– Mike? – rzuciła do słuchawki, idąc szybkim krokiem w stronę wind.

– Na First Avenue jest knajpka Hooverville, wystarczająco daleko na południe i wystarczająco hipsterska, żeby nikt z naszych tam nie zaglądał. Zaproś mnie na piwo, a ja się przed tobą otworzę.

Tracy spojrzała na zegarek.

– Będę za dziesięć minut.

Detektyw sierżant Rawley będzie musiał poczekać.

* * *

Ustawił vana przy krawężniku i spojrzął w lusterko boczne. Widział w nim wyraźnie ogrodzenie z żelaznych prętów, za którym ciągnęło się podwórko przed domem Tracy Crosswhite. Całkiem skuteczna ochrona prywatności, tak jak te lampy na czujniki ruchu na podwórzu za domem. Ale znaczyło to tylko tyle, że musi się wykazać większą pomysłowością.

Wiedział, że adwokat poszedł pobiegać, bo zobaczył go biegnącego wzdłuż linii wody. Jeśli pobiegnie tą samą trasą co zwykle, wróci dopiero za jakąś godzinę, a to mu całkowicie wystarczy.

Wysiadł z vana, włożył pomarańczową kamizelkę odblaskową i żółty kask, wyjął teodolit i trójnóg i ustawił tak, by obiektyw był skierowany na dom pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wiedział, że adwokat jest praworęczny.

Wrócił do vana, wyjął puszkę odblaskowej pomarańczowej farby w sprayu i psiknął kilka przypadkowych linii i znaków na chodniku. A potem zaczął czekać.

Adwokat wyłonił się zza rogu kilka minut wcześniej, niż się tego spodziewał, ale z rękami założonymi na tył głowy i z trudem łapiąc oddech. Może nie jest w aż tak dobrej kondycji, najwyraźniej jednak Tracy to wystarczało. Nie dawało się temu zaprzeczyć. Widział dowód na własne oczy. Czuł się wystrychnięty na dudka. Swoim zachowaniem spowodowała, że poczuł się jak dureń. Przez ten cały czas miała kochasia!

Spojrzął w obiektyw, ustawił ostrość i dla lepszego efektu zapisał kilka przypadkowych cyfr w małym bloczku, by wyglądało, że dokonuje pomiarów. Adwokat odwrócił głowę i prześlizgnął się po nim spojrzeniem, lecz tylko bardzo przelotnym.

Ustawił obiektyw na szyfrator zamka furtki. Adwokat nawet nie próbował go zasłaniać. Nacisnął kolejno 5-8-2-9 i przycisk z kluczykiem. Tracy zmieniła kombinację, tak jak się tego spodziewał. Była w końcu sprytną, dobrze wyszkoloną policjantką. Adwokat pchnął furtkę, zatrzęsnął ją za sobą i ruszył przez podwórko.

Obrócił teodolit i szybko ustawił ostrość na szyfrator przy drzwiach wejściowych do domu. Adwokat wpisał te same cztery cyfry, wytarł nogi na wycieracze i wszedł do środka.

Była sprytna, ale on był sprytniejszy.

* * *

Melton przesadził z opisem lokalu. Bar Hooverville od zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym, skromny biało-zielony szyld z krótkim słowem BAR nad drzwiami stanowił jedyną reklamę. Dwa okna wychodzące na chodnik były zasłonięte metalowymi żaluzjami, w środku pod nogami Tracy zachrzęściły łupinki po orzeszkach, nad stolikami w boksach wisiały staromodne żyrandole. Melton stał w rogu, naciskając dźwignie flipera i potrząsając całym urządzeniem, co uruchamiało lampy i dzwonki ostrzegawcze. Odczekała, aż srebrzysta kulka ominie dźwignię i stoczy się na sam dół.

– Nienawidzę tego draństwa – burknął. – Chodźmy usiąść w boksie.

Postawił kufel piwa na stole, usiadł na kanapce ze spękanej skóry i zaczął chrupać orzeszki, rzucając skorupki na podłogę. Podeszła kelnerka w białym T-shircie i z imponującą ilością tatuaży na rękach.

– Mrożona herbata – powiedziała Tracy.

Melton wskazał palcem swój kufel.

– Przynieś jej to samo, Kay.

Kelnerka odeszła i w jej miejsce zjawiała się następna z tacą pełną czegoś, co wyglądało na dodatki do tacos. Bez słowa postawiła tacę na stole pod ścianą i bez słowa odeszła.

– To nasz lunch – powiedział Melton, wysuwając się z boku. – Chodź, czasami goszczą tak stałych bywalców. Bierz, póki czas, bo długo to nie postoi.

Wzięła przykład z Meltona i wróciła na miejsce z taco nadzianym mieloną wołowiną, serem i siekanymi pomidorami. Była wdzięczna za poczęstunek, bo od rana nic nie miała

w ustach. Odgryzła kawałek taco i nachyliła się nad stołem, bo z drugiego końca od razu wyciekło trochę sosu.

Melton przetarł papierową serwetką swą krzaczastą brodę.

– Słyszałem, że wczoraj wieczorem ktoś próbował cię nastraszyć.

– Był u mnie pod domem.

– Wielka szkoda, że nie odstrzeliłaś mu tyłka.

– Masz coś dla mnie, Mike?

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął złożoną kartkę i przesunął ku niej po stole.

– Wyniki DNA z domu Beth Stinson – powiedział.

Wzięła ją do ręki i zaczęła czytać.

– Brak śladów Wayne’a Gerhardta – mruknął Melton.

Tracy od początku była tego pewna.

– A czyje są? – spytała.

– Przykro mi. Nikogo, kto jest w bazie.

Odchyliła się na oparcie i zadumała. Oczami duszy widziała, jak Melton podaje jej na tacy nazwisko zbrodniarza, a ona wraca do Centrum Sprawiedliwości i mówi Johnny’emu Nolasco, żeby sobie swoje śledztwo wsadził w dupę.

– Mogło być lepiej i ułatwić mi życie – przyznała. – Ale jak mawia Faz, to nie jest nic.

– Słyszałem, że już się tym nie zajmujesz. Zadzwoił do mnie Nolasco i powiedział, że bym nie zawracał sobie głowy analizą i nie marnował pieniędzy.

– Ale ty to już zrobiłaś.

– Wtedy jeszcze nie – odparł, ponownie wycierając brodę. – Bo potrzebowałem odpowiedniej motywacji.

Rozdział 50

Tracy i Kins spotkali się wcześniej rano w kafejce w okolicach Madison Park. Miała lekkiego kaca, bo poprzedniego wieczoru poszli z Danem na kolację i pozwoliła sobie na dwa martini. Dodane do dwóch piw wypitych po południu z Meltonem, stanowiły największą dawkę alkoholu, jaka zdarzyła jej się od wielu miesięcy. Ale nie przyznała się Kinsowi do wieczornego wypadu, podejrzewając, że on znów miał za sobą długi wieczór w pracy.

– Powinieneś się bliżej przyjrzeć Nicole Hansen i Gabrielle Lizotte – poradziła mu, czując, że głowa za chwilę jej pęknie. – Sprawdź, czy powiedziały komuś, że się tego wieczoru z kimś spotykają albo są umówione z jakimś serwisantem na naprawę czegoś w domu lub samochodzie. Coś w tym stylu.

– Naprawdę myślisz, że on zna swoje ofiary?

– Melton zrobił analizę śladów DNA z domu Beth Stinson.

– Zdawało mi się, że Nolasco ją odwołał.

– Była już zrobiona wcześniej – skłamała. – Ślady nie pasują do Gerhardta. Pomyśl. Jego odciski palców były w całym domu, a śladów DNA brak?

– A ponieważ ostatnie dziewięć lat spędził w celi, możemy spokojnie założyć, że nie jest naszym Kowbojem.

– Właśnie.

– Meltonowi udało się kogoś zidentyfikować?

– Nikogo w bazie.

– Czyli wyklucza to też Bankstona, Gipsona, Taggarta i Tomeya. Wszyscy oni mieli zatargi z prawem, służyli w wojsku

lub dobrowolnie dostarczyli swoje próbki DNA. Zostaje tylko Nash.

– Też tak pomyślałam.

Kins odchylił się do tyłu z filiżanką w dłoniach.

– Nolasco coś kombinuje. Wychodzi z budynku, ale nikomu nie mówi, dokąd idzie. Wczoraj zadzwoniła Amanda Santos i chciała z nim rozmawiać. Powiedziała, że zostawił jej wiadomość, że ma jak najszybciej do niego zadzwonić. Powiedziała też, że zwrócił się do FBI, żeby bardziej się włączyli. Trzyma swoje karty blisko przy orderach. Zadaje nam mnóstwo pytań, ale sam praktycznie nic nie mówi. – Kins spojrzał na zegarek. – Chyba lepiej już pójdę. Zwołał kolejną odprawę. Gdyby w Centrum Sprawiedliwości były otwieralne okna, to Faz pewnie by już wyskoczył.

Wyszli na ulicę. Temperatura była rześka, ale przynajmniej nie padało. Zimne powietrze zbawiennie podziało na obolałą głowę Tracy.

– Miałaś już spotkanie z BOZ? – spytał Kins.

– Miałam się spotkać wczoraj, ale się nie stawiałam.

– To uważaj. Podobno Rawley to kawał sukinsyna. Bardzo serio traktuje to całe gówno.

– Powiedziałam mu, że mam babskie problemy i muszę wcześniej wyjść z pracy.

– I nie kazał ci dokładnie wyłuszczyć jakie? – spytał z uśmiechem Kins.

– Wyobraź sobie. Żeby wyszło bardziej przekonująco, jestem dziś na chorobowym.

– Mam nadzieję, że wczoraj nie piłaś sama. – Po sześciu latach współpracy Kins znał ją na wylot. – Mam się o ciebie martwić?

Uśmiechnęła się.

– No cóż, cieszę się, że chociaż jedno z nas się pobzykało – powiedział.

– Nie mówiłam nic o bzykaniu.

– Nie musiałaś.

* * *

Johnny Nolasco odszedł kawałek od Centrum Sprawiedliwości i wyjął telefon komórkowy na kartę. Maria Vanpelt odebrała po pierwszym dzwonku.

– Ruszamy do akcji dziś po południu – oznajmił.

– Już?

– Komendantowi zależy na zrobieniu dużego szumu. A to będzie prawdziwa bomba.

– Jak bardzo jesteście pewni, że to on?

– Rozmawiałem długo z profilerką. Pasuje do jej profilu. Jest niespełnionym gliniarzem i byłym wojskowym. Zna się na wiązaniu węzłów i ma łatwy dostęp do sznura. Odrobiliśmy zadanie domowe. Sznur pochodził z magazynu Home Depot. I gość nie zaliczył testu na wariografie. To z całą pewnością uzasadnia przeszukanie jego domu.

– Jak to planujecie?

– Mam w pogotowiu ekipę FBI. Wystarczy, żebym zadzwonił.

– Dlaczego FBI, a nie miejska policja?

– Bo mamy przecieki. – Uśmiechnął się. – Jak mógłbym zaufać ekipie Tracy Crosswhite, jeśli któryś z jej członków przecieka?

– A poza tym cała chwała pójdzie na twoje konto.

– Dam ci znać, kiedy rozpoczniemy. Właściwe zgranie w czasie będzie kluczowe. Wymyśliłaś już, jak się o tym dowiedziałaś?

– Nawet lepiej. Poszłam do wydawcy i powiedziałam, że w związku z nową grupą zadaniową chcę zrobić program pod hasłem: „Na czym stoimy”, w ramach którego przeprowadzimy też wywiad z tobą. Wyjdzie na to, że akurat trafiłam na dzień, w którym przystąpiliście do akcji.

– Bądź pod telefonem – powiedział Nolasco.

Rozdział 51

Kins odsunął się od biurka, znużony i stęskniony za aktywnością ruchową, która ostatnio sprowadzała się u niego do pójścia do toalety lub po kawę. Nolasco zwał na niego masę roboty biurowej – wprowadzanie doniesień telefonicznych do komputera, robienie tabel i wykresów i weryfikowanie zeznań świadków. Cokolwiek, żeby przykuć go do biurka i – jak podejrzewał – odsunąć od bieżących wydarzeń, którymi mógłby dzielić się z Tracy.

W pokoju socjalnym natknął się na Faza, który wysącał resztki kawy z poplamionego dzbanka do kubka z napisem KUBEK z przodu i podobizną Faza z tyłu.

– Proszę, pij – powiedział, wyciągając go ku Kinsowi. – Wygląda, jakbyś bardziej tego potrzebował niż ja, a to już niedobrze.

Kins zamachał rękami.

– I miałbym stracić okazję do postania parę minut i poczekania na świeżą? W życiu, Fazio. To kulminacyjny moment dnia pracy.

– Co, u diabła, ten Nolasco kombinuje? – mruknął Faz. – Jak będziemy tak siedzieć z palcem w dupie, to nigdy tego drania nie złapiemy.

– Nie wiem, ale znów dzwoniła Santos i o niego pytała. Powiedziała, że zażyczył sobie od niej na piśmie profilu i opinii o poszczególnych podejrzanych.

– Powiedziała po co?

– Nie powiedział jej, oznajmił tylko, że to bardzo pilne.

– A gdzie on teraz jest?

– Nie wiem.

– No cóż, taka przynajmniej korzyść z jego wychodzenia z biura, że go tu nie ma.

Kins ruszył z powrotem do biurka, ale po drodze postanowił jeszcze chwilę odsapnąć i pilotem włączył telewizor. Był nastawiony na Kanał 8, na którym wszyscy wczoraj oglądali wiadomości. Stojąc z kubkiem świeżo zaparzonej kawy w ręce, ujrzał sunący u dołu ekranu pasek z najświeższą wiadomością.

PRZEŁOM W ŚLEDZTWIE W SPRAWIE KOWBOJA

Chwilę później nad białym parterowym domkiem pośrodku soczycie zielonego trawnika z kilkoma drzewami owocowymi i blaszaną szopą zawisł helikopter i Kins poczuł wiercenie w żołądku.

– Hej, Faz?! – zawołał.

– No?

– Już chyba wiem, co Nolasco kombinuje.

* * *

Dzwonek telefonu wyrwał Tracy z głębokiego snu. Leżała z twarzą wtuloną w pościel łóżka, na które padła w ubraniu po spotkaniu z Kinsem. Wyświetlacz komórki rozbłysnął dosłownie parę centymetrów od jej twarzy, ale gdy spróbowała sięgnąć po telefon, ręka okazała się jak z ołowiu. Spała na niej i całe ramię jej ścierpło. Przekręciła się na plecy i poczuła kłujące igielki na skórze. Obie z Sarą nazywały taką rękę „umarłą”, a stan ten można też było wywołać dobrze wymierzonym kuksańcem powyżej bicepsa. Spróbowała usiąść, ale głowa ciążyła jej równie mocno jak ramię.

Rozpoznała numer na wyświetlaczu i odebrała, nie podnosząc się z łóżka.

– Hej – zachrypiała, odchrząknęła i spróbowała ponownie. – Hej.

– Obudziłem cię? – spytał Dan głosem, w którym zabrzmiała nutka zdziwienia.

– Która godzina?

– Prawie wpół do piątej.

Nie dowierzając, odwróciła głowę i spojrzała na budzik na nocnym stoliku.

– Cholera. – Zamierzała zdrzemnąć się tylko godzinkę.

Dan parsknął śmiechem.

– Ile trwała twoja drzemka? – zapytał.

– Około siedmiu godzin.

– Widać tego potrzebowałaś.

Ziewnęła i spojrzała na nogi.

– Nie zdjęłam nawet butów.

– U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, wszystko. Wciąż jeszcze jesteś w tym magazynie?

– Niedługo kończę.

– Udało ci się coś znaleźć?

– Jak dotąd nic. Jestem mniej więcej w połowie, ale przynajmniej wypracowałam sobie system, który daje mi złudzenie, że się posuwam do przodu. Pomyślałem, że skoro mnie już wyniosło taki kawał na północ, to zajrzę do domu i do chłopaków i upewnię się, że wciąż mam dom.

– Już nie mogę się doczekać.

– Nic podejrzanego się nie dzieje? Na pewno?

– Dan, wszystko w porządku, naprawdę. Sam powiedziałaś, że żyję tu jak w fortecy.

– Powinienem być około ósmej

– Zrobię kolację.

– Ty zrobisz kolację?

– Hej, umiem gotować.

– Chyba wyskoczę ze skarpetek.

Tracy rozłączyła się, rzuciła telefon na łóżko i jeszcze przez dobre kilka minut dochodziła do siebie. Zdała sobie sprawę, że

jest głodna, czuła się też brudna i lepka. Co najpierw: jedzenie czy prysznic?

Zdecydowanie jedzenie.

Zwlekła się z łóżka, przeszła do kuchni, wyjęła z lodówki kartonik z resztkami chińszczyzny i ruszyła ku drzwiom na taras, dziobiąc jedzenie pałeczkami. Chwilę się pogimnastykowała, rozciągając szyję i ramiona i cały czas czekając, by jej ciało i umysł do końca się rozbudziły. Spojrzała na trawnik tam, gdzie wczoraj stał intruz.

Po trawniku w stronę zarośli przemieszczała się czarna kulka. Roger.

* * *

Kins wpatrywał się w ekran, nie bardzo wierząc własnym oczom.

– Co to za jedni? – spytał Faz.

– Pewnie FBI. Rezultat działań Nolasco. Sprowadził federalnych, żeby nam dopiec.

Nie musieli długo czekać, by stwierdzić, kogo jeszcze Nolasco sprowadził. Maria Vanpelt zbliżyła do ust mikrofon i poprawiła palcem słuchawkę w uchu. Oprócz niej nie było widać żadnych innych reporterów.

– Dał jej cynk – burknął Faz.

– Najwyraźniej – potwierdził Kins.

„Relacjonuję na żywo z miejsca prawdopodobnie zasadniczego przełomu w śledztwie w sprawie zabójstw Kowboja. – Wyciągnęła rękę w stronę parterowego domku w głębi ulicy. – Przed chwilą agenci FBI wkroczyli do domu Davida Bankstona, człowieka mającego coś wspólnego z tymi morderstwami”.

– Bankston? – parsknął Kins.

„Pracujący w magazynie w Kent Bankston znalazł się w kręgu podejrzeń, gdy na sznurze znalezionym na jednym z miejsc przestępstwa odkryto ślady jego DNA”.

– To nie było miejsce przestępstwa – burknął Kins.
– Wykolegował nas. Nolasco nas wykolegował – wybuchnął Faz.

„Akcją dowodzi kapitan Johnny Nolasco z miejskiej policji w Seattle, który ostatnio przejął dowodzenie grupą zadaniową zajmującą się śledztwem w sprawie Kowboja”.

Drzwi domu się otworzyły i Vanpelt podjęła na gorąco swoją relację.

„W tej chwili agenci FBI wyprowadzają z domu podejrzanego kobietę i dziewczynkę”.

Obraz z kamery przesunął się na stojącą obok domu dużą szopę.

„Inna grupa agentów czymś wyglądającym jak nożyce do metalu zмага się z kłódką na drzwiach szopy”.

Kamera zrobiła zbliżenie, ukazując grupkę agentów w granatowych kurtkach z wielkimi złotymi literami FBI na plecach w trakcie włamywania się do szopy. Drzwi zostały otwarte i agenci przypuścili atak, ruszając do środka z bronią w wyciągniętych rękach.

– Idioci – mruknął Kins. – Jakby był w środku, to jakim cudem mógłby się zamknąć na kłódkę.

„Na chwilę oderwiemy się od akcji – rzuciła Vanpelt – bo widzę kapitana Johnny’ego Nolasco”.

Idący przez trawnik Nolasco był ubrany w dżinsy i też granatową kurtkę, tyle że z białym logo policji z Seattle na plecach.

Vanpelt zawołała: „Kapitanie Nolasco!”, i ten zatrzymał się. „Może pan nam zdradzić, co się tutaj dzieje?”

Nolasco machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzać, i poszedł dalej. Kamera odprowadziła go do wejścia do szopy, gdzie na moment się zatrzymał, powiedział coś do agentów i wszedł do środka.

– Muszę zadzwonić do Tracy – powiedział Kins. Podszedł do biurka, zabrał swoją komórkę i ruszył w stronę Byczej Zagrody, po drodze wybierając numer. Zgłosiła się poczta głosowa,

zostawił więc krótką wiadomość: „Tracy, zadzwoń do mnie. Włącz telewizję na Kanale Ósmym. Nie uwierzysz własnym oczom”.

Na ekranie znów pojawił się Nolasco, który wyszedł z szopy z czymś w ręce.

„Wygląda na to, że kapitan Nolasco znalazł w szopie coś ciekawego – powiedziała Vanpelt i kamera zrobiła zbliżenie. – To zwój sznura”.

Kins poczuł dreszcze.

„Kapitanie Nolasco!” – zawołała ponownie Vanpelt.

Tym razem Nolasco nie zareagował machnięciem ręki i podszedł do reporterki, trzymając zwój żółtawego sznura. Twarz miał ściągniętą i surową, jak przystało na zaaferowanego policjanta.

„Może pan nam powiedzieć, czy to taki sam sznur, jakiego użyto w zabójstwach Kowboja?” – spytała dziennikarka.

„Nie komentuję materiału dowodowego”.

– To po cholere go trzymasz w ręce? – rzucił głośno Kins.

„Czy David Bankston jest Kowbojem?”

„Za wcześnie, by o tym mówić”.

„Czy może pan nam powiedzieć, co było przyczyną nalotu na jego dom?”

„Po dokonaniu zmian w składzie grupy zadaniowej przyjrzałem się ponownie zebranym dowodom i na tej podstawie uznałem, że konieczne jest przeszukanie posiadłości Bankstona”.

„Czy David Bankston został aresztowany?”

Nolasco się zawahał i Kins od razu wyczuł pismo nosem.

– Nie mają go – prychnął. – I nie wiedzą, gdzie jest.

– Żarty sobie stroisz? – zachnął się Faz. – Nie zgarnęli go przed pójściem do niego do domu?

„Wkrótce zostanie aresztowany” – odparł Nolasco.

Kins spojrzał na swój telefon.

– Co jest, Sparrow? – spytał Faz.

– Tracy nie odebrała. Dlaczego nie odbiera telefonu?

– Może go wyłączyła.

– Ona nigdy nie wyłącza telefonu. – Kins raz jeszcze wybrał numer i ponownie włączyła się poczta głosowa. Spróbował zadzwonić na numer domowy, ale tu też odezwała się poczta. – Pieprzę to – burknął i ruszył do biurka po portfel i kluczyki.

– Jadę z tobą – oświadczył Faz.

Rozdział 52

Dan zasunął metalową bramę i założył kłódkę. Przeglądanie zawartości pudeł okazało się zadaniem powolnym i uciążliwym. W jednym z kartonów opisanym nazwą firmy znalazł papiery dotyczące innej firmy; w wielu panował podobny bałagan, a to znaczyło, że musiał kolejno zaglądać do wszystkich pudeł i teczek z dokumentami. Kiedy zadzwonił do Tracy, był mniej więcej w połowie sprawdzania zawartości magazynu i miał ochotę się poddać, ale zadanie na swój sposób go wciągnęło. Miał też świadomość, że w miarę ubywania nieprzejrzanych pudeł jego szanse na znalezienie poszukiwanych materiałów rosną. Trzy razy otwierał kolejne pudło z postanowieniem, że na nim zakończy poszukiwania i da sobie spokój, i trzy razy otwierał następne. I przy tym trzecim dopisało mu szczęście. Wewnątrz znajdowały się teczki z etykietą *Sprośny Ernie*, a szybki rzut oka potwierdził, że zawierają dokumenty finansowe i akta osobowe.

Zrobiło się już całkiem ciemno i Dan postanowił zabrać cały karton. Właśnie ładował go do bagażnika tahoe, gdy zza rogu budynku magazynowego wyłoniły się światła samochodu. Alita Gotchley podjechała jeepem i wysiadła, zostawiając silnik na chodzie i włączone reflektory.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – spytała, spoglądając na karton.

– Na to wygląda – odparł. – Nie miałem czasu dokładnie sprawdzić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zabiorę całe pudło.

– Czuj się jak u siebie i powodzenia. Przyjechałam spytać, czy przed powrotem do domu nie miałbyś ochoty czegoś przegryźć.

O tej porze dnia ruch do Seattle będzie koszmary.

– Dzięki za propozycję, ale postanowiłem wykorzystać to, że jestem taki kawał na północ od Seattle, i wpaść do Cedar Grove po moje psy. Już tak dawno mnie nie widziały, że pewnie myślą, że je porzuciłem.

– Lubię buszować w tamtych stronach za antykami. Znam też jeden cudowny gorący strumień. Zawiózł mnie tam kiedyś przyjaciel. Może moglibyśmy się tam spotkać w któryś weekend? Nie musiałyś nawet brać kąpielówek.

– Alito, myślę, że nie dałbym rady nadążyć za tobą – powiedział Dan z uśmiechem.

– I to historia mojego życia. Ale patrząc na ciebie, pomyślałam, że coś w tobie jest. – Mrugnęła porozumiewawczo i przeszła na swój irlandzki żargon. – No cóż, Danie O’Leary, znaczy się to chyba do widzenia. Niech ci się droga ścieli i wiatr zawsze duje w plecy. Niech ci słońce świeci na twarz, a deszcz skrapia twoje pola. I do chwili, aż się znów spotkamy, niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– I nawzajem – powiedział Dan, lekko ją przytulając.

* * *

Johnny Nolasco powrócił do szopy, czując wzbierającą wściekłość. Dwóch agentów FBI pojechało do magazynu Home Depot, by tam aresztować Davida Bankstona, bo zgodnie z grafikiem powinien po południu być w pracy, na miejscu jednak okazało się, że go nie ma. Nikt nie zauważył, jak wychodził, a jego vana nie było na parkingu pracowniczym. Na wieść o tym Nolasco stanął przed krytyczną decyzją. Wcześniej zdążył powiadomić o akcji Vanpelt, która była już w drodze do domu Bankstona. Plan był taki, że reporterka natknie się na rewizję w toku i wezwie na miejsce należący do stacji helikopter. Dlatego zgranie wszystkiego w czasie było sprawą kluczową.

Mimo to Nolasco dał sygnał do rozpoczęcia akcji, licząc, że albo zastanie Bankstona w domu, albo zgarnie go po drodze. Nie

wydarzyło się jednak ani jedno, ani drugie i powstał problem.

W głębi szopy znaleźli komórkę z drzwiami zamkniętymi na kłódkę. Gdy ją otworzyli, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był leżący na stoliku zwój nylonowego sznura. To go rozochociło i utwierdziło w przekonaniu, że instynkt go nie zawiódł. Znalazł Kowboja! Na stoliku leżał też notatnik z odręcznymi wpisami o charakterze dziennika oraz kilka zeszytów z wyciętymi z gazet artykułami i zdjęciami, które Bankston pieczołowicie wklejał. Wszystkie dotyczyły czterech zabójstw tancerek, niektóre fragmenty były podkreślone i zaznaczone kolorowymi flamastrami, co stanowiło dodatkowe potwierdzenie, że to Bankston jest poszukiwanym zabójcą. Jedyne, co w tym wszystkim niepokoiło Nolasco, to dziesiątki fotografii, którymi wyklejone były ściany komórki. Pieczołowicie podobierane i pozostawiane w logiczne kolaże, łączyło je jedno: na każdej widniała twarz Tracy Crosswhite przekreślona zamaszystym czarnym X.

* * *

Tracy wyjęła z szafki puszkę z kocią karmą i kilkakrotnie stuknęła łyżką w wieczko, dobywając z niego dźwięk, który zawsze działał na Rogera. Zapadał szybko zmrok i w zaroślach poniżej jej posesji mógł się już pojawić jakiś szop, a nawet kojot, a Roger nie miał natury wojownika. Na widok drapieżnika był bardziej skłonny ułożyć się na grzbiecie i wyciągnąć łapki w górę, niż podjąć walkę. A jeśli strzeli mu do głowy wycieczka w dół zbrocza aż do Harbor Way, to niemal na pewno zginie pod kołami jakiegoś samochodu.

Szybko zeszła po schodach i otworzyła drzwi do sali telewizyjnej. Wychodzące na wschód okna były zasłonięte kotarami i w środku panowała zupełna ciemność. Przeszła szybkim krokiem do drzwi na podwórze, ale dopiero gdy sięgnęła do zamka, by go otworzyć, uświadomiła sobie, że już jest otwarty.

* * *

Kins wypadł swoim bmw z garażu na ulicę, na dachu błyskał mu na czerwono i niebiesko przenośny kogut. Faz jedną ręką złapał uchwyty nad drzwiami pasażera, drugą przycisnął do ucha telefon komórkowy połączony z dyspozytorem.

Kins objechał zaparkowanego niechlujnie przy krawężniku SUV-a, zwolnił, by wpasować się w gęsty strumień pojazdów, i skierował się na zjazd prowadzący na Alaskan Way Viaduct.

– Każ im porozumieć się z policjantem pod jej domem i polecić mu do niej zapukać – poinstruował dyspozytora Faz.

– Nic z tego – mruknął Kins. – Nolasco zdjął ochronę sprzed jej domu. Już tam nie ma żadnego policjanta. Każ im wysłać patrol z komisariatu Południowy Zachód.

Faz przekazał prośbę.

– I powiedz, żeby wzięli taran – dodał Kins.

Faz powtórzył i rozłączył się.

– Jak szybko dojedziemy? – spytał.

– Zależy od korków. – Kins wjechał na wiadukt i od razu dał po hamulcach. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się przed nimi sznur czerwonych świateł pozycyjnych. Włączył syrenę, ale przy zaledwie trzech pasach ruchu i braku pasa awaryjnego samochody nie bardzo miały gdzie uciekać. Nie było innej rady, jak cierpliwie posuwać się w żółwym tempie.

– Bankston w ogóle na nią nie patrzył – powiedział Kins.

– Na Tracy?

– Kiedy przyszedł na test na wykrywaczu, Santos zastąpiła Tracy. Bankston sprawiał wrażenie bardzo z tego powodu niezadowolonego i cały czas dopytywał się o Tracy. Twierdził, że ma dla niej informacje. A na Santos nie chciał nawet spojrzeć.

Faz ponownie zawył syreną, rzucane przez kogut błyski rozświetlały wnętrza samochodów, które starały się zjeżdżać na bok. Kins systematycznie parł do przodu.

– No to nie chciał na nią patrzeć. I co z tego?

– Nie widziałaś Santos. Większość facetów nie odrywa od niej wzroku. A Bankston nawet na nią nie spojrział. A potem zaważył test na wykrywaczu.

– Ale nie na pytaniu, czy je zabił.

– Santos twierdzi, że tacy ludzie zaliczają test, bo nie gryzie ich sumienie. Nie uważają, że zrobili coś złego, i nie mają wyrzutów. Więc to może pasować. Nie mógł ukryć tego, że znał te kobiety, ale nic nie czuł z powodu ich zabicia. Albo w ogóle nie uważa, że je zabija.

– Już się pogubiłem.

Kins musiał znów stanąć i odczekać, aż potężny SUV usunie mu się z drogi.

– Santos uważa, że ten wymyślny sposób stosowany przez Kowboja do uśmiercania ofiar może wskazywać na jego próbę odcięcia się od aktu zabójstwa. Że to nie on zabija te tancerki, bo zabijają się same. No, rusz się! – wrzasnął Kins, z bezsilności waląc pięścią w kierownicę.

– Brzmi to dla mnie jak kupa psychozmyślnego gówna – mruknął Faz.

– Zadzwoń do dyspozytora i dowiedz się, czy mają Bankstona pod kluczem. I zadzwoń jeszcze raz na komórkę Tracy. Miejmy nadzieję, że to wszystko to tylko fałszywy alarm.

* * *

Tracy kątem oka dostrzegła wyłaniającą się z cienia sylwetkę, odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Chwytając się drewnianej poręczy i przeskakując po dwa stopnie, docierała już niemal do szczytu schodów, gdy poczuła jego rękę na kostce nogi. Zachwiała się, runęła na kolana i na ślepo wymierzyła kopniaka do tyłu, ale napastnik zdążył przygwoździć ją do schodów. Był ciężki i silny. Chwycił ją za głowę i grzmotnął nią o stopień. Zamachnęła się łokciem do tyłu, trafiła go w bok i usłyszała jęk bólu. Z całej siły powtórzyła cios, odchyliła się i złapałszy go za włosy, szarpnęła. Krzyknął z wściekłości, puścił jej głowę, lecz

sięgnął po rękę. Uciekając, upuściła puszkę, ale nie łyżkę i teraz dziabnęła go nią pod zębra. Cofnął się, a ona się odwróciła.

Miała przed sobą Davida Bankstona, który w ręce trzymał pętlę.

Kopnęła go dwiema nogami i pozbawiła równowagi, ale upadając do tyłu, zdołał się jej uchwycić. Obijając się o ściany, stoczyli się oboje ze schodów. Tracy starała się przytrzymać drewnianej poręczy, usłyszała jednak głośny trzask i jej fragment oderwał się od ściany. Poleciała w dół, koziołkując, i z hukiem upadła na brzuch. Bankston runął na nią i poczuła ostry ból w obojczyku. Cios na moment pozbawił ją oddechu. Starając się zaczerpnąć powietrza, uniosła głowę.

I wtedy David Bankston narzucił pętlę na jej szyję i mocno zacisnął.

* * *

Gdy tylko Dan wjechał na podjazd, Rex i Sherlock zaczęli radośnie czekać i wyć. Widać ich było, jak łeb przy łbie sterczą w oknie, opierając się przednimi łapami o parapet, strzygąc uszami i młócąc ogonami powietrze. Gdy wysiadł z samochodu, ich radość jeszcze się wzmogła.

– Cześć, chłopaki! Też się bardzo cieszę, że was widzę! – zawołał do nich uspokajającym tonem i ruszył do wejścia. Wiedział, że nie będzie łatwo się z nimi przywitać i nie dać się przy tym stratować. Bezwarunkowa miłość zwierzaków to coś wspaniałego, pod warunkiem jednak, że nie grozi poważnymi urazami. Dlatego zresztą postanowił na razie zostawić pudło z papierami ze Sprośnego Erniego w samochodzie. Podszedł do drzwi i psy wręcz dostały szału: drapały zawzięcie pazurami szybę i parapet. Sąsiad wyprowadzał je na codzienny spacer i pozwalał im się wybiegać w miejskim parku – Dan wolał nawet nie myśleć, jak by to wyglądało, gdyby nie mogły codziennie wyładowywać nadmiaru energii. Pewnie wytlukłyby szybę i wyskoczyły przez okno.

Kiedy otworzył zamek, psy opadły z parapetu na przednie łapy i runęły na drzwi. Próby zaprowadzenia porządku nie robiły na nich żadnego wrażenia.

– Dobra, dobra, już jestem. Też się za wami stęskniłem. Spokój. Już spokój, mówię.

Starał się otworzyć drzwi, zmagając się z ponad stu trzydziestoma kilogramami psiej masy, która postanowiła go powitać i robiła to, walcząc z sobą o pierwszeństwo. Psom udało się wetknąć pyski w szparę, drzwi się otworzyły i oba zwierzaki doskoczyły do Dana z taką energią, że aż stracił równowagę. Zdołał ustać na nogach i nie pozwolił się rozpląszyć na podłodze. Czochrał ich sierść, głaskał po łbach, a one tańczyły wokół niego, pojękując ze szczęścia. Po chwili Danowi udało się wyjść przed dom i zarządzić:

– Bieg! Idźcie sobie pobiegać.

Psy ruszyły wokół podwórza; wpadały na siebie i wzajemnie się taranowały jak samochodziki w wesołym miasteczku, a Dan je jeszcze zachęcał do zabawy. Niech robią, co chcą, byle zużyły jak najwięcej rozpierającej je energii przed powrotem do domu. Na szczęście oba nie należały do zbyt wytrzymałych i po paru minutach wróciły do niego ze zwisającymi z pysków jęzorami. Jeszcze chwilę się nimi zajmował, po czym wszyscy trzej weszli do środka.

Zamknął drzwi i ponownie zadzwonił na komórkę Tracy. Próbował parokrotnie po drodze, ale wszystkie połączenia kończyły się na poczcie głosowej, podobnie jak to. Spojrzał na zegarek. Mogła pójść pobiegać, choć byłby to już bardzo długi bieg. Poza tym wątpił, by w tych okolicznościach i o tej porze zdobyła się na samotne wyjście z domu. Zadzwonił jeszcze na numer stacjonarny, lecz ten też szybko przełączył się na pocztę głosową.

Trochę go to niepokoiło, ale nie za bardzo. Rozmawiał z nią wcześniej i wiedział, że siedzi zamknięta w domu i wszystko jest w porządku.

Tylko dlaczego nie odbiera telefonu?

Odłożył komórkę na marmurowy blat, włączył telewizor na lokalne wiadomości i przeszedł do kuchni. W prawie pustej lodówce znalazł samotną butelkę corony i kawałek sera reggiano. Wyjął ze spizarki paczkę krakersów, z szuflady nóż i zaczął jeść ser i zagryzać krakersami, popijając piwem. Właśnie miał pociągnąć kolejny łyk z butelki, gdy u dołu ekranu telewizora pojawił się pasek.

Pomyślał o samoczynnie włączających się światłach za domem Tracy i zaraz potem o jej nieodbieraniu telefonów.

* * *

Kins zjechał na West Seattle Bridge, skręcił w lewo na rozjeździe i przemknął wzdłuż kolejki samochodów czekających pod światłem STOP. Wieczorny ruch na moście też był gęsty, ale większa liczba pasów ruchu umożliwiała samochodom szybsze zjeżdżanie z drogi.

Faz zakończył rozmowę z dyspozytorem, który zadzwonił z informacją, że kilka ekip interwencyjnych jest w drodze do domu Tracy.

– Udało im się z nią porozumieć? – spytał Kins.

– Jeszcze nie.

– Jak tak dalej pójdzie, to dojedziemy tam przed nimi – rzucił poirytowanym tonem Kins.

Zjechał pierwszym zjazdem z mostu, na skrzyżowaniu skręcił w prawo i ruszył w górę stromego wzniesienia. Przed samym szczytem zwolnił przed skretem i już miał wcisnąć gaz do dechy, gdy zamiast tego musiał z całej siły wdepnąć w hamulec. Zatrzymali się dosłownie parę centymetrów od furgonetki UPS blokującej całą szerokość wąskiej jezdni.

* * *

Leżąc na brzuchu, Tracy czuła na szyi gorący oddech i krople śliny przygniatającego ją Bankstona, i pętlę na szyi. Tuż przed zaciśnięciem udało jej się włożyć pod sznur palce lewej ręki i walczyła teraz o zachowanie tego cennego centymetra luzu, bez którego dopływ tlenu zostałby całkowicie odcięty.

Coś ją boleśnie uwierało w klatkę piersiową. Pomacała prawą ręką i wyczuła pod sobą fragment odłamanej poręczy. Uchwyciła go, wyteżyła wszystkie siły i uniosła brzuch i biodra na tyle, by go spod siebie wysunąć.

Poruszenie się spowodowało zaciśnięcie pętli i w oczach rozjarzyły się rozbłyśki światła.

Ponownie uniosła biodra, przekręciła się i zamachnęła kawałkiem drewna jak pałką, trafiając Bankstona w lewą stronę głowy. Siła ciosu odrzuciła go w prawo i sznur wyslizgnął mu się z rąk. Tracy szarpnęła pętlę na szyi i wciągnęła głęboki haust powietrza, a potem walnęła napastnika pałką po raz drugi i trzeci. Stoczył się z niej, próbując zasłonić się przed ciosami. Odturlała się kawałek dalej i mimo bólu i duszności spróbowała się podnieść na kolana. Zsunęła pętlę przez głowę, odrzuciła sznur w kąt pokoju i charcząc, zaczerpnęła kolejny haust powietrza. Miała wrażenie, jakby ktoś wypalał jej ramię gorącym żelazem, kręciło jej się w głowie i czuła mdłości.

I wściekłość, prawdziwą dziką wściekłość.

Niepewnie stanęła na nogi.

Bankston z krwią ciekącą z rozciętej głowy zatoczył się i też wstał.

Tracy uniosła odłamany kawałek poręczy.

– Chodź – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – No chodź, ty sukinsynu.

Zaatakował.

* * *

Kins jeszcze nigdy nie widział, żeby kierowca furgonetki UPS tak szybko się poruszał. Słyszając wrzask Faza, by zabierał z drogi

swojego grata, kierowca puścił się pędem przez trawnik i jednym skokiem znalazł się za kierownicą. Biegi zazgrzytały i furgonetka skoczyła do przodu, wjeżdżając przednimi kołami na chodnik. Kins precyzyjnie się, popędził uliczką i z poślizgiem zahamował przed domem Tracy. Obaj równocześnie otworzyli drzwi i wyskoczyli z samochodu, Kins podbiegł do furtki i wcisnął przycisk domofonu. Wciąż jeszcze miał nadzieję, że Tracy mu otworzy.

Nie otworzyła.

– Gdzie jest ten cholerny radiowóz?! – wrzasnął, rozglądając się po ulicy i nie przestając wciskać guzika.

Zza rogu wyjechały dwa radiowozy z błyskającymi lampami, stanęły na środku ulicy za bmw Kinsa i wysiadło z nich czterech policjantów w mundurach. Jeden trzymał w rękach taran – stalową rurę z uchwyty, za które można było złapać i zaszarżować niczym baran.

Kins odsunął się od furtki.

– Rozwalcie to – zarządził.

Najrośniejszy z policjantów złapał za uchwyty, zrobił zamach i wyrzucił taranem w furtkę na wysokości domofonu. Ogrodzenie zadygotało i zazgrzytało, lecz furka nie puściła.

– Jeszcze raz – polecił Kins.

Za drugim, trzecim i czwartym razem furka się wyginała i dygotała, ale nic więcej.

– Czekaj! – zawołał Kins i przyjrzał się zamkowi. Wystawał z niego gruby stalowy rygiel, który zagłębiał się na co najmniej pięć centymetrów w stalową ramę furtki. Ogrodzenie wyginało się pod ciosami, ale nie było szans, by rygiel wyskoczył z gniazda. – To na nic – rzucił. – Za bardzo sprężynuje. – Przyjrzał się ogrodzeniu i zwracając się do pozostałych dwóch policjantów, powiedział: – Złapcie się za ręce i mnie podsadźcie.

– Nie próbuj przelać przez ten płot – zachnął się Faz. – Pamiętaj o swoim biodrze.

– Masz lepszy pomysł?

– Każ któremuś z nich.

– Złapcie się za ręce – powtórzył Kins. Policjanci wykonali polecenie i stanął na ich splecionych dłoniach. – Na trzy podnieście mnie i trzymajcie w górze tak długo, aż powiem „już”. Przeszedłem jedną wazektomię w życiu i drugiej nie chcę. Gotowi? Trzy.

Policjanci unieśli ręce, Kins dosięgnął poziomej poprzeczki ciągnącej się piętnaście centymetrów poniżej czubków szpikulców, chwycił się obiema rękami i przerzucił nad nią prawą nogę ze zdrowym biodrem. Pokonał rozkrokiem rząd ostro zakończonych szpikulców, balansując nad nimi jak gimnastyk na koniu z lękami. Ramiona drżały mu z wysiłku.

– Dobra, już! – krzyknął.

Wstrzymał oddech, zacisnął zęby i przeniósł lewą nogę ponad ogrodzeniem. Gdy znalazła się poza linią szpikulców, odepchnął się, upadł na ziemię i potoczył się, amortyzując upadek. Nogę od biodra po palce przeszył spazm ostrego bólu.

– Żyjesz?! – zawołał Faz.

Kins z trudem stanął na nogi, czując, jak ból zatyka mu dech w piersiach. Skrzywił się i mruknął:

– Przerzućcie tu ten taran.

Taran przefrunął przez płot i ze szczęknięciem wylądował po drugiej stronie, rozbijając jedną z płytek na patio. Kins odchylił się i grzmotnął nim w drzwi frontowe tuż nad szyfratorem. Rozległ się trzask pękającego drewna, ale drzwi nie puściły. Uderzył po raz drugi, framuga się rozszczepiła, lecz rygiel wciąż trzymał. Po trzecim uderzeniu drzwi z hukiem się otworzyły.

Rzucił taran, wyszarpnął z kabury glocka i wpadł do środka. Zatrzymał się na moment, by nacisnąć przycisk zwalniający rygiel furtki, po czym ruszył przed siebie, wykrzykując imię Tracy.

* * *

Fotoreporter Marii Vanpelt wrzucił ostatnią torbę ze sprzętem do vana i pokręcił głową.

– To niesłychane – powiedział. – Albo urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą, albo zawarłaś pakt z diabłem.

– Może jedno i drugie – odrzekła z uśmiechem.

Wciąż czuła dopływ adrenaliny. Ubiegła nie tylko pozostałe lokalne stacje, ale i wszystkie sieci ogólnokrajowe, a szefowa redakcji właśnie ją powiadomiła, że partnerskie stacje puszczają ich nagranie. Zadzwoiła komórka.

– Widziałaś ten materiał na żywo? – rzuciła do słuchawki. – Czy ktoś kiedyś puścił na żywo rewizję komórki seryjnego zabójcy?

– Gdzie jesteś? – spytała szefowa redakcji i Vanpelt wyczuła w jej głosie napięcie.

– Pakujemy się. A co? Co się stało?

– Bo dostajemy dziwne sygnały, że coś dzieje się w domu Tracy Crosswhite w zachodnim Seattle.

– Co? – Vanpelt poczuła nagły ciężar w żołądku. – Jakie sygnały?

– Nie wiem. Ale dzieje się coś ważnego. Sieć rozgrzana do czerwoności. Wysyłam tam już...

– Nie – przerwała jej Vanpelt. – Ja się tym zajmę.

– Jesteś za daleko.

– To mój temat. Już tam jadę. – Rozłączyła się i spojrzała przez podwórko na dwa vany CSI i stojącego przy nich Johnny'ego Nolasco w otoczeniu grupki agentów FBI. Mimo odniesionego sukcesu nie wyglądali na zachwyconych. Nikt nie przybijał sobie piątek, nie gratulował sobie ani radośnie się nie uśmiechał.

– Mario? – odezwał się jej fotoreporter.

– Jedziemy, szybko!

* * *

David Bankston rzucił się na nią, ale Tracy go uprzedziła. Zrobiła unik i zamachnęła się prawą ręką, zasłonił się jednak przed ciosem przedramieniem i skoczył na nią z takim impetem, że oboje runęli na podłogę. Ramię Tracy znów przeszył

świdrujący ból, ale nie powstrzymało jej to od kopania, drapania i okładania napastnika kawałkiem poręczy do chwili, gdy udało mu się wyszarpnąć tę broń z jej ręki.

Siedząc na niej okrakiem i ciężko dysząc, z przekrzywionymi okularami i krwią ciekącą z rozbitej głowy, Bankston zamachnął się odebranym jej kawałkiem drewna.

* * *

Kins wpadł do sypialni i łazienki Tracy i nie znalazłszy jej, zawrócił ku schodom, mijając po drodze Faza i policjantów, którzy zdążyli już wejść do domu. Usłyszał jakieś odgłosy z dolnego poziomu i utykając i czując w biodrze świdrujący ból, jakby je ktoś przypiekał żywym ogniem, ruszył schodami na dół. Faz podążył tuż za nim. Mimo panujących tu ciemności dostrzegł ich oboje: leżącą na podłodze Tracy i siedzącego na niej okrakiem mężczyznę, który trzymał coś w podniesionej ręce.

Kins uniósł glocka, podświadomie przyjmując postawę strzelecką: nogi lekko rozstawione, lewa ręka uniesiona ku prawej i tworząca trójkąt z pistoletem jako jego wierzchołkiem. Dojrzał maleńką czerwoną plamkę.

– Stać! – wrzasnął. Mężczyzna odwrócił głowę i Kins rozpoznał w nim Bankstona. – Rzuć to, co trzymasz w ręce!

Tamten nie zareagował.

– Rzuć! – powtórzył Kins.

Bankston tym razem posłuchał i rzucił. Faz zasłonił się ręką, ale Kins nawet nie drgnął. Wypuścił powietrze i trzykrotnie nacisnął spust.

* * *

Huknęło, trzy rozbłyski rozświetliły pomieszczenie srebrzystobiałą poświatą, powietrze szybko wypełniło się zapachem prochu.

– Dzwonź po karetkę i koronera! – zawołał Kins w stronę jednego z policjantów. – I powiedz, żeby przysłali też ekipę CSI.

Podszedł do rozciągniętego na plecach Bankstona. Miał otwarte oczy i leżał pod ścianą, odrzucony impetem pocisków. Kins z trudem przyklęknął i poszukał tętna, nie wyczuł go i przeniósł wzrok na Tracy. Siedziała z lewą ręką przyciśniętą do ciała.

– Mam chyba złamany obojczyk – powiedziała tak chrapliwym głosem, jakby ktoś jej przetał gardło od środka papierem ściernym. Nawet po ciemku widać było na jej szyi krwiście czerwoną pręgę.

– Karetka już jedzie – powiedział Kins.

– Zajmij się lepiej Fazem.

Faz klęczał na jednym kolanie, dociskając dłoń do zakrwawionego czoła w miejscu, gdzie dostał rzuconym przez Bankstona kawałkiem drewna.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Cały impet przyjąłem na twarz.

– Możesz chodzić? – zwrócił się Kins do Tracy.

– Chyba tak. Pomóż mi.

Pomógł jej wstać.

– Skąd się dowiedziałeś? – spytała.

– Widzieliśmy tę akcję w telewizji. A ty nie odbierałaś telefonu.

– Akcję w telewizji?

– Zajmijmy się najpierw tobą, potem wszystko ci opowiem.

– Powinnam ci była powiedzieć o Stinson.

– Było, minęło.

– Możesz coś dla mnie zrobić?

– Co zechcesz.

– Zadzwoń do Dana i mu powiedz, że u mnie wszystko w porządku.

– Nie ma sprawy.

Tracy spojrzała na jednego z policjantów.

– Gdzieś tu leży łyżka i puszka kocięj karmy. Zabierz jedno i drugie, wyjdź za dom i postukaj. Mój kot gdzieś się zawieruszył.

Rozdział 53

Tracy, z ręką na temblaku, usiadła w tylnej części karetki. Drapało ją w gardle przy przełykaniu śliny, nie mogła też głębiej odetchnąć i przy każdym oddechu czuła ból w klatce piersiowej.

Vany ekipy CSI i koronera kompletnie zastawiły wąską uliczkę, co zwabiło sąsiadów, którzy powychodzili z domów, by przyjrzeć się zamieszaniu. Kawalek od domu Tracy rozciągnięto taśmę policyjną, za którą widać było reflektory ekip telewizyjnych.

W chwili gdy sanitariusz obmacywał jej rękę w poszukiwaniu żyły do wkłucia kroplówki ze środkiem przeciwbólowym, dwaj członkowie ekipy koronera wynieśli z domu nosze ze zwłokami Davida Bankstona w czarnym worku, na kamiennych płytach patio opuścili kółka i przepchnęli wózek przez furtkę do niebieskiego vana. W ślad za nimi podążyli Kins i Faz, ten drugi z okazałym opatrunkiem na twarzy.

– Jak tam twoja głowa? – spytała Tracy.

– Mówią, że muszą mi założyć kilka szwów. Kto wie, może poprawi mi to wygląd. A co u ciebie?

– Czuję się, jakby ktoś nadepnął mi na gardło.

– I masz teraz głos jak ja, Profesorko – powiedział z uśmiechem Faz.

– Podziękuj za to temu palantowi Nolasco, jak go spotkasz – mruknął Kins. – Najechali dom Bankstona, zanim go zatrzymali.

– Dlaczego nie poczekali? – spytała Tracy, krzywiąc się z bólu.

– Podejrzewam, że dlatego, że chcieli go aresztować pod okiem kamer. Na miejscu była Vanpelt. Było jej pełno wszędzie. Ciekawy zbieg okoliczności, nie?

– Dał jej cynk – stwierdził Faz. – Najpierw odsuwa nas, potem powiadamia ją. To on jest tym cholernym przeciekiem.

– Jasne jak słońce – mruknął Kins.

– Posłużył się FBI, żeby całą zasługę zapisać na swoje konto – dodał Faz. – Zostać tym, kto złapał Kowboja, a my, żebyśmy wyszli na nieudolnych frajerów.

– I co znaleźli? – spytała Tracy. – Znaleźli coś w domu Bankstona?

– Tego nie wiem. – Kins wzruszył ramionami. – Pewnie wciąż w tym jeszcze grzebią. Ale z tego, co widziałem w telewizji i słyszałem, znaleźli zwój polipropylenowego sznura oraz masę wycinków prasowych w sprawach zabójstw tancerek i komplet twoich zdjęć.

– A ta pętla? – Wiedziała, jak ważny byłby charakterystyczny węzeł.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Miałam na myśli pętlę tu, na dole.

– Aa. Ludzie z CSI się nią zajmują, ale na oko przypomina tę znaną na strzelnicy.

– Tracy! – Usłyszała głos Dana. Stał za policyjną blokadą i machał do niej ręką.

– Mógłbyś go wpuścić? – zwróciła się do Faza.

– Już się robi.

Tracy spojrzała na Kinsa.

– Musimy znaleźć jakieś powiązanie między Bankstonem i Beth Stinson.

– To mógł nie być Bankston, Tracy. Nie znaleźli jego DNA.

– To musiał być on. Zbyt wiele podobieństw.

– Bankston mógł się tylko na tym wzorować. Może czytał o tamtym zabójstwie, dowiedział się czegoś z telewizji.

– To dlaczego aż tak długo czekał?

– Wyjeżdżał ze Stanów. Był w Iraku. Po powrocie się ożenił, urodziło mu się dziecko. Tak jak mówiła Santos, tacy ludzie potrafią całymi latami żyć bez zabijania. Ale jak już zaczną, trudno im się powstrzymać.

- Tak czy siak, musimy pogrzebać w jego przeszłości.
- Zrobimy to. Ale na razie ty musisz pojechać do szpitala i wykurować się.
- Podbiegł do niej Dan.
- Dobrze się czujesz?
- Kiwnęła głową.
- Zdaje się, że wpadam w złe nawyki – mruknęła.
- Co się stało z twoim głosem?
- Zrobił się bardziej seksy. – Uśmiechnęła się i od razu skrzywiła z bólu.
- Musimy zabrać panią do szpitala i zrobić badania – wtrącił sanitariusz.
- Jadę za wami – oświadczył Dan.
- Tracy spojrzała na dom, przed którym wciąż kręcili się ludzie z ekipy CSI.
- Dopilnuję, żeby wszystko zostało dobrze pozamykane – zapewnił ją Kins.
- Znaleźli Rogera? – spytała Tracy.
- Policjant mówi, że siedział w krzakach, ale walenie w puszkę zrobiło swoje i wylazł. Zamknę go w domu.
- Nakarm go, a zaskarbisz sobie jego dożywotnią przyjaźń.
- Znaczy się chyba Włoch – parsknął Faz.

Rozdział 54

Następny tydzień Tracy spędziła w Cedar Grove, dochodząc do siebie z ręką usztywnioną na temblaku. Rzeczywiście miała pęknięty obojczyk, ale bez przemieszczenia, żebra stłuczone, lecz nie złamane. Pętla na szyi uszkodziła jej struny głosowe i lekarze zalecili, by ograniczyła mówienie do minimum.

– Taka cicha Tracy całkiem mi się podoba – zauważył Dan.

– Nie przyzwyczajaj się.

Hołubiona przez Dana i nie mając nic lepszego do roboty, zaczęła znów się zastanawiać nad powrotem do Cedar Grove i tym razem myśl o tym nie wywołała u niej takiego popłochu, jaki odczuwała tutaj podczas pobytu związanego z Sarą. Właściwie mogła bez trudu wyobrazić sobie życie w tym miejscu. Musiałaby od nowa wszystkich poznawać, mogłaby też wrócić do pracy w miejscowym liceum. Z przyjemnością myślała o kształtowaniu młodych umysłów i wpływaniu na ich przyszłe życie. Musiałaby odnowić licencję na nauczanie i uaktualnić swoją wiedzę, ale wiedziała, że sobie z tym poradzi. A właściwie ze wszystkim, co stanie jej na drodze. I choć Cedar Grove już pewnie nigdy nie będzie takim domem, jaki zapamiętała z dzieciństwa, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że może stać się nowym domem w towarzystwie Dana, Rexa i Sherlocka, no i oczywiście Rogera. Może nawet mogłaby mieć dzieci. Miała dopiero czterdzieści dwa lata i знаła kobiety, które urodziły w późniejszym wieku. Bycie starszą matką ma swoje wady, ale także zalety. Byłaby cierpliwsza, miałyby lepsze rozeznanie priorytetów i więcej czasu dla swoich pociech. Ale to

musiałyby najpierw omówić z Danem. Czuła, że dla niego też wszystko dzieje się trochę za szybko.

W poniedziałek wróciła do Centrum Sprawiedliwości. Kins, Faz i Del oraz Mayweather, który zastąpił ją w roli partnera Kinsa, prześcigali się w gestach przyjaźni wobec niej, ona jednak wciąż tkwiła na zesłaniu w kącie na piętrze dla personelu administracyjnego. Ale teraz było jej to nawet na rękę. Siedząc tam, mogła unikać pytań i spojrzeń. Podczas gdy była na zwolnieniu lekarskim, z dochodzeniem BOZ nic się nie działo, lecz jej adwokat zadzwonił z samego rana z wiadomością, że detektyw sierżant Rawley czeka z utęsknieniem na spotkanie z nią. Poinformowała go, że jest na środkach przeciwbólowych i potrwa co najmniej tydzień, zanim dojdzie do siebie.

Poza BOZ-em odezwał się też wydział finansowy urzędu miasta, który wszczął dochodzenie w związku z prowadzeniem przez Tracy nieuprawnionego śledztwa w sprawie Wayne'a Gerhardta, które pociągało za sobą marnowanie funduszy publicznych. Nie miała wątpliwości, że Nolasco podburzył urzędników miejskich do podjęcia tej akcji. Wyglądało też na to, że komendant Clarridge będzie miał kłopoty z utrzymaniem stanowiska, bo naciski w sprawie jego rezygnacji przybierały na sile. W „Seattle Times” ukazała się cała seria artykułów, w których skrytykowano jego administrację i jego osobiście. Autorzy byli zdania, że Clarridge utracił instytucjonalną kontrolę nad podległą sobie służbą, a także szacunek podwładnych.

W przeciwieństwie do niego Nolasco wychodził z całego tego zamieszania, pachnąc różami. Chwalono go i podziwiano za wymierzenie sprawiedliwości Kowbojowi. Przeprowadzano z nim wywiady w lokalnej i ogólnokrajowej telewizji, mówiono też, że w branżowym piśmie służb porządkowych ukaze się o nim duży artykuł. Krążyła plotka, że burmistrz będzie chciał wykorzystać popularność Nolasco i mianuje go na stanowisko pełniącego obowiązki komendanta policji, co pozwoli komisji kwalifikacyjnej na spokojne przesłuchanie innych kandydatów.

Według Faza, Nolasco chodził tak nadęty i napompowany samouwielbieniem, że aż dziw, że jadąc rano do pracy, mieścił się w windzie. Właściwie tylko to naprawdę martwiło Tracy: świadomość, że Nolasco postawił na swoim. Zajęło mu to dwadzieścia lat, ale wreszcie się jej pozbył. Chciałaby go za to nienawidzić, lecz w rzeczywistości jawił jej się jako ktoś mały, mściwy i żaloszny.

Maria Vanpelt w swoim programie KRIX *Tajniacy* przedstawiła godzinny reportaż o śledztwie w sprawie Kowboja. Tracy go nie oglądała, ale od Faza wiedziała, że Vanpelt podkreślała, iż śledztwo od chwili przejęcia go przez Nolasco nabrało tempa i zakończyło się sukcesem. Nie omieszkała też przy tej okazji polansować siebie. Faz policzył, że w ciągu godzinnego programu aż dziewięciokrotnie wspomniała o sobie jako „reporterce, która ujawniła fakty” oraz „reporterce na miejscu akcji” przeszukiwania domu Kowboja, podczas którego znaleziono obciążające dowody.

Emocje opadły i wszyscy chcieli pamiętać tylko o plusach. Mało kto wspominał o tym, że Nolasco zaważył sprawę, nie upewniwszy się przed wejściem do domu podejrzanego, czy ten znajduje się w rękach policji, i że niewiele brakowało, by przez to doprowadził do śmierci Tracy Crosswhite.

Kins pozostał w pracy do chwili uznania przez BOZ, że użycie przez niego broni i zabicie Davida Bankstona było uzasadnione, po czym – poobijany fizycznie i psychicznie – zabrał Shannah na zasłużony urlop do Meksyku w nadziei, że przyczyni się to do naprawy ich małżeńskich relacji.

– Spróbuj mi tylko przysłać pocztówkę z palmami, piaszczystą plażą i oślepiającym słońcem, to ci urwę jaja – powiedziała Tracy.

W pierwszy piątek po powrocie do pracy, gdy była już gotowa sobie gratulować, że przez cały tydzień uniknęła spotkania z Nolasco, zadzwoniła jego asystentka z wiadomością, że kapitan chce ją widzieć w swoim gabinecie. Idąc korytarzem Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych, słuchała znajomych dźwięków – dzwoniących bez przerwy telefonów, podnieconych

głosów i pokrzykiwania Faza: „Ludzie, kto mi znów zabrał kubek? Nie od parady jest na nim moja podobizna!”.

Wywołało to pierwszy od wielu dni szczerzy uśmiech na jej twarzy. Brakowało jej tego wszystkiego.

Drzwi gabinetu były uchylone, a Nolasco siedział za biurkiem z nosem w papierach. Spojrzał na nią i obojętnym ruchem wskazał krzesło.

– Siadaj – rzucił.

Jej ręka była nadal usztywniona na temblaku; Tracy usiadła, układając ją ostrożnie na kolanach.

Nolasco bez pośpiechu czytał dalej. Po ciągnącej się w nieskończoność minucie odłożył w końcu dokument i uniósł głowę.

– BOZ skarży się, że ich olewasz – powiedział.

– Jestem na środkach przeciwbólowych. Lekarz odradził mi udział w przesłuchaniu przed skończeniem kuracji. Niech się zwrócą do mojego adwokata.

Odchylił się na oparcie fotela.

– Ktoś musi formalnie zamknąć sprawę Kowboja i spakować akta. A Salę Bundy’ego trzeba uprzątnąć, wszystko pochować do kartonów i przekazać do magazynu. Pomyślałem, że akurat masz na to czas.

Zadanie było dla kogoś z jej szczebla uwłaczające i upokarzające, ale jeśli oznaczało wyrwanie się z Centrum Sprawiedliwości choćby na kilka dni, to jej to odpowiadało.

– Nie ma sprawy – odrzekła.

– To dobrze. Zajmij się tym od razu.

Wstała i bez słowa ruszyła do drzwi. Przebywanie w pobliżu Nolasco budziło w niej chęć wejścia pod prysznic.

– Musiałaś wiedzieć, że to nie może się dobrze skończyć – powiedział.

Więc jednak. Czuła, że sobie nie daruje. Miał zbyt rozdęte ego, zupełnie jakby został genetycznie zaprogramowany na skończonego palanta. Zatrzymała się i odwróciła. Nolasco siedział rozparty w fotelu. Był żalonym skurwielem, który

uwielbiał znęcać się nad innymi i mógł być wręcz socjopatą. Tracy niemal było go żal. Ale tym, co ją teraz najbardziej gnębiło, były wątpliwości. Nękały ją od początku rekonwalescencji w domu. Czuła, że coś tu jest nie tak.

– Dam ci znać, kiedy się skończy – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

* * *

Weekend spędziła w towarzystwie Dana w Cedar Grove. Pichcili wyszukane kolacje, oglądali filmy, półożąc na kanapie i chrupiąc popcorn i cukierki; spali do późnych godzin przedpołudniowych. Gdy w poniedziałek zerwała się wcześnie rano, by ruszyć w drogę powrotną do Seattle, zrobiło jej się żal, że musi wyjeżdżać. Myśl o powrocie do pracy już jej tak nie podniecała jak kiedyś. Była gotowa pójść do przodu, rzucić policję i na dobre wrócić do Cedar Grove. Zastanawiała się nawet, czy nie powiedzieć tego Danowi, ale postanowiła się wstrzymać i zrobić to w odpowiednio uroczystej oprawie.

Poniedziałek i wtorek przesiedziała w Sali Kowboja, porządkując stosy papierów, notatników i terminarzy i opróżniając biurka. Z jedną tylko sprawną ręką nie było to proste, ale na szczęście nigdzie jej się nie śpieszyło. Pod koniec drugiego dnia miała spakowane i opisane kilkanaście kartonów, które już tylko czekały na przewiezienie do magazynu. Zamykając ostatni, na chwilę przerwała pracę i rozejrzała się po sali. Ściany były znów całkiem gołe i tylko nieco bardziej podziurawione od pinesek, którymi przypinano fotografie i wykresy. Wszystkie biurka były puste, telefony i komputery jeszcze działały, ale miały być wkrótce zdemontowane. Mimo ponurej sławy tego pomieszczenia z rozrzewnieniem przypomniawszy sobie włoską ucztę Very Fazzino i toast Faza, w którym ich mobilizował do zwarcia szeregów grupy zadaniowej. Nie mogła się uwolnić od myśli, że wszystkich ich

zawiodła. A pragnęli jedynie udowodnić, że Nolasco się myli i że to oni złapią Kowboja.

Zgasiła światło i już miała zamknąć drzwi, gdy na jej biurku zadzwonił telefon. W pierwszym odruchu chciała go zignorować, przekonana, że to Nolasco ją sprawdza, bo nikt inny nie wiedział o jej obecności tutaj, po krótkim namyśle postanowiła jednak nie dawać mu satysfakcji, że się przed nim kryje. Zapaliła światło, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

– Detektyw Crosswhite – rzuciła, a ponieważ zabrakło natychmiastowej reakcji, dodała: – Halo?

– Przepraszam. Nie spodziewałem się, że trafię akurat na panią – usłyszała niepewny męski głos, nieco się zacinający. To nie był ani Nolasco, ani Faz.

– Z kim rozmawiam?

– Wolałbym nie mówić.

– Dobra, o co chodzi?

– O Kowboja.

– Chodzi panu o nagrodę...?

– Nie chodzi mi o nagrodę.

– A o co?

– Boję się, że mogliście zabić niewłaściwego człowieka.

* * *

Tracy usiadła na krawędzi biurka. Odebrała w ciągu tego śledztwa zbyt wiele podobnych telefonów od ludzi twierdzących, że znają tożsamość mordercy, by nie zachować rezerwy. Mógł to być kolejny z szaleńców przekonanych, że rozwiązali zagadkę zbrodni, domorosłych mediów, dzwoniących z wiadomościami od zmarłych. Ale w spokojnym tonie tego mężczyzny było coś, co spowodowało, że nie odłożyła słuchawki. A poza tym ten ktoś dzwonił pod wewnętrzny numer komendy policji.

– Dobra, proszę mi powiedzieć dlaczego.

– Nie chcę o tym mówić przez telefon.

– Skąd pan ma ten numer?

– A to nie numer grupy zadaniowej?

To był numer grupy zadaniowej, ale niepublikowany w mediach dla informatorów. Tylko ktoś pracujący w policji mógł go znać i skorzystać z tej linii.

– Proszę zaproponować miejsce i czas.

– Niech pani sama wybierze.

– Zna pan bar Hooverville przy First Avenue

– Znajdę.

Ustalili godzinę spotkania tego samego dnia wieczorem.

– Jak pana rozpoznam? – spytała.

– Znam panią.

* * *

Hooverville był już pełen kibiców Marinersów. Na miejscowym stadionie trwał mecz, a bar znajdował się w niewielkiej odległości od stadionu i – jak to zwykle w początkach sezonu – nadzieje kibiców sięgały zenitu. Dziwne było tylko to, że kibice znajdujący się w odległości niecałego kilometra od stadionu wybierali oglądanie meczu na barowym telewizorze.

Tracy rozejrzała się po barze w poszukiwaniu informatora. Dwaj mężczyźni zajęci byli grą na flipperach, wszystkie stołki przy barze były zajęte, podobnie jak większość stołów w boksach. Ponieważ nikt do niej nie zamachał i nie ujawnił się w żaden inny sposób, usiadła w boksie przy drzwiach i zamówiła dietetyczną colę; nie przestawała rozglądać się po sali. Szukała kogoś niepewnego, niespokojnego, nerwowo się wiercącego.

Po kilku minutach szczupły, ostrzyżony na zapałkę mężczyzna spojrział w jej kierunku, wstał ze stołka przy końcu baru i ruszył ku niej. Tracy oceniła go na trzydzieści parę lat. Miał sylwetkę wspinacza skałkowego lub zagorzałego rowerzysty i świdrujące, wąsko osadzone oczy wskazujące na zawziętość potrzebną w uprawianiu tej dyscypliny sportu. Na palcu lewej

dłoni miał obrączkę, na prawej, w której trzymał niedopity kufel piwa, lśnił sygnet jakiegoś college'u.

– Detektyw Crosswhite. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać.

Tracy ruchem ręki pokazała, by usiadł. Jej druga ręka spoczywała pod stołem na rękojeści glocka.

– Ciekawe miejsce – zauważył.

– Przyjaciel mi je pokazał. Znajduje się wystarczająco daleko od centrum, by bywali tu tylko prawdziwi zapaleńcy.

– Parę lat temu mógłbym być jednym z nich.

– Tak? Ale już nie?

– Mam dwójkę dzieci. Tamte czasy należą do przeszłości. – Odchylił się na oparcie siedzenia i zaraz pochylił do przodu, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca. Popatrzył na telewizor, na bar, potem na nią i postukał palcami prawej dłoni w krawędź stołu. – Przepraszam za te sekrety.

– Mógłby się pan przedstawić?

– Christopher Wood.

– Od jak dawna jesteś gliną, Christopherze Wood?

– Dobra pani jest – parsknął cicho.

– To nie było takie trudne. Zadzwońeś pod wewnętrzny numer. Tylko gliniarze mają do niego dostęp.

– Od osiemnastu miesięcy. Pracuję w komisariacie Północ.

Pod komisariat Północ podlegał rejon Aurory.

– Wyluzuj – powiedziała Tracy. – Jestem tu po to, żeby cię wysłuchać.

Wood pociągnął łyk piwa.

– Żona jest w ciąży.

– Gratuluję.

Kolejny półuśmiezek.

– Dzięki. Jest przedszkolanką. Znaczy była, bo zrezygnowała. Taniej wychodziło zostać w domu, niż płacić opiekunce.

– Czyli krucho z forszą. Rozumiem.

– Bardzo krucho. – Wood pokiwał głową.

– No więc mów. Dlaczego sądzisz, że dopadli niewłaściwego człowieka?

Pociągnął następny łyk piwa.

– Miałem akurat nocną służbę, kiedy znaleźli tę trzecią tancerkę, Veronicę Watson.

– Rozumiem.

– Tej nocy patrolowałem jak zwykle rejon Aurory, jechałem Eighty-Fifth Street i akurat dojeżdżałem do rogu, za którym jest ten motel, gdzie znaleźliście trzecią ofiarę.

– Tak.

– Skręciłem za róg i zobaczyłem przed sobą samochód z niedziałającym tylnym światłem.

– O której to było?

– Między drugą trzydzieści a trzecią. Niemal dokładnie wtedy, kiedy według kronikarza zamordowano tę tancerkę. Czytałem protokół w internecie.

– Zatrzymałeś tego kierowcę?

Wood skinął głową.

– Spytałem go, co tu robi tak późno, a on powiedział, że dla niego to właściwie wcześniej i że jedzie do pracy po porannym treningu na siłowni. Był mocno spocony i na tylnym siedzeniu miał torbę, wie pani, taką sportową. Rosły facet. I powiedział jeszcze, że ma koci alert.

– Koci alert?

– Powiedział, że kot jego córki gdzieś się zawieruszył, dziewczynka rozpacza, więc on jeździ po okolicy i rozdaje ulotki. Dał mi taką jedną. – Wood sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął kawałek papieru i rozprostował go na stole.

Tracy przyjrzała się kartce. Pośrodku widniało czarno-białe zdjęcie kota.

– Angus – odczytała.

– Jak już mówiłem, mam dwie córeczki i wiem, jaka by to była tragedia, gdyby ich kot się gdzieś zgubił. Więc wziąłem od niego ulotkę i obiecałem, że będę miał oczy otwarte na Angusa. – Wood postukał palcem w adres pod zdjęciem. – Dwa dni temu

znalazłem się w tamtej okolicy. Wciąż miałem tę ulotkę przy sobie. Kotka mojej sąsiadki niedawno się okociła, więc pomyślałem, że wstąpię i spytam o Angusa. Bo jeśli się nie znalazł, to może będą chcieli jednego z kociaków sąsiadki. Wie pani... pomyślałem, że zdobędę fory u mojego sierżanta, jeśli ci ludzie zadzwonią do niego z podziękowaniem.

– I co się stało, kiedy tam podjechałeś?

– Facet otworzył drzwi, a ja mu pokazałem jego ulotkę. Był trochę zdziwiony, ale potwierdził, że kot się nie znalazł. Powiedział, że jest wdzięczny za moją troskę, i poprosił o numer telefonu sąsiadki, żeby mogli się z nią umówić na obejrzenie kociaków. – Wood upił łyk piwa. – Tylko że to nie był on. Adres się zgadzał, ale ten, kto mi otworzył drzwi, nie był tym facetem, którego zatrzymałem tamtej nocy. I wtedy zacząłem się nad tym zastanawiać.

– Ten, którego zatrzymałeś, mógł wracać od prostytutki lub dilerki prochów – podrzuciła Tracy.

– Nie sądzę. Ten gość był wyraźnie przygotowany. Ilu ćpunów albo klientów dziwki pani spotkała, którzy by mieli taką opowieść i ulotkę pod ręką na potwierdzenie? Myślę, że chciał świadomie namieszać mi w głowie, zniechęcić do dalszego działania.

– Słuszna uwaga.

– Facet gdzieś znalazł tę ulotkę i zrobił sobie kopie. I był przy tym zupełnie spokojny. Pamiętam, że zwróciłem na to uwagę. Gdyby miał w samochodzie narkotyki, to nie byłby taki spokojny, prawda?

– Zapisaleś jego numery?

Wood zacisnął usta i pokręcił głową.

– Nie pomyślałem. Wiem, że powinienem, ale... wie pani... chciałem go dobrze potraktować. Tylko go upomniałem, żeby naprawił to tylne światło. – Wood zaczął się wiercić. – Wiem, że należało go zgłosić. Powinienem był zadzwonić i go zgłosić i... rany... aż mi jest niedobrze na myśl, że jeśli się nie mylę...

– Nie przejmuj się – wtrąciła. – W tych okolicznościach wielu gliniarzy też by go nie zgłosiło. Co zapamiętałaś o jego samochodzie?

– Hybrydowy, ale nie z tych tanich. Lexus.

– Jakiego koloru?

– Granatowy albo czarny.

Tracy pomyślała o samochodzie z nagrania, który przemknął ulicą koło klubu Pink Palace.

– Możesz opisać tego kierowcę?

– To kolejna sprawa. Facet nie wyglądał na ćpuna. Wysoki, dobrze zbudowany. Ciemne, sterczące z przodu włosy.

Tętno Tracy gwałtownie przyśpieszyło.

– Jeślibyś go jeszcze raz zobaczył, tobyś go poznał?

– Znaczy podczas okazania?

– Znaczy czybyś go rozpoznał, jakbyś go zobaczył?

– Tak, poznałbym. Na pewno. – Wood przymrużył oczy. – Myśli pani, że to może być on?

– Komu jeszcze o tym mówiłaś?

– Nikomu.

– I nadal nie mów. Rozumiesz?

– Jasne. Nie mogę stracić pracy, pani detektyw. Nie wiem, co bym wtedy zrobił... wie pani.

– Nie stracisz pracy.

– Ale jeśli złapaliście niewłaściwego człowieka... to znaczy, że właściwy wciąż gdzieś tam jest. Ten Kowboj. I że zabił tamtą dziewczynę... – Słowa uwięzły mu w gardle, oczy nabiegły łzami. Uniósł kufel i pociągnął kolejny łyk piwa.

– To nie była twoja wina, jasne? Wood, spójrz na mnie. – Uniósł głowę. – To nie była twoja wina. Jeśli się nie mylisz i jeśli to ten człowiek, to on zabija, bo chce, i zamierza znów zabić. Zgłoszenie jego numerów niczego by nie zmieniło, nikt by się tym specjalnie nie przejął, a ty i tak byś go puścił. Rozumiesz?

Wood skinął głową.

– Potrzebny mi będzie twój numer kontaktowy. Muszę posortować parę rzeczy, wykonać kilka telefonów. Będę chroniła

twoją tożsamość na tyle, na ile to będzie możliwe, ale będziesz musiał ze mną współpracować.

– Jasne.

Tracy wyjęła z torebki długopis i podała mu go z papierową serwetką, a on zapisał swój numer telefonu i przesunął serwetkę ku niej.

– Co mam teraz robić?

– Wracaj do swojej rodziny i czekaj na mój telefon.

* * *

Tracy pojechała prosto do domu i od razu zajrzała do pudła z dokumentami ze Sprośnego Erniego, które Dan przywiózł z magazynu. Serce jej waliło, dłonie aż jej zwilgotniały, przez głowę przewalał się huragan pytań. Było dokładnie tak, jak jej mówili koledzy z grupy zadaniowej Ridgwaya. Czasem wystarczy strzępek informacji z najmniej oczekiwanego źródła, jakiś drobiazg, drobny błąd, by zdać sobie sprawę, że zabójca był cały czas na wyciągnięcie ręki. Bo na tym polega kunszt tych drani. Potrafią wtopić się w tło.

– Uspokój się – ofuknęła się na głos. – Nie daj się ponieść. – Bo wciąż było możliwe, że Wood się myli i że mimo wszelkich wątpliwości i niedociągnięć proceduralnych Kowbojem naprawdę był David Bankston. Ale coś jej mówiło, że tak nie jest.

Przesunęła pudło do jadalni, przyklękła na jedno kolano i zaczęła grzebać w papierach, wyciągając poszczególne teczki i szybko przeglądając ich zawartość. Po blisko dzieściu minutach natrafiła na teczkę, która najbardziej ją interesowała. Listy płac. Wyjęła z niej płachty papieru, rozłożyła na stole i zaczęła przebiegać wzrokiem kolumny nazwisk. Robiła to tak długo, aż jej palec natrafił na znajome nazwisko.

Rozdział 55

W środę Tracy zerwała się z łóżka o wpół do piątej rano i pojechała do Centrum Sprawiedliwości. Zaparkowała na podziemnym parkingu i wjechała windą na szóste piętro; dotarła na miejsce parę minut po piątej. O tej porze poza zagorzałymi rannymi ptaszkami nie było prawie nikogo. Od chwili przesunięcia jej do administracji utraciła dostęp do komputera, ale po wejściu do Byczej Zagrody zespołu A stwierdziła, że wprowadzie Faza nie ma, ale jego komputer jest włączony i zalogowany. Usiadła na jego miejscu i położyła rękę na klawiaturze.

– Kurczę, Profesorko! – wykrzyknął Faz, wchodząc z gazetą otwartą na stronie sportowej. – Co ty tu robisz tak wcześnie?

– Nie wiedziałam, że już jesteś – odparła. – Nolasco kazał mi posprzątać po Kowboju.

– Tak, słyszałem. Współczuję ci.

– Chciałam skopiować to nagranie spod Pink Palace, żeby je dołączyć do reszty materiałów.

Przyjrzał jej się z niedowierzaniem.

– I postanowiłaś zrobić to o wpół do szóstej rano? Co jest grane, Profesorko? Nie próbuj nabierać nabieracza.

Odczekała chwilę, aż minie ich detektyw z sekcji włamań.

– To nagranie jest jeszcze gdzieś w systemie, Faz?

– Nie wiem. Słyszałem, że wszystko gdzieś schowali i zatarli wszelkie ślady.

– Mówię o twoim komputerze.

– Bo to nie Bankston, co?

– Jeszcze nie wiem, ale myślę, że nie. Masz ten plik w swoim komputerze?

– Kurde, Profesorko, przecież mnie znasz. Nie umiem niczego skasować.

Tracy oddała mu krzesło i wyjrzała ponad przepierzenia, sprawdzając, kto jeszcze jest w pobliżu. Faz usiadł i zaczął grzebać w komputerze.

– Mam to – mruknął.

– To puść.

– Nie da się odczytać tablicy, Profesorko. Melton to oczyścił, ale tablica nadal jest nieczytelna.

– Mimo wszystko puść.

Faz włączył nagranie, które zespół Meltona oczyścił i poprawił ziarnistość obrazu. Walter Gipson i Angela Schreiber obeszli narożnik budynku i skierowali się do samochodu Gipsona. Tracy wpatrywała się w lewy górny róg ekranu i widoczny w nim fragment ulicy, czekając na pojawienie się samochodu. Samochód przemknął ulicą i zniknął z kadru. Gipson wyjechał z parkingu i włączył się w ruch uliczny.

– Dobra, zwolnij – rzuciła Tracy.

Faz nacisnął parę klawiszy i obraz zaczął przesuwać się klatka po klatce. Tracy czekała. Samochód pojawił się w kadrze.

– Zatrzymaj – zarządziła.

Pochylili się oboje nad ekranem monitora.

– Nic z tego – powiedział Faz. – Tablica jest nieczytelna.

– Pozwól mnie.

Sięgnęła po myszkę i powiększyła nią obraz.

– Za bardzo ziarnisty – jęknął Faz. – Nic z tego.

Ale Tracy nie patrzyła na tablicę rejestracyjną. Patrzyła na kratkę chłodnicy tuż pod maską, na której widać było kółko ze stylizowaną literą L. To był lexus.

Rozdział 56

Noc z czwartku na piątek Tracy spędzała w kabinie pick-upa zaparkowanego przecnicę od Pink Palace, sącząc dawno wystygłą kawę. Zegarek na wyświetlaczu telefonu pokazał 1:27 i dokładnie trzy minuty później ujrzała wychodzącego z budynku Chrisa Wooda w bejsbolówce zsuniętej nisko na czoło. Spokojnym krokiem podszedł do swojego minivana, wsiadł, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Tracy wylała resztkę kawy przez okno i ruszyła za nim, zerkając w lusterko wsteczne.

Dwie przecznice dalej wjechała na parking czynnej całą noc naleśnikarni, objechała budynek i zaparkowała obok minivana. Wood przesiadł się do kabiny jej pick-upa.

– To on – powiedział. – To ten, którego wtedy zatrzymałem. Na sto procent. Bez cienia wątpliwości.

Rozdział 57

Tracy zdjęła słuchawki i rozmasowała sobie uszy, które aż się zagrzały. Stanowiły jedyny fragment ciała, który jej nie zmarzł. Na dworze nie było szczególnie zimno – jej zdaniem nieco poniżej dziesięciu stopni Celsjusza – ale marzła od samego siedzenia bez ruchu. Ciało drętwiało, robiło jej się zimno i niewygodnie, a nie mogła wyjść na ulicę i zacząć robić pompki czy przysiady. Musiała się ograniczyć do drobnych ruchów – wyginania palców, zginania rąk, kręcenia stopami, napinania i rozluźniania mięśni. Pomagało to zwalczyć odrętwienie, ale nie rozpraszało zimna, zwłaszcza tak nasiąkniętego wilgocią. Takie zimno przenikało do kości i powodowało ból w obojczyku.

By umilić sobie czas, przygotowała trochę muzyki rockowej z lat osiemdziesiątych – Aerosmith, Van Halen, Springsteen, Journey, nawet parę kawałków AC/DC. Nie potrzebowała muzyki do zwalczania senności, choć od spotkania z Christopherem Woodem bardzo mało spała. Od trzech dób, jakie minęły od tej chwili, funkcjonowała w czasowym reżimie. Wracała do domu tuż po siedemnastej – co nie było niczym trudnym, bo w pracy głównie się nudziła z beczynności – zjadała wczesną kolację, oglądała trochę telewizji i próbowała, zwykle bez powodzenia, parę godzin się zdrzemnąć. Około północy jechała do Pink Palace i odnajdywała lexusa. Czasami samochód stał zaparkowany na jednej z bocznych uliczek, czasami na klubowym parkingu i trudno było ustalić w tym względzie jakąś prawidłowość. Próbowала robić to samo i zmieniać miejsce parkowania, co nie było łatwe, bo chciała mieć samochód Kowboja stale na oku. Dziś zaparkowała w połowie porośniętej drzewami uliczki, która

biegła prostopadle i nieco na wschód od ulicy, przy której mieścił się Pink Palace, i skąd miała widok na klubowy parking. Znalazła miejsce za średniej wielkości SUV-em, który częściowo ją skrywał, a jednocześnie nie zasłaniał całkiem widoku.

Trochę po pierwszej parking zaczynał się przersedzać i goście klubu rozjeżdżali się do domów. Parę minut po drugiej przez służbowe wejście na tyłach budynku wychodziły tancerki, wkrótce po nich rozchodziła się reszta personelu. Kowboj zwykle wychodził jako jeden z ostatnich. Jak dotąd, za każdym razem wracał prosto do domu, choć nie zawsze tą samą drogą. Nie wiedziała, czy robi to celowo, i na wszelki wypadek Tracy przestawała go śledzić kilka przecznic przed jego domem, a potem przejeżdżała obok, by się upewnić, że lexus stoi zaparkowany na podjeździe. Ale i tak co rano ze strachem brała do ręki poranną gazetę, w obawie że natknie się w niej na wielki nagłówek, od którego zrobi jej się niedobrze.

Była jednak przekonana, że postępuje słusznie.

Jedynymi kolegami z wydziału, do których miała pełne zaufanie, byli Kins – nadal przebywający w Meksyku – i Faz. Ten czuł, że coś się dzieje, ale wystarczała mu ograniczona wiedza na zasadzie „wiesz tyle, ile musisz”. Nie mogła pójść z tym do Nolasco. Mogłaby się zwrócić bezpośrednio do Clarridge’a, ale w tych okolicznościach – jego własna kariera na włosku, pozycja Tracy mocno nadwątlona – komendant miałby kłopot z przyjęciem do wiadomości na wiarę, że to nie David Bankston był Kowbojem. A na razie poza poszlakami i opowieścią młodego policjanta, który śmiertelnie bał się utraty pracy i zostania bez środków do życia dla jego powiększającej się rodziny, nie dysponowała żadnymi twardymi dowodami. W biurze szeryfa okręgu King leżały całe sterty poszlak wskazujących na to, że to Gary Ridgway był mordercą znad Green River, a mimo to potwierdzenie jego DNA z miejsc zabójstw zajęło dwadzieścia lat. Według krążących opowieści, śledczy obserwujący Ridgwaya przyłapali go na wypluciu gumy do żucia i dopiero po jej zbadaniu wreszcie go mieli. Tracy nie wiedziała, czy ta opowieść

jest prawdziwa, czy należy ją zaliczyć do legend, wiedziała natomiast na pewno, że to, co ma, jej nie wystarczy.

Obawiała się też, że gdyby zwróciła się do Clarridge'a ze swymi wątpliwościami co do Bankstona, a on zgodziłby się wznowić śledztwo, sprawa szybko wyciekłaby do mediów. Tak dużą sprawę trudno było zachować w całkowitej tajemnicy, a gdyby cokolwiek przedostało się do prasy lub telewizji, Kowboj mógłby zniknąć albo zmienić nazwisko i kontynuować swój zbrodniczy proceder gdzie indziej.

Pozostawał Dan. Trzymanie czegokolwiek w tajemnicy przed nim nie wróżyło dobrze budowie zaufania, zwłaszcza jeśli zrobi następny krok i przeniesie się do niego do Cedar Grove. Na szczęście czysta logistyka pomogła przynajmniej częściowo rozwiązać ten dylemat. Dan na cały tydzień wyjechał do Cedar Grove, by nadgonić zaległości w swoich sprawach, jakie powstały z powodu jego nieobecności. Gdy dzwonił, formalnie rzecz ujmując, Tracy go nie okłamywała, tyle że nie dzieliła się z nim wieloma szczegółami ostatnich wydarzeń i nie powiedziała mu, gdzie i jak spędza noce. Czuła, że Dan próbowałby ją odwieść od planu, który według niej stwarzał największe szanse na sukces: obserwować Pink Palace i czekać. Nie wiedziała, jak to długo może potrwać, ale Amanda Santos ją zapewniła, że żądza zabijania jest u seryjnych zabójców zbyt mocna, by mogli się jej długo opierać. Przyjdzie moment, że Kowboj będzie znów chciał zabić. Nie wiadomo tylko, kiedy to się stanie, i Tracy nie mogła do tego dopuścić.

Osunęła się na siedzeniu i ponownie założyła słuchawki. Springsteen właśnie zawodził o małej dziewczynce, której tatuś gdzieś sobie poszedł i zostawił ją w domu samą z mężczyzną o „złych zamiarach”.

– Prorok z ciebie – mruknęła pod nosem.

Po pierwszej rozpadało się i krople deszczu zaczęły bębnić w przednią szybę. Synoptyk przepowiedział na noc przelotne opady i krótkotrwałe, ale porywisty wiatr. Tracy sięgnęła do przełącznika wycieraczek, zaraz jednak stanęła jej w pamięci

oczyszczona szyba w zasypanym śniegiem samochodzie w Cedar Grove i postanowiła ich nie włączać.

Zaczęła przeglądać playlistę w telefonie i obserwowała, jak pojedyncze krople deszczu stopniowo łączą się z sobą, tworząc na szybie ciągłą kałużę wody.

W miarę zbliżania się godziny zamknięcia klubu napięcie Tracy rosło bardziej niż w poprzednie noce. Może powodowała to zbyt duża ilość kofeiny w organizmie, może kolejny dzień bez ćwiczeń fizycznych, w każdym razie nękało ją wyraźne przeczucie, że dziś coś się wydarzy. Nie potrafiła tego wyjaśnić, podobnie jak w czasach służby patrolowej nie umiała pojąć, dlaczego złe rzeczy najczęściej działy się nocami z pełnią księżyca. Było to coś w rodzaju instynktu, jaki wykształciła w sobie wiele lat temu, pełniąc nocną służbę patrolową na ulicach. Potrafiła wyczuć, kiedy pozornie rutynowy incydent wcale nie okazywał się rutynowy. Kiedy z pozoru banalnie prosta sprawa mogła się nagle skomplikować i należało zawierzyć intuicji i zacząć myśleć o własnym bezpieczeństwie.

Dostrzegła rozmazane sylwetki tancerek wysypujące się ze służbowego wejścia i rozbiegające w lejącym deszczu do samochodów. Reszta personelu wyszła wkrótce po nich, ale obiekt jej zainteresowania został w środku, zapewne liczył utarg i chował na noc księgi.

Deszcz nagle się wzmógł, jeszcze bardziej rozmazując widok. Był to jeden z tych momentów, kiedy Bóg odkręca kran i opróżnia niebiańskie jezioro. Drzwi w budynku otworzyły się, ale nikt nie wyszedł i Tracy pomyślała, że jej obiekt pewnie czeka, aż deszcz trochę zelżeje. Nie doczekawszy się, w końcu wyskoczył z budynku i puścił się biegiem przez parking, przeskakując szybko tworzące się kałuże. Wsiadł do lexusa, ale nie odjechał od razu. We wszystkie poprzednie noce wsiadał i bez wahania odjeżdżał.

Po paru minutach rozbłysły reflektory, stożki światła wwierciły się w deszcz, lexus wyjechał z parkingu, po czym jakby się zawahał i skręcił w lewo, w stronę Aurory.

W stronę domu.

Uruchomiła silnik, podjechała do skrzyżowania i skręciła w prawo, zachowując bezpieczną odległość za lexusem. Wycieraczki pick-upa wybijały jednostajny rytm. Na skrzyżowaniu z Aurora Avenue lexus skręcił w prawo na południe, nadal jadąc w kierunku domu. Siedząc wysoko w kabinie pick-upa, Tracy miała dobry widok na jadące przed nią samochody. Lexus minął następne skrzyżowanie, po czym kawałek dalej nagle zjechał na prawy pas. Jadący obok niej po prawej samochód uniemożliwił natychmiastowe powtórzenie tego manewru. Zwolniła, dała się wyprzedzić z prawej i zjechała na prawy pas dwa samochody za lexusem, który dotarł do skrzyżowania i na światłach pojechał prosto.

Spod kół samochodów wystrzeliwały fontanny wody, bo rynsztoki przestawały sobie radzić z jej odprowadzaniem i na jezdni tworzyły się kałuże. Dwie przecznice dalej nagle rozbłysły światła STOP lexusa i samochód skręcił na całodobową stację benzynową ze sklepikiem. Nigdy dotąd tego nie robił.

Tracy minęła stację i podjęła obserwację w lusterkach. Lexus nie podjechał do dystrybutora. Nie zatrzymując się, objechał budynek stacji i Tracy zaczęła się już obawiać, że wyjedzie stamtąd w boczną uliczkę i zniknie jej z oczu, jednak światła STOP rozbłysły i lexus stanął. Skręciła na skrzyżowaniu w prawo, zawróciła i wjechała na parking zajmującego przeciwległy narożnik kompleksu handlowego, skąd miała dobry widok na lexusa.

Wyłączyła światła i wycieraczki, ale zostawiła silnik na chodzie.

* * *

Nie śpieszyło mu się z zabijaniem.

Strasznie lubił tę kwestię. Kochał zawartą w niej ironię. Usłyszał ją kiedyś w jakimś filmie, może w *American Psycho* lub jakimś dziwactwie z Woodym Harrelsonem. Harrelson grywał

w tego typu filmach – *Urodzeni mordercy* czy *Zombieland*. Aż trudno uwierzyć że kiedyś był zwykłym Woodym, gamoniowatym barmanem w *Zdrówku*, ale to tylko świadczyło o jego aktorstwie.

Dawniej marzyło mu się, żeby zostać właśnie takim aktorem. Na tyle wszechstronnym, by móc grać różne role. Gdyby tylko miał szansę na poważnie się tym zająć.

Zajechał na stację benzynową ze sklepikiem i zaparkował za budynkiem, z dala od lamp świecących na dystrybutory, bo wiedział, że kamery monitoringu właśnie tam są skierowane. Deszcz nadal padał, ale przynajmniej ulewa, która dopadła go przy wyjściu z pracy, już zelżała. Miał mokre skarpetki i buty, koszula kleiła mu się do pleców. Było to irytujące, ale nie tłumilo pulsujących w nim emocji. Takich samych emocji, jakie czuł za kulisami przed rozpoczęciem się każdego spektaklu, emocji, dzięki którym czuł, że żyje.

Zsunął daszek wyblakłej bejsbolówki Marinersów na oczy, wysiadł z samochodu i ruszył do sklepiku; w chwili gdy fotokomórka rozsunęła szklane drzwi, spuścił głowę. Z głośników w suficie sączył się jazz. Skinął głową mężczyźnie za ladą, grzecznie, ale na tyle obojętnie, by nie było czego zapamiętać, i podszedł do chłodziarki. Potrzebował dawki kofeiny. Miał za sobą długi dzień, przed sobą jeszcze dłuższy świt. Od chwili schwytania Kowboja dziewczyny się uspokoiły, ale to wcale nie znaczyło, że łatwiej się z nimi dogadać. Pieprzone suki, banda dziwek z pretensjami.

Położył na ladzie dwie puszki napoju energetycznego, mleko i sześć jajek w kartonowym opakowaniu. Typowe zakupy spożywcze, nic szczególnego.

- Tak późno z pracy? – spytał ekspedient.
- Tak wcześnie do pracy. Paczkę cameli. Silversów.
- King Size czy setki?
- King Size.
- Jedzie pan do pracy?

– Niestety. – Położył dwudziestkę na ladzie. – Jak tylko zawiozę to do domu. Mogę prosić o torbę?

– Gdzie pan pracuje, że tak wcześnie? – zapytał sprzedawca, wkładając zakupy do torby.

– Na lotnisku – odparł i spojrzał na zegarek. – I muszę się pośpieszyć, bo nie chcę się spóźnić.

Ekspedient wydał resztę.

– Mógłbym dostać zapalniczki?

Ekspedient wyjął spod lady dwa opakowania i wrzucił do torby.

– Dzięki. Bo trochę bez sensu mieć papierosy i nie mieć czym ich zapalić. Chociaż może nawet wyszłoby mi to na dobre. – Już wychodził, gdy do głowy przyszła mu odzywka, tak świetna, że nie mógł się oprzeć pokusie. – Powinienem przestać. Ale dziś za bardzo mnie to ciągnie.

* * *

Tracy patrzyła na Kowboja wychodzącego ze sklepu z brązową papierową torbą. Wyjął z torby puszkę i uniósł ją do ust, pociągnął długi łyk. A potem wsiadł do samochodu. Tym razem ani chwili się nie wahał. Ruszył z parkingu i podjechał do wyjazdu na ulicę. Odniosła wrażenie, że patrzy w drugą stronę, bo zamierza przekroczyć podwójną żółtą linię i zawrócić.

Miała rację.

Kierowca lexusa wjechał na pas tylko do skrzyżowania, przepuścił jadący na północ samochód, po czym włączył się do ruchu. Kowboj nie jechał już do domu.

Poczuła nagle strzyknięcie adrenaliny i wcisnąwszy gaz, wpasowała się w przerwę w strumieniu pojazdów, dołączając do ruchu sunącego na północ. Wyprostowała się i głęboko odetchnęła. Teraz tylko go nie zgubić. Ruch nie był zbyt duży, ale jechało wystarczająco dużo samochodów, by mogła się wśród nich ukryć i wykonać odpowiedni manewr, gdyby Kowboj postanowił nagle skręcić.

Zerwał się wiatr i rozkołysał latarnie na drutach przeciągniętych przez ulicę, bijąc strugami deszczu o szybę. Światła na skrzyżowaniu przed Kowbojem zmieniły się na żółte i Tracy pomyślała, że pewnie się zatrzyma, nie chcąc ryzykować mandatu, on jednak gwałtownie przyśpieszył, by zdążyć przed zmianą na czerwone. Zrobiła to samo, ale zaraz musiała ostro przyhamować, bo jadący przed nią samochód zwolnił i stanął.

– Jasna cholera – zaklęła, nie spuszczając wzroku z lexusa i modląc się w duchu, by zatrzymały go następne światła. Chwilę później na skrzyżowanie wjechał wielki samochód dostawczy i całkowicie zasłonił widok. Kierowca, który zamierzał skręcić w lewo, czekał, aż z naprzeciwka nie będzie jechał żaden pojazd.

– Ruszaj się! – jęknęła. – Skręćże wreszcie.

Światło dla samochodu dostawczego zmieniło się na żółte i kierowca ruszył. Chwilę później światło dla Tracy zmieniło się z czerwonego na zielone, ale dostawczak wciąż jeszcze blokował przejazd. Nacisnęła klakson i samochód wreszcie zjechał ze skrzyżowania, odsłaniając widok.

Lexusa nigdzie nie było widać.

* * *

Pojechała dalej Aurorą, rozglądając się na wszystkie strony i rozpaczliwie poszukując lexusa na którymś z parkingów motelowych. A potem sobie przypomniała, że Kowboj woli parkować w bocznych uliczkach. Wynikało to ze słów Chrisa Wooda, który zatrzymał lexusa dwie przecznice od tamtego motelu.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo, dojechała do kolejnego, z ulicą dwukierunkową, i rozejrzała się po porośniętych drzewami uliczkach dzielnicy mieszkaniowej, lustrując wzrokiem zaparkowane samochody. Padający deszcz i nocne ciemności dodatkowo pogarszały i tak fatalną widoczność, a zaparkowanych samochodów było mnóstwo. Głęboko zaczerpnęła powietrza, starając się zachować spokój

i uporządkować myśli. Co mówiła Amanda Santos? Że Kowboj jest człowiekiem zorganizowanym, sprytnym i ostrożnym. Że nie chce być złapany. I że nie chce być widziany ani słyszany, co zapewne skłoniło go do jeżdżenia samochodem hybrydowym. Że zachowuje czujność.

Skręciła w prawo i maksymalnie zwolniła. Na pewno unika parkowania pod czyimś domem, pod latarnią lub na dobrze oświetlonej ulicy. Na pewno stara się nie rzucać w oczy i parkuje w zwyczajnym, ale skrytym przed wzrokiem miejscu.

Było jej gorąco, strużki potu ściekały ze skroni i po policzkach, w żołądku czuła przygniatający ciężar.

Na kolejnym skrzyżowaniu rozejrzała się na boki, wypatrując między machnięciami wycieraczek granatowego sedana. Dojrzała go mniej więcej w połowie uliczki przy lewym krawężniku i zaparkowała kawałek za nim.

* * *

Włożył bluzę z kapturem, nasunął nisko na czoło daszek bejsbolówki i ze sportową torbą w ręce ruszył chodnikiem. Ot, ktoś w drodze na wczesnoporanne ćwiczenia siłowe, co w pewnym sensie odpowiadało prawdzie. Aktorstwo odgrywało w tym wszystkim znaczącą rolę. Przeczytał kilka książek i uczestniczył w kilku kursach z zakresu technik aktorskich: jak za pomocą ciała przekonać umysł, że się jest tą postacią, którą się odtwarza. Metoda Stanisławskiego należała do jego ulubionych. Podobał mu się też Lee Strasberg. Kiedyś myślał nawet o pójściu do Actors Studio w Nowym Jorku. Miał talent, tylko brakowało pieniędzy.

Poczuł, że wypity napój energetyczny zaczyna działać, choć mógł to też być dreszczyk emocji przed czekającym go spektaklem. Druga puszka napoju leżała w torbie, podobnie jak papierosy i zapalki. „Powiniennem przestać”, powiedział, uśmiechając się do siebie. „Ale dziś za bardzo mnie to ciągnie”.

Podobała mu się ta kwestia niemal tak bardzo jak „Nie śpieszy mi się z zabijaniem”.

Obiecał sobie, że Gabby – tak nazywał Gabrielle Lizotte – będzie ostatnią na jakiś czas. Doszedł do wniosku, że może pora coś zmienić, tak jak to zrobił po Beth Stinson. Przenieść się na jakiś czas do innego miasta. Zawziętość policji trochę go zaniepokoiła. Kiedy powołali grupę zadaniową, wiedział, że to nie przelewki. To samo zrobili dla Bundy’ego i Ridgwaya, a to już były wyższe sfery. Podobnie zresztą jak nazwanie go Kowbojem. Kryptonim miał swój określony wydźwięk. Nie tak fajny jak Miejski Kowboj czy Kowboj z Drugstore’u, ale niezły.

– Kowboj – powiedział na głos.

Między Beth Stinson a Nicole Hansen zrobił sobie dziewięcioletnią przerwę, prawie pełne dziesięć lat. Stinson była jego pierwszą. Nigdy nie zapomni tych wrażeń. To było jak premiera od dawna wyczekiwanego spektaklu. Poczul wtedy niezapomniany dreszcz. Myśl o tym męczyła go od lat, ale poddał się jej dopiero wtedy. Po pierwsze, nie bardzo wiedział, jak ma poznawać kobiety. Ale potem przeczytał artykuł o pedofilach, którzy kręcili się w pobliżu miejsc odwiedzanych przez dzieci. Molestowanie dzieci go brzydziło, ale podsunęło mu pomysł zatrudnienia się w klubie striptizowym. No bo gdzie lepiej szukać kurew? Gdzie lepiej zdobywać ich zaufanie i przyzwyczajając je do siebie. Zgłosił się więc do nowego klubu Naga Rewia Sprośnego Erniego, gdzie nikt go nie mógł znać, a właścicielka – samo to, że klub należał do kobiety, dało mu niezłego kopa – zatrudniła go i już po dwóch miesiącach awansowała na kierownika. I nie było w tym nic dziwnego. Był skrupulatny, punktualny i obowiązkowy. Jednocześnie cały czas rozmyślał, która z tancerek będzie jego pierwszą. A potem w klubie zjawiała się Beth Stinson z przyjaciółką. Przyjaciółka długo nie wytrwała, ale Stinson była do tego jakby stworzona. Występowała pod pseudonimem Betty Cycatka i ksywka dobrze do niej pasowała. Miała ogromne piersi przy tak drobnej posturze. Była też niedoświadczona i naiwna, dopiero co po szkole.

Nie śpieszył się z jej poznawaniem. Stopniowo się z nią zaprzyjaźniał, zdobywał zaufanie. Rozmawiał z nią pomiędzy jej występami na estradzie i w prywatnych gabinetach dla VIP-ów. Po wycofaniu się przyjaciółki Stinson potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzać. Wkrótce tak się zaprzyjaźnili, że zaczęła się z nim dzielić intymnymi szczegółami swego życia, jak choćby tym, że – tak jak podejrzewał – oddawała się za pieniądze. Była kurwą, zupełnie jak jego matka. Twierdziła, że musi w ten sposób zarabiać na płacenie rachunków. Ale on wiedział swoje. Była kurwą, a kurwy tak robią.

Kiedy Stinson mu się zwierzyła, trudno już było ukrywać odrazę, ale pomocne okazały się jego kursy aktorstwa. A poza tym jej zwierzenia pozwoliły mu obmyślić bezpieczny plan działania. Odczekać, aż będzie z jednym ze swoich klientów. Odciski tamtego znajdą się w całym domu, zmieszane z odciskami wszystkich innych klientów, których sprowadzała. A także DNA. I wtedy zaczął planować. Dowiedział się, gdzie mieszka, i przeprowadził rekonesans na jej spokojnej uliczce bez latarni. Sąsiedzi wyglądali na zajętych swoimi sprawami.

Jedyną komplikacją w realizacji planu stało się to, że właścicielka klubu oświadczyła mu, że ma zacząć szukać nowej pracy, bo rada miejska zamierza zakazać ich działalności i jest tylko kwestią czasu, kiedy postawi na swoim. Niedługo po tym Stinson przyszła spóźniona na sobotnią zmianę, a gdy spytał ją o powód spóźnienia, odparła, że zapchała jej się rura w łazience i musiała czekać na hydraulika z Roto-Rooter. Powiedziała, że facet guzdrał się przez wiele godzin z przepychaniem i w dodatku zapaskudził jej dywan.

Uznał, że albo teraz, albo nigdy. Aktorstwo go nauczyło, że do powodzenia potrzebna jest umiejętność połączenia przygotowań z okazją. By odnieść sukces, trzeba być gotowym do zagrania nadarzającej się idealnej roli. A to była jego idealna rola. Jego szansa.

Zaczeplił Stinson pod koniec zmiany i zapytał, co myśli o tym, żeby do niej wpadł po pracy. Uśmiechnęła się zalotnie

i powiedziała, że szefowa mogłaby ich oboje wyrzucić, gdyby się dowiedziała, ale w jej tonie zabrzmiała zachęta. Zapewnił ją, że nie musi się tym martwić, bo za bardzo mu zależy na tej pracy, by cokolwiek komuś mówić. A poza tym i tak będą musieli oboje poszukać nowej roboty. I wtedy zaprosiła go do siebie.

Dotarł do skrzyżowania i nagły podmuch wiatru spryskał mu twarz deszczem. Markiza nad wejściem do motelu świeciła na czerwono w kakofonii reklam i świateł ulicznych na Aurora Avenue, które odbijały się w zalanym deszczem chodniku. Dotarł do motelu od tyłu i przeszedł wybetonowaną ścieżką na parking.

Ze Stinson nie poszło dokładnie tak, jak zaplanował. Ale z premierami często tak bywa. Od dawna do perfekcji opanował zakładanie pętli, natomiast nie do końca miał przemyślany sposób zabicia ofiary bez konieczności jej dotykania. Nienawidził dotyku matki, bo wiedział, jak obrzydliwe rzeczy wyprawiała z mężczyznami sprowadzanymi do domu – jak ich dotykała i jak oni dotykali jej.

Gdy zapukał do drzwi Stinson, poczuł emocję porównywalną z wyjściem na scenę w wyuczonej roli, kiedy jest się kimś zupełnie innym, a publiczność nie ma o tym pojęcia. I występ całkiem mu się udał, choć może nie był szczytem jego umiejętności. Dlatego bardzo chciał go powtórzyć i usunąć wszystkie niedociągnięcia, zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest jeszcze gotów. Wiedział, że nieudany występ mógłby zrujnować mu karierę i przed powtórką musi się trochę pouczyć i osiągnąć lepsze wyniki, zwłaszcza w kwestii pętli.

Natomiast aresztowanie hydraulika z Roto-Rooter odbyło się dokładnie według planu. Mimo to uznał, że najlepiej będzie wyjechać. I czemu nie? Gdy Sprośny Ernie zamknął ostatecznie podwoje, musiał i tak poszukać sobie innej pracy. A jeśli naprawdę miał zostać aktorem, to na uprawianie tego zawodu i być może wykorzystanie życiowej okazji nie ma lepszego miejsca niż Los Angeles.

W LA całkowicie poświęcił się aktorstwu i zapanowanie nad żądzą zabijania okazało się dużo łatwiejsze. Mijały tygodnie,

czasem nawet całe miesiące bez jednej myśli o Beth Stinson. Przy okazji wystawienia w miejscowym teatryku *Lotu nad kukułczym gniazdem*, w którym zagrał McMurphy'ego, poznał żonę. Reżyser nazwał go samorodnym talentem i stwierdził, że jest stworzony do tej roli. Późniejsza żona grała siostrę Ratched. Kurczę, ale się wtedy działo na tej scenie! Kiedy po raz pierwszy spróbowali sceny duszenia Wielkiej Oddziałowej przez McMurphy'ego, poczuł się tak mocny i tak autentyczny jak nigdy przedtem. I niemal to wtedy zrobił, niemal wydusił z niej życie na oczach wszystkich. Reżyser uznał, że był w tej scenie zdumiewająco wiarygodny. Gdy trzy miesiące później spektakl zakończył żywot i przed obliczem sędziego pokoju odbył się jego ślub cywilny, podobne emocje przeniosły się na jakiś czas do sypialni.

Zrobił sobie serię fotosów, znalazł agentkę i zagrał nawet w reklamie pasty do zębów. Ale agentka okazała się ździłą zainteresowaną jedynie udzielaniem mu płatnych lekcji aktorstwa. W rezultacie płacił jej więcej, niż na niej zarabiał, i gdy w końcu powiedział jej przez telefon, że rezygnuje z dalszych lekcji, przestała do niego dzwonić z propozycjami castingów. Kiedy zaczął na nią naciskać, oświadczyła, że nie nadaje się do żadnej roli. Wściekł się na całą branżę, na konieczność podlizywania się i podstawianie sobie nóg w walce o role. Żona zaczęła mu suszyć głowę, by znalazł sobie prawdziwą pracę, bo nie mają za co żyć. Zaszła w ciążę i nie chciała dłużej mieszkać w Los Angeles. Spakowali więc manatki i przenieśli się do Seattle.

Wkrótce wszystko zaczęło się gmatwać i nic nie szło zgodnie z planem. Zaczął mieć żal do żony i czuł do niej taką samą niechęć jak do matki. Bez aktorstwa pozwalającego mu się wyżywać, bez dreszczyku towarzyszącego występom jego żądza zabijania powróciła i tym razem nie mógł jej opanować. Nie chciał jej opanowywać.

Ćwiczył za dnia, ucząc się przez internet metody wiązania kobiet w kołyskę, zakładania pętli i prowadzenia sznura po kręgosłupie do rąk i nóg. Czytał o różnych tabletkach gwałtu

i ostatecznie zdecydował się na rohypnol. Uznawszy, że jest już gotów, zabrał się za szukanie odpowiedniej kurwy do swego następnego występu i w tym celu zaczął bywać w klubie o nazwie Dancing Bare. Nie martwił się, że ktoś go tam zapamięta, bo większość klientów i tak była z marginesu. Wybrał Nicole Hansen, bo jeden z bywalców powiedział mu, że można ją kupić po godzinach i że spotyka się z nią co noc. Wyszedł z klubu wcześniej i poczekał w samochodzie, po czym pojechał za facetem do motelu i odczekał, aż ten wyjdzie. A potem zapukał do drzwi i pokazał butelkę wódki, mówiąc: „Gary mi powiedział, że lubisz się zabawić”.

I to wystarczyło.

Od pierwszego razu minęło tyle lat, że czuł się tak, jakby znów występował w premierze, ale już wolnej od pomyłek i niedociągnięć. Okazało się, że wejście w rolę nie sprawiło mu żadnych trudności. Dotarł gładko do końca i uznał, że to było za mało. Że chce to jeszcze powtórzyć.

W Pink Palace był dużo większy wybór kobiet. Angela Schreiber zaczęła przyprowadzać do klubu swojego faceta, a to szalenie ułatwiło całą sprawę. Veronicę Watson wybrał w chwili, gdy jej gach wspomniał, że Veronica zarabia więcej po wyjściu z pracy niż w klubie. Choć jednocześnie niemal wszystko popsuł, kiedy niezapowiedziany zjawił się w motelu, żądając pieniędzy. Musiał się wtedy schować w łazience i odczekać, aż tamten wyjdzie. Co zresztą w sumie wyszło na dobre, bo podejrzenie padło na gacha. Jakby taki gnojek mógł być Kowbojem! Niemniej otarcie się o wpadkę bardzo go zdenerwowało i wychodził wtedy z motelu z przeświadczeniem, że Watson będzie jego ostatnią, przynajmniej na jakiś czas. Zastanawiał się nawet nad powrotem do teatru albo zajęciem się stand-upem. Ale gdzie by miał to robić, skoro wieczorami pracował.

A potem nadarzyła się okazja z Gabby. Przyszedł gość nazywany przez tancerki Mecenasem i zamówił u niej taniec na kolanach. Co było dość niezwykle, bo Gabby była bardzo drobna, a Mecenas preferował kobiety zdecydowanie przy kości. Wyszła

z gabinetu roześmiana od ucha do ucha. Spytał ją wtedy, czy wszystko w porządku, a ona jeszcze radośniej się uśmiechnęła. Później się dowiedział, że Mecenasa dał Gabby pięćdziesiąt dolarów napiwku, więc pomyślał, że facet nie szasta pieniędzmi tak bez powodu. Musiał czegoś od niej chcieć w zamian. Zaczął węszyć i stwierdził, że jego domysły były trafne. Gabby umówiła się z nim na dalszy ciąg występów. W tej sytuacji wystarczyło tylko pojechać za nimi do motelu i poczekać, aż Mecenasa wyjdzie.

Po tym występie – jego najlepszym z dotychczasowych – przestał myśleć o zakończeniu działalności i od razu zaczął się rozglądać za następną ofiarą.

I znów okazja nadarzyła się sama. Do pracy zgłosiła się Raina. Naprawdę jej imię pisało się „Rayna”, ale dziewczyna uznała, że nietypowa pisownia będzie fajniejsza. „No wiesz – powiedziała – w Seattle tak często pada...”⁸. Przyjechała z małego miasteczka w Teksasie i szybko znalazła uznanie klientów. Podobała im się jej drobna figura, sylwetka gimnastyczki i chirurgicznie powiększone piersi. Ufarbowała włosy na blond ze złocistymi pasemkami, co przy jej ciemnych brwiach wyglądało niedorzecznie i przypominało mu matkę, która nosiła blond perukę, ale podkreślała brwi ciemnym ołówkiem. Wiedział, że zabije ją przy pierwszej możliwej okazji.

Raina powiedziała, że ma pokój na parterze w motelu od strony parkingu. Numer 17, jej szczęśliwa liczba, jak mu zdradziła. Nie wiedziała, co mówi. Obiecała, że gdy tylko jej klient wyjdzie, zawiadomi go esemesem, on jednak kazał jej umieścić za szybą wizytówkę Pink Palace, jakie dziewczyny dostawały od klubu w celach promocyjnych. Nie chciał mieć w swoim telefonie żadnych tego typu wiadomości. Niektóre tancerki nie grzeszyły bystrością, ale wykalkulował, że jeśli klient wciąż jeszcze będzie w pokoju, gdy on zapuka, to po prostu coś wymyśli, wycofa się i będzie po sprawie.

Dotarł do pokoju numer 17 i zobaczył w oknie wizytówkę. Cicho zapukał. Otworzyła ubrana w przejrzystą halkę, spod

której prześwitywały piersi, ciemne krążki wokół sutków i kępka włosów.

– Cześć – powiedziała.

Położył torbę na łóżku.

– Co w niej masz – spytała z lekkim teksańskim zaśpiewem.

– Ubranie na zmianę – odpowiedział. – I parę zabawek.

– Ojejku – pisnęła. – Mogę zobaczyć?

Sięgnęła po torbę, ale chwycił ją za rękę. Będzie musiał pamiętać, że jej dotknął. Od razu miał ochotę umyć ręce.

– Niech to będzie niespodzianka – rzucił. – Nic się nie martw, nic strasznego, żadnych pejczów ani łańcuchów. Użyję tylko głowy.

Zwykle kazał im się rozebrać i tak czekać na jego wyjście z łazienki, bo to oszczędzało czas, ale ta była już prawie naga. Popatrzył na telewizor z wbudowanym magnetowidem i odtwarzaczem DVD.

– Możesz włączyć telewizor? Przyniosłem film. – Otworzył torbę i wręczył jej kasetę. – Włóż do odtwarzacza, ale jeszcze nie włączaj. Chcę tu być i obejrzeć z tobą cały film od początku.

Wyjął z torby butelkę wina.

– Napijesz się?

– O, to mi się podoba – odparła z uśmiechem.

– Przy okazji przepłuczę szklanki. Nigdy nie wiadomo, kto był tu wcześniej.

Zabrał torbę do łazienki i postawił na podłodze, ale tak, by niczego nią nie dotknąć. Włożył lateksowe rękawiczki i wyjął buteleczkę rohypnolu. Wrzucił tabletkę do jednej ze szklanek i nalał wina. Sprawdził swoje odbicie w lustrze, zamknął oczy i kilka razy głęboko odetchnął, by wprowadzić się w nastrój. W tym momencie usłyszał dochodzące z pokoju dźwięki i serce zabiło mu mocniej. A potem rozpoznał melodię. To preludium. Uwertura. Poczul gwałtowne strzyknięcie adrenaliny.

Jednak włączyła kasetę.

Wyciągnął z torby nóż, otworzył drzwi i wpadł do pokoju.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego z odrazą. Stała przy telewizorze z pilotem w ręce.

– Co to ma być? – parsknęła. A potem spojrzała na jego ręce i gwałtownie wytrzeszczyła oczy. Cisnęła w niego pilotem i skoczyła do drzwi, on jednak zdołał się uchylić, rzucił się na nią i ją obezwładnił. Zakrył jej dłońią usta, tłumiąc krzyk dziewczyny, i przytknął nóż do gardła.

– Zrobisz dokładnie to, co ci każę – syknął. – To może być albo fajny wieczór, albo ostatni wieczór w twoim życiu. Rozumiemy się?

Skinęła głową.

– To dobrze. Bo bardzo nie chciałbym podrzynać ci gardła.

Uwertura dobiegła końca.

Zaczynał się spektakl.

Rozdział 58

Tracy walnęła ze złością pięścią w kierownicę, bo nagle uprzytomniła sobie, że ten sedan to wcale nie lexus. Wcisnęła gaz, popędziła ku skrzyżowaniu i już miała je przejechać, gdy dostrzegła dużą żółtą tablicę ostrzegawczą, że przejazd na wprost kończy się ślepo. Przyjrzała mu się uważnie. Pojedyncza latarnia, ciąg domów tylko po jednej stronie ulicy, wysoki płot z drewnianymi sztachetami po drugiej. Pojechała wzdłuż płotu, zerkając przez szpary na tyły otynkowanego na biało pawilonu handlowego i niebieskie kontenery z wysypującymi się z nich pustymi kartonami.

Oraz na zaparkowanego obok lexusa.

Znalazła jego samochód.

Musiał być gdzieś niedaleko. Nie ryzykowałby długich spacerów, nie o tej porze.

Zawróciła do skrzyżowania i skręciła w lewo w Aurorę. Najbliższy motel mieścił się tuż za rogiem. Wjechała na parking, wysiadła i czując ból w niezagojonym do końca obojczyku, wbiegła do recepcji.

Recepcjonista siedział za kontuarem i gapił się w telewizor. Był tak gruby, że z trudem dźwignął się z fotela.

– Co ma być? – burknął.

Machnęła mu przed oczami odznaką.

– Czy w ciągu ostatniej godziny jakaś samotna kobieta wynajęła tu pokój?

Grubas poprawił daszek czerwonej czapki z reklamą serwisu samochodowego.

– Nie.

– Jej życie jest w niebezpieczeństwie. Jeśli tak, to muszę to wiedzieć.

– Nie było nikogo – odparł recepcjonista, nagle nieco zaniepokojony. – Po północy jedna rodzina wynajęła pokój, ale poza tym nic się nie działo. A jak ona wygląda?

Tego Tracy nie wiedziała. Zresztą zdążyła już wypatrzeć przez oszklone drzwi inny motel po drugiej stronie ulicy.

– Dzięki – rzuciła, ruszając do wyjścia.

Zawróciła na parkingu, wyjechała na ulicę, by się dostać na drugą stronę jezdni, i zajęła drogę ciężarówce. Jej kierowca wściekle zatrąbił, a Tracy zahaczyła przednim lewym kołem o krawężnik. Wyrównała i wjechała na parking za motelem. Strzałka z napisem RECEPCJA wskazywała na tył budynku.

Powitała ją siedząca za kontuarem przysadzista kobieta z brakującym zębem na przodzie. Tracy mignęła odznaką.

– Szukam kobiety, mogła się tu zjawić jakąś godzinę temu i poprosić o pokój na tyłach motelu, bo zależy jej na ciszy i spokoju.

– No, przyszła tu taka jakieś trzy kwadransy temu. – Recepcjonistka mówiła ze wschodnioeuropejskim akcentem.

– Który pokój?

– Dwadzieścia siedem.

– Muszę tam wejść.

Kobieta zdjęła z haczyka plastikową kartę na tasiemce.

– Chodźmy, zaprowadzę panią – powiedziała.

Tracy ruszyła za nią. Mimo pokaźnej tuszy kobieta poruszała się raźnie. Szybko weszły zewnętrznymi schodami na pierwsze piętro i skręciły w lewo na galeryjkę. Tracy odczytywała numery na kolejnych drzwiach: 24, 25, 26. Gdy dotarły do numeru 27, kobieta z przyzwyczajenia zapukała, nim Tracy zdążyła temu przeszkodzić.

Chwyciła kartę i wsunęła w szparę zamka. Lampka rozbłysła na czerwono. Wysunęła kartę, obróciła i wsunęła ponownie. Lampka wciąż paliła się na czerwono.

– Powoli, powoli – bąknęła recepcjonistka. Wzięła od niej kartę, wsunęła ją w szparę i lampka zapaliła się na zielono.

– Stań za ścianą – poleciała Tracy. Zdrową ręką pchnęła drzwi i sięgnęła po broń.

Na łóżku siedziała kobieta okryta po brodę prześcieradłem i przerażonym wzrokiem wpatrywała się w Tracy. Obok stała torba, z której wysypywały się zabawki erotyczne.

– Gdzie on jest?! – krzyknęła Tracy.

Kobieta wskazała głową drzwi do łazienki.

Tracy stanęła z boku i sięgnęła do klamki. Drzwi były zamknięte od środka. Walnęła w nie pięścią.

– Policja! Otwierać!

W środku panowała cisza. Cofnęła się o krok, kopnęła w klamkę i odskoczyła w bok, widząc, że drzwi się otwierają. Nie padł jednak strzał. W drzwiach stał mężczyzna owinięty ręcznikiem.

– Dobrze już, dobrze – rzucił.

Tracy okręciła się wokół framugi i wycelowała w niego pistolet. Nagi mężczyzna w ręczniku podniósł ręce gestem dziecka, które prosi, by nie spuszczać mu lania.

– Przepraszam. Przepraszam – wymamrotał.

To nie był Kowboj.

* * *

Zasłał łóżko, wyrównał każdą fałdkę na kapie, dokładnie poskładał jej ubranie i ułożył w równej kupce przy rogu łóżka. A potem usiadł, żeby obejrzeć przyniesione kreskówki.

Zrób, co do ciebie należy, to będziesz mógł pooglądać kreskówki.

Sprawdził godzinę na zegarku i wytrząsnął z paczki papierosa.

– Palisz? – spytał. – To okropny nałóg, ale ma swoje zalety. – Kolejna dobra odzywka. Będzie musiał je zapisywać, żeby nie zapomnieć.

Raina jęknęła, ale knebel w ustach nie pozwalał zrozumieć jej słów. Nie zdążył podać jej rohypnolu, więc była dużo bardziej ożywiona i czujniejsza od innych. To, że jednocześnie była zupełnie bezwolna i związana w kołyskę, miało na pewno swoje zalety. Trochę to przypominało odchodzenie od wyuczonego tekstu i improwizowanie podczas spektaklu na żywo. Jak na razie, wrażenie było piorunujące.

Zapalił papierosa, pochylił się i dotknął żarzącym końcem jej stopy. Jęknęła i szarpnęła się, zaciskając pętlę. Sznur się naprężył i jej oczy jeszcze bardziej się wytrzeszczyły. Boże, jak on kochał ten moment, kiedy wytrzeszczają oczy. Czuł się wtedy tak, jakby mógł zaglądać im prosto w duszę i patrzeć na ich prawdziwe „ja”, bez żadnego udawania, bez masek i kostiumów. Widzieć je nagie i niczym nieupiększone. Kurwy.

Jękom towarzyszyło skwierczenie i dymienie skóry. Mięśnie jej nóg odruchowo drgały i Kowboj czuł, że ta długo nie pociągnie. A nie chciał, żeby to się za szybko skończyło. Może papierosy są zbyt mocne. Chwycił za sznur na jej kręgosłupie i pociągnął, nieco go poluzowując.

– Ciii – powiedział. – Spokojnie, rozluźnij się. Oddychaj. O tak. Już lepiej? Więc teraz oglądaj. To jeden z moich ulubionych filmów. Nie możesz tego przegapić.

* * *

Tracy wybiegła na podest pierwszego piętra, skąd roztaczał się lepszy widok w obu kierunkach Aurora Avenue. Kolejny najbliższy motel znajdował się po drugiej stronie ulicy kawałek dalej na północ. Pognała galeryjką i zbiegła ciężko w dół, wywołując drżenie metalowych schodków, brzęczenie poręczy i wystraszone spojrzenia spoza firanek, ale nie zwracała na to uwagi. Wypadła na ulicę i dając sobie spokój z pick-upem, zatrzymała się na moment na krawężniku, rozejrzała po jezdni i wbiegła na nią tuż przed nadjeżdżającą ciężarówką. Kierowca spojrzał na nią jak na wariatkę. Jadący przeciwnym pasem

samochód gwałtownie zahamował, a jego kierowca głośno zatrałił.

– Hej, mała, gdzie się tak śpieszysz?! – wrzasnęła.

Tracy bez słowa obiegła maskę samochodu.

Wymachując jedną ręką i przyciskając drugą do ciała, by zmniejszyć ból w obojczyku, dotarła na chodnik. Tabliczka ze strzałką wskazywała kierunek do recepcji. Szarpnęła przeszklone drzwi, które zabrzęczały, ale pozostały zamknięte. Rzuciła przekleństwo, walnęła pięścią w szybę i dopiero wtedy zauważyła przycisk dzwonka z odręcznie napisaną kartką.

*Po 1.00 w nocy
nacisnąć dzwonek*

Nacisnęła, osłoniła dłońmi oczy i zajrzała do środka. Zza przepierzenia wyłonił się bosy mężczyzna w T-shircie, dopinając na sobie szorty. Tracy przytknęła do szyby odznakę.

Mężczyzna przyśpieszył kroku i otworzył drzwi.

– Szukam kobiety – rzuciła, z trudem łapiąc oddech. – Zjawiała się sama jakąś godzinę, może półtorej temu i wynajęła pokój na godzinę lub dwie.

– Hej, ja panią znam. Pani jest tą detektyw, którą pokazywali w telewizji. Ściagała pani tego seryjnego mordercę, Kowboja.

– Czy w ciągu ostatniej godziny zjawiała się tu jakaś kobieta?

– Myślałem, że już złapaliście tego skurwiela.

– Proszę słuchać, co do pana mówię. Życie tej kobiety jest w niebezpieczeństwie i muszę jak najszybciej ją znaleźć. Wynajął pan pokój kobiecie w tym...

– Tak, tak. Przyszła tu taka – przerwał jej. – Jakąś godzinę temu. Taka mała blondynka.

– Który pokój?

– Nie pamiętam... nie pamiętam numeru... muszę sprawdzić.

– Niech pan sprawdzi. – Tracy weszła za nim za kontuar pełen rozrzuconych papierów, samoprzylepnych karteczek i gazet, wśród których mężczyzna zaczął grzebać.

– Który pokój? – rzuciła niecierpliwie.

– Nie mogę... nie mogę... – Odwrócił się i zaczął przerzucać sterty papierów na blacie za sobą. – Jest. Już mam. Siedemnaście. Jest w siedemnastce.

* * *

Nogi dziewczyny zaczynały drgać, napięte jak postronki mięśnie pod oślizgłą od potu skórą starały się utrzymać ich pozycję i nie dopuścić do naprężenia sznura.

Już długo nie pociągnie.

– Spójrz na to – powiedział. – Ten ptak to pisklę jastrzębia, więc chociaż jest dziesięć razy mniejszy od tego wielkiego koguta, to go atakuje, bo tak mu każe instynkt. Nie da się go wyłączyć. Jest zaprogramowany na zabijanie kogutów, bo... no bo tak już jest.

Przytknął koniec papierosa do pokrytej pęcherzami części stopy i docisnął. Dziewczyna aż zeszywniała i mimo knebla głośno jęknęła. Jej nogi się wyprostowały, całe ciało dostało drgawek. Mocniej wcisnął żar w spaloną skórę i drgawki jeszcze przybrały na sile. Z gardła dziewczyny dobył się bulgot, spod pętli na szyi pociekła cienka strużka krwi.

Chyba nie dotrwa do końca kreskówki.

– Chcesz wiedzieć, jak to się kończy? – zapytał.

* * *

Tracy chwyciła klucz i wybiegła na zewnątrz. Klucz był staromodny, metalowy z ząbkami. Obiegała budynek, śledząc numery na drzwiach pokoi, i ostatecznie zatrzymała się pod ostatnim we wnęce z tabliczką z napisem WYJŚCIE. Pokój numer 17.

Niemal nie zwróciła uwagi na to, że recepcjonista towarzyszy jej w biegu przez parking. Z wnętrza pokoju przez firankę

prześwitywał blask włączonego telewizora. Przytknęła ucho do drzwi i usłyszała muzykę. Po cichu wsunęła klucz, obróciła gałkę i napała barkiem drzwi. Stawiły opór. Były zamknięte na wewnętrzną zasuwę. Tracy wyjęła glocka i cofnęła się. Wycelowała, wystrzeliła, kopnęła i drzwi się otworzyły.

Siedział plecami do ściany, z nożem o piętnastocentymetrowym ząbkowanym ostrzu przytkniętym do gardła młodej kobiety. Była związana w kołyskę i pętla na szyi ją dusiła.

Tracy wycelowała.

– Rzuć nóż, Nabil.

Kierownik sali Pink Palace uśmiechnął się.

– Rzucę nóż, a pani mnie wtedy zastrzeli.

Tracy zerknęła na stojącego pod drzwiami recepcjonistę, który bez słowa puścił się pędem przez parking do recepcji.

– Puść ją, Nabil.

– Nie mogę. Spektakl jeszcze się nie skończył. Trzeba zawsze dotrwać do końca występu.

Wzrok Tracy powędrował ku ekranowi telewizora. Kreskówka z Królikiem Bugsem. Spojrzała na dziewczynę. Jej piersi gwałtownie się wznosiły i opadały, zza ociekającego śliną knebla dobywało się rżenie.

– Przynajmniej wyjmij knebel i daj jej odetchnąć.

– Jak mnie pani znalazła, pani detektyw? Skąd pani wiedziała? – W głosie Kotara nie było śladu zdenerwowania. Mówił cicho i spokojnie. Poluzował trochę sznur i oddech kobiety nieco się uspokoił.

– Jakiś czas temu zatrzymał cię policjant za brak światła. Powiedziałeś mu, że rozlepiasz ulotki z informacją o zaginionym kocie.

Uśmiechnął się.

– O Angusie. Powiedział, że ma córkę, której pękłoby serce, gdyby jej kot się zgubił. Nawet wziął ode mnie jedną z ulotek. I co on zrobił? Zadzwoił na numer z ulotki?

– Pojechał pod podany na niej adres.

– Kurczę, prawdziwy społecznik. – Kotar zachichotał. – Na to nie wpadłem. Jak to się dzieje, że ani gazety, ani telewizja nie donoszą o takich sprawach, tylko wciąż krytykują waszą pracę? Nie jesteście tym zmęczeni?

– Trochę. – Tracy wiedziała, że nie może mu pozwolić przestać mówić i że musi zachować spokój. Powinien czuć, że to jego show.

– Mogę usiąść? – spytała, nie przestając do niego celować.

– Nie na łóżku. Przed chwilą je zaścieliłem. Usiądź na krześle.

Przyciągnęła krzesło od biurka i ustawiła je w otwartych drzwiach tak, by było ją widać z parkingu. Na dworze wciąż padało.

– To trudna sprawa, wie pani – rzekł Kotar. – Człowiek robi, co może, a krytycy tylko się na nim wyżywają. Ta blond szmata z Kanału Ósmego wyraźnie się na panią uwzięła.

– Na to wygląda, prawda?

Tracy poruszyła ramieniem i aż skrzywiła się z bólu.

– Czytałem o napaści na panią – powiedział Kotar. – To bark?

– Obojczyk.

– Musi boleć.

– Bardziej, niżby się człowiek spodziewał po takiej małej kości. – Dziewczyna na łóżku błagała ją wzrokiem o litość. – Czemu nie chcesz jej puścić, Nabil?

– Nie mogę. Nie mogę przestać.

– Już kiedyś przestałeś.

– Skąd pani to wie?

– Bo Beth Stinson zabiłeś prawie dekadę temu.

– Dobra jesteś. – Kotar się uśmiechnął. – Naprawdę dobra.

– Teraz to ja myślę o tym, żeby przestać – powiedziała, zastanawiając się, dlaczego, do cholery, przysyłanie pomocy trwa tak długo. A może recepcjonista wcale nie zadzwonił pod 911. Może będzie musiała strzelić.

– Dlaczego chcesz przestać? – spytał Kotar.

– Bo mam już dość babrania się w tym gównie, Nabil. Dość tych wszystkich politycznych gier.

– Wiem, co czujesz. Z tego samego powodu zerwałem z aktorstwem. I co byś robiła?

– Mogłabym znów uczyć w szkole.

– Czytałem o tobie. I co to było, biologia?

Dziewczyna zakrztusiła się i zaczęła się dławić. Kotar sprawiał wrażenie zniesmaczonego jej zachowaniem, ale pociągnął za sznur i ponownie go poluzował. Zaczepnęła powietrza.

– Chemia.

– Nie powinnaś się poddawać. Jak się poddasz, to te gnoje wygraają.

– Może. – Kiwnęła głową. – A ty? Co ty byś robił, jakbyś nie kierował klubem?

– To jasne. Byłbym aktorem.

– Tak? Filmowym?

– Może później. Ale zacząłbym od teatru. Teatr to moja pasja.

– Byłeś w tym dobry?

– Byłem. Wiesz, naprawdę umiałem wejść w rolę. Reżyserzy mówili, że jestem zdumiewająco wiarygodny.

– Co było twoją ulubioną rolą?

– To znów dziecinnie proste. McMurphy z *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

– Świetna rola.

– No, myślałem, że od niej zacznie się moja kariera.

– I co się stało?

Dziewczyna wyglądała nieco spokojniej.

– Wyślizgali mnie. Zdarza się. Los Angeles to szambo. Wszystko tam to jeden wielki przekręt. Jak się nie jest na topie, to nie ma co liczyć na pieniądze. A ja do tego muszę pracować nocami. Skądś trzeba brać na płacenie rachunków, nie?

– Pewnie. – Zerknęła w stronę drzwi, ale nadal nie było śladu po ekipie interwencyjnej. Pamiętała, jak Santos mówiła, że niektórzy zabójcy mają w głowie cały scenariusz, i była ciekawa, czy Kotar do nich należy. – No i musisz teraz zdecydować w innej sprawie, Nabil.

- Tak? W jakiej mianowicie?
- Jak chcesz być zapamiętany.
- Próbuje mnie pani obłaskawić, pani detektyw, czy gra pani pod moje wielkie ego? Bo tak piszą w książkach o seryjnych mordercach. Czytała pani? Wszyscy mamy ogromne ego.
- Nic mi w tej kwestii nie wiadomo, Nabil. Nie mam zbyt dużo czasu na czytanie. Patrzę na to z bardziej praktycznego punktu widzenia. Chcesz stąd wyjść i mieć szansę opowiedzieć swoją historię, zdobyć sławę jak Bundy?
- Uśmiechnął się i spojrzał na telewizor.
- To może odpowiem po filmie. Bo do końca już dużo nie zostało.

Rozdział 59

Pomoc pod postacią paru radiowozów i vana jednostki antyterrorystycznej SWAT w końcu się zjawiała i parking zaroił się od policji. Zaczęto opróżniać inne pokoje i wyprowadzać wystraszonych gości poza teren motelu. Błyskające lampy radiowozów barwiły wszystko na czerwono i niebiesko. Tracy wstała z krzesła i podeszła do drzwi, wciąż celując z glocka w Kotara.

– Tracy Crosswhite z wydziału zabójstw policji w Seattle! – zawołała. – To moja akcja! Każcie wszystkim się cofnąć!

– Pani wielkie przedstawienie, pani detektyw – powiedział Kotar. – To mi się podoba.

– Myślę, że gram w nim tylko drugoplanową rolę. To ty w nim jesteś gwiazdą, Nabil. – Wskazała ręką drzwi. – Wszystkie media już dotarły lub są w drodze. Będziesz miał wielką widownię.

Jakby na potwierdzenie jej słów, z góry dał się słyszeć łoskot wirników śmigłowca, a potężny reflektor rozświetlił motelowy parking. Kotar spojrział w okno.

– To telewizja – rzuciła Tracy.

– Światła. Kamera. Akcja – powiedział z uśmiechem.

– Publiczność czeka, Nabil. Jaki występ im zaprezentujesz? – Szarżowała w nadziei, że Kotar nie ma w planie sceny finałowej, w której wszyscy giną. Nie sądziła jednak, by tak było. Podejrzewała, że bardziej zależy mu na aplauzie i uwadze widzów.

Zaczął nucić pod nosem i Tracy w pierwszej chwili nie poznała melodii, zaraz jednak spłynęły na nią wspomnienia

z dzieciństwa. Królik Bugs. Nucił temat przewodni z filmów rysunkowych z Królikiem Bugsem.

– *Znamy każdą z ról na pamięć* – zaśpiewał słowa.

– Królik Bugs – powiedziała.

– Znasz to? – spytał, unosząc brwi.

– Chyba żartujesz! W każdą sobotę rano oglądałyśmy to razem z siostrą.

– Tak? – Nagle się zamyślił. – Słyszałem o twojej siostrze. Ten gość był chyba prawdziwym psycholem.

– Był.

– A ty go zastrzełaś.

– Nie dał mi wyboru, Nabil. Tu mamy całkiem inną sytuację.

– Dlatego to robisz? Dlatego ci zależy? Dla twojej siostry?

– Być może. Nigdy tego nie analizowałam.

– Za bardzo boli?

– Może.

Kotar opuścił wzrok i Tracy z trudem zwalczyła w sobie chęć pociągnięcia za spust. Nie miała wątpliwości, że może go trafić prosto w środek czoła, obawiała się jednak, że w ostatnim odruchu może poderżnąć gardło swej ofierze.

Spojrzał na nią i powiedział:

– Wiesz, nie mogłaś mu w tym przeszkodzić. W tym, co zrobił. Chodzi mi o to, że nie możesz się winić za to, co się stało twojej siostrze.

– Łatwo ci mówić.

– Nie – prychnął, a w jego tonie pojawiła się złość. – Nic nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz, Nabil.

– On to musiał zrobić. My musimy to robić. Więc to też nie jest twoja wina. Po prostu tak jest. Tak zostałem stworzony. Tacy już jesteśmy. – Spojrzał na związaną dziewczynę i z powrotem na Tracy. – Nie boli pani ręka od trzymania tej spluwy, pani detektyw?

– Ręka nie, ale ramię tak.

– Bo kwas mlekowy zaczyna się odkładać w mięśniach i w końcu drętwieją. Jedyнным sposobem na taki ból jest zmiana pozycji, wydłużenie i wyciągnięcie mięśni.

– Sam do tego doszedłeś?

– Z czasem.

– A jak tam twoje ramię? – spytała. – Nóż nie zaczyna ci ciążyć? Co byś powiedział na przecięcie nim sznura i opuszczenie noża? Ja opuszczę spłuwę i wszyscy stąd wyjdziemy.

– A władze stanowe skazą mnie na śmierć.

– Za dwadzieścia lat? – Pokręciła głową. – Masz pojęcie, ilu prawników będzie chciało cię reprezentować, żebyś mógł powiedzieć, że ich klient to słynny Kowboj?

– Przy okazji, podoba mi się to pseudo. To pani je wymyśliła?

– Nie, mój partner. Ale media od razu to kupiły.

– Kinsington Rowe. To dopiero nazwisko. – Kotar oparł głowę o ścianę, nagle przyjmując pozę rezygnacji. – Tak czy inaczej umrę, teraz czy za dwadzieścia lat.

– Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem, Nabil.

Zaśmiał się i wyprostował.

– To mi się podoba. To dobra kwestia. „Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem”. Dobrze. Kto tak powiedział?

– Nie wiem.

– To z jakiegoś filmu?

– Chyba nie.

– Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem – powtórzył, jakby się delektował każdym słowem.

– Ale to nie musi być dzisiaj.

– Ale to nie musi być dzisiaj – powtórzył z szerokim uśmiechem na twarzy. – Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem. Ale to nie musi być dzisiaj. – Spojrzał na Tracy, nagle ożywiony. – A ty? Mogłabyś być bohaterką. Mogłabyś odzyskać reputację, zdobyć sławę jako detektyw, która zabiła Kowboja.

– Miałam już swoje pięć minut sławy, Nabil. To mocno przereklamowane.

– To zupełnie jak czytanie scenariusza. – Roześmiał się. – Dobra jesteś. Próbowалаś kiedyś aktorstwa?

– Ja? Trzęsłabym się jak galareta na myśl o tym, że stanę przed publicznością.

– Och, nie. To coś wspaniałego. Na tym polega cała frajda. To życie. Wszystko jest możliwe. Myślisz, że kiedyś napiszą o nas scenariusz, o tej chwili?

– Nie wątpię. Pisarze lubią takie tematy. Hollywood też. Ale na pewno chcieliby z tobą porozmawiać. Posłuchać osobistych wspomnień.

Był zupełnie jak dziecko.

– To by była bombowa scena, nie? Jak myślisz, kto mógłby cię zagrać w filmie?

– Mnie? Nie mam pojęcia.

– Charlize Theron.

– Chyba mi pochlebiasz, Nabil.

– Nie, poważnie. Ja to widzę. Jest jak ty wysoka, atletycznie zbudowana. I jesteś piękną kobietą. Wiesz, co Nash o tobie mówił?

– Chyba nie chcę wiedzieć.

– Powiedział, że byłaby z ciebie świetna tancerka. Że masz nogi jakby do tego stworzone.

– To mi nie wygląda na Nasha.

– Opuściłem wulgarne epitety.

– Doceniam to.

– Dobra, teraz twoja kolej. Kto by mógł zagrać mnie?

Tracy nie miała pojęcia, ale chciała kontynuować tę grę, w nadziei, że uda jej się przekonać Kotara do zakończenia, w którym wyjdą razem z tego pokoju.

– Ty mi powiedz. – Zerknęła na dziewczynę, która leżała z zamkniętymi oczami, grymasem bólu na twarzy i drgającymi nogami. – Od dawna nie byłam w kinie.

– Pomyślałem o Ramim Maleku. Ale musiałby najpierw poćwiczyć na siłowni i dodać z dziesięć kilo mięśni.

– Nie znam go.

– Naprawdę? Grał w jednym z filmów z serii *Zmierzch*, także w *Nocy w muzeum*.

– Nie widziałam.

– Za ciężko pracujesz, musisz znajdować czas na odpoczynek.

– Byłam dość zajęta głównie dzięki tobie. Pozwolisz, że znów usiądę?

Kotar wskazał wolną ręką krzesło.

Tracy usiadła. Zaczynało jej brakować tematów do rozmowy, ale widać było, że kreskówka ma się ku końcowi i nie zostało zbyt dużo czasu. Na parkingu nie ustawały niebieskie i czerwone błyski.

– Najbardziej to bym chciał Woody’ego Harrelsona, ale jest już za stary.

– No, on byłby dobry – przyznała. – No to jak? Jesteś gotów wyjść stąd ze mną? I żyć na tyle długo, by zobaczyć grającego cię aktora na wielkim ekranie?

Rozdział 60

Johnny Nolasco postawił corvette na chodniku i szybko wysiadł. Chodnik był zastawiony wozami transmisyjnymi, fotoreporterzy strzelali zdjęcie za zdjęciem. Nad głowami wisiał helikopter, ogłuszając łoskotem wirnika i oślepiając reflektorem omiatającym ziemię; z policyjnych radiostacji dobiegał jazgot rozmów. Nolasco pokazał odznakę jednemu z mundurowych i przekrzykując hałas, zapytał:

– Kto tu dowodzi?

Policjant wskazał masywnie zbudowanego mężczyznę, który stojąc w samym środku zamieszania, wykrzykiwał rozkazy. Kapitan podszedł i przedstawił się.

– Michael Scruggs – odparł mężczyzna. – Dowódca oddziału SWAT z Seattle.

– Jak wygląda sytuacja, sierżancie?

– Kapitanie – poprawił go Scruggs. – Chodzi o jedną z waszych, Tracy Crosswhite. Mężczyzna w środku trzyma zakładniczkę z nożem przytkniętym do gardła. Crosswhite kazała nam wstrzymać akcję.

– Połącz się przez radio i każ im zabrać stąd helikopter.

– Już to zrobiłem. Ale sensacja jest tak wielka, że stacja jest gotowa zapłacić grzywnę. Jak chcesz sam spróbować, to się nie krępuj.

– A co z ludźmi z ENSZ? – spytał. Chodziło mu o Ekipę Negocjatorów w Sytuacjach Zakładniczych.

– Przed chwilą przyjechali. Właśnie się zbliżają do wejścia.

Nolasco przepchnął się przez tłum i też podszedł do drzwi, trzymając się jednak na bezpieczną odległość. Wnętrze pokoju

było rześcicie oświetlone, tuż za drzwiami siedziała na krześle Tracy.

– Detektyw Crosswhite? – powiedział.

Nie odwróciła głowy, by na niego spojrzeć.

– Tak, kapitanie?

– Co ty tam masz?

– Kowboja.

– Prawdziwego Kowboja – dobiegł głos mężczyzny z głębi pokoju.

Nolasco poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Są tu ludzie z ENSZ – rzucił.

– Damy sobie radę bez nich – odparła. – Właśnie gadamy o książkach i filmach.

– Potrzeba wam czegoś? Może wody?

– Nikt nie ma prawa tu wchodzić! – krzyknął mężczyzna.

– Jak powiedziałam, kapitanie, damy sobie radę.

* * *

– Nikt nie ma prawa tu wchodzić – ostrzegł Kotar, poprawiając chwyt rękojeści noża.

Dziewczyna na łóżku jęknęła.

– Zamknij się – syknął.

– Spokojnie – powiedziała Tracy. – Nikt tu nie wejdzie, Nabil. Będą chcieli wziąć nas głodem.

To go nieco uspokoiło, choć widać było, jak nadal się poci.

– Co to jest ENSZ?

– Zespół prowadzący negocjacje w sprawie zakładników.

– To poważna sprawa, co?

Tracy spojrzała na ekran. Nie wiedziała, ile jeszcze zostało do końca kreskówki, ale z tego, co pamiętała z dzieciństwa i wiedziała o pojemności dziecięcej uwagi, takie filmy nigdy nie trwają dłużej niż piętnaście minut.

Kotar zauważył jej spojrzenie.

– Jeszcze tylko parę minut – rzucił cicho, pewnie czując bliskość ostatecznej konfrontacji. – A ty nie byłaś przeszkolona?

– W takich sytuacjach? Właściwie nie. Omawialiśmy sytuacje kryzysowe, ale to nie to samo.

– Myślę, że i tak świetnie sobie radzisz.

– W tego typu sytuacjach dopiero wynik końcowy decyduje o tym, jak sobie radzę.

– Tak, rozumiem – mruknął i ponownie zamilkł.

– Dlaczego je tak wiążesz?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– W porządku. A dlaczego tancerki?

Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, jak odpowiedzieć i czy w ogóle odpowiadać.

– Bo ona tańczyła.

– Kto taki?

– Moja matka. Zostawiała mnie w nocy samego z kreskówkami, a jak byłem niegrzeczny, jak nie posprzątałem pokoju, biła mnie kablem elektrycznym albo przywiązywała do krzesła.

– I co się z nią stało?

Oparł głowę o ścianę i przeniósł wzrok na firankę.

– Ktoś ją udusił.

– Współczuję. Złapali jej zabójcę?

Kotar skinął głową.

– Jeden z tych, których przyprowadzała do domu.

Tracy zaświtało w głowie, że może jednak Stinson nie była jego pierwszą ofiarą.

– No cóż, przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Docisnął ostrze noża do gardła kobiety. Palec Tracy sprężył się na spuście, ale podjęła błyskawiczną decyzję, żeby nie strzelać.

– Godne podziwu opanowanie, pani detektyw – skwitował z uśmiechem.

Starła się z wszystkich sił zachować pozory spokoju, ale serce waliło jej jak młotem i coś jej mówiło, że to nie może się

dobrze skończyć. Ponownie spojrzała na ekran.

– Nabil, przetnij ten sznur i wyjdźmy stąd razem – powiedziała.

Jego wzrok też powędrował do telewizora.

– Już – rzucił. – Już koniec.

Świnka Porky wyskoczyła przez papierowy bęben na ekran telewizora, Kotar wyjąkał wraz z nią: „Wstrę-ciuch, wstrę-ciuch, wstrę-ciuch... to już wszystko, kochani”.

A potem uniósł nóż.

Rozdział 61

Nabil Kotar przeciął sznur, nogi dziewczyny wystrzeliły niczym poruszone sprężyną i z głuchym łoskotem walnęły w podłogę, głowa opadła bezwładnie jak u szmacianej lalki.

Tracy zwolniła nacisk palca na spuście. Jeszcze milimetr, i wpakowałyby mu kulę między oczy.

Kotar odepchnął od siebie dziewczynę, a ona, zanosząc się kaszlem, przeturlała się na plecy z rękami i nogami wciąż związanymi. Położył nóż na dywanie i oparł głowę o ścianę tuż pod tabliczką ze znakiem zakazu palenia. Popatrzył na Tracy smętnym wzrokiem i uśmiechnął się.

Tracy odetchnęła głęboko, po raz pierwszy od wejścia do tego pokoju.

– Muszę cię skuć, Nabil.

Kiwnął głową, a jego uśmiech przeszedł w grymas rezygnacji.

– Tak, wiem.

* * *

Tracy skuła Kotarowi ręce na plecach i doprowadziła do drzwi. Deszcz przestał padać, ale pokryta warstewką wody nawierzchnia parkingu lśniła jak jezioro.

– Widziałeś *Rambo: Pierwszą krew*? – spytał Kotar.

– Sylvester Stallone, tak? – To był jeden z ulubionych filmów Kinsa.

– Pamiętasz scenę, kiedy wychodzi ze swoim dowódcą i widzi te wszystkie radiowozy i tłum gliniarzy, którzy tylko czekają, żeby go zabić?

– Nie pozwolę, żeby ktoś ci coś zrobił, Nabil – odparła, nagle z niepokojem wyczuwając w jego głosie tony samobójcze.

– Tak tylko pomyślałem, że to trochę podobna sytuacja.

– Wszystko pójdzie, jak ustaliliśmy – obiecała i stanawszy w otwartych drzwiach, zawołała: – Wychodzimy! Otwórzcie tylne drzwi w radiowozie i odsuńcie się. – Spojrzała na Kotara. – Coś jeszcze, Nabil? Naciągnąć ci na głowę kaptur od bluzy?

Spojrzał na nią, po czym powiódł wzrokiem po tłumie policjantów w mundurach, cywilnych ubraniach i kombinezonach antyterrorystów.

– Chyba żartujesz – powiedział z uśmiechem. – Urodziłem się do zagrania tej sceny.

Stojący na parkingu policjant powtórzył polecenia Tracy i radiowozy rozjechały się na boki, zostawiając wolne przejście do jednego z nich, w którym otwarto tylne drzwi. Na galeryjce pierwszego piętra i na dachu budynku Tracy dostrzegła antyterrorystów leżących z karabinami wycelowanymi w drzwi pokoju. Uważała, że Nabil Kotar ostatecznie się poddał i z rękami skutymi na plecach nikomu już nie zagraża, mimo to czuła niepokój, że odgrywa scenę z filmu, którą jego chora wyobraźnia każe zakończyć jakimś dramatycznym akcentem. Że może zrobić coś, co ich oboje wpędzi w nieszczęście.

– Czyli tak, jak ustaliliśmy, Nabil, okay? – upewniła się. – Poruszamy się wolno i spokojnie. Żadnych gwałtownych ruchów. Ja idę pierwsza, ty za mną. Idziemy do tego samochodu z otwartymi drzwiami i pomagam ci wsiąść na tylne siedzenie. Wszystko jasne?

– Taa, jasne – mruknął, rozglądając się na boki.

– Wychodzimy! – krzyknęła Tracy. Chwyliła Kotara za rękaw bluzy i pociągnęła przez drzwi.

Zrobił trzy kroki i nagle się zatrzymał.

– Zaraz, czekaj – rzucił.

Tracy spojrzała na strzelców.

– Nie ma pośpiechu, Nabil. To twoje przedstawienie.

– Jak wyglądam?

– W porządku. Wyglądasz świetnie.

Gdy oświetlił ich reflektor z helikoptera, Tracy dostrzegła na twarzy Kotara kropelki potu.

– Teraz wolno i spokojnie – powiedziała.

Ruszyli dalej w stronę radiowozu. Zerknęła na Kotara, by sprawdzić, czy nie panikuje, ale szedł uśmiechnięty.

– Słuchaj, jak szła ta kwestia, która tak mi się podobała? Ta, którą powiedziałaś w pokoju.

– Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem?

– No, ta. – Zatrzymał się kawałek przed radiowozem i rozejrzał po tłumie. Tracy nie miała wątpliwości, że w myślach stoi teraz na scenie i patrzy na publiczność. Podniósł głos niczym aktor w ulicznym przedstawieniu i donośnie powiedział: – Nikt z nas nie ujdzie stąd z życiem. – Zwrócił ku niej głowę. – Jak wyszło? – spytał.

– Bez zarzutu. Koniec ujęcia.

Położyła mu rękę na głowie i pomogła wsiąść do radiowozu. Wciągnął nogi, ona zatrzasnęła za nim drzwi i dopiero wtedy poczuła, że schodzi z niej napięcie. Uświadomiła też sobie skalę akcji policyjnej. Parking był zastawiony radiowozami policji miejskiej i vanami ze SWAT-u, stało też kilka karetek pogotowia i wozów strażackich. Paru sanitariuszy kręciło się przy wejściu do pokoju, zajmując się Rainą. Do pierwszego helikoptera mediów w powietrzu dołączył drugi, a także policyjny. Ekipy reporterskie stały po drugiej stronie ulicy i od licznych reflektorów było widno jak w dzień.

Johnny Nolasco czekał na Tracy przy radiowozie.

– Co się, do diabła, stało? – warknął. – Jak się w to wpakowałaś?

– Wykonując swoje obowiązki – odburknęła. Nie była w nastroju do rozmów.

– Przeniosłem cię do pracy biurowej.

Zrobiła krok w jego stronę.

– Odsuń się, kapitanie. Muszę się zająć podejrzanym.

– To jeszcze nie koniec – syknął Nolasco.

Stali tuż obok siebie, twarzą w twarz.

– O nie, to już koniec. Pamiętasz, jak mnie spytałeś, jak według mnie to się skończy? No więc dla ciebie niedobrze, kapitanie.

– Miałem twarde dowody.

– Wytłumacz to żonie i dziecku Davida Bankstona. – Otworzyła drzwi radiowozu i już miała wsiąść, gdy w grupie policjantów dostrzegła Chrisa Wooda, który lekko skinął jej głową. Odwzajemniła się tym samym, usiadła na miejscu obok kierowcy i zatrzasnęła drzwi. Kierowca zawrócił i ruszył w stronę wyjazdu z parkingu.

– Hej, pani detektyw – odezwał się z tylnego siedzenia Nabil Kotar.

– Tak, Nabil.

– Mam już pierwsze zdanie książki. Chce je pani usłyszeć?

– Jasne, Nabil.

– „Kowboj miał czas i nie śpieszyło mu się z zabijaniem”. Jak się pani podoba?

Już nie, pomyślała. Na szczęście już nie ma czasu.

– Sądzę, że będziesz miał dużo czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć.

Rozdział 62

Przez kilka dni schwywanie Nabila Kotara, sławetnego Kowboja, gościło na pierwszych stronach gazet, ale Tracy ich nie czytała i nie oglądała telewizji. Tak jak na zakończenie dramatycznych przeżyć w Cedar Grove, wystarczyło jej, że uszła z tego z życiem, i zupełnie nie miała ochoty o tym czytać ani tego oglądać.

Dan śledził rozwój wypadków i informował ją o najważniejszych wydarzeniach. Reporterzy nie mogli się wprost nasycić i ze szczegółami opisywali zabójstwo Beth Stinson i śledztwo, które doprowadziło do skazania Wayne'a Gerhardta, a także posiedzenie w sądzie okręgu King, podczas którego sędzia wypuścił go na wolność, jak również całkowicie nietrafione przeszukanie domu Davida Bankstona.

Ciekawa motywów Bankstona, Tracy zaprosiła Amandę Santos na lunch i przeprosiła ją za swoją nieufność. Spędziła w jej towarzystwie całe popołudnie, przyznając, że opracowany przez nią profil Kowboja okazał się niemal w stu procentach trafny.

Spotkały się w małej tajskiej knajpce przy Columbia Street pod wiaduktem, w której Tracy i Kins często jadali. Nawet w swym codziennym stroju – dżinsach i skórzanej kurtce – Amanda przyciągała wzrok mężczyzn. Sącząc zieloną herbatę z maleńkiej porcelanowej czarki, podzieliła się swoimi przemyśleniami na temat Bankstona.

– Stalkerzy chcą nawiązać relacje z obiektem uwielbienia, tylko nie zawsze wiedzą jak. W takich sytuacjach jak ta, gdy ktoś dostaje obsesji nie na punkcie znanej sobie osoby, ale swojego

wyobrażenia na jej temat, często jest zbyt nieśmiały, by się do niej zbliżyć i nawiązać osobisty kontakt. Dla Davida Bankstona byłaś kimś więcej niż zwykłą Tracy Crosswhite. Byłaś celebrytką, o której pisały i mówiły media, a on szukał sposobu na uczestniczenie w twoim życiu.

– I dlatego zbierał te wszystkie wycinki z gazet.

Santos odstawiła czarkę na blat ze staromodnego laminatu. W otwartej przed wzrokiem gości i zatłoczonej kuchni stara Tajka wykrzykiwała polecenia, rondle i patelnie dzwoniły, para buchala w twarze dwóch kucharzy, którzy poruszali się z gracją tancerzy.

– Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że w Kowboju widział konkurenta do twojej uwagi i doszedł do wniosku, że rozwiązując zagadkę zabójstw, zbliży się do ciebie lub przynajmniej stanie się przedmiotem twojego zainteresowania. Dlatego jeździł na miejsca przestępstw, stał w tłumie i robił zdjęcia. To go do ciebie zbliżało.

– A dlaczego zostawił mi pętlę na strzelnicy?

– Kiedy nie odwzajemniłaś jego zainteresowania, wzmogła się jego desperacja i odwaga. Znów, gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że zostawił tę pętlę po to, żebyś namierzyła jego DNA. W końcu miał za sobą przeszkolenie policyjne i musiał wiedzieć, że będziesz mogła to zrobić. To był kolejny sposób na przyciągnięcie cię do siebie. Ale tego wieczoru, kiedy cię zobaczył z twoim mężczyzną, jego obsesja przeszła transformację. Uznał, że zdradziłaś go wbrew temu wszystkiemu, co dla ciebie robił. Awanse stalkerów są przeważnie tylko utrapieniem, chyba że ich obsesyjna miłość przechodzi w obsesyjną nienawiść.

– I wtedy postanowił mnie zabić i upozorować to na kolejne morderstwo Kowboja.

– Na to wygląda.

– A co z jego badaniem na wykrywaczu kłamstw? Jak możesz to wyjaśnić?

– Myślę, że był tak bardzo wciągnięty w najdrobniejsze szczegóły zabójstw, że miał wrażenie, jakby znał te wszystkie

kobiety. Ale nie cytuj mnie w tej kwestii. To nie jest czysto naukowa diagnoza i tego typu przypuszczenia psują reputację nam, profilerom. – Santos uśmiechnęła się i uniosła czarękę z herbatą.

– Strasznie mi przykro – powiedziała Tracy.

– Postaw mi lunch i będziemy kwita.

* * *

Reporterzy wygrzebali też stare artykuły i akta policyjne na temat śmierci matki Nabila Kotara, którą znaleziono martwą w jej mieszkaniu w podłej dzielnicy Bostonu. Mężczyzna oskarżony o jej zamordowanie – kręcący się po kraju komiwojażer – zmarł w więzieniu dwa lata po skazaniu go na dożywocie. W odróżnieniu od pełnej gotowości do omawiania szczegółów zabójstw pięciu tancerek, przy próbach rozmowy o śmierci matki Nabil Kotar zamykał się w sobie i nie przyznawał do jej zabicia. Santos była przekonana, że w swym mniemaniu jej nie zabił, podobnie jak nie zabił żadnej z pięciu kobiet. W jego rozumieniu zabiły się same, a ściślej mówiąc, zabił je ich styl życia. Kotar zapewniał Santos, że kochał matkę, i wyrażał się o niej z czułością; jednocześnie nienawidził kobiety, która nocami sprowadzała do domu mężczyzn, upijała się i śmierdziała papierosami. I to tej kobiecie życzył śmierci, być może wyobrażając sobie w swoim zaburzonym umyśle, że jej śmierć w jakiś sposób uwolni jego matkę.

Do prasy przedostała się nawet historia Waltera Gipsona, nieszczęsnego nauczyciela, którego Faz nazwał „najbardziej pechowym sukinsynem na świecie”. Gipson oświadczył reporterowi, że w końcu poczuł się na tyle oczyszczony, że może wyjść z mieszkania bez odwracania wzroku. Oskarżał policję z Seattle o rozbicie jego rodziny i zrujnowanie mu życia. Jego żona nie wróciła już do domu, a władze oświatowe dzielnicy nie przedłużyły z nim kontraktu.

– To cholernie wysoka cena za wydymanie panienki – uznał Kins.

Tracy nie czuła współczucia wobec kogokolwiek, kto zdradza współmałżonka.

– To cena, jaką się płaci za członkostwo w klubie idiotów – oświadczyła.

Do mediów nie trafiła natomiast relacja o tym, jak Tracy Crosswhite znalazła się w jednym pokoju motelowym z Nabilem Kotarem. Szefostwo policji utajniło szczegóły tej sprawy, zresztą Tracy się nie paliła, by o tym opowiadać, i dla odmiany tym razem nie doszło do żadnego przecieku. W rozmowie w cztery oczy z Clarridge'em przyznała, że nigdy nie była w pełni przekonana, że David Bankston był Kowbojem, więc kiedy Christopher Wood podzielił się z nią podejrzeniem, że jego rutynowe zatrzymanie kierowcy za brak światła mogło nie być tak do końca rutynowe, postanowiła się z nim spotkać i go wysłuchać. Jak się okazało, podejrzenia Wooda były prawdziwe. Clarridge, który ostatnio stąpał po kruchym lodzie, nie zamierzał zaglądać darowanemu koniowi w zęby i prowokować negatywnych komentarzy wobec czegoś, co media uznały za godną podziwu skrupulatność w pracy policjanta.

* * *

Trzy tygodnie po konfrontacji w motelu Tracy znalazła się w pomieszczeniu sąsiadującym z salą konferencyjną komendy policji i czekała w towarzystwie Sandy'ego Clarridge'a, Stephena Martineza, Andrew Lauba i Billy'ego Williamsa na rozpoczęcie konferencji prasowej. Wszyscy mieli na sobie wyjściowe mundury policyjne. Brakowało w tym gronie jedynie Johnny'ego Nolasco, któremu komendant kazał odpuścić sobie tę okazję. Zresztą Nolasco nie miał zbyt dużo wolnego czasu na udział w konferencjach prasowych, BOZ wszczęło bowiem dochodzenie w sprawie śledztwa związanego z zabójstwem Beth Stinson. Krążyły też plotki, że w kręgu zainteresowania inspektorów BOZ

znajdą się także inne śledztwa pary Nolasco/Hattie. Dochodzeniem BOZ objęto również niefortunną akcję w domu Davida Bankstona, Tracy nie łudziła się jednak, że w ten sposób uwolni się od Nolasco, który był w tym względzie jak kot, bez obrazy dla kotów. Wiedziała, że facet ma jak kot kilka żywotów i nie przestanie jej dręczyć.

– Czy ktoś omówił z panią dziś rano scenariusz naszego wystąpienia na tej konferencji, detektyw Crosswhite? – spytał Clarridge.

– Tak, panie komendancie. Billy ze mną rozmawiał.

– Proszę się trzymać jego wytycznych i dawać krótkie, zwięzłe odpowiedzi.

– Nie sprawi mi to najmniejszego problemu, panie komendancie – odparła z uśmiechem.

Bennett Lee uchylił drzwi i wetknął głowę.

– Jesteśmy gotowi – oznajmił.

Clarridge ruszył jako pierwszy, za nim podążyła reszta.

– Pełna sala – bąknął Lee do przechodzącej obok Tracy.

Podium z mównicą górowało nieco nad resztą sali wypełnioną po brzegi tłumem dziennikarzy. Pierwsze rzędy zarezerwowano dla rodzin ofiar Nabila Kotara – matek, ojców, dziadków i rodzeństwa. Byli wśród nich Shirley i Lawrence Berkmanowie, Bradleya Taggarta nie było. Dan, ubrany w szary garnitur w prążki, siedział w drugim rzędzie i zerkał na Tracy niczym licealista na swą ukrywaną przed światem dziewczynę, starając się powstrzymać uśmiech. Obok niego siedział Wayne Gerhardt.

Przedstawiciele mediów zajęli rzędy krzeseł za rodzinami i stali pod ścianami. Tracy rozejrzała się za Marią Vanpelt, ale jej nie wypatrzyła. Z pogłosek wiedziała, że odebrano jej prowadzenie programu KRIX *Tajniacy* i powierzono komuś innemu.

Pod boczną ścianą sali stali członkowie grupy zadaniowej Kowboja, łącznie z Kinsem, Fazem, Delem i Ronem Mayweatherem. Tracy wymogła na organizatorach, że mają ich

zaprosić. Kins – opalony i wypoczęty po urlopie w Meksyku – kiwnął głową i uśmiechnął się.

Clarridge wszedł na mównicę i gestem ręki przywołał Tracy. Kamery poszły w ruch, flesze aparatów zaczęły błyskać. Komendant krótko pochwalił odwagę, hart ducha, trafną ocenę sytuacji i umiejętności negocjacyjne Tracy i zakończył wypowiedź stwierdzeniem:

– Zwykle medalem za męstwo dekorujemy zasługujących na to funkcjonariuszy jesienią, podczas naszej dorocznej ceremonii, tym razem jednak nie widzę powodu, by czekać aż do października.

Bennett Lee podał mu ozdobną kasetkę, Clarridge otworzył ją i pokazał zebrany medal ze wstążką, po czym przypiął go do munduru Tracy. Ucisnął jej rękę i oboje stanęli twarzami do publiczności, pozując do kamer. Tracy starała się uśmiechać, ale widok tyłu wlepionych w nią par oczu trochę ją onieśmielał. Po odpowiednio długim pozowaniu komendant puścił ją i wskazał ręką mównicę. Tego momentu najbardziej się obawiała. Odchrząknęła, bo z gardłem nadal miała kłopoty, zwłaszcza kiedy zasychało jej w ustach. Na mównicy leżała kartka z tekstem jej wystąpienia, ale Tracy nawet na nią nie spojrzała. Sama wiedziała, co chce powiedzieć.

– Ten medal należy się tym wszystkim kolegom stojącym pod ścianą, którzy wraz ze mną tworzyli grupę zadaniową Kowboja. Bez ich zaangażowania i profesjonalizmu nie stałabym tu dziś przed państwem. – Przeniosła wzrok na rodziny ofiar. – Bez ich wytrwałości i poświęcenia w ściganiu Kowboja nie znaleźlibyśmy sprawiedliwości dla Nicole Hansen, Angeli Schreiber, Veroniki Watson i Gabrielle Lizotte, a także Beth Stinson. – Powiodła wzrokiem po twarzach pod ścianą. – To jest wasz medal.

Zeszła z mównicy i jej miejsce zajął Bennett Lee.

– Czy są jakieś pytania do detektyw Crosswhite? – zapytał.

Pierwsze pytanie zadał reporter „Seattle Times”.

– Pani detektyw, krążą pogłoski, że nosi się pani z myślą o odejściu z policji. Czy może to pani skomentować?

Tracy przez chwilę milczała, po czym powiodła wzrokiem po rodzinach ofiar Kowboja. Znała to uczucie, gdy cały dotychczasowy świat wali się za sprawą jednego nawiedzonego psychopaty. Znała towarzyszący temu nieznośny ból i nękające poczucie winy, że nie zrobiło się czegoś, co by temu zapobiegło. Znała to uczucie pustki, jaką będą próbowali wypełnić, wiedząc, że nigdy im się to nie uda.

I wiedziała, że nie może ich porzucić.

Spojrzała na Dana, który widać czytał jej w myślach, bo patrzył na nią z uśmiechem. A potem skinął ze zrozumieniem głową.

– Jak dotąd jestem gliną – powiedziała. – Tym się zajmuję.

Ludzie pod ścianą zaczęli bić brawo, początkowo wolno i nieśmiało, potem coraz głośniejsze i z coraz większym zapalem. Faz uniósł rękę, jakby wznosił toast, inni poszli jego śladem.

Epilog

Tracy strzeliła do wiszącej dwadzieścia pięć metrów dalej podziurawionej pociskami tarczy. Strzelała już blisko od godziny. Z powodu urazu obojczyka miała miesięczną przerwę w strzelaniu i nie mogła się już doczekać powrotu na strzelnicę. Opuściła broń i wsunęła do kabury, zdjęła nauszники i już miała ruszyć po tarczę, gdy usłyszała czyjś głos:

– Całkiem nieźle.

Kawałek od jej stanowiska stała Katie Pryor w towarzystwie drugiej policjantki i obie obserwowały jej strzelanie. Miały w rękach pudełka z amunicją i tarcze, Pryor trzymała też rolkę niebieskiej taśmy.

– Słyszałam, że zaliczyłaś swój test kwalifikacyjny – powiedziała Tracy.

– Dzięki tobie – potwierdziła Pryor, po czym wskazała głową swoją towarzyszkę. – To posterunkowa Theresa Goetz. Ma pewne trudności ze strzelaniem.

– Jesteś w dobrych rękach. – Tracy spojrzała na Goetz i kiwnęła głową.

– Spytała mnie, po co ta niebieska taśma – oznajmiła z uśmiechem Pryor. – Powiedziałam jej, że wkrótce się dowie.

Tracy odwzajemniła uśmiech.

– No, dowie się.

– Mogłabyś jeszcze z nami zostać i posłużyć jej radą? – spytała Pryor.

– Zdaje się, że wiesz wszystko, co potrzeba. A ja muszę wracać do domu. Dzwonił mój chłopak, że szykuje dla nas kolację.

Wrzucił już makaron, a to znaczy, że zostało mi równo dwanaście minut na powrót.

Podziękowania

Jak zwykle, podziękowania należą się wielu.

Nie jestem policjantem i nigdy nie służyłem w żadnej formacji organów porządku publicznego ani nie pracowałem w wymiarze sprawiedliwości. Moje powieści z Tracy Crosswhite nigdy by nie powstały, gdyby nie życzliwość licznych osób, które były gotowe poświęcić swój czas w nadziei, że uda mi się parę rzeczy opisać prawdziwie. Korzystałem z ich wiedzy przy pisaniu *Murder One*, *Grobu mojej siostry*, *Jej ostatniego oddechu* i trzeciej powieści z serii z Tracy Crosswhite. Dlatego chcę raz jeszcze im podziękować. Wszyscy oni są specjalistami w swych dziedzinach, ja nim nie jestem i dlatego wszelkie błędy obciążają mnie i tylko mnie.

Tak więc dziękuję Kathy Taylor, antropolożce kryminalistycznej z biura koronera w okręgu King, za jej wiedzę i uwagi dotyczące rozkopywania kilkudziesięcioletnich grobów w zadrzewionym górzystym terenie. Dziękuję także Kristopherowi Kernowi, kryminalistykowi i szefowi ekipy specjalistów od badania miejsc przestępstw w Służbie Patrolowej stanu Waszyngton, za pokrewną, ale jakże specyficzną wiedzę.

Dziękuję doktor psychologii społecznej Jeni Gregory, szefowej regionalnego programu pomocy medycznej Joint Base Lewis-McChord. Dziękuję też doktorowi Davidowi Embreyowi, terapeutcie i koordynatorowi na oddziale dziecięcej terapii ruchowej w zakładzie Dobrego Samarytanina. Kilka lat temu David podszedł do mnie podczas konferencji pisarzy Północno-Zachodniego Regionu Pacyficznego, na której zaprezentowałem zarys mojej następnej powieści, i przedstawił mnie Jeni Gregory.

Oboje podzielili się ze mną fascynującą wiedzą na temat autentycznie przerażającego sposobu myślenia socjopatów i psychopatów.

Miałem też szczęście poznać wielu wspaniałych ludzi z policji, którzy zawsze chętnie służyli mi swym czasem i wiedzą. Nie napisałbym tej książki bez pomocy Jennifer Southworth, detektyw z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Po raz pierwszy pomogła mi, będąc jeszcze funkcjonariuszką CSI. Od tamtej pory awansowała do wydziału zabójstw i stała się dla mnie inspiracją dla tej powieści. Wyrazy wdzięczności dla detektywa Scotta Thompsona z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych biura szeryfa okręgu King. Gotowość Scotta do dzielenia się wiedzą i jego pomoc przy nawiązywaniu kontaktów z innymi źródłami przydatnych mi informacji były bezcenne. Jednym z takich źródeł okazał się Tom Jensen; wielu jest zdania, że był jedynym, który wytrwał do końca istnienia grupy zadaniowej Green River i po dwudziestu latach wytężonej pracy zdobył dowody, które doprowadziły do skazania Gary'ego Ridgwaya.

Dziękuję też Kelly Rosie, szefowej Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych w biurze prokuratora okręgu King i mojej wieloletniej przyjaciółce. Kelly pomagała mi przy pisaniu niemal wszystkich powieści, a potem bez wytchnienia je promowała.

Dziękuję także Sue Rahr, byłej szeryf okręgu King, a obecnie dyrektor wykonawczej Komisji Szkoleniowej do Walki z Przestępczością stanu Waszyngton, czyli akademii policyjnej. Pisząc tę powieść, nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale Tracy ma w sobie coś z Sue – jest jak ona twarda i zdecydowana i ma poczucie humoru. Dzięki za dopuszczenie mnie do sekretów kariery w środowisku tak bardzo zdominowanym przez mężczyzn. Za to samo chcę podziękować detektywu Danie Duffy z Sekcji Ciężkich Przestępstw Kryminalnych policji w Seattle. Lata temu znalazła czas, by nie tylko szczerze porozmawiać ze mną o swej policyjnej karierze, ale również nakreślić szersze tło.

Przygotowując się do pisania powieści, studiuje dużo literatury źródłowej i zwykle się na nią nie powołuję, tym razem chcę jednak wymienić kilka książek, podręczników i artykułów, z których korzystałem:

Dr Maurice Godwin i Fred Rosen, *Tracker: Hunting Down Serial Killers*;
Szeryf David Reichert, *Chasing the Devil: My Twenty-Year Quest to Capture the Green River Killer*;
Diane Yancey, *Tracking Serial Killers*;
Robert D. Keppel i William J. Birnes, *The Psychology of Serial Killer Investigations: The Grisly Business Unit*;
Zespół analiz behawioralnych Krajowego Centrum Badań nad Brutalnymi Zabójstwami, *Serial Murder: Multi-Disciplinary Perspectives for Investigators*;
Departament Sprawiedliwości USA, Krajowy Instytut Sprawiedliwości, *Multi-Agency Investigative Team Manual*.

Dziękuję Meg Ruley, mojej superagentce i siostrze spod znaku Wodnika, oraz jej zespołowi z Jane Rotrosen Agency, a zwłaszcza Rebecce Scherer i Michaelowi Conroyowi, nieubłaganym redaktorom, którym nie umknie żaden błąd czy niekonsekwencja w tekście. Pani Meg – jak lubię ją nazywać – nie przestaje czynić dla mnie cudów. Jestem wdzięczny, że od ponad dekady należę do grona jej autorów, a ona zawsze mnie traktuje tak, jakbym był dla niej najważniejszy. Jesteś po prostu jednym z najlepszych ludzi, jakich miałem szczęście poznać. Bez Ciebie bym sobie nie poradził. A teraz nauczmy się grać w cribbage i zagrajmy.

Dziękuję wydawnictwu Thomas & Mercer! Uwierzyliście w *Grób mojej siostry* i uczyniliście z tej powieści największy bestseller Amazona. Wasza wiara w *Jej ostatni oddech* była równie niezłomna. Specjalne podziękowania dla Jeffa Belle'a, wiceprezesa Amazon Publishing, redaktorek Charlotte Herscher i Kjersti Egerdahl, szefa marketingu Jacque'a Ben-Zekry'ego,

szefowej działu współpracy z autorami Tiffany Pokorny, szefa produkcji Paula Morriseya oraz mojej cudownej szefowej od reklamy Gracie Doyle.

Specjalne podziękowania dla Alana Turkusa, redaktora prowadzącego. Twoja koncepcja postaci Tracy i wszystkie Twoje uwagi były jak zwykle trafne i jestem głęboko wdzięczny za czas poświęcony na odpowiadanie na moje pytania i udzielanie rad. Jeśli pominąłem kogoś z Amazon Publishing, to niech wie, że i tak jestem mu wdzięczny.

Dziękuję Tami Taylor, która prowadzi moją stronę internetową. Dziękuję Seanowi McVeighowi z 425 Media, guru dla mediów społecznościowych, który z taką cierpliwością mnie uczy. Dziękuję redaktorom biedzącym się nad pierwszymi wersjami powieści i pomagającym je poprawiać. Dziękuję Pam Binder i Stowarzyszeniu Pisarzy Północno-Zachodniego Regionu Pacyficznego za ich ogromne wsparcie.

Przede wszystkim dziękuję jednak moim lojalnym Czytelnikom, którzy w mailach informują mnie, że bardzo podobała im się moja książka i czekają na następną. To dzięki Wam nie przestaję szukać nowych pomysłów.

Poświęciłem tę książkę ludziom ze służb porządku publicznego. Zawsze namawiam wszystkich, by spróbowali sobie wyobrazić, że choć przez tydzień zmagają się z problemami, z którymi tamci mają do czynienia na co dzień. Kiedyś jeden z dziennikarzy spytał mnie, czy autorzy powieści kryminalnych muszą je cenzurować. Nie wiem, czy tak jest, czy nie, ale mogę z całą pewnością stwierdzić, że nawet najbardziej dosadna powieść kryminalna nie oddaje w pełni brutalności i koszmaru prawdziwych zbrodni, choćby nie wiem jak dobrze była napisana. A ci ludzie mają z nimi bezpośrednią i aż nazbyt częstą styczność i z własnej woli podejmują uciążliwe śledztwa, by zapewnić rodzinom ofiar poczucie, iż sprawiedliwości stało się zadość. Ludzie poznani przeze mnie w tej służbie byli niezłomnymi sługami interesu publicznego, którym płacono o wiele za mało za ich trudną i ważną pracę. Rządziej ich

krytykujmy i częściej im dziękujmy. Cieszę się, że jesteście tam dla dobra mojego i mojej rodziny.

I na koniec mam nową mantrę wdzięczności, którą codziennie wypowiadam, a która brzmi: „Mam wspaniałą żonę, mam wspaniałe dzieci, mam wspaniałe życie”. Tak, wiem, to banał, ale to prawda. Cristina jest moją skałą, moją kotwicą, moją bratnią duszą i miłością mojego życia. Joe i Catherine – tak, wiem, dużo o Was mówię, ale to dlatego, że jestem taki z Was dumny. Kurczę, oboje nie przestajecie mnie zdumiewać.

Jak mawia mój teść, doktor Bob: „Jeśli dziewięćdziesiąt pięć procent życia masz udane, nie zwracaj sobie głowy naprawianiem brakujących pięciu”. Łebski gość. Życiowa mądrość, którą warto zapamiętać.

Na koniec – choć wcale nie najmniej ważne – słowo o mojej matce, Patricii Dugoni. Zawsze byłaś dla mnie inspiracją i najtwardszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. I taką jesteś nadal mimo swych osiemdziesięciu dwóch lat. Po zrobieniu Ciebie Pan Bóg musiał chyba potłuc formę do odlewania twardych irlandzkich kobiet. Myślę o Tobie i dziękuję za każdy dzień cudownego dzieciństwa, jakie nam wszystkim zapewniłaś. Czy już wspominałem, że jestem jednym z dziesięciorga? Tak, cała dziesiątka z tej samej matki. Tak, jest niezwykłą kobietą.

A teraz powtórzcie za mną szybko i bez żadnych przecinków:

AileenSusieBillieBonnieBobbyJoAnnTommyLaurenceSean-Michael. Kocham was wszystkich.

Przypisy

- ¹ Patrz: *Grób mojej siostry*, wyd. Albatros.
- ² CSI – Crime Scene Investigation (specjaliści badający miejsce przestępstwa).
- ³ HITS – Homicide Investigation Tracking System (śledcza baza danych zawierająca informacje dotyczące zabójstw i aktów przemocy seksualnej).
- ⁴ AFIS – Automated Fingerprint Identification System (System Automatycznej Identyfikacji Daktyloskopijnej).
- ⁵ Nawiązanie do amerykańskiego serialu telewizyjnego *Barney Miller* emitowanego w latach 1974–1982, którego akcja rozgrywa się w środowisku nowojorskiej policji.
- ⁶ *Bare* – (ang.) nagi, obnażony.
- ⁷ Fikcyjna postać z wielu reklam artykułów spożywczych; synonim sympatycznej, ale niezbyt rozgarniętej amerykańskiej gospodyni domowej.
- ⁸ *Rain* (ang) – deszcz.